

Perfumy i miłość

Blake Jennifer



calibre 0.9.43

JENNIFER BLAKE

PERFUMY I MIŁOŚĆ

ROZDZIAŁ I

W perfumerii panował półmrok i cisza, jedynie mdły odbłask latarni ulicznych i światło kryształowego Syrandola, palącego się gdzieś daleko na zapleczu, rozpraszały ciemności. Kąty i zakamarki za połyskującymi szklanymi kontuarami tonęły w gęstym cieniu.

W miękkim mroku kryło się przejście do pomieszczeń na tyłach.

Joletta Caresse nie ruszyła się, by zapalić więcej świateł. Zamknęła drzwi wejściowe i pośpiesznie, lecz dokładnie zarygłowała je. Ze staroświeckim, mosiężnym kluczem w ręku stała nieruchomo, nasłuchując.

Z zewnątrz dobiegł ją odgłos kroków, zbliżających się osłoniętym podcieniami chodnikiem. Ich tempo zwolniło się. Nagle umilkły. Joletta wyjrzała przez starą, ornamentową szybę sklepowych drzwi. Widok przesłaniał wieniec Sałobny, przytwierdzony na wysokości oczu, ale udało się jej wyłowić z mroku wysoką sylwetkę mężczyzny stojącego w cieniu arkady.

Serce załomotało jej gwałtownie, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Mimo że wewnątrz sklepu nie było oświetlone, zdawało się jej, że widać ją jak na dłoni. Z trudem się powstrzymała, by nie rzucić się do ucieczki, choć równocześnie miała wrażenie, że stopy przyrosły jej do podłogi. Ścisnęła klucz w garści tak mocno, że ostre krawędzie wbiły się boleśnie w palce.

Mężczyzna na zewnątrz stał bez ruchu. Nie próbował się kryć, tylko uporczywie wpatrywał się przed siebie. Coś w zarysie jego barków i ramion znamionowało powściąganą siłę i czujność.

Joletta nie miała pojęcia, od jak dawna ją śledził.

Zauważyła go dopiero przed ostatnią przecznicą. Z początku myślała, że to zwykły przechodzień, który po prostu zmierza w tym samym co ona kierunku. Nie próbował zmniejszać dzielącego ich dystansu, ale to, że dostosowywał tempo marszu do jej kroków, sprawiło, że w jej głowie odezwały się dzwonki alarmowe. Zawsze jej powtarzano, że wieczory w Dzielnicy Francuskiej Nowego Orleanu nie są zbyt bezpieczne, ale po raz pierwszy w życiu spotkała ją coś podobnego.

Z takim wysiłkiem próbowała przebić wzrokiem ciemność pod arkadami, aż aż zapiekły ją oczy. Zaciśnęła powieki, by choć przez chwilę poczuć ulgę. Kiedy je otworzyła, przed sklepem nie było nikogo.

Mężczyzna zniknął.

Oparła czoło o szybę drzwi i odetchnęła. Prawdę mówiąc nie bardzo wiedziała, przed czym właściwie poczuła taki lęk, ale teraz aż się pod nią ugięły kolana z ulgi, że nic się nie stało. A równocześnie ogarnęła ją fala irytacji na tę zabawę w kotka i myszkę, którą ów człowiek uprawiał z nią przez jakiś czas.

Oczywiście, jest możliwe, że to wszystko było jedynie wytworem jej wyobraźni, może zrobiła się nadwrażliwa, ostatnio przecie aż bardzo wiele przeszła, więc nie byłoby w tym nic dziwnego.

A może jednak jej reakcja wcale nie była przesadna? Joletta wzięła głęboki oddech w nadziei, że ją to uspokoi. I wtedy poczuła wyraźną woń, tym wyraźniejszą, że panował półmrok, woń, która obejmowała ją jak ktoś bliski, kochany. Odwróciła się, połykając łzy smutku i żalu po nie dawnej stracie.

Mimi. To jej zapach. To nieusuwalny podpis Anny Perrin, babki Joletty. Bujny aromat perfum, którymi pachniały zawsze ubrania starszej pani, jej pergaminowa, biała skóra, srebrzyste loki. Stał się równie nieodłączny jak ciepły, promienny uśmiech i przezwisko

„Mimi” , nadane jej przez małą wówczas Jolettę. Ta woń wypełniała te pokoje Mimi na piętrze, w których mieszkały cztery kolejne pokolenia kobiet z rodziny Fossierów, właścioleek tej perfumerii. Zapach ten wsączył się w kaŜde włókno kotar i dywanów, wpełznął do szuflad i pęknięć antycznych mebli, przeniknął nawet tynk ścian i deski podłóg. Mimi uwielbiała ten bukiet. Mam szczęście, mawiała, Őe mogę Őyc otoczona duszami kwiatów.

A kwiatów na pogrzebie Mimi było zatręsienie, kwiatami Őegnali ją przyjaciele, partnerzy w interesach, niezliczone organizacje lokalne - społeczne i charytatywne - z którymi związała się Mimi w róŜnych okresach swojego Őycia, przeŜytego w całości na Vieux Carre, jak Dzielnicę Francuską nazywali kreolscy potomkowie francuskich osadników. Zapach kwiatów zmieszany z wonią kadzidła niósł się z wilgotnym wiatrem, który mierzwił mchy na pniach starych dębów cmentarnych, gdy składano Mimi na wieczny spoczynek w grobowcu rodzinnym Fossierów. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Mimi kochała kwiaty; miłość do nich - podobnie jak prowadzenie perfumerii - naleŜała do rodzinnej tradycji.

Joletta otrząsnęła się, by odegnąć wspomnienia; lepiej się w nich nie pogrąŜać.

Podniosła głowę do góry i przeszła na zaplecze.

Ruchy miała pewne, ten lokal od dzieciństwa stanowił jej Őycie, mogła się tu poruszać z zamkniętymi oczami. Na pamięć znała barwinkowy kolor ścian. To tutaj pewnej deszczowej niedzieli, będąc jeszcze dzieckiem, podczas rozhukanej zabawy w berka z ciotecznym rodzeństwem - Natalią i Timothyem - przewróciła wózek z wonnymi mydełkami i koszyczkami z potpourri. To tutaj, kiedy miała dwanaście lat, wyznaczono jej pierwsze stałe zadanie: odkurzanie lustrzanych antycznych gablot o półeczkach wyłoŜonych koronkowymi serwetkami, wypełnionych flaszeczkami najrozmaitszych kształtów, rozmiarów i barw. Tutaj na swoje trzynaste urodziny otrzymała pierwszą lekcję komponowania perfum z esencji

zapachowych, przechowywanych we flakonikach z ciemnego szkła ze szlifowanymi szklanymi korkami. Tutaj, potknąwszy się na skraju wytartego perskiego dywanu, skrzyła sobie nogę w kostce, gdy po raz pierwszy w Syciu włożyła pantofle na wysokim obcasie. I to tutaj, leżąc na starej sofie o poręczach z drzewa różanego i obiciu z kremowego jedwabiu, wyplakiwała swoją rozpacz i żał po zerwaniu trwającego cztery lata narzeczeństwa.

Sklep wypełniały wspomnienia dobre i złe; stał się on ośrodkiem jej Sycia, gdy przeprowadziła się do Mimi po śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku, kiedy ich samochód wypadł z zakrętu w czasie ulewy. Czasami przypominała sobie, jak bardzo chciała od tego uciec po ukończeniu college'u. Jak dosyć miała, bywało, tego zapachu perfum przenikającego każdą chwilę jej Sycia.

Zapagnęła wtedy samodzielności i osobistej niezależności, odczuła potrzebę uwolnienia się od mdlącej, natrętnej, troskliwej uwagi, z jaką śledzono każdą chwilę jej Sycia, każdą myśl, każdy nastrój. Postanowiła udowodnić, że nie potrzebuje nikogo, ani Mimi, ani innych starszych kobiet, które pracowały w firmie i matkowały jej, a zwłaszcza że nie potrzebuje swojego byłego narzeczonego. I właśnie dlatego pół roku temu, przeprowadziła się do własnego mieszkania, które mieściło się niedaleko biblioteki naukowej, gdzie pracowała jako historyk, a z dala od Vieux Garre.

Joletta stanęła w drzwiach prowadzących na zaplecze, do pomieszczenia mieszalni, której ściany obstawione były sięgającymi od podłogi do sufitu regałami. Zapachy były tu intensywniejsze, dochodziły z setek szklanych flakonów, które połyskiwały rzędami na półkach. Pośrodku stał stół roboczy, a pod nim, na głębokich półkach, leżały stare, oprawne w skórę księgi, a także plastikowe segregatory. Księgi te zawierały niezliczone receptury perfum, zarówno popularnych mieszanek, sprzedawanych od lat pod różnymi nazwami, jak i tych specjalnych, robionych na indywidualne zamówienia. Znaczna część zapisków

pochoziła z czasów niedawnych, ale były teŝ takie, które liczyły blisko sto czterdzieci lat - melancholijne ŝwiadectwa upodobań kobiet, które juŝ od dawna nie ŝyły. Kaŝda mieszanina zapisana była za pomocą skomplikowanego kodu symboli i cyfr, opracowanego przez Violet Fossier, prapraprababkê, załoŝycielkê firmy „Królewskie Perfumy Fossierów” w czasach tuŝ po wojnie secesyjnej.

Zmarszczka irytacji przecięła czoło Joletty, gdy rozejrzała się po półkach z księgami receptur. Panował tam nieopisany bałagan, stare księgi wymieszane były z nowymi, pootwierane, o stronicach pogniecionych i pozaginanych rogach.

To sprawka ciotki Estelli Clements, starszej córki Mimi, siostry matki Joletty. Była tu wcześniej, ze swoją córką Natalią, i wspólnie szukały receptury pewnych specjalnych perfum. Znane pod nazwą Le Jardin de Gaur, „Dworski Ogród”, były najstarszymi perfumami stworzonymi przez rodzinną firmę i przynosiły corocznie blisko połowę jej dochodów.

Według rodzinnego przekazu Le Jardin de Gaur, pod inną nazwą, były ulubionymi perfumami cesarzowej francuskiej Eugonii - jeszcze nim została cesarzową - w czasach II Republiki. Eugenia miała je otrzymać od pewnej sędziwej kobiety, byłej słuŝącej cesarzowej Józefiny, która to słuŝąca znalazła ich recepturę po ŝmierci swojej pani. Józefina natomiast dostała je w podarunku od samego Napoleona Bonaparte, który jak wiadomo, był miłośnikiem dobrych perfum. Natrafił na nie jakoby w czasie kampanii egipskiej i bardzo przypadły mu do gustu. Podobno właŝnie ich zapachem Kleopatra usidliła Marka Antoniusza, a pochodziły one z pustyń Dalekiego Wschodu, gdzie uŝywały ich od niepamiętnych czasów antyczne kapłanki Bogini Księŝyca.

Receptura tych perfum była wyjątkowo pilnie strzeŝona przez właścicielki firmy Fossierów - w kaŝdym pokoleniu znała ją dokładnie tylko jedna osoba; matka przekazywała ją córce. Mimi, ostatnia, która była w jej posiadaniu, nie zdąŝyła, niestety, tego uczynić.

Pozostałe kobiety wielokrotnie przyglądały się, jak Mimi komponuje te perfumy, więc większość składników znały. Le Jardin de Gaur nie były jednak zwykłą mieszaniną esencji. Sporządzenie ich zajmowało ponad godzinę, wymagało ogromnej staranności i dokładności. Najdrobniejsza pomyłka, jedna maleńka kropla jakiejś podstawowej esencji za wiele, i cały proces trzeba było zaczynać od nowa. Taka nieudana partia mogła być później sprzedana, oczywiście po obniżonej cenie, ale nigdy pod zastrzeżoną marką Le Jardin de Gaur. Mimi, leżąc na sali intensywnej opieki medycznej w szpitalu po swoim upadku ze schodów, rozpaczliwie próbowała przekazać im najważniejsze informacje, nim jej serce przestało bić. Niestety, nie udało się jej to. Mimi doznała udaru mózgu, którego następstwem był paraliż lewej połowy ciała, w tym mięśni twarzy - jej mowa stała się niezrozumiała. Receptura zaś to coś zbyt skomplikowanego, zawiera zbyt wiele szczegółów, by dała się wyrazić tymi kilkoma dźwiękami, które Mimi była w stanie z siebie wydobyć.

Wszyscy po kolei próbowali 'się z nią porozumieć:

Estella, Natalia, Timothy i sama Joletta, ale stopniowo dawali za wygraną, wyczerpani bezowocnym wysiłkiem. Wreszcie Joletcie, tuż przed śmiercią Mimi, udało się wyłowić z bełkotu jedno słowo, dwie niewyraźne zgłoski.

„Dziennik”. Chyba właśnie to słowo wypowiedziała Mimi.

Joletta powtórzyła je pozostałym, dodając jednak, że nic jej nie wiadomo o tym, by Mimi prowadziła jakikolwiek dziennik. W chwilę później ciotka Estella i Natalia dosłownie wybiegły ze szpitala. I choć lekarze uprzedzili je, że Mimi nie pozostało już wiele czasu, uznały, że nie będą czekać. Z Jolettą pozostał jedynie Timothy. Siedział z opuszczonymi rękami, nieustannie wyłamując sobie palce, raz po raz odgarniając z oczu przydługą blond grzywkę i gadając coś bełładnie. Timothy był wysoki i wysportowany, można by go uznać za przystojnego, gdyby nie widoczny na pierwszy rzut oka kompletny brak charakteru. Cała

energia i przebojowość przypadły w udziale matce i siostrze. Nadopiekuńczość matki sprawiła, iż zdawał się znacznie młodszy, niż był. Zachowywał się swobodnie, nawet wesoło, starając się rozerwać trochę Jolettę, ale stwierdziwszy, że jego wysiłki spełzły na niczym, oddalił się korytarzem, by przekąsić coś w szpitalnym bufecie.

Joletta została z babcią sama. Wieczorny mrok zapadł już nad szpitalem, z korytarza dobiegały odgłosy kolacyjnej krzątaniny. Były same, gdy tętno Mimi zaczęło słabnąć, jej oddech spowolniał, zatrzymał się, potem na chwilę wrócił, po czym ustał na zawsze, i zapadło niczym nie zmącone milczenie śmierci. Długi czas Joletta siedziała oddzielona płóciennym przepierzeniem od reszty świata, trzymając w dłoni bezwładne kościste palce babki, powleczone białą skórą z brązowymi starczymi plamami - palce, które kołysały niegdyś jej dziecięce smutki. Przyglądała pasmo miękkich, srebrzystych włosów, które nadal wyglądały jak żywe. I nagle gorące łzy popłynęły jej z oczu, ściekając powoli po policzkach.

Ciotka Estella, dowiedziawszy się po powrocie do szpitala, że Mimi nie żyje, zrobiła Joletcie awanturę na korytarzu. Zarzuciła jej, że wyprawiała ją ze szpitala pod pierwszym lepszym pretekstem, by zostać z Mimi sam na sam.

Jolettę tak przepełniały żal i gniew, że nie była w stanie wykrztusić w swojej obronie ani słowa. Zapamiętała jednak ciotce niesprawiedliwe oskarżenia i na pewno długi czas minie, nim je wybaczy. Wciąż nie lubi myśleć o tamtych chwilach.

Minęła półki z książkami receptur i poszła w kierunku drzwi na tyłach mieszalni.

Chwyciła ciężką sztabę, na którą zamknięte było wyjście na tylny dziedziniec.

Ze sztabą w ręku zawahała się na moment, przypomniał jej się bowiem męczyzna na chodniku. Dziedziniec na tyłach, a właściwie ogród, otoczony był ze wszystkich stron murem, ale prowadziły nań jeszcze dwa przejścia. Jedno przez zamykaną na klucz furtkę w żelaznej kratce, która przegradzała porte cochere, czyli starą bramę dla pojazdów, wychodzącą na

ulicę, a drugie - przez małe drewniane drzwi w murze dzielącym od sąsiedniej posesji.

Joletta potrząsnęła głową, podniosła sztabę i wyszła na zewnątrz. Od lat nikt nie korzystał ani z bramy, ani z tych drugich drzwi. Mimi lubiła, żeby wszyscy wchodzili frontowym wejściem, miała wtedy na każdym oko. Prawdopodobnie są zamknięte na amen, a nawet jeśli nie, to i tak nikt, kto nie jest dobrze obeznany z okolicą, nie domyśli się, że można się tamtędy dostać.

Joletta wyszła i pod osłoną tylnych podcieni przedostała się do krętych schodów wiodących na galerię, z której wchodziło się do pomieszczeń na górze. Pogładziła ręką wyszlizganą gałkę mahoniowego słupka u podnóża schodów i zaczęła się wspinać.

Spoglądając z góry na ogród pomyślała o Violet Fossier, założycielce perfumerii.

Violet urządziła sklep na parterze kamieniczki, którą otrzymała w prezencie od męża.

Dom ten znajdował się przy jednej z głównych ulic Dzielnicy. Projekt zamówiono u Jamesa

Galliera cieszącego się podówczas sławą najbardziej wziętego architekta lizyjskich

plantatorów. Pomieszczenia były przestronne, jasne, zdobne sztukateriami. Całe

umeblowanie, marmurowe kominki, dzieła sztuki, lustra i drogie zasłony z jedwabnymi

frędzlami, srebra, kryształy i porcelana, wszystko to pochodziło z Europy, z wielkiej podróży

Violet i Gilberta Fossierów, swego rodzaju podróży poślubnej, która trwała dwa lata. Właśnie

w trakcie tej podróży Violet uległa urokowi perfum, które odtąd stały się pasją jej życia. I

stamtąd przywiozła recepturę tej szczególnej kompozycji zapachowej, której nadała nazwę Le

Jardin de Cour.

Perfumy te, jak zwykła opowiadać ochoczo Mimi klientom, wzięły swoją nazwę

właśnie od ogrodu na tyłach sklepu.

W przeciwieństwie do domu, który został zbudowany i wyposażony przez jej męża,

ogród za domem był w całości dziełem Violet Fossier. Dla Joletty było to najcudowniejsze,

najmilsze miejsce w Nowym Orleanie. Wysokie mury otynkowane na kremowo i romańskie łuki arkad tylnych podcieni harmonizowały z geometrycznymi, utrzymanymi w stylu francuskim klombami kwiatów i ziół. Wszystko tu, i alejki obsadzone bukszpanowymi Śywopłotami, zbiegające się gwiazdźście przy fontannie, i cienista pergola obrośnięta wiekową winoroślą, przywodziło na myśl tę dawną podróŜ do Europy. Wszystkie rośliny wybrane ongiś przez Violet cudownie pachniały: wonne pnące róŜe i glicynie na murach, ogromna stara oliwka i kępy jaśminu rosnące w rogach, petunie, tytoń i wczesnowiosenne lilie, Słodki aromat kwiatów, a takŜe światło gazowych latarni, pozostawiające w rozmaitych sekretnych zakamarkach pełgające cienie, stwarzały nastrój uwodzicielskiej zmysłowości. Jolettę od dzieciństwa fascynowała postać Violet, ciekawiło ją, jaka była, co sobie myślała tworząc ten ogród, co ją skłoniło do załoŜenia firmy, która na zapleczu miała taki wonny raj. Będąc historykiem z wykształcenia Joletta szczególnie interesowała się epoką wiktoriańską, i to nie tylko brzemieniami w skutki wydarzeniami historycznymi, lecz takŜe surowymi obyczajami tamtego okresu. Tryb Śycia Violet wydawał się Joletcie niezwykły jak na owe czasy - przecieŜ środowisko kreolskie z Vieux Carre, wywodzące się z hiszpańskiej i francuskiej arystokracji, musiało uwaŜać paranie się handlem za zajęcie hańbiące nawet dla męŜczyzny, a cóŜ dopiero dla kobiety!

Joletta wielokrotnie wypytywała o to Mimi, a babcia zawsze obiecywała, Śe opowie jej całą historię, gdy nadejdzie odpowiedni moment. JednakŜe taki moment jakoś nie nadszedł - ani na historię, ani na przekazanie receptury.

Jakieś cienie poruszyły się w najdalszym zakątku ogrodu. Przez plusk fontanny słychać było jakby szepty to pewnie nocny wiatr targa gałęziami, uderzając nimi o mur. A moŜe to duchy kochanków z przeszłości prowadzą rozmowę w zaroślach?

W samotności i po ciemku Joletta poczuła się trochę nieswojo, trzeba było poczekać

do rana, pomyślała. Ale i jutro będzie tu pusto - sklep zamknięty z powodu pogrzebu, a potem przyjdzie weekend.

Dzwonek u drzwi nie rozzwoni się wesoło, nie rozniesie się woń sporządzanych perfum, nie rozlegnie się śmiech ani dobroduszne wymówki Mimi, w kuchni na górze nic nie będzie się dusić w rumianym sosie i pachnieć smakowicie cebulą, selerem i czosnkiem.

Pomyśleć, że to wszystko już nigdy nie wróci!

Joletta wcale nie miała ochoty wkraczać w pustkę pokoi na piętrze. Miała poczucie, że stanowi to wtargnięcie w prywatność Mimi. Ba! Ale cóż to ma za znaczenie? Inni już tu byli przed nią, szperali w książkach i papierach Mimi, myszkowali po szafach i szufladach. Jej poszukiwania nic tu już nie zmienią. Wąską galerią dotarła do drzwi wejściowych i otworzyła je własnym kluczem.

Zapaliła światło w salonie, ale nie zatrzymała się wśród eleganckich, połyskujących mebli z drzewa różanego i marmuru ze złoceniami. Zgrabnie wyminęła kwadratowy stół, nad którym nisko zwisał antyczny Syrandol, i poszła do przyległej sypialni.

Wyglądało tam jak w muzeum, pośrodku stało łóżko w stylu Ludwika XIV, obok toaletka z tej samej epoki, w oknach wisiały spłowiałe zasłony z jedwabnej różowej satyny i pośółkłe koronkowe firany. Kominek z karraryjskiego marmuru miał ozdobny żeliwny ruszt.

Pod jedną ze ścian stała wysoka rzeźbiona sekretera ze złoceniami - w jej dolnej części znajdowały się szuflady rozmaitej wielkości, a górną tworzył szereg wąskich przegródek ukrytych za dwójgiem drzwiczek, ozdobionych scenkami rodzajowymi w stylu Bouchera, z zakochanymi pastuszkami, pasterkami i fruującymi dookoła cherubinkami.

Mimi nazywała tę sekreterę swoim „kufrem wspomnień”. Przechowywała tam rzeczy, do których miała szczególny sentyment: muszelkę znaną w Biloxi, kiedy pojechała tam po raz pierwszy jako dziecko; wachlarze i lusterka - karnawałowe podarunki od kawalerów,

którzy zapraszali ją na tańce, gdy była panną na wydaniu; czerwone szklane guziki od sukni, którą miała na sobie tego wieczora, gdy jej przyszły mąż poprosił ją o rękę; zasuszony i rozpadający się już goździk z jego pogrzebowego wieńca oraz wiele innych podobnych skarbów. Gdzieś wśród nich na pewno znajdzie to, czego szuka.

Znalazła go w trzeciej przegródce, wciśnięty za niemowlęce ubranko od chrztu. Był starannie zapakowany w małą paczuszkę, związaną wystrzępioną czarną tasiemką, z miniaturowym portretem na wierzchu w ramce tak cięskiej, że musiała być z litego srebra. To, co Mimi nazwała „dziennikiem”, było opasłym notesem oprawnym w brunatny aksamit, z mosiężnymi, zaśnieżonymi okuciami na rogach. Prawdziwy wiktoriański diariusz z podróży, o grubych kartach z czerpanego papieru, stronicach gęsto zapisanych ozdobną, staroświecką kaligrafią, z licznymi szkicami piórkiem, przedstawiającymi delikatne kwiaty, postacie, pejzaże. Joletta widziała go już raz, dawno temu. Stała teraz z rozpakowanym zawiniątkiem w rękach, pieszcząc palcami mosiężne narożniki, i przyglądała się miniaturze. Olejne farby zachowały delikatne kolory, żywe, a przejrzyste - jakby dopiero co nałożone pędzlem. Portret przedstawiał młodą kobietę. Uśmiechała się ledwo dostrzegalnie, szeroko rozstawione piwne oczy patrzyły ze skromnością, lecz badawczo; czujnie, ale z wrażliwością. Brwi miała wygięte w lekki łuk, rzęsy długie i gęste. Nos był lekko zadarty, usta pełne, koralowej barwy. Miękkie kasztanowe włosy upięte były z tyłu w ciasny kok, spod którego wymykały się kosmyki, okalając wdzięcznie twarz. Z uszu zwisały kolczyki z granatów i perełek, stanowiące komplet z broszą spinającą koronkowy kołnierz. Nie była klasyczną piękną, ale miała w sobie coś intrygującego, coś, co sprawiało, że trudno było od niej oderwać oczy. Malarz przedstawił portretowaną kobietę sumiennie i wiernie, i nie bez talentu. Zdawało się, że za chwilę szeroko się uśmiechnie albo przekrzywi głowę i odpowie na jakieś pytanie, którego echo przebrzmiało dziesiątki lat temu.

Violet Fossier.

Joletta pamiętała dzień, gdy po raz pierwszy ujrzała i tę miniaturę, i ten dziennik.

Mimi leżała właśnie w łóżku z powodu przeziębienia. Joletta, wtedy trzynasto - czy czternastoletnia, próbowała się nią opiekować. Mimi, która zawsze potępiała beczynność, nie miała zamiaru bezużytecznie leżeć i drzemać albo czytać. Kazała przynieść sobie z sekretery robótkę. Joletta, szperając w poszukiwaniu włóczki, jeden za drugim wyjmowała skarby Mimi, która o każdym coś jej opowiadała.

- Podaj mi to, ma chere - zarządziła babka, gdy Joletta wyciągnęła dziennik.

Okuty mosiądzem wolumin był cięski, ozdobny zameczek z małym kluczykiem przywiązany czarną tasiemką wzbudzał zaciekawienie. Mimi wzięła notatnik ostrożnie, troskliwie przyglądała wytarte miejsca na aksamicie. Ulegając usilnym prośbom Joletty otworzyła zamek i podniosła okładkę, odsłaniając pośółkłe karty wypełnione piękną kaligrafią i rysunkami piórkiem, gdzieś zaplamione małymi kleksami.

- To należało do twojej prapraprababki. Własnoręcznie zapisywała tu każdy dzień ze swojej dwuletniej podróży po Europie. Na tych stronicach zawarte są jej myśli i uczucia, bez osłonek; ten, kto to przeczyta, pozna ją dokładnie. To szkoda, że dzisiaj nie prowadzi się takich dzienników.

Joletta, urzeczona ozdobnym pismem i ledwo wyczuwalnym zapachem starości papieru, pochyliła głowę, by przeczytać pierwszą linię.

- Nie, nie - babka zatrzasnęła notatnik - to nie dla ciebie.

- Ale dlaczego, Mimi?!

- Jesteś jeszcze za mała ... może kiedyś, jak będziesz starsza.

- Nie jestem już mała! Jestem wystarczająco dorosła! Rozczarowanie Joletty było bezgraniczne.

Mimi przyjrzała się jej i uśmiechnęła.

- Dorosła, tak? Ale są jeszcze rzeczy, o których nie wiesz i nie powinnaś wiedzieć, póki nie dorośniesz.

Joletta zacisnęła wargi.

- Kiedy to nastąpi?

Mimi westchnęła.

- Któż to wie? Niektórzy nigdy nie dorastają. Odłóż teraz notatnik i chodź do mnie, opowiem ci coś.

Joletta posłuchała, aczkolwiek bez entuzjazmu. Babcia zaprosiła ją, by usiadła na łóżku, po czym wyciągnęła rękę, pogładziła ją po twarzy starczą, gładką dłonią i ujęła pod szpiczastą brodę.

- Nosisz imię swojej praprapraprababki Violet, wiesz?

Joletta to łacińska forma imienia Violet. Jesteś do niej bardzo podobna, choć oczywiście masz trochę bardziej złote, a włosy o ton jaśniejsze, prawdopodobnie od słońca, Violet chyba nigdy w Syciu nie wyszła na słońce bez kapelusza i parasolki. Jesteś tej samej budowy, co ona, masz taki sam nos i brwi, zwłaszcza nos. Le nez, nos do perfum, nos znawcy.

- Mam? Naprawdę? - Joletcie aż zaparło dech z podniecenia.

- Zwróciłam na to uwagę. - Mimi z wolna pokiwała głową. - Przyjdzie dzień, Śe będziesz wyglądała zupełnie jak ona.

- Ale ona jest przecież taka ładna.

- Ty tak Śe, ma chere, czy wciąż ci tego nie powtarzam? - W głosie Mimi zabrzmiała nutka przygany.

- To prawda, ale myślałam, Śe mówisz tylko tak sobie. - Joletta nie dowierzała jej słowom.

Mimi wyciągnęła rękę i pogładziła ją po głowie.

- Nie martw się, pewnego dnia sama to dostrzeżesz. I myślę, że odziedziczyłaś po Violet taki charakter. Na ogół spokojna z ciebie dziewczyna, ale „cicha woda brzegi rwie”, nosisz w sobie szalone marzenia, które pewnego dnia dadzą o sobie znać. Można cię prowadzić, rozsądnymi argumentami łatwo cię przekonać, ale nie dasz się do niczego zmusić. Ustępujesz, ustępujesz, ale kiedy dalej już nie można - odwrócisz się i będziesz walczyć, walczyć, nie oglądając się na cenę, a pewnie i bez pardonu. Czasem boję się o ciebie, moje maleństwo. Tak wiele ci trzeba do szczęścia i do spokoju ducha, łatwo cię zranić. Musisz na siebie uważać.

Joletta patrzyła na miniaturę i starała się przypomnieć sobie wszystko, co opowiedziała jej babka. Wiele uleciało z pamięci, ale to, co zostało, wystarczyło, by uważnie przyjrzała się rysom Violet Fossier.

Dlaczego Mimi nie pozwoliła jej przeczytać wtedy dziennika? Może ujawniał jakieś wstydliwe sprawy, jakąś mroczną rodzinną tajemnicę, które mogły zdeprawować niewinną panią. To pasowałoby do Mimi. Jako wychowanka szkoły przyklasztornej dotrwała do zamążpójścia w czystości i zakładała, że jej córki i wnuczki były równie cnotliwe. Bardzo to ładnie z jej strony, ale ten ideał nie bardzo w dzisiejszym świecie daje się zrealizować. Czy naprawdę jest podobna do Violet Fossier? Joletta przekrzywiła głowę i zaczęła się nad tym zastanawiać. Jest teraz mniej więcej w tym samym wieku co Violet, kiedy ją portretowano. Może i istnieje jakieś podobieństwo, ale odmienna fryzura, ubranie i wyraz twarzy nie pozwalały stwierdzić tego na pewno. Jeśli rzeczywiście istnieje to podobieństwo, to jest ono tylko powierzchowne, nigdy nie będzie tak fascynująca jak ta kobieta na miniaturze, pomyślała Joletta ze smętną rezygnacją. Jest samodzielną kobietą, ma pracę, którą lubi, własne mieszkanie i śladnego stałego mężczyzny na oku. Jedyne, co na pewno ma takie samo

jak tamta - to nos.

Stała nieruchomo, wdychała i wydychała delikatnie powietrze, badając zgromadzone w pomieszczeniu zapachy. Tak, nos to ona ma.

Od urodzenia rozróżniała nieskończoną różnorodność woni wypełniających otaczający ją świat. Na początku myślała, że wszyscy ludzie równie łatwo jak ona potrafią wyczuwać je, rejestrować, klasyfikować, czasem uparczywie podążać ich tropem. Teraz wiedziała, że jest inaczej. Niektórzy rozróżniają większość zapachów wokół siebie, ale nie wszystkie, do niektórych dociera zaledwie połowa, a są i tacy, którzy potrafią zauważyć tylko, że „ładnie pachnie” albo że „śmierdzi”.

W tym pomieszczeniu nagromadziły się zapachy kurzu i zastarzałego dymu węglowego, politory, wosku do podłóg, zmieszane z cierpką drażniącą wonią starego jedwabiu, skóry, wełny i bawełny, bijącą od skarbów z szuflad. Wszystko to przesłaniały jednakże niezliczone zapachy dochodzące ze sklepu i pracowni z dołu, unoszące się w nieruchomym, wilgotnym powietrzu.

Najmocniejszy był zapach olejku różanego, wonności ulubionej od najdawniejszych czasów, do dziś chyba najpopularniejszego składnika perfum. Była to jedna z pierwszych substancji, jaką Mimi pozwoliła Joletcie nalać własnoręcznie z ozdobnego flakonu, przytrzymując jej ręce, by nie drżały. Wtedy, wiele lat temu, rozlaną kropelkę Mimi wytarła szmatką, którą wsunęła Joletcie do kieszeni. „Niech ci przyniesie szczęście - powiedziała - i miłość”.

Lawenda, konwalia, cynamon to z kolei aromaty potpourri, co rano świeżo przygotowywanego w sklepie. Matka Joletty chętnie używała go we własnym domu i z nią właśnie kojarzyła się Joletcie ta czysta, trochę staromodna słodycz.

Woń korzenia kosaćca w mieszance z aromatem owoców stanowiła niemiłe

przypomnienie ciotki Estelli. Starsza pani miała zwyczaj polewać się bez umiaru najnowszymi i najbardziej reklamowanymi gatunkami perfum, więc ostatnio rozsiewała wokół siebie zapach jakiejś wymyślnej kompozycji, przypominającej sztucznie aromatyzowany napój winogronowy.

Mieszanka esencji pomarańczowej i innych cytrusów wywołała u Joletty wspomnienie jej sypialni w akademiku. Właśnie taką kompozycją odświeżała zatęchłe powietrze przeniknięte wonią starej farby i przepoconych skarpetek. Cytrusowy zapach orzeźwiał i zdawał się jej wtedy nowoczesny, a poza tym kojarzył się z wonią ślubnego bukietu z kwiatu pomarańczy. Zupełnie straciła do niego upodobanie po zerwaniu zaręczyn. Subtelny podkład woni piśma przywołał wspomnienie zimowego dnia, kiedy z kuzynką Natalią zrzuciły z półki całą butelkę tej esencji na kamienną posadzkę mieszalni. Natalia winą obarczyła Jolettę. Wprawdzie to rzeczywiście Joletta strąciła butelkę, ale została popchnięta przez Natalię. Joletta musiała potem sama pozbierać zbite szkło i wytrzeć do sucha mdlący płyn. Zapach, w nadmiernym stęśeniu trudny do zniesienia, wniknął w jej skórę i włosy, tkwił uporczywie w nosie i nie dał się usunąć przez wiele dni. Co gorsza, Mimi potem przez długie miesiące obawiała się powierzać jej bardziej odpowiedzialne zadania w pracowni.

Joletta próbowała wtedy wytłumaczyć, jak to się stało, ale Natalia nie dawała jej dojść do słowa i wybuchała płaczem przy każdej próbie oskarżenia, więc w końcu dała spokój. Przez lata przyzwyczała się ustępować starszej kuzynce. Nadal podziwiała jej bezpośredniość w sposobie bycia, śmiałość w doborze ubrań i biżuterii oraz upór w robieniu wszystkiego po swojemu. Joletta wiedziała o sobie, że tak ma swój własny, skromny styl, że z tych kilku sztuk odzieży, które posiada - a są one w najlepszym gatunku i w spokojnych kolorach - może, uzupełniając je tylko atrakcyjnymi dodatkami i paroma drobiazgami ze swojej starej

biŜuterii, zestawiać prawie nieograniczoną ilość eleganckich kreacji. Mimo to, gdy ostatnio Natalia zabłysnęła znów ciuchami od Saksa i Neimana - Marcusa, odezwało się w niej poczucie niŜszosci, zdało się jej, Őe jest ubrana brzydko i niegustownie.

Woń goździków kojarzyła jej się z Timothyem - woda po goleniu, której uŜywał, miała mocną goździkową nutę. Timothy gustował w zdecydowanych zapachach, ku zdziwieniu Joletty, która spodziewałaby się po nim raczej lekkich, sportowych kompozycji. NaleŜał przecieŜ do tych pełnych niewymuszonego uroku młodzieńców na luzie, co to spędzają długie letnie urlopy nad wodą albo uprawiają niebezpieczne sporty w rodzaju lotniarstwa czy spływów górskimi potokami. Jako jedyny wnuk Mimi, jedyne dziecko płci męskiej w najbliŜszej rodzinie od co najmniej dwóch pokoleń, był rozpieszczany, ale chyba juŜ z tego wyrósł.

Powietrze przepełniały jeszcze dziesiątki innych zapachów. Z róŜanym walczył o lepsze olejek wetiwerowy. Jego trochę leśny, nieco podobny do eukaliptusowego zapach wykorzystywano w pracowni do wielu kompozycji. Wetiweria - roślina sprowadzona do Nowego Orleanu w czasach kolonizacji francuskiej pochodziła z Indii i uprawiano ją w miejsce lawendy, która w tropikalnym klimacie nie chciała rosnąć. Obecnie lawendę moŜna było importować bez trudu, lecz nowoorleańczycy pozostali wierni wetiwerii.

Tak, nos to ona ma. Ale co z tego?

Joletta rozwiązała tasiemkę, którą związany był diariusz. Otworzyła zameczek i zaczęła przerzucać poŜólkę karty w poszukiwaniu jakichś liczb i wzorów, które mogły stanowić recepturę.

Nie znalazłszy nic, zawiedziona, zacisnęła usta. Po chwili odetchnęła głęboko. Jasne, przecieŜ to nie moŜe być takie łatwe. NaleŜało to przewidzieć. Trzeba będzie przestudiować dziennik słowo po słowie.

To zajmie dużo czasu, teraz jest zbyt późno. Musi zabrać dziennik do domu, zrobić kserokopię, żeby się nie zniszczył, a potem zająć się nim dokładnie. A jeśli przesłyszała się albo źle zinterpretowała słowa Mimi? Szansa, że się uda, jest w każdym razie niewielka.

Joletta wsunęła dziennik do torebki, po czym wyszła, pogasiwszy za sobą światła.

Wiosenny wiatr podrywał z chodnika śmieci i od jeziora Pontchartrain wionął chłodnym zapachem deszczu. Joletta poprawiła pasek torebki na watowanym ramieniu sakietu, wcisnęła ręce w kieszenie i ruszyła swawo w stronę parkingu, gdzie zostawiła samochód.

Ulice o tej późnej godzinie prawie już opustoszały.

Po drugiej stronie szła czule objęta para zakochanych. Z sąsiedniej ulicy dochodził stukot końskich kopyt - to dorośka wioząca turystów. Parę kroków dalej Joletta minęła grupkę hałaśliwych studentów, pijanych piwem, swobodą i młodością. W oddali zanosła się szlochem jazzowa trąbka.

Nowy Orlean szykował się do nocnego spoczynku, wieczór miał się ku końcowi.

Siedziała w sklepie dłuższej, niż zamierzała. Skręciła w boczną uliczkę, hałasy zostały z tyłu. Rozlegał się jedynie stukot jej obcasów o popękane płyty chodnika.

Najpierw pomyślała, że to echo. Potem zdała sobie sprawę, że stąpanie, które słyszy, jest cięższe niż jej własne; przez moment miała nadzieję, że ten ktoś zaraz skręci w jakąś bramę albo zostanie w tyle, gdy ona przyspieszy kroku.

Nic z tego. Kroki podążały za nią, miarowe, nieprzypadkowe; dostosowywały się ściśle do jej tempa. To mogło oznaczać tylko jedno.

Już prawie zapomniała o mężczyźnie, który ją śledził wcześniej. Poszedł sobie przecieś. Poza tym prawie udało jej się przekonać samą siebie, że to było urojenie.

Najwidoczniej jednak nie było.

Poczuła, że zasycha jej w gardle. Prawie biegła teraz, na domiar złego zaczęła dokuczać jej kolka. Wyrzucała sobie, że zlekceważyła powagę sytuacji; przychodziły jej do głowy dziesiątki rzeczy, które powinna była zrobić, od wezwania policji, do pozostania na noc w mieszkaniu Mimi. Teraz nic jej z tego nie przyjdzie.

Były dwie możliwości: albo ten człowiek chce pieniędzy, albo to jakiś zboczeniec, który napada na samotne kobiety. Pomyślała, czy nie rzucić torebki i nie uciec, w nadziei, że to go zadowoli. Albo też, czy nie zamachnąć się porządnie, a wtedy obciążona dziennikiem torebka może się okazać skuteczną bronią.

Nie zwalniając tempa obejrzała się za siebie. Kroki umilkły. Dostrzegła sylwetkę mężczyzny kryjącego się w podcieniach, zajmujących część chodnika, ale nie była pewna, czy to ten sam, którego widziała wcześniej.

Spojrzała przed siebie i jeszcze przyspieszyła. Kroki z tyłu rozległy się znowu. Ich odgłos zdawał się rozchodzić głośnym echem, wzmacniać i cichnąć w jakimś dziwnym, nieregularnym rytmie. A może to dudnienie tętna w uszach wywołuje takie wrażenie. Tyle czytała o konieczności nauki samoobrony, tyle razy postanawiała pójść na jakiś kurs albo kupić jakąś broń i nosić ją w torebce. Wszystko pozostało jednak w sferze projektów.

Ma jeszcze do przejścia dwie przecznice. Na parkingu będzie ciemno, a dozorca albo śmieczy się, albo wcale go nie ma. Jeśli jej się w ogóle uda tam dotrzeć.

Opuściła głowę i ruszyła biegiem. Długo tak nie wytrzyma. Kroki za nią stały się szybsze.

- Kochanie! Jesteś nareszcie!

Głos, ciepły i wybitnie męski, pełen z troskaniem, rozległ się gdzieś z przodu.

Zaskoczona, podniosła wzrok. Dostrzegła ciemne włosy i oczy, patrzące prosząco, choć

śmiało. Jej l}os uchwycił wieczorną rzeŝkoŝć, zapach krochmalu i sandałową nutę jakiejŝ doskonałej wody[koloŝskiej. Nagle męŝczyzna chwycił ją gwałtownie w/swoje mocne ramiona, objął i przytulił.

- Za panią idzie facet. Zdaje się, Ŝe ma nóŜ w rękę szeptał poŝpiesznie, z tłumionym napięciem. - Chciałbym się okazać bohaterem i rozkwasić mu gębę, ale nie dam głowy, czy nie ma w pobliŝu jego koleŝiów. Niech pani udaje, Ŝe się znamy, moŜe się uda go przepłoszyć.

Nerwy miała zbyt rozdygotane, Ŝeby zastanawiać się wnikliwie nad sensem jego słów.

Wiedziała, Ŝe coŝ tu nie jest w porządku, Ŝe tak nie moŝna, czuła mrowienie i gęŝiå skórkę na całym ciele. Nabrała powietrza, by krzyknåć.

I w tym momencie męŝczyzna objął ją mocniej, a jego wargi przylgnęły do jej rozchylonych ust.

ROZDZIAŁ II

Pocałunek był namiętny i pełen słodocy, nie mogła mu się oprzeć. Goråca krew uderzyła Joletcie do głowy, Ŝyły wypełnił roztętniony Ŝar, musujåcy jak szampan. Poruszyła głowå, chcåc zaprotestować, ale cichy jęk uwiåzł jej w gardle.

W chwilę póŝniej męŝczyzna podniósł głowę. Stał nieruchomo, wciåŝ trzymajåc ją w ramionach. Joletta zobaczyła jego uwaŝnie patrzące oczy, ciemnoniebieskie w ŝwietle ulicznych latarni, i twarz, na ktorej malowało się rozbawienie i niedowierzanie przesłonięte ŝwiadomoŝciå nieuchronnoŝci przeznaczenia.

Dawno nikt jej nie całował, moŜe zbyt dawno. Przez jej ciało przebiegł dreszcz, za gardło chwycił bolesny skurcz. Oszołomiona szybkim następstwem zdarzeń, stała bez ruchu, opierajåc delikatnie dłoń na okrytej marynarkå muskularnej klatce piersiowej nieznanomego. Męŝczyzna odetchnåł gwałtownie i, wyraŝnie wbrew najszczerzszym chęciom, puŝcił

ją i odsunął się o krok. Popatrzył w głąb ulicy.

- Przepraszam panią - roześmiał się nerwowo - po prostu pomyślałem, że będę bardziej przekonujący w roli obrońcy, jeśli napastnik uwierzy, że jestem w to zaangażowany osobiście. Chyba się udało.

Joletta obejrzała się przez ramię. Wokół nie było żywego ducha. Z trudem wykrztusiła:

- Może to i racja, ale czy konieczny był ten ...

- Należy się w końcu jakaś nagroda.

Spojrzała na niego z ukosa. Zwracał się do niej jakby z cieniem przesady, a w jego sposobie mówienia uderzała pewna rozwlekłość. Nie miała pewności, czy było to udawane, czy nie. W przyćmionym świetle jego ciemna czupryna połyskiwała brązowo. Rysy miał wyraziste i regularne, prosty nos i kwadratową, choć odrobinę cofniętą szczękę. Wygięte ku górze kąciki ust znamionowały skłonność do uśmiechu, a z oczu biła inteligencja. Granatowa marynarka okrywała szerokie barki. Wzrostu był więcej niż średniego; maniery miał dość swobodne, choć bez cienia arogancji.

- A tak bez nagrody to już nic? - odezwała się po chwili Joletta.

- Rycerskość wobec dam nie jest już dzisiaj w cenie. Wiem, powinno się ją uprawiać bezinteresownie, ale cóż poradzę, że wolę mieć z tego coś dla siebie?

Jego akcent wzbudzał zaciekawienie.

- Skąd pan pochodzi?

- Z Wirginii. Czy to źle?

- Nie - odparła i poprawiając torbę na ramieniu, dorzuciła: - Ale skąd!

- Dokąd pani szła? Odprowadzę panią, nawet jeśli pani nie zechce.

Nie miała ochoty go zachęcać, nie darzyła zaufaniem świeżo poznanych mężczyzn,

nawet w biały dzień, nie mówiąc już o kimś napotkanym ciemną nocą w Dzielnicy

Francuskiej. Ścisnęła w rękę pęk kluczy, który miała w kieszeni.

- Dziękuję, ale nie musi pan w swojej rycerskości posuwać się tak daleko.

- Stara niania, która uczyła mnie dobrych manier, powiedziałaaby, że powinienem. -

Wciąż nie ruszał się z miejsca i nie zdradzał zamiaru odejścia.

- Ale jej tu nie ma - odparła spokojnie. - A ja w ogóle pana nie znam. Nawet nie wiem, czy nie jest pan w zмовie z tym domniemanym nośownikiem.

- Cóż za ostrośność. Przecież nic pani nie zrobiłem ... no, prawie nic. Niech pani będzie rozsądna. Proszę pozwolić odprowadzić się do samochodu.

- Doceniam pańską troskę, ale na pewno teraz już sama sobie poradzę.

Ominęła go i zaczęła oddalać się w kierunku parkingu.

- Może i tak - powiedział odwracając się i podchodząc do niej. - Ale czy to konieczne?

Rzuciła mu przelotne spojrzenie.

- Naprawdę nie trzeba.

- A ja myślę, że przeciwnie.

Parking - mały placzyk otoczony wysokimi budynkami - wyglądał jak ciemna studnia.

Obecność silnego mężczyzny obok nie była właściwie niepośądana i nie było sensu dłużej udawać, że jest inaczej. Ponieważ zanosilo się na to, że i tak się go nie pozbedzie, milczeniem wyraziła niechętną zgodę na towarzysztwo.

Po chwili jednak wpojone jej przez Mimi maniery wzięły górę. Milczenie, które początkowo wydawało jej się usprawiedliwioną rezerwą, po chwili zaczęło wyglądać na niewdzięczność i dąsy. Rzuciła okiem na towarzysza, na jego ciemny garnitur z doskonale dobranym krawatem w prążki. Wygląda, pomyślała sobie, na jakiegoś dyrektora, który właśnie zakończył rundę poważnych negocjacji. Dla rozładowania atmosfery rzuciła:

- Przyjechał pan w interesach?

- Można tak powiedzieć.

- Pierwszy raz w Nowym Orleanie?

- Bywam tu od czasu do czasu.

- Jakiś zjazd? - Nowy Orlean był ulubionym miejscem organizowania rozmaitych konferencji.

- Tym razem nie.

Odpowiadał raczej enigmatycznie, więc Joletta przestała go wypytywać. Czy to ważne, co go sprowadziło do miasta, i tak nigdy już nie ujrzy go na oczy. Mimo to zdawkowość odpowiedzi niemile ją rozczarowała, do tego stopnia, że aż to ją zdziwiło. Z trudem stłumiła przykre ukłucie w sercu. Nie trzeba jej teraz żadnych komplikacji.

- Nie musi pani tak pędzić - powiedział spokojnie. - Nie rzucę się na panią znowu.

Zwolniła nieco tempo.

- Wcale nie pędzę.

- Oczywiście. - Ironia podszyta była wesołością.

Zatrzymała się i spojrzała mu w twarz.

- Wystarczy już. Jestem wdzięczna, że zjawił się pan w odpowiednim momencie, nie wiem, co by się stało, gdyby nie pan. Nie mam panu za złe nawet tego pocałunku. - Czyżby? - spytał z łagodnym powątpiewaniem.

- Nie mam - potwierdziła stanowczo, może nawet zbyt stanowczo. - Tak czy owak, samochód jest tu - tu, dam sobie radę.

Popatrzył na nią badawczo.

- Czyli „Segnaj”, tak? A co, jeśli ten gość z nosem czyha gdzieś w pobliżu?

- Nie sądzę. - Spłoszone spojrzenie przez ramię zadało kłam pewności w głosie.

- No dobrze - stwierdził sucho, ale ciągnął dalej: Ja też mam tu samochód. To jedyny strzeżony parking w okolicy. Odwiozę panią do domu, wtedy będę miał pewność, że nic już pani nie grozi.

Pokiwała głową z rozbawieniem.

- Pan jest niemożliwy. Nawet nie wiem, jak się pan nazywa ...

- Tyrone Kingsley Stuart Adamson IV, do usług. Jeśli to dla pani za długie, proszę nazywać mnie Rone. A jak ja mam się do pani zwracać, pominiawszy „kochanie” i „proszę pani”?

- Wcale! Niech pan posłucha ...

- Nie, to pani niech posłucha - w jego głosie brzmiała stanowczość. - Nie zostawię pani tu samej w nocy. Skoro nie pozwala się pani odwieźć, pojedę za panią. Niezależnie od tego, czy ma pani na to ochotę, czy nie.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę i dostrzegła stanowczość w jego oczach i wyrazie twarzy. - Dlaczego? Skąd ta troska?

- Mam to we krwi, wyssałem z mlekiem matki, a raczej wpoila mi to czarna niania, która dbała o takie rzeczy. Mam taki zwyczaj otwierać drzwi przed kobietami i ustępować im miejsca. Nic na to nie poradzę.

Ta odpowiedź nie do końca ją zadowoliła, jednak nie widziała podstaw, żeby ją kwestionować. Mimi także przywiązywała wielką wagę do manier i zobowiązań moralnych. Jolenta zacisnęła usta, ale więcej nie protestowała, a on odprowadził ją na parking, gdzie stał jej ford mustang.

Męszczyzna o imieniu Rone wziął od niej kluczyki i otworzył drzwiczki, zajrzał na tylne siedzenia, sprawdzając, czy nikogo tam nie ma, po czym kurtuazyjnym gestem zaprosił ją do środka.

Joletta nie chciała pozostać dłużna w uprzejmościach.

Wyciągnęła rękę i powiedziała:

- Dziękuję za ratunek. Jestem panu bardzo wdzięczna.

- Mimo wszystko? To wspaniałomyślne z pani strony. - Uśmiechnął się do niej.

- Naprawdę ... - zaczęła.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- A więc dobranoc.

Cofnął się, żeby mogła wsiąść do wozu. Sadowiąc się za kierownicą, widziała, jak odchodzi w stronę srebrzystego buicka, z nalepką firmy wynajmu samochodów na tylnym zderzaku.

Trochę ją niepokoiły reflektory jego wozu w lusterku przez całą drogę, myślała, że zupełnie obcy człowiek dowie się, gdzie mieszka.

Niepotrzebnie się martwiła. Kiedy skręciła w stronę swojego osiedla mieszkaniowego, Rone Adamson błysnął światłami drogowymi i pojechał dalej bez zatrzymania. Nie mogłoby być lepiej.

Ale jednak odwróciła głowę i odprowadziła wzrokiem czerwone światła pozycyjne, póki nie znikły w dali. Rozluźniła dłonie zaciśnięte na kierownicy i sięgnęła ręką do swych warg. Były dziwnie wrażliwe, jakby rozognione.

Minęło pół roku, odkąd ostatni raz pozwoliła się tak zbliżyć mężczyźnie do siebie. Pół roku, jak Charles, jej narzeczony, pocałował ją na pożegnanie.

Znali się od bardzo dawna. Charles, krępy blondyn, był jej kolegą od dziecka, przyjacielem, bratem, jedynym chłopakiem, z którym chodziła w szkole średniej. Intymna bliskość między nimi zrodziła się w sposób naturalny, zaczęła się od przelotnych całusów na do widzenia, by w jakieś dwa lata później, po oficjalnych zaręczynach, osiągnąć pełnię w

namiocie nad brzegiem Missisipi. Kiedy rozpoczęli studia, Charles chciał, żeby wynajęli wspólne mieszkanie poza uczelnianym kampusem, lecz Joletta odmówiła. Mimi by tego nie pochwałała. Ale i tak każdą wolną chwilę spędzali razem. Razem chodzili do lekarza w sprawie metody antykoncepcji, razem w najdrobniejszych szczegółach planowali przyszły dom, rodzinne święta, uroczystości weselne. Zupełnie jak papużki nierozłączki. Joletta kupiła sobie suknię ślubną obszywaną perłami i opalizującymi cekinami. Drużny miały być ubrane na niebiesko, by ich strój harmonizował z kolorem witraży w kościele przy ulicy Rzecznej, gdzie miała się odbyć uroczystość.

Ale jakoś tak się składało, że nigdy nie ustalili daty ślubu. Najpierw, tego lata, gdy oboje dostali dyplomy, rodzice Charlesa zapragnęli zabrać go na safari do Afryki. Potem, po długiej chorobie, zmarł jego dziadek i Charles nie chciał zakłócać okresu żałoby. Jeszcze później zaproponował, żeby najpierw zebrali dość pieniędzy, by opłacić pierwszą ratę za dom, a może i miesiąc miodowy na Karaibach. Właściwie, to po co się spieszyć? Mają przecież całe życie przed sobą.

Joletta zaczęła się w końcu orientować, że jej życie znalazło się w zawieszaniu, ale argumenty Charlesa brzmiały tak przekonująco, tak racjonalnie, że sumiennie odkładała pieniądze i nadal mieszkała u Mimi.

Potem okazało się, że za pieniądze odłożone na dom Charles kupił sobie sportowy kabriolet marki „Mazda Miata” we wściekle niebieskim kolorze.

Joletta obeszła dookoła stojące przed perfumerią auto. Poczowała cięśnięcie na sercu.

Spojrzała na Charlesa, który stał podparty pod boki i uśmiechał się z dumą. Głos jej się załamywał, kiedy wreszcie się odezwała:

- Naprawdę ... naprawdę to ty nie chcesz się ożenić, prawda?

- O co ci chodzi? - Cofnął się o krok.

- Masz kogoś? Powiedz wreszcie.

- Nikogo, przysięgam. - Protest w jego głosie zabrzmiał wysoką nutą. - Co ci jest?

- Po prostu staram się zrozumieć, dlaczego naszą przyszłość zamieniłeś na samochód.

Zmarszczył czoło.

- To moje pieniądze, zapracowane w pocie czoła. Mogę kupić sobie za nie, co mi się podoba.

- Ale mówiłeś ...

- Wiem, co mówiłem, ale na Boga, weźmiemy ślub już na zawsze, a ja mam poczucie, że nigdy nie cieszyłem się wolnością.

- Chcesz powiedzieć, że nie mogłeś spotykać się z innymi dziewczynami? -

Zauważyła, że ogląda się za spódniczkami, ale myślała, że to taka słabość, z której się wyrasta.

- A bo co? - odparł wojowniczo. - Może i ty powinnaś poznać innych mężczyzn. Może straciłabyś dla któregoś głowę, przecież ja nie rozpalałem cię do szaleństwa.

- Jakoś się nie uskarżałam. - Nie podnosiła głosu.

- A może trzeba było, może to by pomogło. Bo tak jak jest ... - wzruszył ramionami.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Nie wiedziałam, że tak to odbierasz.

- No to teraz już wiesz.

Minęła dłuższa chwila, nim udało jej się wydobyć głos ze ściśniętego gardła.

- Więc dobrze, ja też nie chcę brać ślubu z kimś, komu w ogóle na mnie nie zależy. -

Pośpiesznie ściągnęła z palca pierścioneł zaręczynowy. Zszedł łatwo, od początku był za

duży. Chwyliła jego rękę, pacnęła pierścionkiem w otwartą dłoń i zacisnęła ją. - Zabieraj to. I

nie chcę cię widzieć na oczy. Już.

Przez dłuższą chwilę stał oniemiały, wpatrując się w pierścionek. Nagle odwrócił się na pięcie i wskoczył do samochodu. Mazda zostawiła po sobie długie czarne smugi na asfalcie i swąd palonej gumy.

Gwałtowny koniec wspólnych zamierzeń okazał się dla Joletty bolesnym ciosem.

Przez lata byli przecieŜ prawie zrośnięci ze sobą, poczucie straty było trudne do zniesienia.

Rozpamiętywała bez końca jego słowa, czuła się poniŜona i upokorzona.

Mimi ją uleczyła. Mimi i czas. Lecz nawet Mimi nie była w stanie przekonać jej, Ŝe nie wszyscy męŜczyźni sã tacy jak Charles. Większość tych, z którymi miała do czynienia, przypominała go do złudzenia - mieli w głowie tylko łoŜko, jakby to był jakiś test na przyszłość. Joletta nie chciała być sprawdzana i nie wierzyła w przyszłość, którą trzeba najpierw wypróbować. W związku z tym kończyło się na ogół na pierwszej randce, a z czasem i do tych pierwszych dochodziło coraz rzadziej i coraz mniej chętnie.

Mimi utyskiwała, Ŝe pogrzebie się Ŝywcem w tym swoim archiwum. MoŜe i miała rację. Na przeszłości moŜna polegać. Jest niezmienna.

* * *

Rone pstryknął przełącznikiem świateł drogowych, Ŝegnając się z Jolettą Caresse, przejechał jeszcze jakieś 400 metrów, po czym skręcił w lewo i zaparkował przed nocnymi delikatesami. Popatrzył na zegarek, wysiadł i wszedł do środka. Po kilku minutach wyszedł z duŜą gorącą kawą w plastikowym kubku z przykrywką, uruchomił auto i wrócił tą samą drogą, którą przyjechał.

Podjechał pod budynek, do którego przed chwilą weszła Joletta, znalazł wolne miejsce na parkingu i wyłączył silnik i światła. Osiedle było nowe, składało się z niewielkich domów, połoŜonych wokół centralnego skwerku z sadzawką. Z miejsca, gdzie się zatrzymał, widział oświetlone okno sypialni kobiety, którą śledził. Zasłony były szczelnie zaciągnięte, ale co

chwilę przemykał po nich cień.

Zdjął wieczko z kubka i posmakował kawy. Skrzywił się i pokręcił głową. Gorzka, na pewno podgrzewano ją w dzbanku godzinami. Ale dobrze mu zrobi, jeśli nie chce zasnąć.

Wyrzucił pokrywkę do śmietniczki, odsunął do tyłu fotel, starając się usadowić jak najwygodniej. Oparł jedną dłoń na kierownicy, drugą znów podniósł kubek do ust, a wzrokiem powrócił do oświetlonego okna na piętrze.

Westchnął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Impuls, który kazał mu pocałować Jolettę Caresse, był silniejszy od niego. Co nie zmienia faktu, że popełnił idiotyzm. Wszystko jedno, opłacało się.

Pierwszy wieczór roboty i już wpadka, żeby użyć języka powieści kryminalnej. Może to i dobrze, a może źle, zależy. Istotne jest to, że nie mógł postąpić inaczej: nie mógł pozwolić, żeby ta kanalia z nosem ją tknęła. Przez parę strasznych sekund bał się, że nie zdąży. Następnym razem trzeba wzmóc czujność.

Następnym razem. O Boże.

Wcale nie był pewien, czy to, co robi, ma jakiś sens.

Przecież to zakrawa na melodramat, nawet na obłąd. A w końcu jest zupełnie inaczej.

Okropny z niego amator. Omal go nie zobaczyła przed sklepem; myślał, że ten lokal jest w dalszej części ulicy, a poza tym nie spodziewał się, że będzie taka czujna. Mógł to zrobić lepiej.

Mógł zatrudnić fachowca, żeby ją obserwował. Tak, czekanie na nią przy parkingu to był gruby błąd. Ta kanalia z nosem. Czy to na pewno był nos? Coś tam błysnęło, nie można było ryzykować, musiał wkroczyć.

Ale od razu całować? Cóż za brak profesjonalizmu.

Źle! Klasyczny przykład wykorzystania sytuacji. Powinien się wstydzić, naprawdę!

Joletta Caresse jest inna niż wszystkie - może nie piękna w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale śliczna w taki staroświecki, delikatny sposób. Uroda połączona z dumą i inteligencją, co sprawia, że człowiek chce się zbliżyć i przekonać, czy to nie miraż. Robi wrażenie kruchej istoty, ale nie poddaje się lękowi, ma wyraźnie wewnętrzną siłę. I jak cudownie pachnie, z jej włosów biła woń róży. A jaka była w dotyku! Mięka i jedwabista, smukła tam, gdzie kobieta powinna być smukła, zaokrąglona tam, gdzie trzeba. Sama myśl o niej pobudzała zmysły. Jej figura, dotyk, zapach - po prostu kobieta, o jakiej się marzy, dokładne odbicie ideału, o którym śnił całe życie.

Chyba zwariował.

Tak, Bóg musi mieć dziwaczne poczucie humoru, bez wątpienia.

Oto znalazł kobietę, jakiej szukał przez całe swoje dorosłe życie. Siedzi tutaj, na dole, i rozmarza się jak zakochany nastolatek, i parzy sobie usta kiepską kawą.

A przecież w każdej chwili ona może odkryć prawdę o nim. I wtedy jej niechęć do niego jest murowana. Nawet nienawiść.

Nie ma szans, żeby było inaczej.

ROZDZIAŁ III

Notariusz, prowadzący interesy Mimi od ponad dwudziestu lat, nobliwy siwowłosy prawnik - który konsekwentnie, odkąd Joletta pamiętała, odmawiał przyjmowania stanowisk politycznych - robił, co mógł, żeby stworzyć przyjemną atmosferę. Spotkanie w jego biurze miało na celu zaznajomienie rodziny z postanowieniami testamentu Mimi - zaprosił wszystkich do salki klubowej i poczęstował kawą. Ciocia Estella usadowiła się przy przeciwległym końcu długiego stołu, jak najdalej od Joletty, a po jej lewej i prawej ręce usiedli Natalia i Timothy. Zaśpadała, by jak najszybciej przejść do rzeczy, co też prawnik uczynił.

Testament, jak dotąd, nie zawierał żadnych niespodzianek. Zasadnicza część majątku, składająca się z domu w Dzielnicy Francuskiej, perfumerii i bankowego świadectwa depozytowego, została podzielona zgodnie z prawem spadkowym stanu Luizjana: połowa przypadła Estelli Clements jako córce Mimi, a druga - Joletcie, jako jedynej córce i spadkobierczyni drugiej córki Mimi, Margaret. Ciotka Estella wyduła usta z irytacją, ale czekała cierpliwie, póki prawnik nie skończy.

- Teraz dochodzimy - powiedział notariusz, patrząc kolejno na uczestników spotkania ze smutnym uśmiechem - do odczytania dyspozycji w sprawie rzeczy osobistych.

Rodzinne srebra przypadły Estelli, która zawsze ich pośiadała, Natalii dostała się stara biżuteria, stylowa, ale o niewielkiej wartości materialnej, Timothy otrzymał srebrny zegarek kieszonkowy i pędzel do golenia z rączką z kości słoniowej, które należały niegdyś do dziadka i pradziadka.

Notariusz odkaslnął i ciągnął pewnym, spokojnym głosem:

- Mojej ukochanej wnuczce, Joletcie Marii Caresse, zostawiam sekreterę, zwaną „kufrem wspomnień”, wraz z całą jej zawartością. W jej skład wchodzi między innymi dziennik Violet Marii Fossier, de domo Villere, pisany w latach 1854 - 1855, którym wspomniana Joletta Maria Caresse może bez ograniczeń dysponować i zrobić z niego dowolny użytek.

Prawnik odłożył odpis testamentu na biurko i rzeczowo zapytał, czy są jakieś wątpliwości.

Ciotka Estella wciągnęła z sykiem powietrze i poprawiła na krześle swoje opasłe ciało. Surowym głosem przemówiła:

- To znaczy, że ten pamiętnik, ten dziennik, cały czas tkwił w tej starej sekreterze matki?

- Na to wygląda - odparł notariusz. Ciotka zwróciła się do Joletty:

- Wiedziałaś o tym, prawda?

Joletta poczuła, że rumieniec wypływa jej na policzki, ale odpowiedziała od razu:

- Nie, ciociu, z początku nie wiedziałam. Domyśliłam się później.

- To oburzające! - oświadczyła ciotka Estella, zwracając się do prawnika. - Ten dziennik stanowi najcenniejszą rzecz z całego majątku. Moja matka nie mogła pozbawić mnie i moich dzieci korzyści, jakie z niego płyną.

- Testament został spisany według szczegółowych instrukcji mojej klientki - stwierdził sucho notariusz. - Musiała nie być w pełni władz umysłowych - warknęła ciotka. - Zamierzam obalić ten testament.

- Ma pani prawo, oczywiście, wnieść sprawę, pani Clements - w głosie starego prawnika pojawił się twardy ton - ale pragnę panią ostrzec, że nie widzę żadnych podstaw. Moja klientka była całkowicie świadoma konsekwencji tego, co robi, gdy formułowała swoją ostatnią wolę. Wszelkie formalności zostały dopełnione. Nie orientuję się w wartości tego dziennika ani nigdy go nie widziałem, ale sądzę, że jego wartość ma wyłącznie sentymentalny charakter.

- Nie orientował się pan w interesach mojej matki, skoro pan tak twierdzi. Ale wszystko jedno, chciałabym tylko wiedzieć, czy testament wspomina coś o recepturach perfum. Czy można je sprzedać bez przeszkód prawnych?

- Nie ma żadnych ograniczeń, pod warunkiem zgody wszystkich spadkobierców - odparł chłodno notariusz. Ponieważ pani i Joletta dziedziczyce majątek w dwóch równych częściach, wszelkie umowy sprzedaży podpisujecie obydwie i dzielcie się przychodami po połowie.

- Rozumiem - starsza dama kiwnęła głową, a że zatrząsnęły się jej obwisłe policzki.

- A ja niezupełnie - z wolna powiedziała Joletta, zwracając się do ciotki. - Chyba nie zamierza ciocia sprzedać pracowni?

Ciotka Estella obrzuciła ją twardym spojrzeniem.

- Niby czemu nie? Ale w tej chwili mówię tylko o recepturach, a zwłaszcza tej na Le Jardin de Gaur.

- Mimi nigdy by się na to nie zgodziła, ciociu.

Gdyby dowiedziała się, że myśl o sprzedaży receptury w ogóle powstała cioci w głowie, byłoby jej strasznie przykro.

- Nie potrzebuję, żeby mi ktoś tłumaczył, czego chciałaby moja matka, dziękuję bardzo.

- Ale jak się sprzeda receptury, firma przestanie mieć jakąkolwiek wartość - protestowała dalej Joletta, pochylając się ku ciotce. - To nasze rodzinne dziedzictwo, ciociu, fragment historii Nowego Orleanu. Nie można tego wyrzucić na śmietnik.

Joletta zauważyła, jak za plecami ciotki Natalia robi znaczącą minę do brata. Timothy tylko pokręcił głową, chociaż w spojrzeniu, które posłał Joletcie, można było dostrzec iskierkę poparcia.

Estella Clements skarciła syna wzrokiem, po czym na powrót zajęła się Jolettą.

- Nie zamierzam niczego wyrzucać na śmietnik.

Zamierzam sprzedać i uzyskać dobrą cenę. Także w twoim interesie. Wezmę na siebie wszystkie sprawy, a ty możesz siedzieć spokojnie i tylko zgarnąć połowę pieniędzy.

- Nie do wiary, byłaby ciocia do tego zdolna? - Joletta pokręciła głową.

Na twarzy leciwej damy pojawił się wyraz nie skrywanej niechęci, a jej potężna pierś, obciążona złotymi łańcuchami i sznurami pereł, zafalowała ze wzburzenia.

- Skoro jestem przy głosie, to mam ochotę coś ci powiedzieć. Pasożytowałaś na mojej

matce przez lata, wkradłaś się w jej łaski. Ale jeśli sądzisz, że uda ci się wykiwać mnie i moje dzieci i przejąć interes, to się mylisz. Jak tylko receptura się znajdzie, zostanie sprzedana temu, kto da najwięcej, i nie masz tu nic do gadania.

Joletta była tak wstrząśnięta i przytłoczona tym wybuchem nienawiści, że zaniemówiła. Nie wiedziała, że ciotka Sywi do niej takie uczucia.

Pełną napięcia ciszę przerwał Timothy.

- Mamo, nie ma się co denerwować - wyprostował się, podciągnął chude nogi pod krzesło i odgarnął włosy nerwowym gestem. - Joletta na pewno nie chce nam niczego odbierać.

Matka skarciła go spojrzeniem.

- Jeśli będę chciała poznać twoją opinię, to zapytam cię o nią. Tymczasem chciałabym ci przypomnieć, że masz być lojalny wobec matki.

- Chciałem tylko powiedzieć, że ...

- Słyszałam - ucięła ciotka Estella. - Siedź cicho, jeśli nie masz do powiedzenia nic, co mogłoby przekonać Jolettę, że mam rację.

Rumieniec wypłynął na jasne policzki Timothy'ego.

Spojrzał przeproszająco w stronę kuzynki i nieznacznie wzruszył ramionami.

Joletta obdarzyła go nikłym uśmiechem. Zawsze była bliżej z Timothyem niż z Natalią,

był prawie jej rówieśnikiem i miał podobne usposobienie. Narażenie się matce było z jego strony aktem odwagi. Jego ojciec, zanim rozwiódł się z Estellą, często wysyłał Timothy'ego na obozy skautów i rozmaite letnie „szkoły przetrwania”, licząc na to, że się trochę usamodzielni. Timothy zawsze wracał zdrowy i opalony, ale nigdy nie przestał być maminsynkiem.

Utarczka słowna Timothy'ego z matką dała Joletcie czas na zebranie myśli. Starając

się nie podnosić głosu powiedziała:

- Wydaje mi się, że wszyscy musimy to przemyśleć.

- Tu nie ma nad czym rozmyślać. Mam trochę znajomości w branży. Sama Lara Camors jest zainteresowana, może włączyć całą maszynę marketingową swojej firmy w reklamę Le Jardin de Gaur. Chce zorganizować ogromną kampanię promocyjną, z wykorzystaniem legendy o Napoleonie, Józefinie i Kleopatrze, i wykreować Le Jardin de Gaur na perfumy kobiety sukcesu, perfumy kobiety przebojowej i wpływowej.

- Już ciocia rozmawiała, o reklamie? - Joletta nie potrafiła ukryć niesmaku.

- To było już jakiś czas temu, przed śmiercią mamy. Spotkałam Larę przypadkowo, na przyjęciu. Ta kobieta ma głowę do interesów. Zaczęła od jednego kremu na odciski, a dziś ma koncern, który robi miliardowe obroty. Nie muszę ci chyba wyjaśniać, co „Camors Cosmetics” jest w stanie zdziałać, mając tę recepturę.

Oczywiście nie warto było o tym wspominać, dopóki Mimi żyła.

- Czy ciocie nie martwi myśl, że to będzie koniec, że trzeba będzie zlikwidować firmę?

- Joletta bezradnie rozłożyła ręce.

- Nigdy mnie to nie interesowało, na pewno nie mam zamiaru spędzić reszty życia na babraniu się w perfumach. Za znak firmowy Królewskie Perfumy Fassierów i za recepturę Le Jardin de Gaur Lara zapłaci dwa miliony albo więcej. Nie dopuszczę, żeby takie pieniądze przeszły nam koło nosa.

Joletta nieraz zastanawiała się, dlaczego Mimi nie powierzyła receptury perfum swojej najstarszej córce. Teraz już wiedziała.

Estella wyjechała z Nowego Orleanu jako dwudziestolatka i podjęła pracę w Houston.

To tylko parę godzin jazdy autostradą międzystanową, ale dla lokalnych patriotów w rodzaju Mimi mogła równie dobrze wynieść się na księżyc. Wkrótce Estella wyszła za Teksanczyka,

męszczyznę zbyt wysokiego, zbyt hałaśliwego, zbyt bogatego i zbyt ostentacyjnie pewnego siebie, by Mimi mogła go zaakceptować. Mimi nie zносиła Errola Clementsa i wybaczyła córce małżeństwo z nim dopiero wówczas, gdy ta wykazała dość zdrowego rozsądku, by się z nim rozwieść.

Ale i później Estella nie wróciła do rodzinnego gniazda, mimo że Natalia i Timothy byli mali, i dzieliła swój czas między Houston oraz Wschodnie i Zachodnie Wybrzeże.

Wyrosła na ekstrawagancką snobkę, niewolniczo przywiązaną do mody i projektantów o głośnych nazwiskach, gubiąc po drodze wrodzony francuski smak. Nie dość na tym, wykazywała się również całkowitym brakiem nosa do perfum, czego wystarczającym dowodem były zapachy, których używała.

Wszyscy z lekko zniecierpliwionymi minami czekali na Jolettę, licząc, że jeszcze coś doda.

Natalia, wysoka blondynka o lekko nadętej minie zawodowej modelki, wydawała się nieco zakłopotana, niemniej jednak było zainteresowana rozwojem sytuacji. Jolettę dziwiło, że kuzynka tak się przejmuje, wiodła przecież życie co się zowie, luksusowe, z balami, przyjęciami i wypadami na Rivierę lub na Karaiby. Dobrze wyszła za męża, a jeszcze lepiej się rozwiodła, i to co najmniej dwukrotnie. Pieniądze nie stanowiły dla niej problemu, o czym świadczył chociażby jej kostium z jedwabiście gładkiej czarnej skóry, torebka od Fendi i buty od Ferragamo. Joletta przyglądała się doskonale zrobionej twarzy Natalii, choć zauważała teściutki kurze łapki przy oczach, rezultat nieustannego opalania się. Nic w wyrazie jej twarzy nie wskazywało, by przywiązywała wagę do rodzinnych tradycji, ale Joletta nie dawała za wygraną.

- Natalio, a ty? Nie chciałabyś poprowadzić firmy?

- Chyba żartujesz ... - Natalia wymawiała samogłoski nosowo, z nowojorska, ale

teksańskie zaciąganie nadal pobrzmiwało w jej głosie. - A niby jak miałabym znaleźć na to czas?

- Z tego, co wiem, nigdzie nie pracujesz, więc skąd ten brak czasu? Mogłabyś zająć się czymś pożytecznym.

- Jasne. Marzę o tym, żeby wciskać flakoniki z pachnidłami spoconym turystom w podkoszulkach i gumowych klapkach. Dzięki, ale wolę skierować swoje zainteresowania na coś przyjemniejszego. Na przykład na tego cudownego faceta, którego poznałam w zeszłym tygodniu. Nie uwierzyłabyś - oszałamiająco przystojny, uroczy i miły. Oczywiście bogaty. To jest moje powołanie, a nie jakieś sklepikarstwo.

- A poza tym - wtrąciła z urazą ciotka Estella. Natalia kompletnie nie zna się na produkcji perfum. Jak przyjeżdżała tutaj, to jakoś nigdy nie znalazł się właściwy moment, żeby Mimi wprowadziła ją w sprawy.

- Ale ja się znam - powiedziała cicho Joletta po dłuższym patrzeniu ciotce prosto w oczy.

- No i co z tego? - Ton ciotki zabrzmiał groźbą.

- To - odparła Joletta nie spuszczając spojrzenia - że sama mogę poprowadzić firmę. W oczach ciotki pokazała się jakaś na pół skrywana chytryść.

- Możesz, ale bez Le Jardin de Gour.

- Zapomina ciocia, że jeśli dziennik Violet jest moją własnością i jeśli jest w nim receptura, to tak że Le Jardin de Gaur należy do mnie.

- A ty zapominasz, że są inne sposoby rozszyfrowania składu perfum.

- Analiza chemiczna? - Joletta pokręciła głową. Wie ciocia, jakie było zdanie Mimi na ten temat.

Bezдушna metoda, tak określała to babcia. Tak jak większość wybitnych twórców

perfum, Mimi również miała jak najgorsze zdanie o tych procesach, których używano głównie do fabrykowania tanich podróbek znanych, markowych kompozycji zapachowych. Śadna aparatura, twierdziła Mimi, nie jest w stanie uchwycić tych subtelnych niuansów zapachowych, wykryć tych minimalnych dawek rzadkich olejków aromatycznych, które wielkim perfumom dają ich wyjątkowy charakter, ich prawdziwą duszę i serce.

- Spełni swoje zadanie - ucięła ciotka Estella. Jolletta jeszcze raz jej się przyjrzała.

- Nie sądzę. Bez dziennika to na nic.

Ciotka Estella nie odpowiedziała, chociaż rumieńce na jej policzkach ściemniały alarmująco. Natalia rzuciła okiem na matkę i zwróciła się do Joletty:

- O co ci chodzi? - spytała ostro.

- Wydaje mi się, że firmę „Camors Cosmetics” interesuje całość, nie tylko goła receptura. Dziennik też. Nawet jeśli analiza chemiczna doprowadzi do wyprodukowania czegoś zbliżonego do oryginału, to bez zaplecza w postaci dziennika cała ta kampania reklamowa, o której wspomniała ciotka, nie ma się na czym oprzeć. A jak wiecie, rząd jest ostatnio bardzo cięty na bezpodstawne reklamy. Camors potrzebuje dziennika, żeby uniknąć oskarżenia o uzurpację, żeby mieć autentyczne źródło na poparcie tej legendy, na której chce oprzeć kampanię.

Ciotka roześmiała się sztucznie.

- Spryciara. Ale chyba nie znalazłaś jeszcze tej receptury, bo pieniądze interesowałyby cię bardziej.

Jolletta nie odpowiedziała, nie miała zamiaru potwierdzać domysłu ciotki.

- Jest jeszcze coś - ciągnęła tamta. - Jeśli chcesz zostać właścicielką firmy, to musisz odkupić mój udział w pracowni i w domu. Skąd weźmiesz pieniądze? Kto ci da kredyt, bez doświadczenia w interesach, bez poręczenia, bez zabezpieczenia? Przekonasz się, jeszcze

sama na kolanach do mnie przyjdiesz, Œeby pomogła ci to sprzedać.

- Znajdę wyjście.

Ostatnie słowa dźwięczały jej w uszach jeszcze długo po wyjściu z kancelarii notariusza. Skąd jej to przyszło do głowy, nie miała pojęcia. Oszczędności miała niewielkie, tylko tę kwotę, która miała być przeznaczona na pierwszą ratę za dom. Nawet jeśli doda papiery wartościowe po Mimi, wciąż nie wystarczy.

Co więcej, myśl o poprowadzeniu „Królewskich Perfum Fossierów”, o pójsciu w ślady babki, nie przeszła jej dotąd przez głowę. Zawsze wydawało się jej, Œe zajmie się tym ciotka, albo Œe zatrudni się jakiegoś fachowca, kiedy zajdzie potrzeba.

Ale na takie rozwiązanie się nie zanosilo. Musi sama się za to wziąć. Czy naprawdę tego chce?

Tak niedawno rozpoczęła samodzielne Œycie, wzięła swoje sprawy we własne ręce, przestała pozwalać innym mieszać się w swoje Œycie. Czy ta jej deklaracja chęci poprowadzenia firmy była wynikiem własnej, autonomicznej decyzji, czy teŒ znów pozwala okolicznościom, by nią rządziły?

Któż moŒe wiedzieć? A zresztą, czy ma jakiś wybór? Następnego ranka telefon wezwał ją do domu Mimi.

Trzy kobiety, które pracowały w sklepie i prowadziły go przez ostatnie parę dni, były roztrzęsione, dwie z nich tonęły we łzach. Do sklepu i mieszkania Mimi na piętrze dokonano w nocy włamania. Potłuczono szklane pojemniki, porozlewano perfumy, powyrywano kartki z ksiąg recepturowych. Na górze przewracano antyki, tapicerkę pocięto, zawartość szuflad i szaf wyrzucono na podłogę. Zniszczenia wyglądały na umyślne, na rezultat wywołanej rozczarowaniem wściekłości. Wyjaśnienie nasuwało się samo. Ktoś szukał receptury. I nie znalazł jej.

Któs, poza ciotką, mógłby to być?

Nie podejrzewała ciotki o to, Ńeby sama dokonała tych zniszczeń. Musiała kogoś wynająć, jakiegoś zawodowego włamywacza, znającego się na psychologii ludzi którzy mają coś cennego do ukrycia - a bez sentymentalnych oporów przed niszczeniem pamiątek. Myśl, Ńe ciotka Estella mogła nasłać takich ludzi na mieszkanie własnej matki, przyprawiała o mdłości.

Stojąc w samym Ńrodku tego bałaganu, Joletta zobaczyła u swoich stóp miniaturowy portret Violet Fossier. Powoli uklękała i podniosła go. Miał pękniętą ramkę, płótno się sfałdowało, farba popękała i łuszczyła się. Spojrzała na twarz sportretowanej kobiety i dostrzegła w jej oczach łagodny wyrzut, ale i wyzwanie.

Ogarnął ją zaprawiony bólem gniew, jakby zraniono Ńywego człowieka. Odkąd zaczęła czytać jej dziennik, poczuła dziwną bliskość z Violet. Gęsto zapisanym stronicom poświęciła dotąd zaledwie parę godzin i nie mogła się doczekać, kiedy znów zagłębi się w tę kronikę miłości i zdrady, poŃądania i Ńalu.

Gdy tak stała z miniaturą w rękach, w głowie zakiełkował jej pewien pomysł.

Perfumy, którym nadała potem nazwę Le Jardin de Gaur, znalazła Violet w Europie; dziennik opisywał szczegółowo, w jaki sposób weszła w ich posiadanie i jak to się stało, Ńe zaczęła je wytwarzać. Czy, w takim razie, podróżując do tych samych krajów co ona i odwiedzając te same miejsca, można będzie rozszyfrować jakąś recepturę ukrytą na kartach dziennika? Czy można udać się śladami Violet, traktując jej diariusz jako przewodnik, i odkryć jakiś wzór, jakiś zestaw pachnących kwiatów, jakieś liczby, które pozwolą uzupełnić to, co dotychczas wiedziała o składzie tych starych perfum?

Violet była niezwykle drobiazgowa w opisie podróŃy.

Podawała dokładnie odległości pokonane każdego dnia i potrzebny na to czas,

notowała wysokości budowli i szczytów górskich, długości rzek i strumieni. Podawała rozmiary statków, powozów, pokojów i mebli, opisywała obrazy i posągi widziane w kościołach czy innych zabytkowych budowlach. Na dodatek wymieniła chyba wszystkie kwiaty, jakie napotkała po drodze, i większość z nich naszkicowała.

Joletta nie była w stanie ocenić, czy ta drobiazgowość wynikała ze zwyczajnego zamiłowania Violet do dokładności, z lęku, że wszystko zapomni, czy też krył się w tym jakiś głębszy sens. Niewątpliwie jednak liczby mają zasadnicze znaczenie w przypadku receptury perfum. Większość fachowców w branży perfumeryjnej posługuje się raczej numerami niż nazwami poszczególnych esencji lub jakichś ich kombinacji, no i oczywiście sama receptura też podaje skład w postaci proporcji czy stężeń wyrażonych w procentach, a więc liczb.

Joletta odczuła przemożną chęć wyruszenia w podróż już od pierwszych stronic dziennika, tych stronic, na których jej prapraprababka pisała o rozpierającej ją radości na myśl o tym, że wyrwie się z nudnego kołowrotka codziennych zajęć i zobaczy nowe miejsca i rozmaite piękne rzeczy. Słowa te znalazły rezonans w duszy Joletty. Śzał po śmierci Mimi przenikał ją do głębi; czuła coraz silniejszą potrzebę ucieczki z tych miejsc, które wciąż boleśnie przypominały jej o stracie. A jednocześnie to wszystko, co było jej bliskie: niezmienny rytm codziennych zajęć, praca, mieszkanie wydały jej się nagle nudne i nieciekawe. Rozpaczliwie pragnęła zmiany. Co więcej, przecie przed nosa uciekła jej obiecana podróż poślubna.

No, a na dodatek jest wiosna. Wprawdzie Violet spędziła za granicą dwa lata, ale wydarzenia, które opisywała, zdawały się rozgrywać mniej więcej w okresie jednego roku. Początek przypadał na późną wiosnę 1854 roku. Jeśli zacznie załatwiać wyjazd natychmiast, znajdzie się w Europie o tej samej porze roku, zobaczy te same drzewa w kwieciu, tę samą zieleń wzgórz i te same uprawy na polach.

Nagle zauważyła, że drża jej ręce. Ale nie był to już ani gniew, ani lęk; to było podniecenie.

Nie da za wygraną. Nie pozwoli ciotce przeprowadzić swoich planów. Rozszyfruje recepturę, niezależnie od tego, ile wysiłku i czasu będzie ją to kosztowało. Mając recepturę i diariusz, będzie miała grunt pod nogami. Wtedy zastanowi się, co dalej.

Pojedzie do Europy. Pojedzie dla Mimi, żeby nie zawieść zaufania, jakim obdarzyła ją babcia, mówiąc jej o dzienniku. Ucieknie przed manipulacjami ciotki, przynajmniej na jakiś czas. Pojedzie także dla siebie samej. Będzie to swego rodzaju poszukiwanie. Wyprawa w określonym celu. A jeśli nic z tego nie wyniknie, zostaną jej przynajmniej wspomnienia z podróży.

Samolot lądował w strugach wody. Londyński deszcz zacinał w szyby okien i spadał z pluskiem w kałuże na asfalcie pasa, po którym kołowali do rękawa. W hali przylotowej lotniska Heathrow chłodne, wilgotne powietrze pachniało mokrą wełną, grzankami, herbatą i leciutką nutą szafranu, a nad wszystkim górował smród paliwa lotniczego. Joletta uśmiechnęła się, wdychając głęboko powietrze.

Anglia. Jest w Anglii. Rozpierała ją radość. Po raz pierwszy od śmierci Mimi poczuła, że przygnębienie mija. Dobrze jej z tym było. Aż do tej chwili ten wyjazd był tylko obowiązkiem. Przez te kilka dni, odkąd dokonała rezerwacji, czas wypełniały jej: załatwianie urlopu w pracy, przygotowanie garderoby, pakowanie rzeczy i dziesiątki innych drobnych spraw, które trzeba załatwić, kiedy wyjeżdża się na kilka tygodni. Tak wiele miała do zrobienia, tak wiele do przemyślenia, że nie mogła spać po nocach. Kiedy wreszcie znalazła się w samolocie późnym wieczorem, zapadła w błogi sen. Teraz, po raz pierwszy, dotarła do niej realność tej wyprawy.

Zdecydowała się na wycieczkę zbiorową, zorganizowaną przez biuro podróży. Może i

przyjemnie byłoby spróbować na własną rękę, ale nie miała żadnego doświadczenia w podróżowaniu, więc wolała zdać się na profesjonalistów, a samej skupić na zasadniczym problemie, który skłonił ją do drogi. Udało jej się znaleźć wycieczkę, której trasa pokrywała się prawie dokładnie ze szlakiem dawnych peregrynacji Violet Fossier i jej męża, Gilberta. Szlak ten wiódł z Anglii przez Francję i Szwajcarię do Włoch. Podstawowa różnica polegała na tym, że Violet i Gilbert spędzili w drodze dwa lata, a ona będzie musiała zmieścić się w znacznie krótszym czasie.

Czerwony uniform pilota wycieczki widać było z daleka. Joletta dołączyła do grupy, która skierowała się do odprawy celnej i paszportowej.

Wszyscy ustawili się w długich kolejkach. Joletta postawiła podręczną torbę z brązowego materiału na posadzce i zaczęła szukać paszportu w torebce przewieszanej przez ramię. Podniosła wzrok usłyszawszy wzmagający się dokoła gwar. Tuż za nią przechodziła spora grupa z jakiegoś kraju afrykańskiego w asyście umundurowanej eskorty. Zaintrygowały ją turbany i sięgające do ziemi jedwabne szaty kobiet. Z szeptów wokół wynikało, że to uchodźcy po jakimś kolejnym zamachu stanu.

Za plecami usłyszała szybkie kroki. Odwróciła głowę i zobaczyła obok siebie sylastego młodzieńca z włosami ściągniętymi w kucyk. Nie zwalniając kroku schylił się nagle i porwał jej torbę podróżną.

- Hej! - Udało jej się chwycić za pasek i mocno szarpnąć.

Młody mężczyzna odwrócił się i krzywiąc twarz w grymasie desperacji, zamachnął się zaciśniętą pięścią. Uchyliła się, ale wymierzony w twarz cios trafił ją w skroń i ześlizgnął się po uchu, zaczepiając o złoty kolczyk. Zachwiała się, a tymczasem napastnik zdołał wyrwać swoją zdobycz.

Z tyłu podtrzymały ją silne ramiona, chroniąc przed upadkiem. W tej samej chwili

zmruśone oczy człowieka z kucykiem rozszerzyły się ze strachu. Odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Z ciężką torbą na ramieniu przepchnął się przez tłumek afrykańskich uchodźców i zniknął za rogiem.

- Łapać go! - krzyknęła Joletta, odpychając człowieka, który ją przytrzymał. -

Ukradł mi torbę!

Uścisk nie zelżał ani odrobinę.

- Niech pani da spokój. Nie warto się narażać - usłyszała cichą radę tuż przy swojej głowie. - życie i zdrowie jest ważniejsze niż wszystko, co może być w tej torbie.

Znieruchomiała. Zapach drzewa sandałowego. Tak czysty i świeży - choć ledwie wyczuwalny - że aż chciało się przysunąć bliżej i powąchać. Rozpoznała go z dreszczem zaniepokojenia. Wyprostowała się powoli i odwróciła - głos mężczyzny odbijał się w jej głowie wielokrotnym echem. Otworzyła szeroko oczy na widok jego twarzy.

- Nie do wiary - powiedziała, właściwie do siebie.

- A jednak. - Tyrone Kingsley Stuart Adamson IV uśmiechnął się szeroko, choć nie bez ironii. - Oniemiałem, jak zobaczyłem panią w samolocie, jeszcze w Stanach, ale nie sądziłem, że jeszcze raz będę musiał bawić się w pani rycerza. Nic pani nie jest?

- Nie ... nic - odparła odruchowo.

- Przepraszam, że nie udało mi się ocalić torby.

- W porządku, naprawdę. Przynajmniej do momentu, kiedy trzeba będzie umyć zęby. -

Próba dowcipu wypadła nieszczególnie, ale spotkała się z aprobującym skinieniem głowy.

- Widziałem, że paszport ma pani przy sobie, to najważniejsze. Chodźmy do odprawy, potem odwiozę panią do hotelu.

Powiedziała mu, gdzie ma się zatrzymać, ale dodała, że jej grupa ma zapewniony transport. Wzruszył ramionami i stwierdził, że autokar na pewno odjedzie, zanim ona skończy

składać zgłoszenie o kradzieży.

Miał rację. Zanim Joletta uporała się z nie kończącymi się wyjaśnieniami i sporządzaniem spisu bagażu, jaki miała w torbie, już się nie machnęła na wszystko ręką. Właściwie nie było tam nic naprawdę wartościowego. Nawet fotokopię diariusza, którą początkowo miała tam wsadzić, trzymała w torebce, żeby ją mieć pod ręką. Oryginał został w Nowym Orleanie, w bezpiecznym - miała nadzieję miejscu.

Gdy wreszcie dojechali do miasta, deszcz przestał padać, a przez chmury przedarło się słońce. Zaproszenie na spóźnione drugie śniadanie przyszło w dobrym momencie; nie wypadało odmówić człowiekowi, który tyle jej pomógł, cierpliwie przysłuchiwał się wyliczaniu sztuk bielizny i przyborów toaletowych ze skradzionej torby, a poza tym był niezwykle szarmancki i czarujący.

Po zameldowaniu Joletty w hotelu zostawili tam bagaż i udali się do centrum. W małej restauracyjce z witrażowymi oknami i ściemniałą ze starości boazerią gdzie fotele obite były zieloną skórą, a ściany pokrywały wiktoriańskie tapety w kwiaty - zamówili jajecznicę na bekonie, smażone kielbaski, grzyby i pomidory oraz doskonałą pizzę z kozim serem.

- A więc niech mi pani powie - zagaił 'Rone, gdy kelner się oddalił - czy po prostu prześladowuje panią pech, czy też wpadła pani w jakieś kłopoty?

To samo pytanie przyszło do głowy Joletcie. Ale myśl, że na przykład ciotka mogła kogoś nasłać, by niepokoił ją zarówno w Nowym Orleanie, jak i tutaj, była na tyle niepokojąca, że wołała ją odrzucić na wstępie.

- Chyba po prostu pech - odparła z kwaśnym uśmiechem. - Ot, naiwna turystka.

Przyglądał jej się długo, badawczo, z troską w błękitnych oczach. W końcu powiedział:

- Rzeczywiście, takie rzeczy się zdarzają. A gdyby jeszcze coś się pani przytrafiło, to

mam nadzieję, że pozwoli pani, bym jej pomógł.

- Awansuję pana na moją osobistą ochronę.

- Ja wcale nie żartuję.

Gdy była nastolatką, marzyła o księciu z bajki, który by ją chronił i ratował z wszelkich opresji. Męszczyzna, który siedział naprzeciwko, doskonale do takiej roli pasował, biło od niego ciepło i opiekuńczość, a co do urody, to nawet był przystojniejszy, niż go zapamiętała z pierwszego spotkania. Ciemnokasztanowe włosy, twarz skora do uśmiechu, nienagannie skrojony garnitur i biała jedwabna koszula; czegoś chciał więcej, Niemniej jednak nie zna go, nic o nim nie może powiedzieć, a poza tym sprawa z Charlesem wyleczyła ją z młodzieńczej ufności.

- Doceniam pańską troskę - pokręciła głową - ale nie przewiduję dalszych komplikacji. Mam urlop i tyle. Wszystko będzie dobrze.

- Lepiej odpukać - powiedział, a po chwili kąciki ust podniosły mu się z rozbawienia - albo lepiej nie, pani pech zdaje się przynosić mi szczęście.

- Chyba nie chcę już takich przygód, nawet jeśli jest nikła szansa, że znów znajdzie się pan w pobliżu. Odpukała w stół.

Spoważniał, a po chwili odgarnął jej włosy z nad ucha.

- Zgubi pani kolczyk.

Dotknęła ręką dużego kółka z osiemnasto karatowego złota i skrzywiła się, gdy poczuła ukłucie zapinki.

- Musiał się rozpiąć, jak mnie uderzył ten złodziej. Dobrze, że całkiem nie wypadł.

- Pomogę pani zapiąć. - Nie czekając na przyzwolenie pochylił się ku niej, wziął delikatnie kółko w palce i zręcznie wstawił złoty drucik na swoje miejsce.

Był tak blisko, że Joletta widziała każdą jego rzęsę i poszczególne szczecinki zarostu

w skórze. Poczwała się dziwnie bezbronna. W tym, co robił, była jakaś intymność. Większości mężczyźni nie przysłoby w ogóle do głowy, żeby zrobić coś takiego, albo byłiby w tym niezgrabni.

Dotyk jego palców na policzku wywołał lekki dreszcz i wspomnienie jego warg. Przez moment zastanawiała się, czy w innych intymnych działaniach jest równie zręczny.

Ta myśl wywołała falę rumieńca na policzki. Próbując temu zaradzić, spytała:

- Nie zdradził mi pan jeszcze, czy pana sprowadziło do Anglii.

- A gdybym pani powiedział, że to przez panią tu jestem, uwierzyłaby pani? -

popatrzył jej prosto w oczy.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Tak myślałem. - Westchnął i z widocznym zadowoleniem przypatrywał się jej

rumieńcom. - No dobrze, jestem tu i w interesach, i dla rozrywki; postanowiłem połączyć przyjemne z pożytecznym.

- Czym konkretnie się pan zajmuje? - Oparła łokieć na stole i położyła brodę na dłoni.

- Są tacy, co twierdzą, że zupełnie niczym - powiedział lekko - i że jestem w tym bardzo dobry.

- Playboy? - rzuciła z powątpiewaniem.

- Niezupełnie.

- O to bym pana nie podejrzewała. Wspominał pan przecie, że w Nowym Orleanie bawił pan w interesach.

- Zapamiętała pani?

- Pamiętam ten wieczór bardzo dobrze - powiedziała szorstko. - Niecodziennie człowiek jest napadany.

- Myślałem, że wspomina to pani z miłego powodu. Rzuciła mu pytające spojrzenie,

Śeby go sprowokować, ale zamysł spalił na panewce, bo znów zaczerwieniła się po uszy.

- Chyba wie pani, co mam na myśli - uśmiechnął się i z kolei on oparł łokcie na stole.

Przyjście kelnera z daniami dało jej czas do namysłu.

Rone cofnął się na krześle, Śeby odsłonić stół, ale wzroku z niej nie spuszczał. Gdy

znów byli sami, juŚ ochłonęła i powiedziała:

- Miał mi pan opowiedzieć o swojej pracy.

- CzyŚby? MoŚe rzeczywiście. Prawdę mówiąc, zajmuję się iluzją.

- Magik?

- Filmową iluzją.

- Aha! Potentat filmowy.

- Niezupełnie. - Skrzywił się. - Zajmuję się reklamami.

Nie wiedziała, czy ma w to wierzyć. W jego głosie wyczuwała jakąś drwinę, nie

wiadomo, czy z niej, czy z samego siebie. Niewątpliwie lubił stroić sobie z niej Śarty.

- Nie do wiary - rzekła z wolna.

- To równie dobra praca jak kaŚda inna.

- Na pewno, ale wyglądał mi pan na dyrektora duŚej firmy.

- Nuda i rutyna. Lepiej być wolnym strzelcem. Niech pani powtórzy, jakie

miejsowości będzie pani zwiedzać, wszystko to, co mówiła pani policji o trasie podróŚy.

Właśnie doszedłem do wniosku, Śe sam chętnie bym te miejsca odwiedził. Taki zwiad po

terenie nowej, europejskiej kampanii reklamowej.

- A co z interesami, które pana sprowadziły do Anglii?

W jego uśmiechu było ciepłe rozbawienie i ... coś Jeszcze.

- Nie zajmą mi duŚo czasu. Ale skoro juŚ tu jestem i pani tu jest, to mam nieodpartą

ochotę odbyć tę podróŚ razem z panią, a w najgorszym razie wałęsać się gdzieś w pobliŚu

pani. Czy ma pani coś przeciwko temu?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem, widelec z porcją jajeczniczy zawisł nieruchomo w powietrzu. Takie nieodpowiedzialne pomysły kłóciły się wyraźnie z pozorami silnej osobowości.

- Niech pani nie robi takiej zaskoczony miny. Nigdy nie robi pani niczego pod wpływem nagłego impulsu? - Jestem tutaj z panem. To i tak duŜo jak na mnie. Siliła się na lekki ton, ale nie przychodziło jej to łatwo. - I tak postąpiła pani wbrew swojemu zdrowemu rozsądkowi, prawda?

- Dziwi się pan? Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Ja wiem, jak się pani nazywa. Przeczytałem na wywieszkach na багаŜu.

- To się nie liczy.

- Nie, proszę pani. Oczywiście, proszę pani.

- Niech pan nie powtarza w kółko „proszę pani”. Mam na imię Joletta, moŜe mi pan mówić po imieniu, skoro juŜ ...

- W porządku. Rozumiem, jest pani kobietą z zasadami. Proszę zapomnieć o mojej propozycji.

- Chyba się pan nie spodziewał, Ŝe się zgodzę?

Nie powinna była juŜ nic mówić, ale coś w jego zachowaniu sprawiło, Ŝe ucięła sprawę zbyt gwałtownie.

- Miałem po prostu nadzieję. Na moją obronę powiem tylko, Ŝe nie proponowałem pani przecieŜ, by dzieliła pani ze mną łóŜko czy choćby pokój.

Skurcz w podbrzuszu był zupełnie odruchowy.

Chrapliwym głosem powiedziała:

- Nawet nie podejrzewałam pana o to.

- To dobrze. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

Czy nie przyjął tego ciut za łatwo? Cały czas miała dziwne wrażenie, że się z niej podśmiewa. Chcąc odzyskać panowanie nad sytuacją, dodała:

- Nie wygląda mi pan na człowieka, którego satysfakcjonowałoby zwiedzanie w zorganizowanej grupie.

- Zdziwiłaby się pani, wiedząc, co potrafi mnie usatysfakcjonować - odparł, krzywiąc się w uśmiechu na widok jej spojrzenia. Wzrokiem prowokował do dalszej dyskusji. Podjęła wyzwanie.

- Czyśby? Byłby pan zachwycony popołudniem spędzonym na pokładzie piętrowego autokaru, zaliczając po kolei zabytki Londynu, ze zwiedzaniem Tower na koniec?

- Prawdę mówiąc - odparł rzeczowo - Tower najwygodniej jest zwiedzać w grupie zorganizowanej. Turyści indywidualni muszą godzinami stać w kolejce, bo grupy mają pierwszeństwo.

- Prócz tego mam zamiar pójść najpierw na spacer do Hyde Parku, żeby się trochę rozruszać po tylu godzinach siedzenia w samolocie.

Odsunął talerz i otworzył szeroko oczy.

- I to wszystko jednego dnia?

- Oczywiście planuję pojechać do parku metrem, żeby zobaczyć, czy potrafię się zorientować w sieci linii. śadnych taksówek.

- Jasne.

- Nie, zamierzam tracić ani chwili, nie zdziwię się więc, jeśli uzna pan, że woli mi nie towarzyszyć.

- To mi nawet przez myśl nie przeszło. - Wskazał ręką na jej talerz. - Proszę kończyć, jeśli mamy zdążyć z tym wszystkim do wieczora.

Taka była pewna, że się wycofa. Teraz zaplątała się we własne sidła. Cóż za lekkomyślność. A właściwie, co jej szkodzi? Przecież cały czas będą w miejscach publicznych, wśród ludzi. Nic jej nie grozi.

Przez resztę dnia Rone wychodził z siebie, żeby jej przeszkodzić w realizacji założonego programu.

A to namawiał ją na wypożyczenie łodzi wiosłowej i ofiarowywał się przewieźć ją po jeziorze w parku, a to proponował filiżankę herbaty i kanapkę z ogórkiem w cieniu kwitnącego kasztanowca, to znów zatrzymywał się, by podziwiać jakieś ciekawe kombinacje kolorystyczne czy posłuchać mówcy na Speaker' s Corner, albo upierał się, że będzie fotografował Jolettę przy chatce stróża, gdzie kwitły błękitne dzwonki.

W Tower, gdy wlekli się w sznurze innych zwiedzających, szeptem zaproponował skok na skarbiec koronny, a na dziedzińcu, gdy przyglądali się rezydującym tam krukom - których obecność, według legendy, chroni przed upadkiem mury Tower, a wraz z nimi całą Anglię, więc przycina się im lotki, by nie uciekły, uśmiał się nad losem biednych ptaków, które ta praktyka zmusza do dożywotniego celibatu, jako że kruki parzą się w locie.

Jolettę bawiły jego dykteryjki, choć starała się nie zwracać na niego uwagi; miała przeciwieństwo swoje zadanie do wypełnienia. Uwijała się więc z kamerą, sportową torbą i notatnikiem, starając się rejestrować wszystko, co widziała. Skrupulatnie notowała dystanse przestrzenne i czasowe, zapisywała wszystko, cokolwiek dało się wyrazić liczbowo. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że Rone, mimo swoich wygłupów, właściwie jej pomaga. Nosił torbę z kamerą, przytrzymywał notatnik, kiedy filmowała, pomagał dźwigać torbę sportową, kiedy było jej za ciężko. Cieszyła się z tego, póki nie zauważyła, że zagląda do jej notatek.

Kiedy wychodzili z Tower, wzięła od niego torbę i popatrzyła mu przeciągle w oczy.

- Słucham panią?

- Nie, nic - odparła po chwili, uśmiechając się sztucznie.

Ta gotowość do pomocy to wynik głęboko wpojonej kurtuazji, pomyślała, a zerknięcie do notatek - to zwykła ludzka ciekawość. O nic innego nie może tu chodzić.

No bo cóż mogłoby to być?

W małej restauracyjce na West Endzie zakończyli wieczór stekiem, tradycyjnymi cynaderkami w kruchym cieście i butelką Cabernet Sauvignon. W dyskusję o tym, czy w cynaderkach jest domieszka wątróbki, czy może to same cynaderki smakują jak wątróbka, Ronowi udało się wciągnąć nie tylko ją, ale jeszcze dwie kelnerki, kierownika sali i szefa kuchni. Najwyraźniej odpowiedzi na to pytanie nie było. Joletta była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać.

Rone odwiózł ją do hotelu, a potem uparł się, by wejść wraz z nią do środka. Poczula skurcz obawy, gdy zbliżali się do drzwi jej pokoju. Taki miły dzień, szkoda byłoby zakończyć go awanturą o to, czy może zostać u niej na noc.

Niepotrzebnie się denerwowała. Otworzył przed nią drzwi i zajrzał do pokoju.

Odwrócił się i wręczył jej klucz. Przytrzymał chwilę jej rękę i z troską popatrzył w oczy.

Jakby się zawahał, po czym ledwie zauważalnie pokręcił głową i pośegnał się, obiecując zadzwonić nazajutrz.

Joletta przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, gdy drzwi za nim się zamknęły. Nawet nie próbował jej pocałować! Przez chwilę myślała, że to zrobi, ale jednak nie. Zadziwiające, jeśli przypomnieć sobie, jak zaczęła się ich znajomość. W ogóle zadziwiający z niego człowiek.

Wciąż z kluczem w ręku starała się zdecydować, czy cieszy się z takiego zakończenia dnia, czy też jest zła. Do śadnych wniosków nie doszła.

ROZDZIAŁ IV

Dnia 4 maja 1854 r.

Dziś poszłam kupować angielski gruby len na ręczniki, który mi polecała kuzynka Lilith. Kupiła go w składzie Fortnuma i Masona, kiedy ostatnio bawiła za granicą. Wyprawa po takie zakupy to nic nadzwyczajnego, to prawda, lecz Gilbert nie pozwolił mi kupować na razie nic innego. Wychodząc rano do meblarza sugerował, bym nabyła materiał w popielate prąski. Zamówiłam dwanaście tuzinów w jaskrawoniebieską kratę, boję się, że się mu nie spodoba.

Potem złapał mnie deszcz.

Jakże zwyczajnie pisze się te proste słowa, a jakże zajmujący był to dzień, rzekłabym podniecający, gdyby to słowo było odpowiednie dla statecznej mężatki, liczącej już sobie dwadzieścia i sześć wiosen.

Violet błądziła w zadumie wśród stoisk kolonialnych magazynu Fortnum i Mason, zatrzymując się co chwila, by popatrzeć to na laski wanilii, to na paczki herbaty, to na kosze ziół. Miałyby ochotę na parę rzeczy, na przykład na krąsek sera, butelkę francuskiego wina albo na pudełko ciasteczek czy placek z owocami, żeby zabrać to z sobą do apartamentu hotelowego, który wynajął dla nich Gilbert. Wiedziała jednak, że mąż nie pochwaliby tego. Gilbert był bardzo czuły na pozory: nie zniósłby myśli, że personel hotelowy może podejrzewać, iż robi groszowe oszczędności kupując jedzenie do pokoju zamiast pójść do restauracji. Mieszkali w hotelu otwartym parę lat temu przez byłego lokaja lorda Byrona. Fakt ten miał w założeniu dodawać obiektowi splendoru. Dla Violet nie miał jednak większego znaczenia.

Idąc ulicą bez żadnego towarzystwa czuła się trochę niepewnie. Jej służącą, Murzynkę w podeszłym wieku, o imieniu Hermina - która zazwyczaj towarzyszyła jej, gdy tylko

wychylała nos za próg domu w Nowym Orleanie - złoŝyło do łóŝka przeziębienie, które złapała w chłodnym angielskim klimacie. Wprawdzie większość kobiet na ulicy miała towarzystwo, jednak widziało się teŝ szacownie wyglądające damy spacerujące bez eskorty. Było ich dość, by Violet nie obawiała się, ŝe zachowuje się niewłaŝciwie. Samotność, jak się okazało, miała swoje dobre strony, mogła chodzić szybciej. Mogła do woli oglądać wystawy, nie naraŝając się na krytyczne uwagi Herminy. Nie musiała słuŝać jej narzekań na cięŝki koszt z zakupami. Zyskała dzięki temu cudowne poczucie swobody.

Wyszedłszy ze sklepu, Violet przechadzała się ulicami bez celu, radując się po prostu otoczeniem. Zatrzymała się przed wystawą pamiątek z Wielkiej Wystawy księcia Alberta sprzed trzech lat, zachwycając się eksponatami. Zajrzała do księgarni, gdzie spodobał się jej przeŝlicznie ilustrowany tomik poezji Williama Blake'a, ale wyszła nie kupiwszy nic. Przeszła jeszcze kawałek, aŝ tu niebo zaciągnęło się chmurami i rozległ się głuŝy odgłos grzmotu. Parasol, który miała ze sobą, przeznaczony był raczej do ochrony przed palącym słońcem Luizjany, a nie przed angielską ulewą: miał ŝałoŝnie cienkie jedwabne pokrycie, obszyte na skraju frędzlami, a rozmiary nie wystarczające, by osłonić jej obszerną krynolinową spódnice. Violet zaczęła rozglądać się za doroŝką, ale ŝadnej wolnej nie zauwaŝyła. Rodowici londyńczycy juŝ wcześniej zwietrzyli, na co się zanosi.

Ulicą dmuchnął zimny wiatr. Wzdął jej zieloną jedwabną spódnice, szarpnął końce szarfy w szkocką kratę, którą była przewiązana, i wstaŝki zielonego aksamitnego kapelusika, pieczołowicie umocowanego na szczycie upiętych wysoko loków. Próbowwała znaleźć jakieŝ schronienie. Wreszcie dostrzegła furtkę pod marmurowym łukiem, prowadzącą do niewielkiego parku. Rosły tam ogromne kasztany, obsypane właŝnie kwieciem, pod nimi kępy rododendronów, a pod stopami słał się kobierzec pachnących, wiosennych kwiatów. Poŝrodku stała altana z ozdobnymi ŝeliwnymi kratami, a nad nią wznosiły się powyginane

gałęzie miłorzębu.

Wraz z pierwszymi kroplami deszczu Violet otworzyła parasol, po czym uniosła spódnicę i ruszyła biegiem na drugą stronę ulicy. Nastawiła swój mizerny parasolik pod wiatr, chcąc się osłonić przed tumanami kurzu, pyłu węglowego i źdźbeł słomy.

Nagle rozległ się stukot podków, po nim przenikliwe rżenie konia i przeraźliwy zgrzyt ręcznego hamulca. Ktoś zaklął ochryple, strzelił bat. Violet szarpnęła parasol w bok i zobaczyła pędzącą na siebie dorożkę. Wąsaty woźnica ściągał wodze z całej siły, potężny siwy ogier stawał dęba, unosząc kopyta niemal nad jej głową.

Nagle z silną siłą objęło ją w pasie czyjeś ramię. Została porwana i niemal uniesiona w powietrze, wielkie koła minęły ją o włos, owionął podmuch pędzącego powozu.

Z wiatrem leciały przekleństwa dorożkarza zmieszane z okrzykami irytacji pasażerów.

Bezpieczna na chodniku, z trudem łapała powietrze, ściśnięta gorsetem i wciąż obejmowana w pasie silnym ramieniem. Drżała, w głowie się jej kręciło. Zamglonym wzrokiem wpatrywała się w krawat mężczyzny, który ją podtrzymywał. Przed oczami tańczyła jej złota szpila z godłem, spinająca krawat, i delikatny deseń kamizelki. Gdy upewniła się, że nie zemdleje z braku tchu, z wolna podniosła wzrok.

Najpierw ujrzała jego oczy. Były szaroniebieskie, patrzyły szczerze, ciepło i z wielką dobrocią. Kąciki miały lekko opuszczone, ocieniały je proste brwi i rzęsy tak gęste, że nadawały im jakąś aurę tajemniczości. Kości policzkowe były po słowiańsku wydatne, między nimi prosty, rzymski nos, podbródek kwadratowy, a usta, choć znamionujące siłę, miały w swoim wykroju jakąś łagodność. Był z gołą głową, kapelusz zgubił w tej krótkiej potyczce. Krótko ostrzyżone rdzawobrunatne włosy mierzwił mokry wiatr.

Przyglądając się badawczo jego twarzy Violet uświadomiła sobie, że pod swoimi dłońmi, którymi odruchowo wsparła się o jego tors, czuje gwałtowne bicie jego serca.

Lawendowobłąkitne tęczówki jej oczu pociemniały i skryły się za gęstymi kruczoczarnymi rzęsami.

MęŜczyzna puścił ją nagle.

- Proszę o wybaczenie, szanowna pani - powiedział, odstępując o krok i kłaniając się sztywno.

Jeszcze zanim go usłyszała, spodziewała się obcego akcentu.

- Jestem panu winna wielkie podziękowanie.

- AleŜ skąd. Nic takiego nie zrobiłem. - Rozejrzał się, zauwaŜył swój kapelusz na mokrej jezdni, przejechany kołami powozu. Obok leŜała jej parasolka, ze złamaną rączką i podartym pokryciem, z drutami sterczącymi na wszystkie strony. Deszcz się wzmagał.

- Pani parasol nie nadaje się do niczego, podobnie jak mój kapelusz, ale jeśli pani sobie Ŝyczy, przyniosę go. - Nie, proszę tego nie robić.

- Pani potrzebne jest jakieś schronienie. Pani pozwoli ...

Podał jej ramię i skierowali się w stronę altany.

Pozwoliła się prowadzić bez oporu, podtrzymując rąbek cięŜkiej sukni, która utrudniała szybszy marsz. Ich kroki, najpierw niesłyszalne w miękkiej trawie, rozbrzmiały wyraźnie na kamiennych stopniach altany.

Przemknęli pod strumieniami wody, płynącej ze stromego łupkowego dachu, i znaleźli się w środku. Violet stanęła i odwróciła się ku wyjściu.

Wewnątrz altany było prawie zupełnie ciemno. Ulewa zaciekle dudniła po łupkowych dachówkach, szarpała świeŜe wiosenne listki i rozpryskiwała się na kamiennych stopniach.

Violet wpatrywała się w deszcz jak urzeczona. Przebiegł ją dreszcz, objęła się ciasno rękami. Chłód pochodził gdzieś z jej wnętrza, przecieŜ miała na sobie ciepły Ŝakiet z zielonego aksamitu. Na tkaninie lśniły krople wody. Őciągnęła rękawiczki i zmartwiona

zaczęła strzepywać Śakiet. Aksamit się zniszczy, szkoda byłoby, ma go na sobie dopiero drugi raz, Gilbert nie będzie zachwycony.

MęŚczyzna odezwał się cicho:

- Wiem, Śe to nie uchodzi, ale skoro nie ma tu nikogo, kto by mógł mnie przedstawić, pani łaskawie pozwoli, Śe sam to uczynię. - Skłonił się lekko. Allain Massari, do usług łaskawej pani.

- Winnam panu wdzięczność, jakŚe więc mogłabym odmówić zawarcia z panem znajomości? - odparła, wyciągając ku niemu dłoń w rękawiczce. - Nie jest pan Anglikiem, jak sędzę. MoŚe Francuzem? Lub Włochem?

W jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Moja matka była pół Włoszką, pół Francuzką; mój ojciec Śadnego konkretnego kraju nie uwaŚał za swoją ojczyznę, mieszkał w niejednym, a szczególnie upodobał sobie Anglię.

Ja sam uwaŚam siebie po prostu za Europejczyka.

Czy w ten sposób chciał jej dać do zrozumienia, Śe nie ma prawa do uŚywania nazwiska ojca i posługuje się nazwiskiem matki? Nie mogła zapytać wprost. Tak czy owak, nie miało to większego znaczenia, przecieŚ to jedynie przelotna znajomość. Takie myŚli przebiegały jej przez głowę, gdy nagle zdała sobie sprawę, Śe nie rozmawiają juŚ po angielsku.

- Ach, jak płynnie mówi pan po francusku, m'sieur.

- PomyŚlałem, Śe ten język będzie pani bardziej odpowiadał. CzyŚbym się mylił?

Zaprzeczyła i opowiedziała mu o swoim francuskim pochodzeniu. Po chwili spytała:

- Czy włoski jest panu równie bliski?

- Mam wrodzoną łatwoŚć do języków - powiedział lekko. Popatrzył na jej twarz i zmarszczył czoło. Wyciągnął z rękawa koronkową chusteczkę. - Czy udzieli mi pani jeszcze

jednej łaski?

Ujął ją delikatnie dłonią pod brodę, przechylił twarz lekko w stronę światła.

Chusteczką zaczął troskliwie osuszać krople z policzków, czoła i rzęs.

Violet miała świadomość, że powinna odsunąć się, protestować, ale stała bez ruchu.

Widziała jego ręce, kształtne i wypielęgnowane, choć palce i wnętrze prawej dłoni nosiły wyraźne odciski, zdradzające częsty kontakt z białą bronią. Zaintrygowało ją to. Pozwoliła sobie na badawcze spojrzenie na jego twarz, zwróciła uwagę na zdecydowane rysy i wielkie skupienie na tym, co robił.

Przez chwilę nie zwracał uwagi na jej spojrzenie, nadal zajęty, lecz nagle popatrzył jej prosto w oczy.

To, co stało się potem, wydawało się nieprawdopodobne, lecz równocześnie nieuniknione.

Wypuścił chustkę, która zsunęła się miękko po jej szerokiej sukni i z lekkością płatków śniegu opadła na posadzkę. Wyszeptał miękko jakieś zdanie, jakieś błaganie, a może zaklęcie w języku, którego nie mogła rozpoznać wśród głośnego łomotu jej własnego serca. Z niewiarygodną czułością pochylił się ku niej i dotknął wargami jej warg.

Pocałunek przepełniony był taką łagodną słodyczą, takim uwielbieniem, że wzruszył ją do głębi serca. Płynące z oczu łzy napełniły usta słonym smakiem, wargi pulsowały pod jego wargami, a krew w żyłach zaczęła burzyć się jak musujący szampan. Poczowała się ubóstwiona, dziwnie przemieniona, jakby to, kim i czym była, nie miało już żadnego znaczenia. Jakby odnalazła wreszcie tę cząstkę, której brakowało jej do pełni, jakby ta cząstka trafiła na swoje miejsce i dopasowała się tak, że teraz już nigdy się nie zgubi. Jedyne, co naprawdę się liczyło, to ta chwila i te uczucia, których nikt i nic jej nie odbierze.

Podniósł głowę, wpatrywał się w drżącą, koraloworóżową miękkość jej warg. Powoli,

jakby walcząc z ogromną siłą, odstąpił od niej i oparł się szerokimi ramionami o kolumnę altany. Odwrócił się od niej, chwytając słup z taką siłą, że aś zbieleły mu palce, a konstrukcja altany zatrzeszczała gdzieś w górze.

- Błagam o wybaczenie - wyrzekł urywanym szeptem. - Przysięgam, nie miałem zamiaru uchybić pani. - Nie jestem tu bez winy - powiedziała niemal niesłyszalnie.

Zaprzeczył energicznie.

- Pomyśli pani, że jestem lekkoduchem, który wykorzystał nadarzącą się okazję.

Jeśli nawet skorzystałem z okazji, nie było to zamierzone.

- Rozumiem. - Popatrzyła na jego szerokie ramiona, potem znów na zaciśniętą dłoń.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią, ale nie podszedł bliżej.

- Domyślam się, że gdyby to było ukartowane, posunąłby się pan dalej.

- Zapewne. - W jego głosie zabrzmiała ulga i rozbawienie.

Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę. W końcu Violet odwróciła wzrok i spojrzała na mokry park.

- Jestem zamężna.

Po chwili milczenia odparł:

- Wiem. Widziałem obrączkę.

Violet popatrzyła na swoją rękę, na której lśniła złota obrączka i pierścionek z rubinem i brylancikami, rodowy pierścień zaręczynowy rodziny Gilberta. Zaciśnęła dłoń i założyła ręce na piersi, chowając w ten sposób pierścionek. Przebiegła ją fala gorąca, zastanawiała się, po co mówiła temu człowiekowi o swoim stanie cywilnym, przecież mogło mu to być zupełnie obojętne.

- Gdzie pani mieszka w Londynie? - odezwał się.

- W hotelu - odparła wymijająco. - Zatrzymaliśmy się tu tylko na parę dni, potem

będziemy zwiedzać inne rejony Brytanii, a później przeprawimy się do Francji.

- Oczywiście do Paryża.

Skinęła głową twierdząco. Zapadło milczenie. Deszcz z wolna słabł. Rzuciła mu spod rzęs szybkie spojrzenie intensywnie nad czymś myślał. Przełknęła ślinę i stłumionym głosem powiedziała:

- Mąż mnie oczekuje. Powinam jak najprędzej wracać.

Znajdę pani dorożkę, jak tylko przestanie padać. - To bardzo miło z pańskiej strony.

- To konieczność, choć wolałbym, by było zupełnie inaczej.

Jego głos zabrzmiał jakąś dziwną, głuchą nieodwołalnością. Nadal nie poruszał się jednak. Ona także. Stali, patrząc na siebie rozszerzonymi oczyma, z pobladłymi od napięcia twarzami.

Na zewnątrz deszcz ustawał. Chmury rozwiewały się, pojaśniało. Światło nabrało niesamowitego zielonkawego odcienia, jakby powietrze wypełniała mgła tysięcy drobnutkich szmaragdów. Gdzieś odezwał się ptak przeciągłą wysoką nutą. Nawoływanie pozostało bez odpowiedzi.

Po chwili sadowił już ją w powozie. Violet podała mu adres, żeby powiedział dorożkarzowi, dokąd ma ją zawieźć. Pośegnał ją dość oficjalnie, składając wytworny ukłon, choć oczy miał pociemniałe od śniegu. Skinęła mu głową i uniosła dłoń w geście pośegnania. Obejrzała się, gdy dorożka ruszyła, i widziała, że stoi, wyprostowany i nieruchomy, odprowadzając ją wzrokiem.

Wróciwszy do hotelu, nie zastała tam jeszcze Gilberta.

Podziękowała losowi za tę drobną łaskę. Miała czas się przebrać z pomocą pokojówki i oddać przemoczony aksamitny śakiet do wysuszenia i wyszczotkowania, w nadziei, że uda się go jeszcze uratować. Mogła też zadzwonić po herbatę i mieć chwilę wytchnienia przy

filiŚance gorącego naparu, który - miała nadzieję rozwieje wewnętrzny chłód i ukoi myŚli.

Gdy mąŜ wrócił, siedziała w niebieskim wełnianym szlafroku przed płonącym kominkiem w sypialni. Odstawiła swoją filiŚankę, by i jemu nalać herbaty. Pochylił się, składając na jej czole pocałunek, i przyjął herbatę. Jej dłoń z niewiadomego powodu drŚała, a filiŚanka dzwoniła o spodeczek.

- Jak poszło u meblarza? - zapytała pośpiesznie.

- Nie najlepiej. Większość tych komód i kredensów, które tu robią, projektowana jest do ciasnych klitek, takich jak ten pokój hotelowy. Nie potrafią zrozumieć, Őe potrzebujemy czegoś większego, co pasowałoby do wysokich i przestronnych pomieszczeń, jakie wolimy u nas w Luizjanie. Tutaj uwielbiają małe, zamknięte przestrzenie, które łatwo ogrzać. W naszym upalnym klimacie potrzebujemy większych przestrzeni.

- PrzecieŜ mają Indie, gdzie panuje podobny klimat ...

- Ach, ci Anglicy. Im się wydaje, Őe to Indie dostosują się do ich upodobań, w tym wypadku do ich mebli, a nie na odwrót.

- Ale przecieŜ robią piękne inkrustowane stoliki, orientalne parawany, nie mówiąc juŜ o porcelanie.

- To nie meble, to tylko bibeloty. Będziemy musieli poszukać jakichś starszych rzeczy, pochodzących z wiejskich rezydencji. Te powinny być bardziej odpowiednie.

- Doskonały pomysł - powiedziała, wiedząc, Őe tego się po niej spodziewa.

Sączył przez chwilę herbatę.

- Ale moŜe lepiej będzie pojechać od razu do Francji? Tutaj jest taki tłok i bałagan w portach, Őe moŜe być kłopot z wysłaniem mebli do Luizjany. Wszystko przez tę wojnę, pierwszeństwo mają dostawy dla sił zbrojnych w Turcji i na Morzu Czarnym. I nie zanosi się na szybki koniec.

Violet wiedziała, że jej małżonek żywo interesuje się rozwojem wypadków na Krymie. Przywódcy Wielkiej Brytanii, Francji, Austrii i Prus wystąpili przeciwko rosyjskiemu carowi Mikołajowi I, który próbował opanować Turcję, „chorego człowieka Europy”. Każdego ranka Gilbert wychodził po gazetę, by przeczytać najnowsze depeche. Ostatnio była tam mowa o wylądowaniu w czarnomorskim porcie Warna sił brytyjskich i francuskich, których zadaniem miała być obrona Konstantynopola przed atakiem rosyjskim.

- Myślisz, że dojdzie do walk? - zapytała.

- Anglików ogarnął duch bojowy. Wygląda na to, że Aberdeen ze swoim gabinetem będzie musiał zarządzić inwazję Krymu, choćby po to, by zadowolić opinię publiczną.

- Dojdzie do ataku na rosyjską bazę marynarki wojennej w Sewastopolu?

- Właśnie. - Gilbert uciął dalszą rozmowę na ten temat. Irytowało go, gdy wykazywała nadmierną, jak uważał, znajomość tematów uznawanych przez niego za męskie.

Violet wiedziała o tym, lecz ciągnęła:

- Skoro Anglię i Francję wiąże sojusz, to z wysłaniem mebli z portów francuskich mogą być te same kłopoty.

- Napoleonowi III nie zależą tak bardzo na osłabieniu Rosji, więc we Francji przygotowania wojenne nie odbywają się na taką skalę. Nie będzie problemu, jeśli nie będziemy tu marudzili zbyt długo.

Violet pochyliła głowę.

- Nie mam nic przeciwko temu, oczywiście, ale przecież planowaliśmy zobaczyć tu tyle rzeczy: Bath i Brighton, Okręg Jezior, że nie wspomnę o Szkocji i Walii.

- Zawsze możemy tu wrócić, na przykład pod koniec roku, kiedy działania wojenne osłabną i armia uda się na zimowe kwatery. A jeśli chodzi o Bath, to możemy zboczyć trochę z trasy i pojechać tam. Pobyt u wód jest ci tak potrzebny, że możemy pozwolić sobie na

niewielką zwłokę.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Violet, choć głos jej zabrzmiał głucho.

- A jak ci minął poranek, ma chere? Znalazłaś materiał, którego szukałaś?

Opowiedziała mu o zakupach, a takŜe o tym, Őe omal nie przejechała jej doroŜka, i o małym parku, gdzie znalazła schronienie przed deszczem. Nie wspomniała jednak o męŜczyźnie, którego poznała. Gilbert był człowiekiem wraŜliwym, potrafił wiele zrozumieć, bywał jednak Őe szaleńczo zazdrosny. Woląa więc nie ryzykować, Őe zostanie przyparta do muru i będzie musiała wyjawic szczegóły.

Przyglądała się uwaŜnie stojącemu przed nią męŜowi.

Po blisko siedmiu latach małŜeństwa wciąż miała wraŜenie, Őe prawie go nie zna.

NaleŜał do ludzi zamkniętych w sobie, niełatwo było wejść z nim w zaŜyłość.

Częściowo odpowiedzialna za to była, jak podejrzewała, róŜnica wieku: Gilbert był starszy od niej o prawie dwadzieścia lat. Czasami zdawało jej się, Őe uwaŜa ją za dziecko, za kogoś, kogo trzeba prowadzić za rączkę i chronić przed wpływami z zewnątrz.

Gilbert Fossier był człowiekiem zamoŜnym, właścicielem ogromnych plantacji trzciny cukrowej i bawełny, magazynów i parostatków, a takŜe rozległych terenów na Vieux Carre w Nowym Orleanie. Po raz pierwszy oŜenił się w młodym wieku, ale owdowiał w trakcie jednej z nawracających co parę lat epidemii Őóltej febry. Całą energię Őyciową skierował potem na gromadzenie majątku, aŜ zobaczył Violet na jej debiutanckim balu. Jeszcze tego samego wieczoru odbył rozmowę z jej ojcem i uzyskał zgodę na konkury.

Violet nie przeciwstawiała się temu związkowi.

Wprawdzie miała dopiero siedemnaście lat, lecz nie była dziewczyną płochą. Gilberta uznała za człowieka wartościowego, solidnego, a i przystojnego z tymi kruczoczarnymi włosami przyprószonymi na skroniach srebrem. Pochlebiało jej, Őe męŜczyzna o takich

wpływach i takim majątku wybrał właśnie ją; od dzieciństwa uczono ją doceniać te wartości, które reprezentował. Sprawiał wrażenie człowieka mądrego i dobrego, pewnego siebie i opanowanego, zwłaszcza w porównaniu z niezgrabnymi i krewkimi jej rówieśnikami.

Posłusznie, a nawet skwapliwie przyjęła więc pierścionek zaręczynowy.

Potem przyszła noc poślubna, podczas której okazało się, że Gilbert wcale nie jest opanowany, że sam widok Jej koszuli nocnej wprawia go w drżenie. Jego posiadanie było ogromne, a niecierpliwość jeszcze większa: popchnął ją na łóżko i posiadł w gwałtownym pośpiechu, sprawiając jej przy tym wiele bólu.

Z czasem miało być lepiej, tak przynajmniej twierdziła jej matka. Jednak nic takiego się nie stało. Za każdym razem, kiedy czuła lekkie drgnięcie własnej namiętności w odpowiedzi na mężczyźni posiadanie, on reagował takim rozgorączkowaniem, że było po wszystkim, nim na dobre się zaczęło. Jej mąż wiedział o tym i, zdawało się jej, śmiał tego, ale nie robił nic, by cokolwiek zmienić. W rezultacie przestała nawet starać się czerpać z mężczyźni posiadania satysfakcję; po prostu znosiła te akty i z zadowoleniem witała ich zakończenie, kiedy pozostawała sama w swojej sypialni i mogła zasnąć.

Nie miała jednak wątpliwości, że Gilbert ją kocha.

Darzył ją uczuciem posiadacza, potrafił godzinami robić jej wymówki, gdy uśmiechnęła się do jakiegoś mężczyzny, którego jej przedstawiano, potrafił paść na kolana u jej stóp i błagać, by zapewniała go, że go kocha, jeśli tylko zauważył, że ktoś się za nią obejrzał.

Był miły i hojny, ale miał skłonności do tyranizowania.

Posiadł rozległą wiedzę, ale nie tolerował kwestionowania swoich opinii. Jego przekonanie o własnej słuszności przeradzało się niekiedy w upór. Po ślubie przytył, miał teraz wyraźny brzuszek, a włosy mu posiwiały i przeredziły się nad czołem. Piwne oczy

chowaly się coraz głębiej pod obwisłymi powiekami, a w wyrazie twarzy zaczął dominować cynizm.

Patrzył teraz na nią spod półprzymkniętych powiek z zainteresowaniem, a może i podejrzliwością. Serce zaczęło jej łomotać w piersi, więc skupiła się na herbacie. Myliła się co do jego intencji.

Wziął jej z ręki filiżankę ze spodeczkiem i odstawił na półeczkę nad kominkiem. Chwycił ją za rękę i pociągnął ku sobie.

- Zdziwiłem się, widząc cię w tym szlafroku wczesnym popołudniem, ma chere.

Zmartwiłem się, że może źle się czujesz. Cieszę się, że jest inaczej.

Violet szeroko otworzyła oczy, gdy przez wełnianą tkaninę pogłaskał wypukłość jej piersi.

- Ależ, Gilberte - powiedziała pośpiesznie. - Hermina może się poczuć lepiej, wstanie i przyjdzie tutaj. - Nie wejdzie bez pukania.

- Ale zdziwi się, że siedzimy za zamkniętymi drzwiami.

- A co to ma za znaczenie? Poza tym wie przecież, że wyjechaliśmy w tę podróż między innymi po to, żebyś wreszcie poczęła dziecko.

Temu nie można było zaprzeczyć. Hermina, kobieta o bujnym temperamentem, bez wątpienia zaaprobowałaaby to z całego serca. Uważała, że jej pani ma naturę zbyt chłodną i dlatego jeszcze nie poczęła potomka.

Herminie zależało na tym, by jej pani urodziła dziecko, bo fakt ten podniósłby jej prestiż jako osobistej służącej matki dziedzica fortuny Fossierów. Po kilku latach bezowocnego oczekiwania nadzieje Herminy nieco przygasły, ale obudziły się na nowo, gdy zaczęło się mówić o podróży do Europy. Pobyt u wód, lecznicze kąpiele w Bath albo Wiesbaden z pewnością przyniosą spełnienie jej codziennych modłów. A jeśli i one nie

pomogą, to zawsze zostaje jeszcze Lourdes. Hermina bardzo wierzyła w dobroczynne działanie wód i w święte miejsca, zwłaszcza jeśli Gilbert będzie robił to, co do niego należało. Jego udział - tłumaczyła to Violet bez cienia uśmiechu - ma zasadnicze znaczenie.

Również sama Violet bardzo chciała mieć dziecko.

Miałaby wreszcie kogoś, kogo mogłaby kochać - ciepłą, małą istotkę, która wzajemnie darzyłaby ją bezgraniczną miłością. Troska o nią wypełniłaby pustkę codzienności i dostarczyła wymówki, pozwalającej uniknąć nocnych wizyt Gilberta.

Małżonek poprowadził Violet po dywanie w dół z rózgi ku wielkiemu łóżku ze złotobrązowym jedwabnym baldachimem. Rozpiął jej szlafrok i powoli zsunął go z jej ramion, tak że została w samej bieliźnie. Weszła po niskich schodkach i ułożyła się na materacu, a on tymczasem pośpiesznie zdjął surdut, spodnie i buty, zerwał krawat, po czym rzucił z siebie kamizelkę i koszulę, zostając jedynie w kalesonach, i położył się obok niej.

Violet leżała potulnie, gdy Gilbert rozpinał rząd guziczków jej stanika i rozkładał

szeroko jego poły. Poczula na piersiach gorące wargi mężczyzny, które ssały i skubały jej sutki z bolesną natarczywością. Wydała z siebie cichy odgłos sprzeciwu, ale on szarpnął tasiemkę jej majtek i zsunął je z bioder.

Zwalił się na nią i gwałtownie wdarł do środka.

Ułożyła się tak, by mu to ułatwić, a sobie oszczędzić bólu. Szarpał się nad nią szybko i gwałtownie, a łóżko skrzypiało, a baldachim chwiało się rozpaczliwie. Potem, nieomal w sekundę po tym, jak zaczął, opuścił głowę i przyssał się ustami do jej warg, z równoczesnym głębokim pchnięciem lędźwiami.

Violet nie mogła złapać tchu, nie mogła się poruszyć przygnieciona jego ciężarem. W tym momencie udręki i niemal rozpaczy zobaczyła nagle oczami duszy twarz Allaina Massariego. Do oczu napłynęły jej łzy zrodzone z poczucia bezgranicznej samotności, której

w sobie nawet nie podejrzewała. Tłoczyły się pod powiekami, domagając się ujścia.

Bezgłośnie zawołała jego imię, słyszała, jak odbija się echem w jej duszy, a palący strumień łez znalazł wreszcie ujście i popłynął po twarzy, wsiąkając we włosy.

Następnego ranka na tacy ze śniadaniem, przyniesionej i pozostawionej przez pokojówkę pod drzwiami, leżała gałązka bzu. Tacę wniosła Hermina, podała ją Violet do łóżka i zajęła się odsłanianiem rolet w oknach.

Gilbert, ranny ptaszek, poszedł już na swoją poranną przechadzkę po gazetę.

Śniadanie jadał na mieście znajdował upodobanie w obfitych angielskich śniadaniach, uznając posiłki w hotelu za zbyt skromne.

Violet usiadła i z apetytem zabrała się do ciepłych rogalików z masłem i kawy, które składały się na jej poranne menu.

Wolałaby mocną francuską kawę ze śmietanką, ale była to rzecz w Londynie nieosiągalna, więc musiała zadowolić się słabym naparem z dużą ilością mleka.

Mieszała kawę w filiżance, gdy jej wzrok padł na bez.

Odłożyła łyżeczkę i wzięła do ręki gałązkę. Na kiści koloru lila lśniły jeszcze krople rosy, od kwiatów niosła się woń świeża i słodka jak pierwszy powiew wiosny. Zanurzyła w nich twarz, wdychając głęboko ten zapach przywołujący na jej wargi rozkoszny uśmiech.

Wtedy dopiero zauważyła bilecik, wsunięty pod gałązkę.

Sentymentalny gest, zupełnie nie w stylu Gilberta.

Poczuła coś w rodzaju zakłopotania, szybko złamała pieczęć.

Bilecik nie był od Gilberta.

Nie było na nim podpisu ani żadnej wiadomości, jedynie parę wersów, skreślonych zdecydowaną ręką.

Mogą się tak stać miarą miłości:

śaden kwiat bardziej nie będzie stosowny, żeby wyrazić miłosne wyznanie.

W alkowach Wschodu na ich moc się liczy, Będą rozmyślać nad tym młode panie -

*

W kwiatach czy w ich znaczeniu więcej jest słodczy .

Rozpoznała, kto to napisał. Elizabeth Barrett Browning, autorka „Sonetów z portugalskiego”.

Zrozumiała też ukryte znaczenie wiersza.

Poszukała resztek woskowej pieczęci na tacy. Pozbierała kawałki i skrupulatnie złożyła je w całość. Tak. Godło ze szpili od krawata, którą zauważyła wczoraj u Allaina

* Fragment wiersza Elizabeth Barrett Browning A Flower in a Letter w przekładzie Ludmiły Marjańskiej (przyp. tłum.).

Massariego. Feniks w koronie z liści wawrzynu odcisnął się w wosku wyraźnie.

Tak.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i odetchnęła powoli, przygryzając dolną wargę.

Zapamiętał hotel, dowiedział się, który pokój zajmuje z Gilbertem. Musiał być tutaj, tuż za drzwiami, przed chwilą, pewnie rozmawiał z pokojówką.

Tak, zrozumiała dobrze. Gałązka bzu.

W języku kwiatów, tak ukochanym przez Szekspira, a ostatnio wskrzeszonym przez wielkich romantyków, bez miał specjalną wymowę. Oznaczał pierwszą miłość.

ROZDZIAŁ V

Cztery dni później Violet w towarzystwie tragarzy, niosących kufry i skrzynie, schodziła do westybulu. Gilbert polecił jej czekać, a sam nadzorował załadunek bagaży na zaprzężony w dwójkę krzepkich koni wóz, który miał je zawieźć na stację kolejową.

- Jesteś pewna, Hermino, że nic nie zostawiliśmy?

- Tak, mam'zelle. - Na ciemnej twarzy Herminy malowała się bezgraniczna

cierpliwość - dopilnowałam wszystkiego jak najstaranniej.

- Zapakowałaś koszulę nocną, którą zostawiłam w garderobie?

- Tak, mam'zelle. Wzięłam teŜ szkatułkę z wonnościami, płynami i pomadami. A takŜe biŜuterię. Proszę się nie niepokoić, mamy wszystko.

W głosie słuŜącej brzmiał spokój, ale takŜe cień zmęczenia. Violet poczuła wyrzuty sumienia. Hermina miała się lepiej, ale nadal kaszłała mocno. Nie naleŜało jej przemęczać.

Violet tym razem wyjątkowo dotkliwie cierpiała na Reisejieber. Zazwyczaj bywała bardziej opanowana przed podróŜą.

Nieswojo czuła się juŜ od paru dni. Po pierwsze dostała okres, i ten dowód, Őe po raz kolejny nie udało się jej zajść w ciążę, przygnębił ją bardzo. Poza tym Gilbert odmówił przesunięcia terminu wyjazdu, argumentując, Őe bilety są juŜ kupione, a ponadto jazda w wagonie kolejowym niczym nie róŜni się od siedzenia w hotelu. Nie rozumiał, ile trudności i niewygód niesie ze sobą korzystanie z ciasnej toalety w pociągu.

Zasadnicza sprawa polegała jednak na tym, Őe po prostu nie miała ochoty wyjeŜdŜać z Londynu. W odpowiedzi na dociekania męŜa musiała przyznać, Őe zwiedziła juŜ wszystkie waŜniejsze zabytki i historyczne miejsca, widziała główne muzea i galerie sztuki, wypića dość angielskiej herbaty. Nie potrafiła podać Őadnego racjonalnego powodu, dlaczego nie miała ochoty wyjeŜdŜać.

Powód jednak był. Tego Gilbert nie mógł się dowiedzieć. Sama przed sobą nie bardzo mogła się przyznać. Dla zamęŜnej kobiety nic dobrego nie mogło wyniknąć z faktu, Őe wypatruje człowieka, którego spotkała raz, w zalanym deszczem parku.

Nic nie mogła na to poradzić. Czyniła sobie gniewne wymówki, Őe myśli bez przerwy o tych paru idyllicznych chwilach, i tysiące razy przysięgała sobie, Őe więcej juŜ nie będzie.

Tłumaczyła sobie, że jest niemądra, że dla Allaina Massariego był to nic nie znaczący epizod, ot, przelotny flirt. Próbowwała być miła i posłuszna mężowi i znaleźć jakieś jasne strony w oczekujących ją długich latach pośycia małżeńskiego.

Wbrew wszelkim wysiłkom jej umysł wracał nieustannie do słów, jakie powiedzieli sobie z Allainem, do obrazu jego twarzy, gdy ją trzymał w ramionach, i do wyrazu smutku w jego oczach, gdy się rozstawali.

Zatrzymała sobie zwiędły i wyblakły już bez - był w kufierku, ściśnięty między kartami jej diariusza, tam gdzie zapisała mowę kwiatów, wszystkie znaczenia, jakie mogła sobie przypomnieć. A bukiet bratków, który znalazła na tacy dzisiaj rano, przypięła do kołnierza swojej podróżnej peleryny.

Bratki: „Jesteś w moich myślach”.

W głębi pomieszczenia, za kolistą otomaną i palmami w doniczkach, ustawionymi rzędem w poprzek westybulu, stał tyłem do niej mężczyzna i rozmawiał z boyem hotelowym w liberii. W okrytej rękawiczką dłoni trzymał brązową bobrową czapkę. Skrojony z elegancką prostotą płaszcz z wielbłądziej wełny, o linii wylansowanej przez małżonka królowej Wiktorii, Alberta, leżał na jego mocno zbudowanej sylwetce bez zarzutu. Elegancji dodawał futrzany kołnierz i klapy. W trakcie rozmowy zmienił odrobinę pozycję, odwrócił głowę i z leciutkim uśmiechem popatrzył prosto na Violet.

Allain.

Violet zapało dech, a dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. Spojrzenie, które jej rzucił, było przelotne, trwało zaledwie moment, ot, zwyczajny rzut oka przez zatłoczony westybul, ale Violet odebrała je jak najintymniejsze wyznanie. Zrozumiała, że on ją obserwuje, że jest świadomy jej obecności, odkąd tylko się pojawiła, że cieszy się na jej widok.

Fala gorąca oblała ją od stóp do głów. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, równie

odruhowego jak gwałtowne bicie serca. Rozkoszna, podstępna radość ogarnęła wszystkie jej zmysły i rozlała się pieśnią w jej Śyłach, choć spojrzenie wbiła skromnie w podłogę, by to ukryć.

O mój BoŜe. Tak nie wolno. To niewłaściwe, niemądre. Ale teŜ cudowne, jakby obudziła się ku rozkoszy z długiego snu bez marzeń.

Musi porozmawiać z Allainem Massarim. PrzecieŜ nie ma nic złego w ostatecznym poŜegnaniu. Los zetknął ich na moment, a teraz prowadzi w przeciwnie strony, nigdy więcej juŜ się nie ujrzą. Pewnego dnia będzie się tylko uśmiechać na wspomnienie niewinnej londyńskiej przygody.

- Zostań tutaj, Hermino. Pójdę zobaczyć, co się dzieje z Gilbertem.

Ruszyła z szelestem spódnic. Sięgnęła ręką do wpiętego w klapę bukiecika bratków w maleńkim cynowym uchwycie do kwiatów, ze zbiorniczkiem zawierającym odrobinę wody. Gdy zbliŜała się do grupy, w której stał Allain, nacisnęła mocno kciukiem zapinkę uchwytu. Bukiecik wysunął się i upadł na podłogę.

Zatrzymała się, krzyknąwszy lekko z udawanym zaskoczeniem, i pochyliła się, jakby chciała przyklęknąć i podnieść kwiaty.

Allain był szybszy. Podskoczył i zgrabnie podniósł bukiecik, po czym wręczył go z ukłonem pełnym gracji. - Dziękuję - powiedziała prawie niesłyszalnie. Miałam nadzieję ...

- Jestem pełen podziwu dla przemyślności pani. Oczy rozbłyły mu radością. -

Odchodziłem od zmysłów, nie wiedząc, jak mam się do pani zbliŜyć.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, choć szybkość, z jaką zareagował, nappełniła ją ciepłem.

- Chciałam się tylko poŜegnać. Dziś wyjeŜdŜamy do Bath. Będziemy tam dwa tygodnie. Potem wyruszamy prosto do ParyŜa.

- Ach, więc wkrótce.

- Te przygotowania do wojny ...

- Tak. - Przerwał, po czym odezwał się z wahaniem w głosie: - Myślałem o pani pobycie w Paryżu. Zastanawiałem się ... Czy pani małżonkowi nie przyszło do głowy, by zamówić podobiznę pani?

- Podobiznę?

- Portret. Gdzieś lepiej to uczynić niż w Paryżu? Jako malarza polecam Delacroix. To nie tylko utalentowany portrecista, ale także mój drogi przyjaciel.

- Delacroix? Ceniony jest raczej jako batalista, no i malarz odalisek w haremie. - Pod zdziwieniem w jej głosie brzmiała lekka nutka dezaprobaty.

- Rzeczywiście. Ale maluje również piękne studia portretowe, kiedy mu przyjdzie ochota. Ma dobrą pozycję materialną, jest naturalnym synem Talleyranda, wie pani, więc może sobie pozwolić na to, żeby wybierać, co chce malować. To prawda, że gardzi malowaniem mdłych dam z towarzystwa, więc będzie pani musiała pójść do jego studia, żeby go namówić na portret. Ale jak tylko panią zobaczy, będzie urzeczony.

- Przeraża mnie pan.

- Nie miałem zamiaru. W śladnym razie.

Przewycięszy bolesny skurcz w piersi.

- Skoro ... skoro nasze drogi rozchodzą się, by już nigdy się nie przeciąć, proszę przyjąć życzenia wszystkiego najlepszego.

- Już nigdy? - powtórzył w zamyśleniu. - O nie, cara mia, to słowo dla nas nie istnieje.

Ujął jej dłoń i lekko musnął wargami. Spojrzał po raz ostatni z obietnicą w oczach i odwrócił się w samą porę, bo do westybulu wkroczył Gilbert. Zanim małżonek do niej doszedł, Allain zajął się ożywioną rozmową z konsjersem.

- Z kim rozmawiałaś? - Gilbert rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Allaina.

- Z nikim. - Violet nawet nie spojrzała w tamtą stronę, zajęta przypinaniem kwiatów. -

Jakiś miły pan pomógł mi podnieść bukiet, który wypadł mi na podłogę.

Gilbert spojrzał na elegancką sylwetkę Allaina i przez jego oblicze przemknął cień niezadowolenia, lecz nie dodał nic więcej. Wezwał gestem Herminę, podał Violet ramię i wyprowadził ją z hotelu.

JuŜ prawie w drzwiach Violet obejrzała się. To nie było rozsądne, wiedziała o tym, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Allain patrzył za nią. Pełnym wdzięku gestem położył dłoń na sercu i pochylił głowę w leciutkim ukłonie. W smutku, który malował się na jego twarzy, była tęsknota i niepewność. Ale nie rezygnacja.

* * *

On, Allain Massari, jest głupcem. To zbrodnia wplątywać się w historię z tą piękną Amerykanką, powinno się go zastrzelić jeśli nie za bezmyślność, to za bezczelność. Ale ona jest taka urocza, taka śliczna, tak wspaniale było trzymać ją w ramionach. Nie mógł się powstrzymać.

Chciałby ją chronić za wszelką cenę, ale nienawidzi tych wszystkich środków ostroŜności. Najchętniej po prostu porwałby ją do Wenecji. Tam we wspaniałym palazzo nad skąpanymi w blasku księŜyca wodami laguny mógłby ...

Lecz nie. To niemoŜliwe.

GdybyŜ to mąŜ był jedyną przeszkodą, moŜna by się jeszcze ośmielić.

Ale są inne sprawy. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego, po co mu te wszystkie komplikacje, te niebezpieczne przedsięwzięcia? Ci głupcy, którzy chcą go namówić, nie uwierzyliby. Wciągnęli go w to wbrew jego woli. A moŜe wciągnął go ojciec, juŜ dawno

temu?

Wyplącze się z tego. A potem, kto wie, co się może stać? To zależy od rozwoju wypadków w Paryżu. A to z kolei od woli i odwagi Violet. Co za cudne imię dla niej, dla tej nieśmiałej i słodkiej istoty. Skromność. Tak, jej imię oznacza fiołek, a fiołek w mowie kwiatów to skromność. Ale czy skromność będzie jej potrzebna? Na pewno nie.

* * *

Pobyt w Bath wydał się Violet ponury i nudny, może z powodu deszczu, który siąpił bezustannie, uniemożliwiając spacer, które tak lubiła. Wypijała codziennie zalecone jej trzy szklanki słonawej wody mineralnej w domu zdrojowym, z Gilbertem u boku, który pilnował, by nie uroniła ani kropli. Zamoczyła palce w Łażni Królewskiej, obejrzała głowę Minerwy, zwiedziła kilka grobowców kuracjuszy z dawnych wieków, którym wody nie pomogły.

Podziwiała słynną katedrę z łukowatym sklepieniem, oglądała ruiny rzymskiego akweduktu, odbyła przejażdżkę po mieście i okolicy, oglądając po drodze rezydencje słynnych osobistości, w tym dom Ludwika Napoleona - kiedy przebywał na wygnaniu znanego obecnie jako Napoleon III.

Wszystko ją drażniło, począwszy od wilgotnego chłodu, przyprawiającego o dreszcze, i jedzenia bez smaku, do monotonnego głosu męża, który odczytywał jej kolejne fragmenty ze świeżo nabytego bedekera. Prawdę mówiąc, wszystko w Gilbertcie ją irytowało: i używanie brylantyny, przez którą jego włosy wyglądały jak przylizane, i siorbanie porannej kawy, i jego pedanteria i skrupulatność w codziennych czynnościach, a zwłaszcza w wieczornym układaniu się do snu.

Przyczyny tego stanu rzeczy stałyby się dla niej oczywiste, gdyby tylko dopuściła je do myśli. Ale broniła się przed tym. Dobrze wychowana młoda dama, mężatka, nie mogła nawet spojrzeć na innego mężczyznę, a cóż dopiero marzyć o nim. A już porównywanie męża

z jakimkolwiek innym osobnikiem to czynność absolutnie niedopuszczalna i uwłaczająca godności własnej oraz małżonka. Kobieta powinna poświęcić się całkowicie domowi, dzieciom i rodzinie, a pocieszenia szukać - gdyby to było konieczne - jedynie w kościele. Znała zasady, wpajano je jej od kołyski; złamanie ich było nie do pomyślenia.

Tymczasem codzienny kołowrotek zajęć sprawiał, że miała ochotę krzyczeć, a noce wyzwalały w niej chęć jawnego buntu.

Gilbert, gdy minęła jej miesięczna przypadłość, postanowił, jak się zdaje, niezwłocznie sprawdzić skuteczność zdrojów Bath w pobudzaniu płodności. Nie tylko odwiedzał ją w łóżku co wieczór, ale zostawał często do rana, budząc ją za każdym razem, kiedy poczuł przypływ sił witalnych. Była obolała od zbyt częstych zbliżeń i załamana psychicznie. Bezsenne noce, wypełnione oczekiwaniem na kolejny raz, sprawiły, że pod jej oczami pojawiły się ciemne kręgi. Modliła się, żeby mąż nie mógł już wypełniać obowiązków małżeńskich, żeby wyczerpał się wreszcie, żeby dostrzegł jej brak zapału i dał jej spokój, modliła się, by jak najprędzej zajść w ciążę i mieć wymówkę.

Modlitwy nie pomagały.

Ale pewnej nocy odkryła coś, co pomogło.

Gilbert właśnie sięgnął do jej piersi i objął ją dłonią.

Czuła ten gorący dotyk, a przez jej głowę przemknął obraz Allaina i pojawiło się mgliste pytanie, co by było, gdyby to była jego ręka, jak by to było, gdyby to on leżał teraz obok niej. Jak on by jej dotykał, co by szeptał jej do ucha, co by robił z nią w tym łóżku. A gdy Gilbert uniósł się nad nią, wyobraziła sobie, że to Allain rozchyła jej uda, że to jego gorącą moc przyjmuje w siebie, że to jego ramiona trzymają ją w stalowym uścisku.

Westchnęła głośno oblana nagłą falą przyjemności i zaczęła poruszać się rytmicznie, instynktownie dopasowując się do tempa stosunku. Poruszała się jeszcze przez dłuższą

chwile, goniąc za nieuchwytną rozkoszą, przeczuwaną, lecz niedostępną, mimo że Gilbert już przestał. Po chwili zsunął się z niej, odwrócił i usiadł na łóżku. Potem rozległy się jego ciężkie kroki i odgłos zamykanych drzwi do sąsiedniej sypialni.

Violet leżała wpatrując się w ciemność, starając się unormować oddech, a tak czekała, aż zamęt w jej głowie przerodzi się w bolesne wyrzuty sumienia. Tymczasem nic takiego się nie stało. Jej drżące wargi rozchyliły się powoli w uśmiechu. Potem przyszły łzy, zrodzone z głębokiej samotności, której dłuższej nie było sensu zaprzeczać.

Do rana wzięła się jednak znowu w garść. Twarz miała pobladłą, ale w sposobie, w jaki trzymała teraz głowę, pojawiła się jakaś nowa pewność, a w spojrzeniu śmiałość. Podczas śniadania, gdy siedzieli z Gilbertem przy stole nad czerstwymi bułeczkami i letnią kawą, zastanawiała się, jak nawiązać do tematu, który opanował jej myśli. Mąż nie ułatwiał zadania, był wyjątkowo milczący, sprawiał wrażenie niemal skrepowanego jej towarzystwem. W końcu, widząc, że posiłek dobiega końca, odezwała się:

- Myślałam dziś rano o Paryżu. Wiesz, nagle zapragnęłam już tam być.

- Ledwie parę dni temu byłaś niechętna wyjazdowi z Anglii.

- Owszem. Kobieta zmienną jest, prawda? - zaczęła. - Doszłam do wniosku, że meble francuskie najbardziej będą mi odpowiadały, jeśli uda ci się znaleźć coś ładnego.

Cudownie byłoby, gdybyśmy mogli wyruszyć już dzisiaj.

- To niemożliwe. - Gilbert spojrział na nią uważnie, po czym znowu odwrócił wzrok.

Wyjął z kieszeni długą czarną cygaretkę i obracał ją w palcach, nie zapalając.

- Może więc jutro? Wszyscy w Nowym Orleanie opowiadają cuda o Paryżu. Chyba każdy prócz mnie już tam był, a ja mam dosyć wysłuchiwania opowieści o sklepach, teatrach, wspaniałościach dworu Napoleona i Eugonii; chciałabym to zobaczyć na własne oczy. Nie mogę się doczekać spaceru po Rue de Rivoli albo po Tuileries. I mam wielką ochotę

zamówić sobie portret.

- O podobiznie mogłaś powiedzieć wcześniej. Załatwiłbym ci w Londynie tę nowinkę, fotografię.

- Ale one nie są kolorowe. I są małe. Znacznie bardziej odpowiada mi obraz olejny.

- Na to trzeba czasu. - Gilbert zdecydowanie sprzeciwił się pomysłowi. - Lepiej byłoby to zrobić w Nowym Orleanie, jest w mieście paru artystów, którzy byliby zachwyceni takim zamówieniem.

- Nędzni pacykarze - powiedziała z bezlitosną pogardą, chociaż nic o nich nie wiedziała. - Na pewno nie chciałbyś, żeby w pięknym salonie wisiał jakiś bohomaz.

Gilbert wydał wargi. Otulił się szczelniej jedwabną bonetką i powiedział tylko:

- Ciągnie od okien. Zaziębę się.

- Całkiem możliwe - zgodziła się i dodała z udaną prostodusznością: - Przecież Anglia słynie z niezdrowej pogody, nieprawda? Ale wracając do portretu, słyszałam, że najlepszy z portrecistów jest Delacroix, chociaż wątpię, żeby udało się nam go zaangażować. Powiadają, że przebiera w klientach według swojego widzimisie.

- Z pewnością moje pieniądze pomogą mu zapomnieć o swoim widzimisie - odparł z ironią w głosie.

Violet zawahała się, rozradowana w duchu, że jej podstęp się udaje, trzeba jeszcze tylko paru właściwych słów. Spuściła wzrok.

- On będzie chyba strasznie drogi.

- Najlepsze musi kosztować.

- Na lato może wyjechać z Paryża. Podobno wiele podróżuje, szukając nowych krajobrazów do uwiecznienia.

Gilbert ściągnął brwi i zastanawiał się przez chwilę.

- Coś jest w tym, co mówisz. Może rzeczywiście powinniśmy się stąd ruszyć.

Violet nie podnosiła wzroku. Wzięła dzbanek i nalała sobie do filiżanki ostatnią porcję wodnistej kawy. Odpowiedziała cicho:

- Będzie, jak zechcesz, oczywiście.

Gilbert przysunął bliżej krzesło. Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń, gdy odstawiała dzbanek.

- Mnie tak będzie bardzo miło pojechać do Paryża.

Byłem tam w młodości i bawiłem się świetnie. Wiem, że tobie też się spodoba. A co do portretu, ma chere, to jesteś tak piękna, że zasługujesz na najlepszy.

Komplementy nie przychodziły łatwo jej mężowi.

Poczuła mimo woli wzruszenie, przez moment targały nią sprzeczne uczucia. Ale był jej daleki. Zaszła w niej jakaś dziwna zmiana. Już nie zależało jej na tym, co o niej myśli, nauczyła się na niego świadomie wpływać, wyrwała się spod jego władzy. Zyskała odrobinę wolności.

ROZDZIAŁ VI

Rone, podążając za Jolettą w bezpiecznej odległości poprzez podziemny labirynt muzeum w Bath, myślał o tym, że chyba odnalazł swoje powołanie. Lubił śledzić kobiety, a przynajmniej tę kobietę. Bez trudności wyławiał z tłumu jej sprężyście chód, połysk włosów w przyćmionym świetle domu zdrojowego, czystą linię profilu, gdy stała wpatrując się w głowę Minerwy.

W odróżnieniu od zwyczajnych turystów nie przeskakiwała szybko od gabloty do gabloty, nie zaliczała pośpiesznie kolejnych punktów programu zwiedzania, by co rychlej przejść do sklepów czy restauracji. Joletta uważnie czytała opisy, robiła notatki w bloku, który wyciągnęła ze swojej zadziwiająco dużej torby, przewieszanej przez ramię. Od czasu do

czasu zatrzymywała się na dłużej, zamykała oczy, jakby nasłuchiwała plusku i szumu wód, które przepływały przez Bath od stuleci. Wyraz przyjemnego podniecenia na jej twarzy wywoływał u niego myśl, jak to by było, gdyby mógł ujrzeć ten wyraz twarzy w innej, bardziej intymnej sytuacji.

Wczoraj wieczorem miał ją prawie w ramionach.

Z całych sił musiał się powstrzymać i wyszedł z jej pokoju. Nie miał prawa do niczego więcej.

A nawet gdyby miał prawo, byłoby idiotyzmem ulec impulsowi. Takie instynktowne odruchy przytępiają czujność i jasność umysłu. A on musi skupić się na zadaniu. Tak czy owak.

Zobaczył, jak Joletta wyciąga monetę przy Źródle Minerwy, i - jak czyniły to niezliczone rzesze przed nią, od czasów starożytnych Rzymian - wrzuca ją do szemrzącej wody.

Beś pośpiechu zbliżył się i stanął obok niej.

- Chce pani, żeby spełniło się jakieś jej życzenie?

Odwróciła głowę, zaskoczona, z pytającym spojrzeniem. W mgnieniu oka jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Rzecz jasna - odparła.

- Wierzy pani Minerwie?

- Tutaj chyba trzeba. W atmosferze tego miejsca jest coś pogańskiego, nie sądzi pan? -

W jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju wyzwania.

- W każdej chwili można się spodziewać wizyty jakiegoś Rzymianina w todzie.

- Na pewno. Skąd się pan tutaj wziął?

- Śledzę panią. - Nie miał zamiaru tego mówić, ale wymknęło mu się, więc trzeba było

udawać, że to Sartre.

Rzuciła mu pytające spojrzenie, po czym najwyraźniej przyjęła dowcip za dobrą monetę.

- Nie ciekawi pana historia, kultura, że o mitologii już nie wspomnę?

- Pani jest znacznie bardziej interesująca - brnął dalej. - Spróbuję zgadnąć, jakich to perfum pani dziś użyła. To Herbaciana Róża, nieprawda?

Tym razem skupiła na nim całą swoją uwagę.

- Skąd pan wie?

- Po prostu dobry nos. - W tym momencie zdał sobie sprawę, że robi się niebezpiecznie.

- I chyba niełiche doświadczenie w sprawach perfum. Jestem pod wrażeniem. .

Spojrzał w bok i powiedział:

- Właściwie to zwykły traf. Miałem ... cioteczną babkę, która lubiła staromodne perfumy. Moja matka co roku na gwiazdkę dawała jej Herbacianą Różę.

- Sugeruje pan, że mam staromodny gust do perfum? - Uniosła brew.

- Ale broń Boże! Skądże znowu!

- Nie? - W jej spojrzeniu kryła się kpina. - Wie pan, na ogół mężczyźni nie mają tak czułego węchu jak kobiety. Jak się już taki trafi, to od razu zwraca uwagę• - Cieszę się, że znalazła pani we mnie coś interesującego. - I zanim mogła dodać jakąś złośliwość, spytał: -

Jest pani z grupą?

- W pewnym sensie. Przyjechałam z grupą autokarem, ale całe przedpołudnie mamy wolne. Przyszedł pan sam?

- Mam samochód z wypożyczalni - wyjaśnił. - Czy nie miałyby pani nic przeciwko

temu, żebym zjadł z panią lunch? Tak dla zachęty? - obdarzył ją najbardziej chłopięcym ze

swoich uśmiechów.

- No, jakŜeby mogła odmówić - zgodziła się, choć nie bez kpiny w głosie.

Rone myślał przez chwilę nad jakąś celną ripostą, ale uznał, Őe nie naleŜy przeciągać struny.

W godzinę później Joletta leŜała rozciągnięta leniwie na trawie, wystawiając twarz na ciepło promieni słonecznych. Jej myśli błądziły między przeszłością a teraźniejszością, między męŜczyzną, który leŜał tu obok niej, a własną praprapraprababką, którą los przywiódł niegdyś w te strony.

Szkoda, Őe wtedy, gdy Violet bawiła w Bath, pogoda była taka paskudna, moŜe spodobałoby się jej tutaj bardziej. A moŜe nie. Wiele zaleŜy od towarzystwa, w jakim się przebywa w danym miejscu.

A z Rone'a był zaskakująco miły towarzysz. Nie tylko chętnie i bez utyskiwań zwiedzał wszystko, co miała ochotę zwiedzić, ale jeszcze nieustannie ją rozśmieszał.

Rone sam wybrał dla nich jedzenie. Od gorących bułeczek Sally Lunn z serem i mięsnych zapiekanek do moreli, doskonale - jego zdaniem - pasujących do szampana Veuve Cliquot, którego butelkę zakupił. Dał słowo honoru, Őe zafunduje jej pięciodaniowy lunch w domu zdrojowym, jeśli menu jego autorstwa nie przypadnie jej do gustu, ale okazało się to zbyt dobre. Bułeczki były pulchne i pachnące, zapiekanki odpowiednio soczyste, a aromat moreli świetnie komponował się z szampanem. Joletta musiała teŜ pochwalić miejsce, które wybrał kawałek niewiarygodnie zielonej trawy z widokiem na pasące się stadko owieczek, równie białych i puszystych jak chmury, które płynęły leniwie nad ich głowami.

Dobrze się czuła w jego towarzystwie, sama nie wiedziała, dlaczego ją to tak dziwi.

Sam przecieŜ niemal przedstawił się jako playboy, a tacy umieją bawić kobietę. Tak przynajmniej jej się zdawało, nigdy dotąd nie spotkała bowiem playboya.

Nieprawdopodobne wydawało się jej, że on może spędzać czas na słodkim nieróbstwie, że nie ma ścisłych zobowiązań. Jakoś to do niego nie pasowało, nie sprawiał wrażenia frywolnego bawidamka. O swojej pracy prawie nie mówił, bagatelizował ją, a trudno było w to uwierzyć. Nie wiedziała, co o nim myśleć, nie znała się na mężczyznach. Dziwne, ale Violet też niewiele wiedziała o Allainie.

W tamtych czasach nie można było zapytać wprost:

„Hej, czym się zajmujesz?” Gentleman nie zajmował się niczym, w tym cała rzecz.

Ponadto zakładano, że status człowieka jest oczywisty, nie ma potrzeby o nic pytać. Ścienie musiało być wtedy pełne pułapek.

Rone nie odzywał się, spokojnie leżał obok niej.

Pomyślała, że się zdrzemnął. Odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Przyglądała się mocno zarysowanej szczęce, zdecydowanemu wykrojowi ust, szerokiemu łukowi brwi. To atrakcyjny mężczyzna, z bliska i w jaskrawym świetle południa atrakcyjniejszy nawet, niż mogłaby oczekiwać.

Był teraz odprężony, jakby przestał na chwilę kontrolować wyraz swojej twarzy. Linie przy kącikach ust i między brwiami wygładziły się, prawie znikły. Był gładko ogolony, we wgłębieniu podbródka widać było ślad zacięcia. Wypielęgnowane, nieskazitelnie czyste ręce, o paznokciach obciętych prosto i krótko, złożył na piersi.

Włosy miał starannie ostrzyżone nad uszami i kołnierzykiem popielatej koszuli z dobrej gatunkowo popeliny. Na nadgarstku lśnił płaski złoty zegarek firmy Juvenia o skromnym cyferblacie.

Odnaczał się jakąś schludnością, stylem i klasyczną elegancją ubioru, co dziwnie jej odpowiadało. A przy tym nie są to, pomyślała, tanie rzeczy.

Podniósł powieki i popatrzył jej prosto w oczy.

Joletta niemal podskoczyła. Najwyraźniej nie drzemała, jak jej się wydawało.

Najpierw w jego oczach błysnęła czujność. Po chwili jednak rozpromienił się.

- Czyśbym chrapał?

- Wcale nie - pokręciła głową. - Zazdroszczę ci. Ja wciąż źle tu sypiam. To ta różnica czasu.

- To się połóż. Słucham ramieniem w charakterze podgłówka.

- Nie mogę. Za dużo mam do zwiedzania. - Osłodziła odmowę uśmiechem i

uświadomiła sobie, że śmieje się. Propozycja zabrzmiała nadspodziewanie kusząco. żeby się czymś zająć, sięgnęła po przewodnik, leżący razem z notatnikiem i turystycznymi folderami obok papierowej serwety, na której jedli.

- Muszę zapytać, po co ci te wszystkie notatki? Mówiłaś, że pracujesz w bibliotece.

Piszesz jakiś artykuł o zabytkach Anglii?

- Po prostu lubię dokładność. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś szczegół okaże się potrzebny. - Odpowiedź przyszła jej łatwo, bo już ją o to nagabywali inni uczestnicy wycieczki.

- Zastanawia mnie, dlaczego nie masz towarzysza podróży. Przecież musi być jakiś mężczyzna w twoim życiu.

Z udaną uwagą zaczęła kartkować przewodnik.

- Właściwie nie.

- Nie?

- Nie.

Milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się nad jej tonem. Wreszcie powiedział:

- Masz coś przeciwko mężczyznom?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała i podniosła na niego zdziwione oczy.

- Większość kobiet w twoim wieku, a zwłaszcza twojej urody, jest zamężna.

- Byłam zaręczona - powiedziała lekko. - Ale nie wyszło.

- Facet okazał się chamem, prawda? I straciłaś z nim tyle czasu i tak się co do niego pomyliłaś, że nie uwierzysz już śladnemu?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Ale na to wygląda.

- A może zginął w wypadku albo okazał się homoseksualistą? - Do jej głosu wkradło się rozdrażnienie.

- Przecież to nieprawda. Jak to było?

- Chodziliśmy ze sobą przez sześć lat. Zaręczyliśmy się prawie od razu. Uważałem, że musimy najpierw zaoszczędzić trochę pieniędzy na wspólną przyszłość, po czym uznał, że woli nowy kabriolet.

- Tak po prostu? - Rone zmarszczył czoło.

- No, może trochę upraszczam, ale w ogólnym zarysie, tak.

Epitet, którego użył Rone w stosunku do jej byłego narzeczonego, był krótki i dosadny.

- Otóż to - zgodziła się.

- Ale to, że jeden okazał się chamem, nie znaczy, że wszyscy są tacy.

- Wiem o tym, dziękuję - odparła sucho.

- I to nie pomaga? Chcesz z kolei wysłuchać mojej smutnej opowieści?

Lekko wzruszyła ramionami, dziwiąc się w duchu, że opowiedziała o Charlesie. Nigdy tego nie robiła.

Rone usiadł i sięgnął po butelkę szampana. Rozlał to, co zostało, do kieliszków, podał

jeden Joletcie i sam pociągnął łyk ze swojego.

- Moja Sona - powiedział zwyczajnie - nie wytrzymała nawet trzech lat, a co tu mówić o sześciu. Zakochała się w instruktorsze nurkowania w czasie wycieczki na Bora - Bora, zajęła się śpiewami wielorybów, działalnością Greenpeace'u i losem oceanów. Powiedziała mi, że jestem nudny, a moje Sycie bezwartościowe. Mieszka teraz ze swoim chłopakiem w chacie na palach pod strzechą z liści palmowych.

- To błaga - oskarżyła go, wypatrując na jego twarzy oznak uśmiechu.

- Nie. Słowo honoru - podniósł dłoń w geście przysięgi.

- Nie wierzę.

- Przysłała mi zdjęcie chaty. Pod schodami mieszka krab wielkości małego psa. Do ganku cumują łódź, a na śniadanie łowią egzotyczne rybki.

Joletta popatrzyła w kieliszek.

- Nie bardzo się przejąłeś.

- Trochę bolało, ale minęło. Oboje wiedzieliśmy, że do siebie nie pasujemy. Lepiej się o tym przekonać po trzech latach niż po trzydziestu.

- Pewnie tak - przyznała z wolna.

- Powiedz, tęsknisz za tym facetem, który się miał z tobą ośnić?

- Nie. Już nie. - Dopła resztę wina.

- No tak. I w łóŜku pewnie się teŜ nie układało. Z tego, co mówiłaś, facet wyglądał na egoistę.

Spojrzała na niego spod oka, ale nic nie odparła.

Miał więcej racji, niż mu się wydawało.

- No to lepiej o nim zapomnieć. Ma dla ciebie tylko tyle znaczenia, ile mu sama przyznajesz.

- Staram się nie załamywać - odpowiedziała sucho. Siedzieli nieruchomo, a trawy wokół nich kołysały się na wietrze. Wiosenne słońce grzało im twarze. Joletta dumiała o wszystkim i o niczym, wspominała dawne związki, nie tylko swoje własne. Pomyślała o szpilkach do krawata, których dzisiaj mężczyźni już nie noszą. Po dłuższej chwili odezwała się:

- Rone? Czy wiesz coś o Legii Cudzoziemskiej? Zareagował dopiero po chwili, sam pogrążony w swoich myślach. - O czym?

- No, o francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

- „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, obrona pustynnego fortu do ostatniego naboju i temu podobne hollywoodzkie historie?

- Ciekawa jestem, kiedy została utworzona.

- Chyba w połowie zeszłego stulecia, tak można by sądzić na podstawie filmów. Ale dokładnie nie wiem.

W odpowiedzi kiwnęła tylko powoli głową i zmrużyła oczy, w skupieniu coś rozważając.

Rone odstawił kieliszek.

- Chcesz, żebym się dowiedział dokładnie?

- Nie, nie - uśmiechnęła się przelotnie - to nic ważnego. Po prostu myślałam o czymś, co czytałam, i o pierścieniu, który widziałam kiedyś w sklepie z antykami, z godłem, jak mi powiedziano, Legii Cudzoziemskiej. To był feniks, ptak, który odradza się z własnych popiołów. Ale nie pamiętam dokładnie, czy było tam coś jeszcze, na przykład, otoczka z liści.

- Chodzi ci o wieniec laurowy, jak w starożytnym Rzymie?

- Coś takiego.

- To by pasowało. Feniks jako symbol nowego życia tych ludzi, a wawrzyn jako

symbol zwycięstwa.

Widziała, że patrzy na nią jakby tęsknym, trochę zamglonym wzrokiem. Jego spojrzenie musnęło jej włosy, prześlizgnęło się niespiesznie po ciele, wróciło ku wargom. Leżała nieruchomo, jak sparaliżowana przez emocje, które się między nimi pojawiły. Joletta miała wrażenie, że jeśli się poruszy, jeśli nawet głębiej odetchnie, to znajdzie się w ramionach Rone'a. Nie potrafiła stwierdzić, czy źródłem tego napięcia była ona sama, czy on. I czy obawia się, czy pragnie tego.

Jedna z owiec podniosła łeb i zabeczała.

Jolettę przebiegł dreszcz, serce zabiło gwałtownie.

Odwróciła wzrok w stronę, skąd pochodził dźwięk. Po chwili spojrzała na zegarek.

Rone zauważył to i obruszył się lekko.

- Tak, wiem, już pora znów pobawić się w turystów.

- Obawiam się, że pora - odparła stłumionym głosem.

Joletta myślała, że Rone zaproponuje jej podwiezienie do Londynu, i już szukała w myślach wymówki. Okazało się, że niepotrzebnie. Odprowadził ją do skwerku, gdzie stał jej autokar. Trochę jakby roztargniony powiedział, że musi poszukać telefonu, obiecał odezwać się jutro, po czym pojechał się i poszedł.

Joletcie przyniosło to ulgę, ale jednocześnie rozdrażniło ją. Kręcąc głową nad własną niekonsekwencją wsiadła do autokaru. Miała zamiar uzupełnić swoje notatki, ale właściwie cały czas wyglądała przez okno i patrzyła na odpływające w tył słońce łany kwitnącego rzepaku, świeżo zaorane pola, sywopłoty i wiejskie dwory.

Wieczorem, kiedy przebiegała się do kolejnego punktu programu wycieczki, tym razem rajdu po słynnych londyńskich pubach, zadzwonił telefon.

- Tu całonocowa służba informacyjna - odezwał się wesoły głos Rone'a. - Może

zaciekawia panią wiadomość, że francuską Legię Cudzoziemską utworzył w roku 1831 król Ludwik Filip. Składała się z ochotników, którzy zaciągali się na pięć lat. Po odbyciu służby uzyskiwali obywatelstwo francuskie. Ich nazwiska i Syciorysy sprzed zaciągu były utrzymywane w absolutnej tajemnicy. Była to wtedy, i jest do dzisiaj, jednostka najemników, którzy składają przysięgę lojalności nie wobec Francji, ale Legii. Co jeszcze chciałaby pani wiedzieć?

- Godło?

- Tylko feniks. Bez wieńca laurowego. Zadowolona?

- Niebywale.

- Jutro zgłaszam się po zapłatę.

Odwiesił słuchawkę, nim zdążyła odpowiedzieć. Joletta następnego ranka zasnęła. Nie z powodu późnego powrotu do hotelu po wizycie w kilku pubach, gdzie degustowała kilkanaście gatunków angielskiego piwa, i nie po spacerze po West Endzie pod wodzą rubasznego przewodnika rodem z Dickensa. Leżała długo w noc bezsenne, myśląc o Ronie, o zbiegu okoliczności, który sprawił, że leciał tym samym samolotem, i o jego uporze, z jakim jej towarzyszył.

Takie zbiegi okoliczności zdarzają się oczywiście.

Nie dawało jej to jednak spokoju. Nie była wolna od próżności, ale trudno przychodziło jej uwierzyć, że ktoś taki jak Rone do tego stopnia się w niej zadurzył, że ugania się za nią po turystycznych atrakcjach Anglii.

Kiedy jednak pośpiesznie zbiegła na dół, bez śniadania, nie zastała Rone'a w hallu.

Rozglądała się za nim, póki autokar, który miał ich dziś zawieźć do Opactwa

Westminsterskiego, nie ruszył sprzed hotelu. Skoro więc nie pojawił się, pokręciła tylko głową, uśmiechnęła się kwaśno i zajęła realizacją planu zwiedzania.

Brakowało jej go, jego ciętych uwag i drwin ze wszystkiego, brakowało jej kogoś, kto by na zmianę to bawił ją, to koił jej smutki. Po południu, podczas samotnej wędrówki po luksusowych wnętrzach Harrod'sa, stwierdziła, że bez Rone'a Londyn traci wiele ze swojego uroku. Herbata w Terrace Room na czwartym piętrze zaspokoila co prawda pragnienie, pobudzone oglądaniem słodczy i serów piętro niżej, ale smakowałyby lepiej, gdyby był przy niej Rone i pokazał, w jaki sposób nalewać herbatę o smaku mango firmy Betjeman & Barton, by ze srebrnego czajniczka nie spadała pokrywka. A próba zgłębienia tajników sieci autobusowej Londynu w drodze powrotnej do hotelu zamiast przygodą okazała się zajęciem smudnym i niewdzięcznym.

Nazajutrz też się nie pojawił.

Joletta starała się o nim nie myśleć, chociaż wolałaby mieć przy sobie kogoś, kto wspólnie z nią podziwiałby piękne ogrody i wysłuchiwał jej narzekań na to, jak mało ma czasu na zwiedzanie w porównaniu z Violet, która przebywała tu całymi tygodniami.

Potrzebny był jej ktoś, kto wraz z nią zachwyciłby się obsypanymi kwieciami rododendronami, azaliami, oszłamiającymi bzami, kto zadumałby się przed wielkim klombem targanych wiatrem różnobarwnych bratków.

Chciała opowiedzieć Rone'owi o dzienniku.

Już miała to na końcu języka tego popołudnia w Bath, kiedy mówiła o feniksie z godła Allaina, ale coś ją powstrzymało. Wiedziała, że to jakiś niemądry impuls, ale miała nadzieję, że Rone pomoże jej w rozszyfrowywaniu tajemnic dziennika, a przynajmniej spojrzy na sprawę świeżym okiem.

Ciekawa była, co by sobie pomyślał o języku kwiatów, którym posługiwał się Allain, by przekazywać swoje uczucia. Czy dostrzegłby wdzięk i urok tego zwyczaju, czy też uznałby to za tani sentymentalizm?

Bo to było sentymentalne, nie da się ukryć. Ale cóż złego w sentymentalizmie?

Kochankowie epoki wiktoriańskiej potrafili znacznie subtelniej okazywać sobie uczucia; pod tym względem byli znacznie bardziej otwarci niż ludzie współcześni. Dziś nikt nie ma czasu na subtelną grę i delikatność, dziś nikt nie usycha z miłości, nikt nie ryzykuje dla niej życia.

Sentymentalizm stał się czymś wstydliwym. Ckliwym i banalnym. Tłumimy go tak, jak ludzie epoki Violet tłumili seksualność. Nastąpiło całkowite odwrócenie sytuacji. Miejsce miłości zajął pociąg seksualny, sapanie i „szybkie numerki”. Przygnębiające.

Joletta w pewnym sensie zazdrościła Violet. Praprapraprababka przyjechała do Europy w poszukiwaniu rozrywki i płodności, a znalazła romantyczną przygodę. Coś takiego jej praprapraprawnuczce chyba się nie przydarzy z przypadkowo napotkanym mężczyzną. Może powinna być bardziej przystępna? Może trzeba było pozwolić sobie na więcej? .

Właściwie to wszystko jedno. Przecież nie będzie rozpaczać z tego powodu. Prawdę mówiąc, nie trzeba jej komplikacji, zresztą już jutro ma prom do Francji, nie będzie przecież przez kanał ciągnęła za sobą mężczyznę. Poradzi sobie bez Rone'a.

Przechadzając się alejkami Regent's Parku stwierdziła, że często się za siebie ogląda albo przygląda twarzom przechodniów. Z początku myślała, że to może dlatego, iż - podświadomie - spodziewa się ujrzeć gdzieś Rone'a. Po chwili poczuła się dziwnie zdenerwowana i niespokojna. Jakby mrowiła ją skóra, jakby czuła na sobie czyjś wzrok, jakby ktoś ją śledził.

Przyjemność z przechadzki ulotniła się bez śladu.

Schowała swój notes, w którym gryzmoła opisy pnących róż, powojników, glicynii i innych, dziś już niemodnych roślin ozdobnych, o których Violet wspominała w dzienniku.

Zrobiła jeszcze parę szkiców kwiatów z wielkiego klombu, ale już nie wkładając w to serca.

Gdy obok niej przechodziła duża grupa dzieci szkolnych w mundurkach, dołączyła do nich i

doszła do bramy parku. Ruszyła w stronę metra, które dowiozło ją z powrotem do hotelu.

W recepcji czekał na nią liścik. Od Rone'a. W windzie przeczytała go raz szybko, a potem drugi, tym razem dokładnie.

Z pewnością nie było w nim nic sentymentalnego ani romantycznego. Przeciwnie, był krótki, dowcipny i rzeczowy. Rone przeproszał, że nie pojawił się, jak obiecywał, ale wynikły jakieś niecierpiące zwłoki problemy w interesach, którymi musi zajmować się osobiście. Próbował się do niej dodzwonić, ale bez powodzenia. Trzyma kciuki za jej szczęśliwą przeprawę przez kanał La Manche i znajdzie ją jakoś w Paryżu.

Nie był to bukiet kwiatów i prośba o tajemną schadzke.

Jolettę ogarnęły mieszane uczucia: od zadowolenia i rozbawienia do irytacji. Pokręciła głową. Bez wątpienia oczekuje zbyt wiele. Ale czy naprawdę chodzi tu o Rone'a Adamsona?

Nie była głodna, lunch jadła późno, a na dodatek jej organizm wciąż nie przestawił się na czas europejski. Nie miała ochoty iść na kolację. Kupiła wczoraj trochę owoców, bułkę i kawałek sera u Harrod'sa. Weźmie gorącą kąpiel, trochę poczyta, coś przekąsi i pójdzie spać.

Kiedy jednak otworzyła szufladę, żeby wyciągnąć nocną koszulę, stwierdziła, że ktoś myszkował w jej pokoju. Może i miała bieliznę z nylonu i sztucznego jedwabiu, ale zazwyczaj składała ją starannie w kostkę, a nie zwijała w kłęb. Książki i ulotki z biur podróży były ułożone w innym porządku, niż je zostawiła, również rzeczy w walizce były poprzekładane - swetry przecieś spakowała na sam spód, będą potrzebne dopiero w Szwajcarii, a są na samym wierzchu.

Czyby to wścibska pokojówka? Trudno podejrzewać słuśbę w takim porządnym hotelu. Może to jakiś złodziejaszek w poszukiwaniu gotówki albo paszportu. Podobno na czarnym rynku amerykański paszport wart jest kilkanaście tysięcy. Jeśli tak, to włamywacz musiał się rozczarować. Wszystkie wartościowe czy interesujące rzeczy nosiła przy sobie:

albo w torbie na ramieniu, albo w wewnętrznej kieszeni.

W tym również dziennik.

Nie chciała myśleć, że to właśnie dziennik mógł być przyczyną szperania w jej pokoju. Na samą myśl, że będzie musiała się pilnować, robiło się jej nieprzyjemnie. Już poczuła się tu bezpieczna, oddzielona czasem i przestrzenią od swoich problemów. Zaczynała mieć nadzieję, że ten epizod na lotnisku nie miał nic wspólnego z Nowym Orleanem. Teraz wszystko musiała zrewidować. Przychodziło jej to z trudnością.

Znacznie trudniej było przyjąć do wiadomości, że jest jeszcze jedna nić łącząca Londyn z Nowym Orleanem, jeszcze jeden zbieg okoliczności nie do przyjęcia.

Rone.

ROZDZIAŁ VII

Na zawsze zapamięta maki z Flandrii. Nie tylko dlatego, że rozpościerały się jaskrawoczerwonymi łanami pomiędzy zielenią wiosennych traw i popielatym błękitem nieba, ale głównie dzięki nowemu pilotowi wycieczki, który dosiadł się w Calais. Pilot, Walijczyk o głosie głębokim i łagodnym jak naturalny miód, deklamował im po drodze fragmenty poematu „Wśród pól Flandrii”.

Violet w swoim dzienniku opisywała maki. Ich wytrzymałość, tak sprzeczna z pozorną delikatnością, zrobiła na niej duże wrażenie; ich barwa zachwycała ją. Joletta odczuwała głęboką satysfakcję na myśl o tym, że ogląda to samo, co widziała jej prapraprababka. O to chodziło w całej tej podróży, ale zaskakiwało ją wciąż, jak wiele przetrwało z tamtych czasów - od punktów orientacyjnych w krajobrazie do roślin. Co noc śniła o Violet i jej Allainie; realistyczne, żywe sny - niestety do rana wiele ulatywało z pamięci. W tych snach utożsamiała się niejako z Violet, to bez wątpienia podświadomość dawała o sobie znać. ślaowała, że nie udaje się jej zapamiętać szczegółów -

mogłyby się okazać pomocne.

Jako jedna z niewielu uczestniczek wycieczki podróżowała samotnie. Większość stanowiły małżeństwa w wieku emerytalnym, które oderwały się od swoich dzieci i wnuków, lub pary w podróży poślubnej albo te wdowy podróżujące parami. Było dwóch samotnych mężczyzn około pięćdziesiątki - jednym z nich był chudy profesor psychologii, który cały czas siedział z nosem w przewodnikach, a drugim niski, łysiejący autor książek podróżniczych, lubujący się w kawałach z brodą. Joletcie jak dotąd udawało się trzymać z daleka od pisarza - symulowała nieustanną senność, ale wiedziała, że nie na długo się to zda. Pilot mówił biegle po francusku, hiszpańsku, włosku i niemiecku. Był uprzejmy i kompetentny, ale wyczuwało się w nim kapraleskie skłonności. Dobrze jednak wykonywał swoją pracę, czuwając nad tym, by wszystko szło jak w zegarku i wszyscy w komplecie byli wszędzie na czas. W Paryżu kwitły kasztany - nie tylko obsypane białymi kwiatami kasztanowce, ale i te prawdziwe, jadalne, o rudoczerwonych kwiatach. Górowały nad sznurami samochodów i równymi szeregami ocieniały skraje ulic. Sekwana wyglądała jak poprzecinana mostami połyskliwa wstęga brązów, zieleni i błękitów. Budowle, które dotąd Joletta знаła tylko z fotografii, wznosiły się nad nią majestatycznie, połyskując białą fasadą z wapienia.

Hotel nie był ani wielki, ani szczególnie luksusowy, ale po staroświecku elegancki.

Hall był maleńki, a białe marmurowe schody okręcały szyb windy, której kabina miała rozmiary schowka na miotły. Okno pokoju Joletty wychodziło na alejkę; było właśnie otwarte, przez tiulowe firanki prześwitywał miniaturowy balkonik z żeliwną balustradką.

Wewnątrz pokoju stało podwójne łóżko o niezwykle twardym podłożu, przykryte kapą sięgającą do samej podłogi. Łazienka z białymi kafelkami miała mosiężną armaturę, w tym również bidet. Niektórzy uczestnicy wycieczki narzekali na standard lokum, Joletta natomiast

była oczarowana.

W ParyŜu nadal pewnie mieszkali jacyś krewni Fossierów. Mimi znała bliŝsze szczegóły, pewnie napisałyby jakieś listy, skłoniła Jolettę, by złoŜyła ileś wizyt. Ale Joletta nie miała czasu na rodzinne spotkania. Tak wiele słyszała o cudach ParyŜa, wszystkiego chciała dotknąć, wszystko zobaczyć na własne oczy, poczuć i zapamiętać do końca Ŝycia. Chciała się nacieszyć ParyŜem, ile moŜna w tak krótkim czasie, który miała do dyspozycji. Trzeciego dnia rano wyszła z hotelu, minęła parę knajpek, bank, nowoczesny salon meblowy, zatrzymała się, by obejrzeć wystawę sklepu z antykami i popatrzeć na kwiaty na straganie. Poszła najpierw nad Sekwanę.

Przeszła na prawy brzeg rzeki, tam gdzie wznosił się Luwr. Słoneczko przygrzewało, powietrze wypełniały zapachy młodej zieleni i chłodno - wilgotne wyziewy rzeki, czuło się takŜe droŝdŜową woń pieczonego chleba. Wszystko to było przesycone cierpkim smrodem spalin, ale Joletcie udawało się nie zwracać na to uwagi.

Czuła się lekka i wesoła. Nie miała nic do roboty.

Zaliczyła juŜ wszystkie obowiązkowe atrakcje turystyczne i teraz mogła skupić się na miejscach opisanych w dzienniku. Pójdzie sobie do Ogrodu Luksemburskiego, o którym Violet pisała ze szczególnym zachwytem. Ale nie ma pośpiechu. MoŜe pooddychać atmosferą miasta, popróbować smakołyków sprzedawanych na ulicy, popodglądać artystów malujących nad rzeką, postać na moście i pogapić się w wodę. Usłyszeć, jak bije serce miasta.

Dopiero późnym popołudniem dotarła na stację metra przy hotelu. Przeszła tunelem, wyłoŜonym płytkami i znacznie czystszy niż w metrze londyńskim, wspięła się po schodach na ulicę. Była zmęczona, ale zadowolona, czekała ją ciepła kąpiel i spokojna kolacja, potem łoŜko.

W ukośnych promieniach zachodzącego słońca czekała wraz z grupką innych

pasażerów metra na zielone światło na przejściu przez ulicę. Hotel znajdował się dokładnie naprzeciwko. Spojrzała w tamtą stronę i jej uwagę przyciągnęli kobieta i mężczyzna wychodzący z hotelu. Rozmawiali, schodząc po szerokich stopniach.

Natalia.

Światła zmieniły się. Jolenta ruszyła. Szła wraz z innymi na drugą stronę, potem chodnikiem na wprost, nie skręcając do hotelu. Po chwili schowała się za rogiem. Nie zatrzymywała się.

Poczuła ciężar na piersi. Prawie zrobiło się jej niedobrze. Własne kroki, coraz szybsze, odbijały się echem w jej uszach. Nie chciała spotykać w Paryżu kuzynki. Nie chodziło o to, że Natalia może jej w czymś przeszkodzić. Jej obecność stanowiła po prostu pogwałcenie prywatności, zamach na jej wolność.

To musiała być sprawka ciotki Estelli. Nie do wiary, ale to do niej podobne. Na pewno zaangażowała jakiegoś detektywa, żeby ją tropił.

Zabawne, naprawdę. Ciotka i Natalia pewnie myślą, że ona dokładnie wie, gdzie i jak odnaleźć recepturę. I nie uwierzą, gdyby zaprzeczała. W porządku. Ale nie da sobie w kaszę dmuchać. Niech Natalia spróbuje ją dosięgnąć.

- Hej, wolnego. Przegapiłaś własny hotel.

Głos, zabarwiony ciepłą wesołością, rozległ się tuż nad jej uchem. Należał do Rone'a.

Jolenta podskoczyła. Poczuła, że ktoś ją chwyta za ramię i pociąga, aby odwrócić.

Instynktownie wyciągnęła rękę przed siebie. Jej dłoń oparła się o umięśniony tors pod szłą koszulką polo. Poczuła ciepło i sprężystość, twardość i siłę. Oderwała gwałtownie dłoń, jakby dotknęła reaktora atomowego.

Ulga, podejrzliwość, nagła, ukradkowa radość oładnęły równocześnie jej wnętrzem, wytrącając ją do reszty z równowagi. Wyjrzała zza ramienia Rone'a. Natalii nigdzie nie było

widać.

- Skąd się tutaj wzięłaś? - wykrztusiła z trudem.

- Mówiłem, że cię znajdę. Nie przekazali ci wiadomości?

- Owszem. Ale nie spodziewałam się ... - Przerwała nagle, uświadamiając sobie, że skoro ciotka Estella wie, gdzie zatrzymała się w Paryżu, równie dobrze mogła znać adres jej hotelu w Londynie. A jeśli jej ciotka wysłała kogoś, żeby przeszukał perfumierię, to czemu nie miałyby znaleźć kogoś, żeby grzebał w jej rzeczach w Londynie.

- Masz za mało wiary. - Rone puścił jej ramię. W siebie i we mnie.

Zarumieniła się na myśl o tym, co może wynikać z tych słów, a tak się wstydząc tego, co o nim myślała. Odwróciła wzrok, nie mogła wytrzymać spojrzenia jego błękitnych oczu. Powinna była wiedzieć, że on nie mógłby być taki podstępny i podły. Nie miał poza tym powodu. Nic o niej nie wiedział.

- Na pewno wszystko w porządku? - odezwał się znowu. - śladnych złodziei bagażu, nikt na ciebie nie nastaje?

Nie było sensu mówić mu o intruzie w hotelu, to jej własna sprawa. A jeśli zacznie mu o tym opowiadać, to on zda sobie sprawę, że jej początkowy chłód w stosunku do niego wynikał z podejrzeń.

- W najzupełniejszym porządku - powiedziała, siląc się na lekki ton - trochę się nauczyłam o sobie dbać. - Uwierzyłbym, gdybym nie zauważył, że nie możesz trafić do hotelu.

Drwiące rozbawienie w jego oczach rozpraszało ją, ale udało jej się wymyślić coś naprędce.

- Trzeba ci wiedzieć, że doskonale orientuję się, gdzie jestem i dokąd idę.

- Ach, a gdzie to?

- Tu niedaleko jest cukierenka, a od rana chodzą za mną eklerki.

- Ja teŜ mam przemoŜną chęć... na eklerki, rzecz jasna. Mogę dotrzymać ci towarzystwa?

Nie chodziło mu tylko o spacer do pobliskiej cukierni.

Pytał o swoje szanse. Odpowiedziała po prostu:

- Czemu nie.

- JuŜ myślałem, Ŝe sytuacja jest kiepska.

Wskazał gestem, Ŝe gotów jest iść w tym samym kierunku, w którym ona zmierzała.

Joletta zawahała się, jeszcze raz obejrzała się za siebie. Nie było nikogo. Odwróciła się i ruszyli.

- Dlaczego myślałeś, Ŝe sytuacja jest kiepska?

- Z paru powodów. - Jego głos brzmiał tym razem nieco powaŜniej. - Po pierwsze wystawiłem cię do wiatru w Londynie. Po drugie nie pojawiłem się przy tobie w ParyŜu przez pełne trzy dni. Niedopatrzona wołająca o pomstę do nieba. Mogło wyglądać na to, Ŝe nic mnie nie obchodzi, czy ty na mnie czekasz, czy nie.

- Nie mam prawa zajmować twojego czasu, tak samo jak ty mojego.

- W porządku. ZasłuŜyłem.

- To nie miał być odwet. - Spojrzała na niego z ukosa.

- Samo tak wyszło? - Minę miał kwaśną.

- Nie wygłupiaj się - zamierzała być ostra, ale nie bardzo jej to wyszło.

- A więc, co powiesz na kolację dla uczczenia rozejmu?

- Dobrze - odparła. - Niech ci będzie.

- Cieszę się. Teraz ci powiem, dlaczego tak długo mnie nie było. Chciałem tak

pozałatwiać swoje sprawy, Ŝeby mieć parę tygodni wolnego i móc spędzić je z tobą. MoŜe to

dla ciebie nic takiego, ale dla mnie to waŝna rzecz.

Przeszła kilka kroków w milczeniu, zanim się odezwała: - Nie musisz się tłumaczyć.

Nic nie musisz. Dobrze się bawiliśmy w Anglii, ale ja mam tu swoje plany i ...

- Jeśli chcesz mi teraz powiedzieć „wynoś się”, to informuję cię, ŝe juŝ za późno. -

Jego błękitne oczy pociemniały z zadowolenia. - Zapisalem się na resztę tej wycieczki.

Oniemiała na chwilę.

- Na tę wycieczkę? Autokar, hotele ... i wszystko?

- Wszystko - powtórzył z naciskiem.

- Nie przesadziłeś? Tylko po to, ŝeby postawić na swoim?

Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Twoim zdaniem tylko o to mi chodzi?

- A o còŝ by? - Trudno było jej uwierzyć w to, ŝe to na niej mu zaleŝało .

- Dobrze, dam się namówić do rezygnacji - odparł bez cienia wahania. - Powiedz tylko słowo, a wynajmę auto i zorganizuję ci taką wycieczkę, o jakiej ci się nie śniło.

- Wycieczkę?

- Katedry, muzea, restauracje, przytulne gospody ... zaliczysz kaŝdą atrakcję. Nawet mogę dostarczyć cię do Rzymu na powrotny samolot. - Przekrzywił głowę i czekał. - Albo nie.

- Skąd wiesz, ŝe mam wracać z Rzymu? - Łatwiej było skupić się na tym pytaniu, niŝ na myśli o moŝliwosci spóźnienia się na samolot z powodu Rone'a.

- Proste. Przepisałem numer twojej wycieczki z wywieszek na багаŝu, które sprawdzałem, ŝeby się dowiedzieć, jak się nazywasz. Zadzwoiłem do biura podróŝy i powiedziałem, ŝe chcę się dołączyć do tej wycieczki. I oto jestem.

- Spryciarz.

- Prawda? Ale nie odpowiedziałas na moją propozycję.

Chcesz pojechać wynajętym samochodem, własną trasą? Oczywiście ustalimy nieprzekraczalne reguły gry.

- Na przykład oddzielne pokoje?

- Właśnie - zgodził się potulnie, chociaż w oku błysnęły mu iskierki brawury.

Propozycja była kusząca, zwłaszcza że zdążyła się przekonać, ile niewygód niesie ze sobą konieczność dostosowania się do wymogów imprezy grupowej. To byłoby także kuszenie losu.

Jednak z Salem pokręciła głową - Nie stać mnie na to.

- Ale mnie stać. - Powiedział to spokojnie, bez nacisku.

- Dziękuję - odparła stanowczo. - Wolę sama płacić za siebie.

- Kobieta wyzwolona? Ściągnęła brwi namyślając się. - Nie, to nie chodzi o to.

- Bransoletki z brylantami teś byś nie przyjęła, co?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Udało ci się.

Przyglądał się jej z tajemniczym półuśmiechem.

Spojrzenie miał zatroskane, ale pewne zwycięstwa.

Kupili eklerki, nadziane mnóstwem bitej śmietany i oblane pyszną czekoladą, i

przechadzali się leniwie, aż znaleźli kawiarenkę ze stolikami na chodniku. Kelner przyniósł im zamówioną kawę. Siedzieli w gasnącym świetle wieczoru, objadali się swoimi lepkiemi przysmakami i popijali aromatyczny, piekielnie mocny napar z miniaturowych filiżanek.

Stolik był równie miniaturowy i kiwał się na nierównych płytach chodnika. Lekki wietrzyk szeleścił liśćmi rosnącego obok platana. Wróbel dziobał okruszki na chodniku. Ruch samochodowy wzmagął się, paryżanie wracali do domów. Szum przerywały od czasu do

czasu klaksony pudełkowatych samochodów. Kelner, który ich obsługiwał, w białej koszuli, czarnych spodniach i fartuchu sięgającym prawie do ziemi, pieczołowicie wycierał stoliki i wnosił krzesła do środka lokalu.

- Zdaje się - powiedziała Joletta z namysłem - Œe nie poprawiliśmy wizerunku Amerykanów w oczach tego kelnera.

- Bo przynieśliśmy własne jedzenie do jego ekskluzywnego lokalu? Nie przejmuj się. Ma taką minę, bo go bolą odciski.

- Tak myślisz?

Skinął głową.

- W Europie tak naprawdę nikogo nie obchodzi, co robisz, dopóki go w to nie próbujesz wciągać, albo nie robisz wokół tego zbyt wiele zamieszania. Cała sztuka polega na tym, Œeby być uprzejmym, a jednocześnie kompletnie obojętnym, nieważne, czy siedzisz w paryskiej kafejce, czy przechodzisz przez ruchliwą ulicę w Rzymie. Rób swoje, nigdy nie trać zimnej krwi i nigdy nie patrz w oczy.

- Œartujesz.

- Ani trochę. Obiecuję, Œe nie będziesz wyróŒniać się z tłumu miejscowych.

* * *

Rone obserwował Jolettę, która nagle wyprostowała się czujnie. Uwaga jej skupiła się na chwilę na blondynce, najwyraźniej Amerykance, idącej ulicą w ich kierunku. Jej ciało spięło się, po czym odpręŒyło, gdy kobieta minęła ich, nie zwracając na nich uwagi. Zastanawiał się, czy Joletta widziała Natalię przed hotelem. Pewnie tak, to nie ochota na eklerki wywabiła ją w tę boczną uliczkę. To do niej podobne, Œe nic mu o tym nie powiedziała. PrzecieŒ traktuje go jak kogoś całkiem obcego.

Odkrywał, Œe pod maską, którą Joletta prezentuje światu, kryje się niejedno bogactwo.

Jest osobą skrytą, skłoną do samotności, może aś zanadto. Nie dlatego, by się bała, nie, lękliwe kobiety nie spacerują same po ciemnych ulicach ani nie wybierają się na własną rękę do Europy. Czujność i opanowanie są raczej tarczą chroniącą ją przed zranieniem. Wiele dałby za to, by to właśnie przy nim wydoostała się z tej ochronnej skorupy.

Wieczne światło przenikało przez jej włosy i połyskiwało perłowo na delikatnej skórze, zdawało się, że cała świeci wewnętrznym światłem. Na łagodnie wygiętej dolnej wardze miała smuškę czekolady, którą miał ochotę scałować. Pragnienie było tak silne, że bał się drgnąć, by nie owładnęło nim bez reszty, więc siedział bez ruchu, ściskając w dłoni filiżankę.

Zastanawiał się, czy słusznie zrobił dołączając się do wycieczki. To mu ułatwi zadanie, tak przynajmniej to sobie tłumaczył, ale równocześnie narazi go na ciągłe napięcie,

co do tego nie ma wątpliwości. Pytanie, czy to wytrzyma.

Trzymanie się zasad będzie męką, jeśli w tej sytuacji w ogóle można mówić o zasadach.

Poczuł gwałtowny śal, że to wszystko nie jest takie proste, jak próbuje to wmówić Joletcie. Wiele dałby za to, by wędrować z nią po Europie bez zmartwień i trosk, bez pośpiechu, bez przeszkód w ich wzajemnych stosunkach z wyjątkiem tych narzuconych przez wymogi przyzwoitości. Ach, do diabła z przyzwoitością.

Wciąż czuł parzący dotyk jej dłoni na swojej piersi, na której oparła się przez moment.

Nim się opamiętał, wyobraźnia już podsuwała mu obrazy tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby ten dotyk nie był przypadkowy, a wynikał z jej własnej chęci czy nawet pośądania.

Jej zapach wnikał mu w nozdrza, łagodna mieszanina Herbacianej Rósy i jedynej w swoim rodzaju naturalnej woni jej ciała. Większość kobiet pachnie mniej lub bardziej .

wanilią, uniwersalnym kobiecym zapachem. Joletta nie. Pomyślał, że między innymi dlatego tak go fascynuje, pociąga, bo chciałby rozszyfrować ten zapach. Może to tropikalny storczyk zmieszany z dojrzałą na słońcu brzoskwinią? A może skrzyśowanie śliwki węgierki z kwitnącym w nocy jaśminem?

Można oszaleć.

Musi zacząć myśleć o czymś innym, jeśli ma kiedykolwiek zdjąć serwetkę z kolan i bez zakłopotania wstać zza tego stolika.

Stanowczo za bardzo się w to angażuje.

A co będzie, kiedy ta podróż się skończy? Przerażające.

* * *

W stronę hotelu ruszyli, gdy już dobrze zmierzchało.

O tej porze chodniki zaroily się od wracających z pracy sprzedawczyń i sekretarek w

chustkach i ponchach, biznesmenów w prochowcach, ze złożonymi gazetami w kieszeniach, starszych pań obładowanych siatkami, z których wystawały długie bagietki. Zwiększył się też ruch na jezdni, zaczęły się korki. Klaksony trąbiły prawie nieustannie, rowerzyści przemykali między pojazdami, ignorując je całkowicie.

Joletta i Rone szli spacerowym krokiem, pozwalając innym, by ich wyprzedzali.

Rozprawiali o jutrzejszej wycieczce do Wersalu. Joletta zapisała się na nią już wcześniej i nie chciała stracić okazji. Rone'owi powinno się udać dołączyć, jeśli tylko mu na tym zależą i się postara.

Doszli do skrzyżowania, gdy nagle, gdzieś z prawej strony, dobiegł ich wzmagający się dwutonowy sygnał syren policyjnych. Sznur samochodów zwolnił, po czym zatrzymał się. Ruch pieszaki stanął, ludzie gromadzili się po obu stronach skrzyżowania. Przechodnie narzekali, wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Rone, przerastający prawie o głowę otaczający ich tłum Francuzów i Francuzek, pierwszy określił źródło zamieszania.

- Kolumna furgonów policyjnych.

Trzy ciemnogrnatowe pojazdy przepychały się przez zatłoczoną ulicę w asyście eskorty na motocyklach, zbaczając od czasu do czasu na chodnik. Wycie syren stało się ogłuszające.

Mogły to być rutynowe manewry policyjne albo akcja w związku z jakimś atakiem terrorystycznym; w Paryżu wszystko było możliwe. Jolettę wielokrotnie budziły w nocy takie odgłosy.

- Ten dźwięk zawsze przypomina mi scenę z filmu „Pamiętnik Anny Frank”, kiedy jechało po nią gestapo. - Nie to miasto - rzucił.

- Wiem - odparła sucho. Zerknęła na niego, ale on nie zareagował, rozglądając się na

prawo i lewo wśród stłoczonych ludzi.

Minął ich ostatni z wozów. Tłum popchnął ją od tyłu, odsuwając od Rone'a. Nie próbowała zbliżyć się do niego. Atmosfera pomiędzy nimi zmieniła się jakoś, wyczuwała chłód z jego strony. Wtem ryknęły silniki i zapiszczały opony, jakby kierowcy starali się nadrobić stracony czas. Piesi stali na krawężniku, czekając na zmianę świateł, która pozwoliłaby im przebrnąć na drugą stronę rzeki pojazdów.

Szum silników przycichł znowu, rozległ się zgrzyt hamulców. Joletta wraz z tłumem paryżan zeszła z krawężnika na jezdnię.

Nagle ponad monotony szum wybił się ryk silnika na wysokich obrotach. Jakaś kobieta krzyknęła, w chwilę później mężczyzna. Joletta obejrzała się gwałtownie. Zobaczyła czerwony sportowy wóz, jak wypada zza rogu i pędzi prosto na nią, zdążyła zarejestrować opływowy kształt, lustrzany połysk lakieru i głęboki bas potężnego motoru.

Ze wszystkich stron blokowali ją inni przechodnie.

Między nią a chodnikiem stała ludzka ściana. Przerażenie ścisnęło ją za gardło.

Nagle tłum rozproszył się. Zobaczyła lukę z jednej strony i rzuciła się w nią.

Miała wrażenie, że wszystko dzieje się jak na zwolnionym filmie. Rzuciła się do przodu i skoczyła w górę ze wszystkich sił, i nagle uniosła się na chwilę w powietrzu, które zdawało się gęste jak klej, potem łukiem poszybowała w kierunku chodnika. Wyciągnęła rękę, żeby zamortyzować upadek.

Nie poczuła go. Coś uderzyło ją w biodro, wywołując eksplozję bólu. Spadła gwałtownie i potoczyła się, uderzając głową o coś twardego.

Otoczyły ją cisza i ciemność.

ROZDZIAŁ VIII

28 maja 1854 r.

Wszystko w Paryżu jest szpetne i nuży mię. Do znudzenia muszę wysłuchiwać krewnych Gilberta, którzy wynoszą pod niebo wspaniałości dawnego dworu Burbonów i ubolewają nad niegodziwością Napoleona III, który zawłaszczył sobie tytuł cesarza po swoim wuju.

Gilbert zamienił się w tyrana. Zarządził, Źe nie wolno mi wychodzić bez Herminy, ponieważ jest jakoby znany w Paryżu i muszę dbać o jego dobre imię. On znany! Co za pretensje! A moŹe to tylko pretekst, Źeby mnie mieć przy sobie?

Nad Paryżem zapadał lawendowy zmrok. Szare, okopcone fasady z wapienia i piaskowca pokryły się fioletową poświatą, odbijającą się ametystowo w kałużach stojących na brukowanym podwórzu, na które wychodziło okno pokoju Violet.

Stała w otwartym oknie, opierając głowę o framugę, i przyglądała się, jak pojący konie chłopak stajenny flirtuje ze słuŹącą, która wychylała się z okna naprzeciwko. W powietrzu unosiły się wilgoć i chłód, smród koni i gnijących odpadków, od czasu do czasu powiewało zapachem płynącej opodal Sekwany. Z ulicy dobiegał turkot powozów, nawoływania przewoźników i ulicznych domokrąŹców, przytłumione przez odległość i ściany. Rozległo się bicie kościelnego dzwonu.

Deszcz przestał padać w porę, by zachód słońca zdążył pokolorować ponury dotąd wieczór. Gilbert wyszedł kilka godzin temu, bez wątpienia w pogoni za rokokowym lustrem czy krzesłem w stylu Ludwika XVI. Stał się meblowym maniakiem, bez końca opowiadał o kaŹdej nabytej sztuce. Kupuję historię, mawiał. Ponieważ zdawał się czerpać z tego radość, Violet nie przeszkadzała mu.

Przez większość dnia czytała po francusku „Damę kameliową” Dumasa juniora, syna słynnego pisarza i hulaki, Aleksandra Dumasa. Powieść wyszła już jakiś czas temu, ale ostatnio znów stała się głośna dzięki adaptacji teatralnej, wystawionej w ubiegłym roku, a

także dzięki premierze w Wenecji opery „Traviata” Verdiego, z librettem opartym na tej sztuce.

Opowieść o tragicznych losach kurtyzany, która rezygnuje z miłości bogatego i przystojnego młodzieńca, aby oszczędzić mu hańby, po czym umiera na suchoty i złamane serce, przygnębiła Violet do tego stopnia, że nie była w stanie dalej czytać. To materiał na doskonałą operę, widać to gołym okiem, operę, na której będzie się zalewać łzami w gmachu opery francuskiej w Nowym Orleanie, w czasie któregoś z przyszłych sezonów. Dziś jednak nie była w nastroju do łez i uśalania się nad sobą.

Gilbert wciąż jeszcze nie skontaktował się z Delacroix.

Artysta jest nieuchwytny, tak powiedział. Poza tym to zbyt ważna figura, przecie dopiero co ukończył cykl malowideł ściennych w Salon de la Paix w ratuszu paryskim.

Gilbert stwierdził, że wprawdzie Violet jest ładna, ale taki wielki artysta, będący u szczytu sławy, z pewnością nie zniży się do tworzenia na płótnie jej wizerunku. Niech więc jego urocza młoda siostra pogodzi się z tym i pomyśli o innym malarzu.

Violet nie miała zamiaru rezygnować.

To jedyna furtka, przez którą może dotrzeć do Allaina. Czy ma pozwolić, by się zatrzasnęła? Czy te parę słów, które zamienili na pośegnanie w hotelowym hallu, ma się okazać słowami ostatnimi? Czy już nigdy się nie zobaczą?

A może lepiej, by tak się stało?

Może to rozgorączkowanie minie? Może z czasem przestanie stawać jej przed oczami twarz Allaina, może z czasem minie ta tęsknota i pragnienie?

Nie!

Po stokroć nie.

Gilbert nabrał zwyczaju wychodzenia wieczorami.

Jadał kolacje w towarzystwie krewniaków, tak przynajmniej twierdził. Wracał nad ranem pod wpływem alkoholu, rozsiewając wokół zapach taniego wina i jeszcze tańszych perfum. Violet nie była aż tak naiwna, by się nie domyślać, jakiego rodzaju rozrywkę się oddaje. Theatre des Varietes, w którym kobiety występowały półnago, towarzystwo z półświatka, kurtyzany, kochanki słynnych ludzi i inne kobiety lekkich obyczajów - o tym opowiadało się szeptem w Nowym Orleanie. Nie ma się co dziwić, że Gilbert nie chciał zmarnować szansy zakosztowania atrakcji nocnego życia Paryża.

Violet zamykała drzwi sypialni na klucz i udawała, że śpi, kiedy wracał. Twierdziła, że się boi sama spać i dlatego rygluje drzwi. Gilbert reagował nadęsanym milczeniem. Kiedyś takie milczenie by ją martwiło. Czułaby się ukarana, szła na wszelkie ustępstwa, by naprawić jak najszybciej stosunki z mężem. Teraz jej to nawet odpowiadało. Dzisiejszego popołudnia założyła białą jedwabną suknię w różowe i zielone prążki, haftowaną w różyczki. Hermina uczesała ją w misterną masę loczków spadających na kark z wysoko upiętego wężła, z wijącymi się spiralnie pasmami włosów na skroniach. Na stole postawiła tacę z łakociami.

Ale nikt się nie zjawił. Każdy gość byłby mile widziany, nawet krewni Gilberta, nawet współpracownicy w jego nowych interesach.

Deszcz zaczął padać dwie godziny temu, niebo nad morzem dachów ze sterczącymi kominami przecinały raz po raz srebrnobiałe błyskawice. Kiedy ustał, ulice parowały.

Violet przyglądała się każdej kropelce, każda z nich wywoływała w niej rozkoszny dreszcz. Deszcz przywoływał wspomnienia.

Wreszcie podjęła decyzję.

Podeszła do sekretarzyka, który stał przy ścianie.

Usadowiła się, przysunęła ku sobie kartę grubego papieru. Zdjęła pokrywkę z

kałamarza, wzięła swoje pióro w malachitowo - złotej oprawce i sprawdziła, czy jest odpowiednio zaostrzone. Siedziała dłuższą chwilę z piórem zawieszonym nad czystą kartką. W końcu zaczęła pisać.

Skończyła po paru minutach. Chwyciła za róg kwadratową kopertę z kremowego welinu, jakby jej zawartość była niebezpieczna. Przez chwilę wahała się, czy nie podrzeć listu i nie powrócić do stanu bezpiecznej apatii. Decydowała się na szaleństwo, miała tego świadomość. Co więcej, decydowała się na zdradę.

Nigdy nie podejrzewała, że do tego dojdzie, nigdy nie sądziła, że nie wystarczy jej wygoda i stabilizacja, którą jej zapewnia pozycja małżonki Gilberta. Nie podejrzewała, że będzie potrzebować czegoś innego, że dla przelotnej przyjemności widzenia się z innym mężczyzną może zaryzykować tak wiele. Owszem, między nią i mężem nie wszystko układało się gładko, ale nie można zapominać o poczuciu bezpieczeństwa, które jej zapewniał, o jego hojności, troskliwości, o szacunku, jakim ją darzył. A jeśli momenty bliskości nie dostarczały jej odpowiednio silnych bodźców, to może nie z jego winy, może to z powodu jej oziębłości?

Ach, lecz czy można zapomnieć o burzy rozkoszy, jaką przynosi sama myśl o jeszcze jednym spotkaniu z Allainem? Nie. Ta cudowna radość może się już nigdy nie powtórzyć. Trzeba pomóc losowi. Zachowa dyskrekcję, nie ma zamiaru ranić Gilberta ani zaszkodzić ich małżeństwu. Ot, zwykły flirt, tylko tyle jej trzeba. Cóż zaszkodzi, jeśli tylko porozmawia z Allainem, dowie się czegoś o nim, chwyci parę przyjemnych chwil, których wspomnienie będzie ogrzewać długie lata jej spokojnej przyszłości u boku męża? To przecież drobniaczek, naprawdę nic złego.

Przez dwa dni nie było odpowiedzi na list. Trzeciego dnia nadeszło zaproszenie do złożenia popołudniowej wizyty w domu Delacroix.

- Napisałaś bez porozumienia ze mną? - Gilbert trzymał w ręku zaproszenie.

Violet dokładnie takiej reakcji się spodziewała.

- Rozmawialiśmy o tym wiele razy, byłeś taki zajęty.

Myślałam o tym w samotności tego wieczoru, kiedy ciebie nie było. Doszłam do wniosku, że nigdy nie dowiemy się, czy wielki Delacroix będzie mnie malował, czy nie, jeśli go nie zapytamy. Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Może zbyt mi poniosła niecierpliwość, ale sam widzisz, jaki jest rezultat.

- Tak. - Zmarszczył czoło i popukał zaproszeniem w paznokiec kciuka. Wreszcie, kiedy już z trudem wstrzymywała ciskające się na usta argumenty, żeby go przekonywać, powiedział: - Dobrze, niech ci będzie. Pójdziemy.

Sherry i oliwki, jak odkryła Violet, stanowią wspaniałą kompozycję smakową: każdy ze składników łagodzi gorycz drugiego. To zaledwie drobny przykład wspaniałych potraw i napojów, jakie podawano w trakcie późnopołudniowego przyjęcia w domu Delacroix; było tam wszystko, co może zaspokoić najwybredniejsze podniebienia.

To Allain podpowiedział jej tę niezwykłą kombinację.

Mogli rozmawiać, bo salony zatłoczone były gośćmi do granic możliwości. Wszyscy rozprawiali o polityce, filozofii i tysiącu innych spraw, spierając się, kłócąc, gestykulując żywo i przekrzykując nawzajem.

Allain pokazywał jej sławne i niesławne osobistości: jowialnego, rozkochanego Dumasa seniora, który ostatnio wydał swoje pamiętniki w dziesięciu zajmujących tomach; poetę, powieściopisarza i krytyka literackiego Theophila Gautiera; ludzi ze sfer rządowych, aktorki, następnie malarzy: buntowników Courta i Courbeta, Daumiera i Milleta, a także paru szacownych członków Akademii.

Delacroix okazał się mężczyzną przystojnym, o powierzchowności surowej, lecz

egzotycznej. Na tę okazję przywdział krótką, rozpiętą z przodu ciemnoniebieską brokatową tunikę, pod którą miał zwyczajną koszulę i spodnie, a głowę owinał, nieco na bakier, turbanem. Nie wyglądał w tym dziwnie, przeciwnie, bardzo dostojnie. Ubiorem zdradzał, że nie zależał mu na tym, co o nim myślą inni. Troskliwie zajął się Gilbertem, przedstawiając mu co bardziej interesujące osobistości. Gilbert sprawiał wrażenie z lekka oszołomionego takim zaszczytem.

Czas mijał, a o portrecie nie było okazji zamienić słowa. Violet zaczęła się trochę martwić. Zaczęła się też zastanawiać - widząc, z jakim respektem traktują wszyscy gospodarza - czy Gilbert nie miał racji mówiąc, że to wygórowana ambicja liczyć na portret pędzla takiej sławy.

Siedziała wyprostowana na aksamitnej orientalnej kanapie o wygiętych w kształcie liry oparciach i zdobnych frędzlami poduszkach, obserwując Delacroix, Allaina i pozostałych, zatopionych w nie kończącej się dyskusji.

Przerzucali się ideami i wnioskami, jakby w jakimś demonicznym starciu umysłów.

Nie potrafiła stwierdzić, czy naprawdę wierzą w to, co mówią, czy też zajmują odmienne stanowiska w sporze tylko po to, by mieć przyjemność z debatowania.

Rej wodził Allain. Sypał przekonującymi argumentami, od czasu do czasu rzucał ciętą uwagę, zdradzającą bystrość i inteligencję, a także niemałe poczucie humoru. Wyglądało na to, że zna wszystkich i że wszyscy, a zwłaszcza damy, znają jego. Wszyscy odnosili się do niego z sympatią, ale też z głębokim poważaniem, co zdawało się niezwykle.

Violet starała się nie patrzeć zbyt często w jego stronę, co sprawiało jej nie lada trudność. Był taki żywy, dynamiczny, że wyróżniał się spośród pozostałych mężczyzn. Ciepły głos, wesołe ogniki w oczach były nieodparcie ujmujące. A jaki był pociągający w ciemnym, wizytowym stroju, z refleksami płomyków świec w kręconych włosach. Śniada cera

kontrastowała z bladymi twarzami wokoło, podkreślając otaczającą go aurę nieposkromionej
Ŝywotności.

Szeleszcząc jedwabiami i rozsiewając zapach konwalii przysiadła się do niej jakaś
kobieta. Violet odwróciła się ku niej z powitalnym uśmiechem. Była to jedna z aktorek, o
imieniu, jeśli dobrze zapamiętała, Klotylda. Określenie „aktorka” było w jej przypadku, zdaje
się, eufemizmem. Miała na sobie tak wydekoltowaną z przodu suknię, Ŝe gdy się pochylała,
moŜna było w całej okazałości podziwiać jej piersi, przypominające dwie pulchne kuropatwy
w gnieździe.

Kobieta chwilę przyglądała się Violet z Ŝywą ciekawością, po czym pochyliła się ku
niej i odezwała się:

- A więc to pani jest tą tajemniczą kobietą.

- Och, chyba nie ja ... - Violet lekko pokręciła głową.

- AleŜ tak. Nasz Allain nie moŜe oderwać od pani wzroku, nawet gdy stara się
udawać, Ŝe jest inaczej. Wszystkie domyślałyśmy się, Ŝe musi kogoś mieć. Wrócił do ParyŜa
tak dawno, a do teatru nawet nie zajrzał.

- Wygląda na to, Ŝe dobrze go pani zna.

- AleŜ oczywiście, wszyscy znają Allaina. Nie ma takiego miejsca, w którym nie
byłby radośnie witany.

Ton jej głosu i gest, jakby ogarniający wszystkich, wydawały się przesadne. Violet
zrobiła zdziwioną minę. - Nie ma takiego miejsca?

- Sądzi pani, Ŝe chciałam powiedzieć „nie ma takiego łóŜka”? Nie, nie, zapewniam
panią, Ŝe to nieprawda, chociaŜ mogłaby być, gdyby tylko on zechciał. Nie, miałam na myśli
Londyn, Genewę, Brukselę, Rzym. We wszystkich stolicach Europy moŜe się czuć jak u
siebie w domu, więcej nawet, na wszystkich dworach. Nigdy do końca nie wiedziałam,

dlaczego tak jest, chyba Œe to ze wzgłędu na jego nieodparty urok. Prawda, Œe jest uroczy?

- Owszem, rzeczywiŒcie. - Głos Violet zabrzmiał chłодно.

- Proszę mi wybaczyć, nie powinnam w ten sposób z panią rozmawiać, ale pani jest taka powaŒna i sztywna, Œe nie mogłam się oprzeć pokusie. Niech mi pani powie, zgodzi się pani, Œeby ją malował?

- Monsieur Massari?

- Ach, mój BoŒe, to pewnie miała być niespodzianka, wszystko zepsułam. Nie daruje mi. Niech mu pani nie mówi, dobrze?

- Nie wiem, czy jest o czym mówić - odpowiedziała Violet z lodowatą uprzejmoŒcią.

- Ach, jaka pani jest mądra, i 'jaka dyskretna. Allain Œwietnie sobie radzi z pędzlem i paletą, byłby sławny, gdyby miał wiêcej czasu, a mniej pieniędzy. Przyjaciele i zasobna kiesa to nieprzyjaciele sztuki, tłumią ten wewnętrzny ogień, rozumie pani.

Nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale na szczęŒcie nie musiała, bo rozmówczyni ciągnęła niemal jednym tchem:

- Ale niech mu pani pozwoli mówić. Niech mu pani pozwoli, aby panią zadziwił.

Proszę pomyŒleć, jakie to będzie przyjemne, gdy będzie panią namawiał, ile się pani nasłucha pochlebstw, komplementów.

- CzyŒby? - Violet z trudem zachowywała zimną krew.

- Niech pani nie marszczy tak czółka, petite, bo sobie pomyŒli, Œe wygaduję pani niestworzone rzeczy. Chyba juŒ coś zauwaŒył, bo tu zmierza. Alors, cóŒ za troskliwoŒć.

Zazdroszczę pani, madame.

Aktorka wstała, rzuciła Allainowi jakąŒ zdawkową uwagę, dotknęła jego ramienia gestem znamionującym zaŒyłoŒć i odeszła. On jednak prawie na nią nie zwrócił uwagi. Usiadł obok Violet i zapytał:

- Co pani mówiła Klotylda?

A więc rzeczywiście cały czas ją obserwował. Ogarnęła ją wdzięczność dla aktorki, która jej o tym powiedziała, wybaczyła jej więc uszczypliwości.

- Nic waśnego, z jednym małym wyjątkiem. Naprawdę jest pan artystą?

Nagły płomień zapalił się w jego oczach, ale powiedział jedynie:

- Maluję, owszem.

- Skąd miałam o tym wiedzieć? Przecież ledwo się znamy.

- Z wielką przyjemnością zmienię tę sytuację - powiedział z lekkim uśmiechem.

Zawahał się. - Bardzo chciałbym panią malować. Może właśnie w tej chwili Delacroix rekomenduje mnie pani małżonkowi jako swojego zastępcę.

- Ukartował pan to wszystko?

Skwitował to stwierdzenie lekkim skinieniem głowy. - Jest pani rozczarowana?

- Myślałam - powiedziała, rzucając mu spojrzenie spod opuszczonych rzęs - że zostanę unieśmierteliona przez wielkiego artystę, który zaszczyca swoim pędzlem tylko siebie i swoich najbliższych przyjaciół.

- A więc proszę bardzo, jeśli takie jest pani życzenie. - Zerwał się na równe nogi. - Już szukam Delacroix ...

- Nie! Nie, niech pan usiądzie, proszę! - zawołała z pośpiechem i wyciągnęła rękę, żeby chwycić go za połę surduta, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

Opadł z powrotem na kanapę. Uśmiechnął się nagle. Ujął jej rękę i powiedział:

- Bawi się pani w kokietkę. To obiecujące.

- Nie, przepraszam, chodziło mi tylko o to ...

- Drażni się pani ze mną. A to znaczy, że nie jestem pani obojętny. To dla mnie zaszczyt.

Oblała się gorącym rumieńcem, Śadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się. - Teraz ja draŚnię się z panią, a nie pora na to.

Wszystko w swoim czasie, a zacząć chciałbym od portretu. Czy zgodzi się pani?

- Tak, oczywiście - rzekła niemal bezgłośnie.

- Mimo Śe nie zna pani moich umiejętności?

Nie odrywała wzroku od swojej dłoni w rękawiczce, która spoczywała w jego dłoniach.

- Spodziewam się, Śe jest pan bardzo utalentowany. Inaczej nie polecałby pana monsieur Delacroix.

Obserwował postrzępiony cień, który rzucały na policzki jej rzęsy, i ciepły kremowy poblask na owalu twarzy, rzucony przez światło gazowych lamp odbite od bladoŚółtego jedwabnego aksamitu jej wizytowego kostiumu. Długo przypatrywał się małemu bukietowi Śółto - fioletowych bratków, który przypięła na piersi. Violet zauwaŚyła jego spojrzenie i pomyślała, czy nie postąpiła zbyt śmiało, nawiązując tak wyraźnie do jego ostatniej ukrytej wiadomości dla niej. Podniosła wzrok i nieśmiało spojrzała mu w oczy. Wyraz jego twarzy uspokoił ją.

- Postaram się - powiedział po chwili rozmyślnego milczenia - być godnym pani zaufania. I zasłuŚyć na pani względy.

Uśmiechnęła się i uwolniła dłoń z uścisku. Cóż za niezwykła przyjemność tak łatwo osiągać porozumienie.

- Allain, mon ami, widzę, Śe juŚ zawarłeś znajomość z madame Fossier?

To Delacroix zbliŚał się do nich, prowadząc ze sobą Gilberta. MąŚ Violet zrobił srogą minę na widok męŚczyzny u jej boku. Allain wstał i czekał spokojnie. Powiedział:

- Pozwoliłem sobie przedstawić się, ponieważŚ wspomniałeś o moŚliwości złoŚenia

przez państwa zamówienia. Madame 'to wspaniały, choć niełatwy temat. Co za rysy, jaka świetlista skóra, proporcje niemal doskonałe. A jaki subtelny, wrażliwy charakter. Nie wiem, czy zdołam oddać to wszystko na płótnie.

- Jestem o tym absolutnie przekonany - zapewnił Delacroix, uśmiechając się lekko pod wspaniałym wąsem.

Gilbert, nadal nieco gniewny, przyglądając się intensywnie Allainowi, powiedział:

- Czy miałem przyjemność poznać pana?

- Zdaje się, że nie - uśmiech Allaina był niezwykle uprzejmy. - Szanowny pan przyjechał z Ameryki? Wiele razy zastanawiałem się nad podróżą do waszego pięknego, nowego kraju, ale jakoś nie było okazji.

Zapadła krótka cisza, którą przerwał Delacroix, dokonując oficjalnej prezentacji obu panów. Allain, uprzejmie dociekliwy, zadawał pytania o Luizjanę i o plany podróży.

Niezręczna chwila minęła.

Później, gdy Violet i Gilbert wracali do hotelu, Gilbert po dłuższym milczeniu odezwał się:

- Jak ci się podoba ten Massari? Może być, czy mam szukać innego malarza?

- Chyba nie ma co zawracać sobie głowy poszukiwaniami. Rekomendacja Delacroix oznacza, że jest więcej niż odpowiedni.

Gilbert poklepał ją po ręce i rozsiadł się wygodniej.

Z westchnieniem ulgi powiedział:

- To dobrze, chere, to dobrze.

Przez chwilę własna dwulicowość napełniła jej serce bólem. Potem pomyślała o tym, jak wiele czasu spędzi z Allainem pozując do portretu, ile rozmów będą mogli odbyć, jak dobrze się poznają. Jeszcze tylko dwa dni, za dwa dni zaczną się sesje, tak ustalili Gilbert i

Allain. Fala radosnego oczekiwania wypełniła jej pierś, tłumiąc bez reszty wyrzuty sumienia.

Poranek tego dnia, w którym miała odbyć się pierwsza sesja, wstał pogodny i ciepły.

Violet spała niewiele. Leżała w łóżku, obserwując przez szpary w zasłonach, jak świat rozjaśnia niebo. Nerwowy niepokój przejmował ją drżeniem, niewiele brakowało, by omdlała.

Nie pójdzie, napisze, że jest niedysponowana.

Sama myśl, że będzie musiała siedzieć nieruchomo, a Allain okiem artysty będzie się jej dokładnie przyglądał, napawała ją przerażeniem, od którego serce waliło jak młotem.

Będzie z nim sam na sam przez całe wieki. Co ma mówić? O czym będą tak długo rozmawiać? Czego on od niej oczekuje? Może mu dała do zrozumienia, że może sobie na wiele pozwolić? Czy tylko tego od niej chciał?

Czy ona tego właśnie chciała? Przewracała się z boku na bok. Zakryła rękami oczy.

Jak mogła myśleć, że to jest jej najgłębsze pragnienie?

Jak mogła sobie wyobrazić, że będzie czerpać z tego przyjemność? Widziała przed sobą tylko troski i zmartwienia. Portret szybko będzie gotowy, a co potem?

śmiała, że samej siebie nie zna lepiej; śmiała, że nie może bardziej na sobie polegać. Zazdrościła kobietom pokroju Klotydy, że potrafią całym sercem, bez moralnych skrupułów rzucić się w związek z mężczyzną. Jak cudownie musi być bez tej tortury wątpliwości, kiedy nie trzeba kłaść na jednej szali radości i bólu, nie trzeba skrupulatnie odmierzać, co przeważa.

Jak dobrze byłoby powiedzieć sobie po prostu: „Nie potrafię się temu oprzeć, to, co czuję, jest silniejsze od moich skrupułów”. Ale nie była tego pewna. Przynajmniej jeszcze nie.

Jeśli nie pójdzie, może już nigdy nie zobaczy Allaina. Ta ostatnia myśl wypędziła ją z

łóżka. Ranek udało jej się przetrwać dzięki wybieraniu sukni, w której będzie pozować,

koronek, biżuterii, omawianiu fryzury z pokojówką. Zajmowała się tym aż do chwili, kiedy

trzeba było wyjść. Po drodze tylko konieczność zachowania twarzy przed Herminą powstrzymała ją przed nakazaniem stangretowi, by zawrócił powóz.

Dom malarza mieścił się na Ile de la Cite, wyspie na Sekwanie, uformowanej na kształt wielkiej, błotnistej barki, zakotwiczonej na stałe pośrodku rzeki. Znajdowali się niemal w cieniu katedry Notre Dame, ogromnej budowli z wapiennych bloków, wąskiej i ciemnej, z rzygaczami wyrzeźbionymi w kształt potworów, które mocno nadszarpnęły czas.

Przysadzista kobieta o bystrym spojrzeniu, będąca tu gosposią, wprowadziła Violet i Herminę na wąskie, kręte schody. Otworzyła drzwi do obszernego hallu, urządzonego jak salon, i zaanonsowała Violet, po czym odsunęła się, żeby ją przepuścić.

Pomieszczenie było długie i wąskie, przez wysokie okna, wychodzące na północny wschód i północny zachód, wpadało czyste, białe światło. Rzeźbiony strop, wsparty na potężnych belkach w dawnym stylu, wyraźnie pociemniał od dymu z przepastnego kamiennego kominka, który zajmował prawie całą ścianę szczytową. Umeblowanie było ciężkie, niemal średniowieczne, składało się z kilku krzeseł, paru wysokich kandelabrow i szerokiej kanapy, prawie łoża, przykrytej jedwabną narzutą z frędzlami, której deseń kojarzył się z perskimi ogrodami; ponadto przy jednej ze ścian stał długi stół. W centrum znajdował się podest, na którym umieszczono fotel obity karmazynowym brokatem. Przed podium stały sztalugi, na których umieszczony był blejtram z naciągniętym czystym, zagruntowanym płótnem.

Allain ślęczał przy stole nad plikiem szkiców. Odwrócił się z okrzykiem radości i podszedł się przywitać. zaproponował herbatę, wino i ciasteczka. Kiedy gosposia po nie poszła, on poprowadził Violet do stołu, przy którym pracował.

- Zanim zaczniemy, chciałbym pani coś pokazać. To były szkice do jej portretu.

Przedstawiały ją poważną i roześmianą, czujną i pełną ufności, z kroplami deszczu na rzesach

i później, gdy krople już wyschły. Raz trzymała bukiet fiołków, innym razem miała różę w dłoni. Były też studia jej ust, ucha, linii podbródka, ułożenia palców i kształtu ręki. Każdy rysunek był starannie opisany i opatrzony datą.

- Zrobiłem ich wiele - wyznał cicho - te uznałem za godne pani oczu.

Violet zaczerpnęła powietrza.

- Nie do wiary. Jest pan wielkim artystą.

- To szkice dla przyjemności, robione z pamięci. Pokazuję je w nadziei, że przekonam panią, i może mi zaufać.

Zabrział w tych słowach głęboki, szczery ton, który znalazł w jej duszy tak silny oddźwięk, że aż oblała ją fala gorąca. Z trudem wykrztusiła:

- Nigdy w to nie wątpiałam.

- Wielce pani dla mnie łaskawa. Zareczam, że nie pośluguje pani, i zwróciła się do mnie.

Przerwało mu wejście gospodyni. Allain kazał postawić tacę przed kominkiem. Miłym uśmiechem obdarzył Herminę, a do Violet przemówił rzeczowym tonem:

- Obecność innej osoby przeszkadza mi w czasie sesji. Może pani pokojówka zesłaby na dół z panią Maillard i równieś zjadła kilka ciasteczek i wypła lampkę wina? Zawsze będzie można po nią zadzwonić.

Violet popatrzyła mu głęboko w oczy. Biła z nich może nie sama niewinność, ale nie dopatrzyła się w ich szarawym błękitcie niczego niebezpiecznego. Zgodziła się więc i podeszła wraz z nim do kominka, a gospodyni zaprowadziła Herminę do kuchni. Drzwi za nimi zamknęły się lekko, ale niewątpliwie.

Wino trysnęło jak rubinowa krew, gdy Allain napełniał kielichy. Wręczył jej jeden z nich - piękny kryształ o poślacanej krawędzi - poczekał, aż usiądzie, po czym zajął miejsce

koło niej.

Pociągnął łyk, obserwując ją przez cały czas znad kielicha. Palce zaciskał tak silnie na nóżce, że omal nie pękła. Wreszcie przemówił:

- Nie mogę uwierzyć, że to nie sen.

- Ja tak. - Uśmiechnęła się niezdecydowanie. Miała ochotę napić się wina, żeby się trochę rozluźnić, ale obawiała się, że rozleje. Nie potrafiła wytrzymać jego wzroku, więc spoglądała w bok, na półkę nad kominkiem, na której stała srebrna podstawa pełna grubych, welinowych kopert, najpewniej zaproszeń.

Zdziwiony podążył za jej spojrzeniem, ale po chwili znowu patrzył na nią.

- Tak wiele mam pani do powiedzenia, ale zupełnie nie wiem, od czego zacząć. Widzę tu panią i jedyne, czego pragnę, to patrzeć i patrzeć bez końca ...

- Proszę ... - zaprotestowała niemal bezgłośnie.

- Nie chciałem wprowadzić pani w zakłopotanie. Po prostu nawet nie ośmielałem się myśleć, że moje marzenie się spełni. No i wydawało mi się, że znam każdy najdrobniejszy szczegół pani twarzy, każdy włos na głowie, tymczasem okazuje się, że jest pani piękniejsza, niż sobie wyobrażałem, a równocześnie mniej uchwytna. Zacząłem się nagle obawiać tego portretu, tego, że zawsze pozostanie w pani tak wiele rzeczy, których nie będę potrafił dostrzec.

Jej twarz płonęła, nie mogła złapać tchu. Powierzchnia wina w kielichu marszczyła się od drżenia. Przez ściśnięte gardło nie była w stanie wykrztusić słowa. Nie wiedziała, czego właściwie spodziewała się po tym spotkaniu, ale z pewnością nie takiej deklaracji. Mogłaby przysiąc.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział stłumionym głosem, odstawiając kielich i wstając,

by sięgnąć ręką do wysokiej półki nad kominkiem - nie miałem zamiaru mówić pani takich

rzeczy. Miałem być spokojny i uprzejmy, i oględnie dać wyraz uczuciom. Pani pomyśli, i jestem niespełna rozumu.

Jego zakłopotanie złagodziło nieco jej własne.

- Nie - odparła niskim, wibrującym głosem. - Ale nie przywykłam do słuchania takich rzeczy. Nie wiem, co panu odpowiedzieć.

Spojrzał na nią przez ramię, a jego ciepły uśmiech zdawał się obejmować ją uściskiem.

- Nie trzeba odpowiadać. Nie jest pani odpowiedzialna za to, co czuję i co mówię. Ale proszę, niech się pani napije wina. Potem zajmijmy się lepiej malowaniem, zanim powiem coś, czego oboje możemy się wstydzić.

Tak ustalili tryb kolejnych sesji. Allain zachowywał się w stosunku do Violet z szacunkiem i nienaganną uprzejmością, ożywianą od czasu do czasu ciepłym humorem.

Bezustannie prawili jej komplementy, które co prawda nieodmiennie barwiły jej policzki rumieńcem, lecz były tak grzeczne i związane z pracą, którą wykonywał, że nie mogła się o nie obrazić.

Każdego popołudnia zajmowała miejsce na podium, pozwalała układać sobie fałdy sukni, ustawiać głowę, ręce i ramiona delikatnymi dotknięciami, których ciepło czuła potem godzinami. Bliskość jego ciała zapierała jej dech i nie pozwalała podnieść wzroku.

Zastanawiała się, czy on widzi, jak faluje jej pierś, jak bije jej serce pod gorsetem, czy wie, że nie potrafi się rozluźnić, jak jej polecał, bo czuje się niemal naga pod jego uważnym spojrzeniem.

Pewnie po to, żeby złagodzić napięcie, bawił ją rozmową na rozmaite tematy,

powtarzał ploteczki ze świata artystycznego albo pogłoski krążące w sferach dworskich

Napoleona III; opowieści o błędnym zarządzaniu funduszami na przebudowę Paryża, historie

o przygotowaniach do wojny na Krymie. Opowiadał o problemach, które już zdążyły pojawić się w małżeństwie królewskim, ledwie w półtora roku po jego zawarciu, a wywołanych nadmierną skłonnością cesarza do atrakcyjnych kobiet.

Mówił żywo, ciekawie, z humorem, z taką wyrozumiałością dla ludzkich wad i błędów, że zaczęła wyczeekiwać tych rozmów z utęsknieniem. Jego poglądy i postawa odpowiadały jej bez zastrzeżeń, tak były zbliżone do jej własnych, że zdawało się to aż nadnaturalne. W takim spotkaniu dwóch umysłów było coś niewiarygodnie uwodzicielskiego.

Pewnego dnia, prawie miesiąc od rozpoczęcia malowania portretu, znów rozmawiali o cesarzowej.

- Wczoraj w Lasku Bulońskim widziałam cesarzową Eugenię w powozie - opowiadała Violet. - Jest tak uderzająco piękna z tymi kasztanowymi włosami i błękitnymi oczyma, tak śliczna, że wprost nie chce się wierzyć, by cesarz mógł spojrzeć na inną kobietę.

Allain odpowiedział, nie odrywając wzroku od płótna:

- Bez wątpienia kocha ją. Jako władca Francji mógł znaleźć sobie żonę wyjątkowo urodzoną dziewczynkę, córkę hiszpańskiego hrabiego i Amerykanki. Podobno Ludwik Napoleon chciał uczynić ją swoją kochanką, ale tak oczarowała go swoją odmową, że zaproponował jej małżeństwo. Dla niektórych mężczyzn pościg za miłością jest ważniejszy niż sama miłość.

Ludwik Napoleon potrzebuje nowych podbojów, by pławić się w poczuciu, że ma władzę.

- To. mi wygląda na słabość charakteru - stwierdziła Violet - taka potrzeba utwierdzania się w poczuciu władzy.

Cień przemknął przez twarz Allaina.

- Owszem - powiedział - to może być nałóg równie zgubny jak absynt. - Po chwili spojrział na nią z budzącym się w oczach rozbawieniem. - Słyszałem jednak, że Eugenia nie poddaje się bez walki. Podobno przekupiła jakąś starą jędzę, która była kiedyś służącą innej

cesarzowej, Józefiny, i zdobyła od niej recepturę perfum, dzięki którym podobno tamtej udawało się utrzymywać przy sobie Napoleona 1.

Violet potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Jak takie rzeczy wychodzą na światło dzienne?

- Słuchaj, plotkuje, oczywiście, przecie sama Eugenia tego nie załatwiała, musiała wysłać kogoś ze swoich ludzi. - Pewnie tak. Ale co do tych perfum, jak one mogą działać, co takiego w nich jest?

- Kto wie? Pewnie coś egzotycznego. Podobno te perfumy zostały sprowadzone z Egiptu przez samego Napoleona. Zdaje się, że jego żołnierze odkryli je w jakimś bezimiennym grobowcu, jakoby miejscu pochówku samej Kleopatry. Znaleźli przy nich tabliczkę, która głosiła, że są źródłem wielkiej mocy, ponieważ olejki, które wchodzi w ich skład, były używane w tajemnych rytuałach królowych - kapłanek Izidy, panujących w Egipcie jeszcze przed faraonami.

- A czy pomogły Eugonii?

- Jeszcze chyba za wcześnie na wyraźny efekt, ale pokłada w nich wielkie nadzieje.

Violet znów pokręciła głową.

- Skąd jej to przyszło do głowy? Przecie Napoleon nie był przykładem wierności.

Allain podniósł w górę pędzel.

- Ale Józefina była jego największą miłością, i to przez długi czas. A miała wszak więcej lat od niego, zepsute zęby i sama nie najlepszą reputację, jeśli idzie o wierność. Mimo to pisywał do niej tysiące listów, zapewniając o swoim oddaniu. Nie rozwiódłby się z nią, gdyby mogła mu dać syna. To daje do myślenia, prawda? Co ciekawsze, sam tych perfum nie używał, a znany był z tego, że dosłownie kąpał się w pachnidłach, zwłaszcza w mieszance olejku bergamotowego, cytrynowego i rozmarynowego, znanej jako woda węgierska.

- Być może zapach perfum Kleopatry był dla niego zbyt słodki i damski?

Allain uśmiechnął się.

- Owszem, to możliwe, chociaż rytuały świątynne kojarzą mi się raczej z zapachem kadzidła i takich drzewnych składników jak cedr czy drzewo sandałowe. Ale to może tylko moje prywatne odczucie.

- Jest pan prawdziwym znawcą zapachów - stwierdziła z uznaniem.

- Mam przyjaciela, który prowadzi perfumerię przy Rue de la Paix. - Nabrał na pędzel trochę cielistego różu i delikatnie zaczął rozprowadzać go na płótnie.

- Aha, to pewnie tam dowiedział się pan o istnieniu tych perfum Kleopatry.

- Niezupełnie. Ostatnio, owszem, tam o nich słyszałem. Ale znałem je już dawno temu, miała je moja matka.

- Naprawdę? - Była naprawdę tym zaintrygowana. A skąd się u niej wzięły?

- Dostała je w prezencie od mojego ojca. A mój ojciec, podobnie jak Józefina, dostał je od samego Napoleona.

- Znał go osobiście?!

Zupełnie niewiarygodne zdało jej się, że można tak zwyczajnie rozmawiać o tym człowieku legendzie.

Napoleon Bonaparte był dla Violet bohaterem. Dla niej, podobnie jak dla większości nowoorleańczyków, pozostał nim mimo hańby ostatecznej klęski, jaką poniósł. Przez parę lat wydawało się, iż człowiek ten wskrzesi dawną chwałę Francji. Podobna szansa stała teraz przed Napoleonem III.

Allain lekkim skinieniem głowy twierdząco odpowiedział na jej pytanie, choć sprawiał wrażenie bardzo skupionego na płótnie, któremu przyglądał się z uwagą, odłóżwszy pędzel i paletę.

- Te perfumy, a raczej skomplikowany przepis sporządzania ich z wielu rozmaitych olejków eterycznych, otrzymaj mój ojciec w dowód przyjaźni. Byli wtedy obaj z Napoleonem jeszcze młodzi, to było czterdzieści siedem lat temu; dawno, bardzo dawno temu.

- Pański ojciec pewnie bił się pod Napoleonem? Przez jego twarz przemknął uśmiech.

- Mój ojciec podziwiał go z początku bezgranicznie, a potem ostro się mu przeciwstawiał. Wielu przeszło tę drogę.

Wytarł starannie ręce w szmatkę nasączoną terpentyną.

Odłóżył ją, po czym podszedł do Violet zwinnie i z gracją. Usiadł na podium u jej stóp, wsparł jedną nogę w wysokim bucie na podeście i oparł ręce na kolanie drugiej, zgiętej nogi.

- Madame - zaczął, po czym umilkł. Oczy, bardziej szare niż błękitne w chłodnym świetle padającym z północnego okna, miał szeroko otwarte i bezbronne, gdy tak patrzył jej prosto w twarz. Szczerość malująca się na jego obliczu poruszyła coś w głębi jej duszy, a ona poczuła przyjemność zmieszaną dziwnie z bólem; czuła też, jak słabnie jej wola.

- Na imię mam Violet - powiedziała cicho.

- Violet - powtórzył łagodnie. - Violet, chcę ci powiedzieć, że portret jest niemal gotów.

Przełknęła nerwowo ślinę.

- Domyślałam się, że niewiele już pracy pozostało.

- Gdybym chciał, mogłem ostatnie pociągnięcie pędzla zrobić już tydzień temu. Mogę i w tej chwili.

To była deklaracja, wyznanie. Oddawał się całkowicie w jej ręce. Świadomość tego zaparła jej dech w piersi.

- Możesz? - powiedziała miękko.

- Pytanie, czy mam to zrobić?

Głos jego brzmiał spokojnie, gdy wypowiadał tę kwestię. Jej pozostawiał decyzję•

Jeśli ona postanowi, Œe ma skończyć portret, zaakceptuje to i sesje ustaną. A jeśli postanowi inaczej?

- Chyba ... - zaczęła powoli - chyba nie ma wielkiego pośpiechu?

Jego oblicze rozjaśniła radość. Utworzyła siateczkę zmarszczek wokół oczu i zagnieździła się w kącikach ust. Nawet o cal nie zbliŒył się do niej, a mimo to poczuła płynącą od niego falę uniesienia, która ogarnęła ją jak wichur. Nie mogła powstrzymać uŒmiechu, który z kolei pojawił się na jej twarzy.

- Violet - powiedział z gorącą proŒbą w głosie - czy zechcesz pójść ze mną na przechadzkę, skoro nie mam pracy tego popołudnia? Zechcesz wesprzeć się na moim ramieniu, byŒmy mogli udawać zwykłych ludzi, którzy wyszli zaczerpnąć ŒwieŒego powietrza, czy moŒe wolisz usiąść gdzieś w spokoju i wypić lampkę wina?

OŒmielić się? A co, jeśli ktoś ją zauwaŒy i doniesie Gilbertowi?

Ach, przecieŒ nie odmówi, skoro kaŒdy jej nerw pragnie tego, skoro rozpiera ją z trudem powŒciągana radość na samą myŒl o jego skrywanej namiętności.

- Tak - szepnęła. - Dobrze.

ROZDZIAŁ IX

Violet i Allain wyszli z domu bocznymi drzwiami, by nie zauwaŒyła ich Hermina, która siedziała z gospodynią. Obie kobiety zaprzyjaźniły się, znajdując przyjemność w narzekaniu na własne zdrowie i opisywaniu swoich dolegliwości. Violet była przekonana, Œe Hermina nic by nie powiedziała, nawet gdyby coŒ podejrzewała czy widziała, ale nie chciała dawnej niani Gilberta naraŒać na konflikt moralny.

To było cudowne popołudnie. Z Ile de la Cite przeszli na prawy brzeg Sekwany.

Rozmawiali o wielu sprawach, lecz co jakiś czas milkli i tylko patrzyli sobie w oczy.

Wędrowali bez celu, nie zwracali uwagi ani na to, dokąd idą, ani jak daleko zaszli.

Wystarczyło im, że zdołali się wyrwać. Razem.

Pod swoją dłonią czuła jego ramię, powściąganą siłę jego mięśni pod rękawami

koszuli i surduta, co sprawiało, że serce podchodziło jej do gardła. Ocieranie się jej szerokich

spódnic o jego spodnie zdawało się gestem wielce intymnym, jakby jej strój stanowił

przedłużenie jej własnej, wyostrzonej wrażliwości. Była świadoma jego obecności, jego

łagodnych spojrzeń i twardych, niemal nie do zniesienia, ograniczeń, jakie narzucił sobie w

stosunku do niej. Chciała, żeby ten spacer nigdy się nie skończył.

Na ziemię kładły się już długie cienie, gdy znaleźli kawiarenkę na skraju parku.

Stoliki stały w cieniu rozłożystego platana. Odlany z żółta stolik i krzesła były zimne.

Zrobiło jej się chłodno mimo gorącej cafe au lait, którą zamówił dla niej Allain. Rozejrzała

się dookoła - stoliki w pobliżu zajęte były przez flirtujące, zainteresowane wyłącznie sobą

pary. Powiedziała coś na ten temat Allainowi.

Uśmiechnął się dwuznacznie.

- Przyjrzyj się im bliżej - powiedział.

Dostrzegła teraz, że większość kobiet jest znacznie młodsza od swych towarzyszy, ale

były też pary, w których właśnie dama była starsza i, co było widać na pierwszy rzut oka,

zdecydowanie zamożniejsza.

- Ach! - Odwróciła wzrok, byle na to nie patrzeć.

- Tak. Mam nadzieję, że to cię zbytnio nie deprymuje. - Ujął jej dłoń i zaczął pieścić

jej palce kciukiem, twardym od ćwiczeń szermierczych. - Flirt to paryska specjalność.

- Rozumiem - odparła w zadumie.

- Chyba nie, na pewno nie, jeśli sądzisz, że przyprowadziłem cię tu tylko po to, by

narazić na tego rodzaju widoki. Pomyślałem jedynie, że nie chciałabyś ryzykować rozpoznania, co byłoby znacznie bardziej prawdopodobne w jakiejś modnej kawiarni.

- Nie musisz nic wyjaśniać - odparła patrząc mu w oczy. - Ufam ci.

Przypatrywał się jej dłuższą chwilę, po czym odrzekł szorstko:

- Nie. Proszę. Nie zasługuję na tyle. Jedyne, o czym marzę, to zarazić cię zepsuciem, i to do szpiku kości.

- Ale nie zrobisz tego, prawda? - Jej usta rozchyliły się powoli w drżącym uśmiechu.

- Nie zrobię? - Odczekał pełną napięcia chwilę i z westchnieniem odpowiedział sam sobie: - Nie. Przynajmniej nie bez zgody.

Jego słowa stanowiły wyznanie. Powinny były ją odstraszyć. Tymczasem przejęły ją rozkosznym dreszczem. Chciał jej, naprawdę jej pragnął. A równocześnie nie zamierzał narzucać jej swojej woli, nie śądał, nie wymagał niczego, nie powoływał się na śadne prawa. Czy zdawał sobie sprawę, jak taka deklaracja kusila ją, jak uderzała do głowy myśl, że oto w jej rękach leży decyzja, jak rozwinie się ich przygoda.

Ich przygoda. Jak to dziwnie brzmi. Ale czego, tak naprawdę, chce?

Czy chodzi jej tylko o bezpieczną, platoniczną przygodę? Czy pokusi się, czy może się pokusić o coś więcej, o coś, do czego popycha ją ten śar we krwi? Czy nie zepsuje tego, co zrodziło się między nimi? Czy on nie będzie rozczarowany, czy nie zmaći to jego romantycznego wyobrażenia o niej, jeśli da mu poznać, że pośada jeszcze czegoś?

Jakieś to zagmatwane, tak zagmatwane, że czuje się sparaliżowana przez targające nią sprzeczne uczucia.

Były jeszcze następne przechadzki, jako że sesje malarskie stały się tylko pretekstem do ich spotkań.

Ryzykowali wyprawy bliżej centrum Paryża. Alain znał najlepszych krawców,

najzdolniejsze modystki, najwprawniejszych rękawiczników i szewców, i z przyjemnością oprowadzał ją po ich pracowniach. Miał wyrafinowany gust, bezbłędne oko do kolorów i kroju. Ale nie próbował narzucać jej swoich upodobań, przeciwnie, skłaniał do rozwijania własnego smaku. Twierdził, że Violet ma naturalne wyczucie stylu, spokojną elegancję, która doskonale do niej pasuje. Jedyne, czego powinna się nauczyć, to polegania na własnym instynkcie.

Tylko raz spróbował zapłacić za jakiś szczegół garderoby dla niej. Odmówiła stanowczo i bez wahania; musiał wycofać się jak niepyszny. Ponieważ przykro mu było patrzeć, jak płaci sama, więc - by oszczędzić mu zakłopotania - Violet nieczęsto decydowała się na zakupy przy nim. Raczej wracała później sama.

Allain nie potrafił zrozumieć, dlaczego Gilbert nie zabiera jej na zakupy mebli do wspólnego przecież domu, dlaczego nie uwzględnia jej upodobań. Po chwili jednak błogosławił go, bo przecież tylko dzięki temu mogła tyle czasu spędzać z nim, zamiast z mężem przeczesywać magazyny i strychy.

Pewnego popołudnia spotkali się tuż po burzy.

Z rynien jeszcze płynęły strumienie wody, a na niebie kłębiły się resztki ciemnych chmur, nie przejmowali się tym jednak. Allain bambusową laseczką odgarniał ze ścieżki zerwane przez wiatr zielone liście platana. Szli w ciszy, którą przerwał po chwili:

- Hrabina Fourier wydaje bal za kilka dni. Czy nie zechciałabyś zaszczyścić go swoją obecnością?

- Z wielką ochotą, jeśli Gilbert nie ma innych planów. Ostatnio wciąż jest wieczorami zajęty.

- To wielka gala dyplomatyczna z okazji poprawy stosunków między Francją a Belgią.

Będzie wytwornie, choć może trochę sztywno. Słuchaj swoim towarzystwem, jeśli twój mąż nie

będzie miał czasu.

Przechyliła głowę i przyglądała mu się spod runda włoŝonego zawadiacko błękitnego słomkowego kapelusika.

- Wątpię, czy uznałby to za właściwe.

- Wiele zamęŝnych dam występuje w towarzystwie przyjaciół domu. Nikogo to nie dziwi, póki pozostają na publicznym widoku. Moŝesz to wyjaŝnić męŝowi.

Myśl o wieczorze z Allainem, nawet na oczach innych ludzi, była zbyt nęcała, by mogła odmówić.

- Myślę, ŝe moŝesz to tak zorganizować, by przysłano nam zaproszenie. Zobaczymy, co powie Gilbert.

Przycisnął mocno do boku ramię, pod które go trzymała, a spojrzenie jego oczu nie pozostawiało wątpliwości co do jego uczuć.

Powietrze było ciężkie od wilgoci. Skraj spódnic Violet nasiąkł wodą z niezliczonych kałuŝ, które mijali. Na dworze pociemniało.

Allain spojrzał uważnie w niebo. Zmarszczył czoło i powiedział:

- Wracajmy lepiej.

Daleki grzmot zabrzmiał basowym ostrzeŝeniem.

Owionął ich chłód. W chwilę później spadły pierwsze krople deszczu.

Było zbyt późno, by wracać do studia. W pewnej odległości zauwaŝyli kawiarnianą markizę w biało - niebieskie pasy. Przyspieszyli kroku. Padało coraz mocniej. Violet puściła ramię Allaina i uniosła spódnice, by podbiec. Wpadli pod markizy w momencie, gdy niebiosami wstrząsnął potężny grom. Rozeŝmiani i zdyszani zwrócili się ku sobie.

Allain wziął ją w ramiona, objął mocno, a krople bębniły po płótnie nad ich głowami i strumieniami spływały na chodnik. Spojrzał na nią z twarzą rozjaŝnioną, z ogniem w oczach, i

wyszeptał:

- Pamiętasz?

Jak mogłaby zapomnieć? Ich pierwsze spotkanie.

Mokry od deszczu park. Altana. Uśmiechnęła się do niego, lecz jej radość przerodziła się z wolna w cierpienie.

To staje się nie do zniesienia. Te krótkie spotkania, kradzione chwile. Tacy bliscy sobie i tak dalecy. Violet była boleśnie świadoma, jak krzywdzące jest wymagać od Allaina takiej wytrwałości i dyscypliny. Dla niej samej teŜ to wszystko stawało się powoli nie do zniesienia.

Głęboki ból, który zobaczyła w jego oczach, zmusił ją do odwrócenia głowy. Przez szarą kurtynę deszczu spostrzegła sylwetki dwóch mężczyzn, przytulonych w poszukiwaniu osłony do pnia wielkiego kasztana. Violet zmruŜyła oczy, chcąc przeniknąć wzrokiem ścianę deszczu. ZauwaŜyła tych mężczyzn juŜ wcześniej, snuli się za nimi. Nie wyglądali na dŃentelmenów na przechadzce ani na handlowców załatwiających jakieś interesy. W ich zachowaniu było coś ukradkowego.

Ubrani byli w ciemne, jakby celowo me zwracające uwagi, nijakie ubrania.

- Spójrz na tych ludzi - powiedziała półgłosem do Allaina. - Wydaje mi się, Ńe za nami chodzą. Myślisz, Ńe to jacyś rabusie?

- Wątpię. - Allain powiedział to ponuro, ale nawet się im nie przyjrzał.

Coś w jego tonie zaniepokoiło Violet. Popatrzyła na niego pytająco:

- Myślisz, Ńe coś knują?

- Kto wie? - Wzruszył ramionami. - Wszystko jest moŜliwe.

- Och, przecieŜ jest biały dzień!

- Nie martw się - uśmiechnął się pogodnie i pogładził jej ramiona okryte jedwabiem. -

Pewnie tych biedaków oszołomiła twoja uroda. Wierz mi, dobrze rozumiem kogoś, kto chce podążać za tobą jak cień.

Wyglądało na to, że chce ją zabawić, odwrócić jej uwagę, by oszczędzić jej niepokoju.

- A najpewniej po prostu zmierzają przypadkowo w tę samą stronę - dodał.

Ale najwyraźniej ona miała rację. Kiedy deszcz ustał i wyruszyli z Allainem w drogę powrotną do studia, mężczyźni podążali za nimi w pewnej odległości, a gdy byli już blisko, zniknęli z pola widzenia.

Kiedy przyszło obiecane zaproszenie na bal, Gilbert poczuł się mile połączony uwagą, jaką zaszczyciła ich hrabina Fourier. Nawet przez moment nie wahał się, czy wziąć udział w tak wielkim wydarzeniu. Miał się czym pochwalić przed krewnymi. Był jednak trochę zdziwiony, że na liście gości znalazło się nazwisko Massariego; nie sądził, iż byle artysta może przekroczyć tak wysokie progi.

Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że dziwniejsza jest obecność jego własnego nazwiska wśród wymienionych w zaproszeniu.

Gilbert był tak rozradowany i dumny, że zaproponował Violet, by zamówiła sobie nową suknię balową z mnóstwem obszytych koronką falban, zgodnie z aktualną modą. śyczył sobie, by była w kolorze różowym. Violet udawała radość i entuzjazm, i obiecała zająć się sprawą sukni następnego ranka. Nie powiedziała mu, że jej kreacja na bal została już obmyślona przy udziale Allaina i jest gotowa do pierwszej przymiarki. Musiała ćwiczyć się w obłudzie.

Przed wyjściem na bal Gilbert wszczął z nią rozmowę.

Odprawił swojego słuchającego i stał poprawiając na ramionach sukiet i ułożenie koronkowych mankietów. Przyglądał się jej chwilę, ubranej już do wyjścia w batystową błękitno - kremową suknię. Siedziała przy sekretarzyku kończąc opisywanie dnia w swoim

diariuszu.

- Czy ten malarz zbyt się nie spoufala? Podniosła wzrok, zawiesiła pióro nad kartką i zrobiła zdziwioną minę.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ta propozycja zabrania cię na bal wydaje mi się, mówiąc oględnie, trochę bezczelna.

Nie bardzo mi się to podoba.

- Zachowuje się jak prawdziwy dŃentelmen - odparła. - Według mnie monsieur

Massari jest bez zarzutu. - Cieszę się. Ale jeszcze bardziej bym się cieszył, gdyby ten portret był juŃ skończony.

- Prawda, idzie to powoli, ale nie moŃna popędzac artysty. - Spróbowala ratowac się uŃmiechem.

- Całe szczęście, Ńe płacę mu za gotowe dzieło, a nie za dniówki. Na pewno nudzi cię to pozowanie.

Popatrzył na nią znacząco.

Violet czuła, Ńe serce wali jej jak młotem. PomyŃlala o tych dwóch męŃczyznach, którzy Ńledzili ją z Allainem. MoŃna naslał ich Gilbert. Wzruszyła ramionami.

- Wszystko mi jedno. I tak nie mam nic lepszego do roboty.

- Ten człowiek to znany kobieciarz, istny Casanova ciagnał maŃsonka z powaga. -

Wywołał niejeden pojedynek swoimi amatorami, przynajmniej według pogłosek, które slyszalem. Musisz uwaŃac, Ńebyś nie dala sobie zawrocic w glowie.

Violet podejrzewala, Ńe Allain cieszy się powodzeniem u dam, ale z przykroŃcia uslyszala potwierdzenie swoich obaw. Co gorsza, bardziej przejala się przeszloŃcia Allaina niŃ podejrzeniami Gilberta. Powiedziala tylko:

- Nie ma powodu do obaw.

- Na pewno? Tutaj nie szanuje się małżeńskich więzów, tak jak się powinno. Nie chciałbym, żebyś się dała złapać w sidła.

- Ale, Gilberte ...

- Nie wspominałbym o tym, gdyby nie to, że ostatnio się zmieniłaś. Nabrałaś paryskiego szlifów nie tylko w ubiorze, ale, jak mi się zdaje, także w zachowaniu. Nie posuwaj się za daleko.

Violet obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

- A ty, Gilberte? Co z twoimi wieczornymi wypadami do restauracji i teatrów?

- To coś zupełnie innego.

- Może. Ale twoje wymówki nie brzmią przez to bardziej przekonująco.

- Nie jestem już młodzieniaszkiem i zdaję sobie z tego sprawę. Jak człowiek w tym wieku przyjedzie do Paryża po latach spędzonych w zapadłej dziurze, to chce się trochę rozerwać. Ale ty to co innego.

- Więc ja nie mogę mieć nic przeciwko twoim eskapadom, a tobie wolno mnie oskarżać?

Zmarszczył się gniewnie.

- Kiedyś nie wstydziłaś się tak mi odpowiedzieć. Nie podoba mi się to. Wcale a wcale.

- Wszyscy się zmieniają - odparła.

- Niestety, tak. NIC oskarżam cię, Violet, a jedynie ostrzegam. Mam świadomość, że młodość musi się wyszumieć, i że nie jestem, być może, tak przystojny i szarmancki jak niektórzy, ale nie zapominaj, że jestem twoim mężem i człowiekiem zazdrośnym.

Violet nie znalazła na to żadnej odpowiedzi.

Bał zaczął się późno, przynajmniej jak na zwyczaje Violet, chociaż nikomu zdawało się to nie przeszkadzać. Należeli z Gilbertem do najwcześniejszych gości, na szczęście nie

przyszli pierwsi. Dom, w którym odbywało się przyjęcie, znajdował się w starej i eleganckiej niegdyś dzielnicy La Marais. Budowla pochodziła z XVI stulecia, co przydawało jej pewnej romantyczności i dostojności, mimo podniszczenia.

Wspięli się po wydeptanych marmurowych schodach, niewiarygodnie szerokich, zbudowanych z myślą o wygodzie dam w epoce ogromnych krynolin. Po obu stronach przejścia, jak woskowe figury, tkwili bez ruchu lokaje w liberiach. We wnętrzu jarzyły się setki świec, umieszczonych w zakurzonych kandelabrach z brązu i kryształu. Powitała ich gospodyni balu, po czym przeszli na wyslizgany niezliczonymi stopami parkiet.

Przez następne pół godziny Violet i Gilbert przechadzali się przy dźwiękach lekkiej muzyki. Goście paradowali dostojnie po głównej sali, starając się zobaczyć wszystkich i wszystkim się pokazać, lub teŹ myszkowali po salonach i przyglądali się zastawionym do kolacji stołom w jadalni. Prawdę mówiąc, bal nie róŚnił się wiele od tych, na których bywali w Nowym Orleanie, jeśli nie liczyć udziału rozmaitych utytułowanych osobistości. Gilbert nie omieszkał parokrotnie z satysfakcją podkreślić tego faktu. Violet nie kryła rozczarowania.

Tańce rozpoczęły się wraz z przybyciem cesarza.

Violet nie wiedziała, Źe opóŹnienie podyktowane było wymogami protokołu dworskiego; w ogóle nie miała pojęcia, Źe na balu będzie obecny sam Ludwik Napoleon. Z zainteresowaniem przyglądała się, jak prowadzi do tańca gospodynię balu. Najwyraźniej przyszedł sam, cesarzowej nie było nigdzie widać.

- Dobry wieczór, madame Fossier.

Niemal podskoczyła, słysząc za sobą głos Allaina.

Nie zauwaŜyła, kiedy podszedł, jego kroki zagłuszyła muzyka, szuranie nóg tancerzy i gwar rozmów. Spojrzała mu w oczy i poczuła przyjemną falę ciepła, zwłaszcza gdy dostrzegła, z jakim wzruszeniem przygląda się bukietnikowi pąsowych róŜyczek, który

umieściła w ozdobionym koronkami srebrnym uchwycie i przypięła do stanika sukni dokładnie pośrodku między łagodnymi zaokrągleniami piersi. W języku kwiatów róŜa oznacza miłość. Bukiecik dostarczono jej dzisiejszego popołudnia. Gilbertowi powiedziała, Ŝe zamówiła go sama, co nie było prawdą, podobnie jak w przypadku pół tuzina bukietów, które przynosiła ze sobą do domu w ostatnich tygodniach.

- Jak pani się podoba nasz imperator? - zapytał półgłosem Allain po formalnych powitaniach.

Kpina, jaka zabrzmiała w tym pytaniu, sprawiła, Ŝe kąciki ust Violet zadrgały od tłumionego uśmiechu. Gilbert natomiast zmarszczył się gniewnie, jakby uznał za niedopuszczalne, by artysta w jego obecności zwracał się bezpośrednio do jego Ŝony. Violet tym razem nie miała ochoty łagodzić humoru męŜa. Przyglądała się cesarzowi, zastanawiając się, co odpowiedzieć na zadane pytanie.

Był po czterdziestce, wzrostu średniego, miał szpakowate, rzędzące włosy i duże oczy Bonapartów; mógłby być pociągający, gdyby nie jego sztuczny uśmiech. Sprawiał wrażenie człowieka bez Ŝycia, jakby uwaŜanie na kaŜde słowo i wyraz twarzy tak mu weszło w nawyk, iŜ utracił zdolność wszelkiej spontaniczności.

Violet pochyliła się ku Allainowi i wyszeptała:

Okropnie sztywny, prawda?

- Sztywny? O nie, co to, to nie - odparł od razu. To tylko wrodzone monarsze dostojeństwo, odziedziczone po Bonapartach.

- Ach, tak - pokiwała głową. - A ktoŜ mu tak strzyŜe bródkę i dziwacznie podkręca wąsy?

- Nie uwaŜa pani, Ŝe to mu dodaje diabolicznego uroku? Większość kobiet za tym przepada. A pani się nie podoba?

- Raczej nie - westchnęła z udawanym smutkiem.

- Proszę zwrócić uwagę, że jego styl zdobył zwolenników także w konserwatywnych męskich kręgach. Allain ruchem głowy pokazał grupkę mężczyzn o obliczach ozdobionych zarostem naśladującym cesarski.

- A to ciekawe, przecież mężczyźni, oczywiście, nie ulegają modom.

Gilbert chrząknął znacząco. Kołysał się z pięt na palce, z założonymi na plecach rękoma, co było widomym znakiem wzburzenia.

- Myślę, że wskazane byłoby zmienić temat.

Violet niemal zapomniała o Gilbertcie, tak wciągnęła ją ta sztobliwa wymiana zdań.

Ogarnęła ją fala zakłopotania.

Allain nie stracił kntenansu.

- Doradza pan więcej ostrości, czy też domaga się więcej szacunku dla władcy Francji?

- Jedno i drugie - odparł kwaśno Gilbert. - Jesteśmy w tym kraju gośćmi.

- Ja podobnie - zgodził się Allain. - Ale jeśli ktoś taką wagę przywiązuje do

*

monarszych form, to musi także „znosić pociski zawistnego losu”. A z nich najdotkliwszy bywa śmiech.

Allain rzucił okiem w kierunku matrony w turbanie ze srebrnej tkaniny, udekorowanym strusimi piórami, która wzywała go kiwaniem palca. Przeprosił wzrokiem Violet, przechylił głowę i dodał:

- Proszę o wybaczenie. Muszę porozmawiać z tą damą.

* W. Shakespeare: „Hamlet”, akt III, scena I; przekł. J. Paszkowski (przyp. tłum.).

Violet pomyślała, że wycofał się, by załagodzić niezręczną sytuację. Patrzyła, jak wita

się z damą i gronem jej znajomych. Półgłosem zwróciła się do męża:

- Mógłbyś zdobyć się na więcej serdeczności.

- Przecież byłaś serdeczna za nas oboje.

- żeby nadrobić twoją gburowatość. - Nagana w jego głosie niemile ją dotknęła.

Gilbert sapnął mocno.

- Według mnie to wyglądało inaczej. Ale tak czy owak nie muszę się wysilać na uprzejmość w stosunku do człowieka, który bałamuci moją Sonę, i to jeszcze na moich oczach.

- Bałamuci? - To oskarżenie uderzyło ją tak niespodzianie, że aż dech jej zaparło z wrażeń.

- Otóż to. A ty prowokujesz go chichotami i szeptaniem, jakbyś znajdowała się w sypialni, a nie w miejscu publicznym.

- Przecież wiesz, że spędzamy ze sobą ostatnio wiele czasu. To naturalne, że jesteśmy w zażyłych stosunkach, dlaczego by nie?

Popatrzył na nią surowo.

- To chyba powinno być dla ciebie jasne.

Sarkazm w jego głosie rozżłościł ją. Podniosła dumnie głowę i powiedziała:

- A dla ciebie powinno być jasne, że masz mało powodów do zazdrości.

- Wolałbym nie mieć sądnym. - Odwrócił się na pięcie i zostawił ją na środku.

Ten świadomy nietakt, jaskrawe odstępstwo od reguł towarzyskich, których zwykle tak sumiennie przestrzegał, Violet odebrała jako karę za nieposłuszeństwo. Sądził niewątpliwie, że zastraszy ją perspektywą pozostawienia bez opieki wśród obcych.

Jej mąż, pomyślała Violet buntowniczo, jeszcze zobaczy, jak bardzo się myli.

Przeczesywała wzrokiem ludzką ciśbę w bajecznie kolorowych szyfonach i atlasach, i

wreszcie znalazła. Allain jakby usłyszał jej nieme wołanie. Popatrzył w jej stronę i zobaczywszy, że stoi sama, od razu ruszył ku niej.

Orkiestra

właśnie

zaczynała

nowy

taniec,

popłynęły

cudowne

dźwięki

straussowskiego walca „Lorelei” i dokładnie w tym momencie Allain zatrzymał się przed nią.

Podążyła mu ręką. To była jawna niesubordynacja, ale przestało ją to obchodzić. Radość, jaka zabłysła w jego oczach, rozgrzewała ją, pieściła, wyrażała najwyższą aprobatę. Z wolna na jej usta wypłynął delikatny uśmiech.

Bez słowa ruszyli na parkiet. Jego uścisk był zdecydowany. Wirowali łagodnie, spódnica jej wzdymała się, jego ręka spoczywała mocno w jej talii. Płynęli z melodią, unosili się wraz z nią i opadali, złączeni jej rytmem. Czowała ruchy jego mocnych ud przez sutą spódnicę, wyczuwała siłę dłoni przez rękawiczkę. Tańczył tak samo jak malował: precyzyjnie, z gracją, wiedziony nieomylnym instynktem.

Przedtem było jej chłodno, teraz rozgrzał ją ruch ... i jeszcze coś, co starała się ukryć, chowając oczy za firanką rzęs. W głowie miała dziwną mieszaninę drżącego wyczekiwania, ledwo wyczuwalnych szalonych impulsów. Muzyka śpiewała jej we krwi, serce przepełniało szczęście.

Taniec się skończył. Violet i Allain zatrzymali się, oddychając gwałtownie. Rozłożyła

swój wachlarz, przywiązany do nadgarstka jedwabnym sznurem, i zaczęła się wachlować, obserwując rój tancerzy. Nie chciała spojrzeć na Allaina, bojąc się tego, co on może odkryć w jej oczach.

W tej chwili zauważyła, że w kierunku cesarza pośpiesznie przeciska się jego umundurowany adiutant, jakby w odpowiedzi na pilne wezwanie. Cesarz powiedział mu coś, po czym adiutant ruszył w ich stronę. Ona zmierza właśnie do nich, zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy stanął przed Allainem.

- M'sieur le comte - zaczął z głębokim ukłonem. Proszę przyjąć wyrazy uszanowania od Jego Cesarskiej Wysokości. Jego Wysokość pragnie z hrabią porozmawiać. I z damą także.

Gdy szli w stronę cesarza, szepnęła Allainowi do ucha:

- Hrabia?

- Tytuł grzecznościowy, przyznany mojemu ojcu przez państwo weneckie wiele lat temu - oznajmił sucho. - Nigdy go nie używam.

Violet zauważyła wyraz napięcia na jego twarzy.

- Coś cię martwi? - spytała cicho.

- Nie podoba mi się to wezwanie.

- Dlaczego?

- Ludwik Napoleon nie ma najmniejszego powodu, żeby ze mną rozmawiać. Posłuchaj uważnie, chere. Pod ładnym pozorem nie pozwól się cesarzowi wyciągnąć z sali balowej.

- Co? Ale dlaczego?

Nie było czasu na odpowiedź, jeszcze krok i znaleźli się przed obliczem Napoleona

III. Allain złożył głęboki ukłon, Violet dygnęła dworsko. Gdy cesarz wyciągnął rękę,

wnętrzem dłoni do góry, zawahała się lekko, czy nie należy przypadkiem ucałować jego

pierścienia lub w inny sposób okazać szacunek, po czym po prostu położyła na niej swoją dłoń.

Ludwik Napoleon podniósł jej palce do ust.

- Urocza, absolutnie urocza - powiedział. - Jesteśmy zachwyceni.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odparła Violet.

Zauważyła, że Allain bezgłośnie zmełł w ustach przekleństwo.

Forma pluralis maiestatis w ustach Napoleona brzmiała komicznie przez swoją pompatyczność, zwłaszcza że Violet doskonale zdawała sobie sprawę, od jak niedawna cesarz cieszy się przywilejem jej używania. Niemniej jednak otaczała go atmosfera przepychu. Może z powodu munduru pełnego bogatych dekoracji, władzy, którą posiadał, lub wrodzonego poczucia powołania daleki był od przeciętności.

Violet, będąca mimo wszystko pod wrażeniem, jak przez mgłę uświadomiła sobie, że cesarz prosi ją do tańca, a ona zaproszenie przyjmuje. Prawie natychmiast znalazła się na parkiecie, ze wszystkich sił starając się dopasować do zamaszystego, majestatycznego kroku Napoleona. Przyciskał ją do siebie tak silnie, że obawiała się, iż jego medale i inne odznaczenia zaplączą się w falbanę, którą obszyty był dekolt jej sukni. Z trudem udało jej się odsunąć od niego odrobinę, pod pretekstem prowadzenia rozmowy.

Wymienili parę uwag o balu i Violet rozpaczliwie poszukiwała jakiegoś tematu do rozmowy, kiedy przy drzwiach powstało jakieś poruszenie. Pojawił się w nich mężczyzna o imponującej posturze, wyjątkowo przystojny, ubrany wieczorowo. Sądząc z gorliwości, z jaką przywitała go hrabina, i liczebności grupki, która zaraz się wokół niego utworzyła, był człowiekiem o nieprzeciętnej popularności.

- Ach, jest wreszcie. Zastanawiałem się, kiedy się pokaże - powiedział półgłosem cesarz.

- Kto to jest? - spytała Violet. „

- Morny, rzecz jasna. Nie zna go pani? Przedstawimy mu panią później, będzie nam wdzięczny.

Violet słyszała o diuku de Morny, często pisały o nim gazety, a Gilbert wspomniał któregoś dnia, że widział go na ulicy. Nieślubny syn królowej Hortensji holenderskiej i jej kochanka, jak twierdzono, hrabiego de Flahaut, był przyrodnim bratem cesarza. Człowiek ten, obdarzony wyjątkowym wdziękiem, młodszy zaledwie o trzy lata od Ludwika Napoleona, pozostał bon vivantem i kobieciarzem mimo małżeństwa z naturalną córką cara rosyjskiego Aleksandra 1. Wiele uczynił dla poparcia starań swojego przyrodniego brata o władzę i piastował eksponowane stanowiska w obecnym rządzie.

- Będziemy z mężem zaszczytzeni możliwością poznania takiej wybitnej osobistości.

- Przedstawię też pani męża, skoro to konieczne.

Ach, ta pani skromność, ta delikatność, to mi przywodzi coś na myśl. To pani musi być ową „kwietną damą”• Violet rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Wasza Wysokość?

- Od jakiegoś czasu Massari przewraca do góry nogami wszystkie kwaciarnie Paryża i domaga się najpiękniejszych kwiatów. łąda doskonałości i nie zadowala się niczym innym.

Wszyscy wiedzą, że jest jakaś mężatka ogromnej urody i nie ustępującej jej cnoty, jednakże sam o niej nie pisał ani słowa. Krąży tylko pogłoski.

Wbiła wzrok w złote guzy munduru.

- Nic nie wskazuje na to, by mogło chodzić o mnie, Wasza Wysokość.

- Sprawa jest oczywista, zwłaszcza że Massari nie spuszcza nas z oka. Musimy uważać, jest gotów zrobić zamach na nas.

- Ależ z pewnością nie.

- To człowiek wielkiej gwałtowności.

- To znaczy, Œe Wasza WysokoŒć dobrze go zna?

Nie mogła siŒ powstrzymaŒ przed zadaniem tego pytania.

- Europa to pod pewnymi wzglŒdami jedna wioska. Od Rzymu do Londynu i od

Wiednia do Marsylii wszyscy siŒ ze sobŒ znajŒ, przynajmniej w pewnych krŒgach. I wszyscy lubiŒ plotki. Massari ma wielu przyjaciŒł, ale ma teŒ wiele tajemnic, wiŒc pobudza ciekawoŒŒ nawet tych zblazowanych.

- CŒ to za tajemnice?

- Nic pani nie wie o jego pochodzeniu? On i Morny majŒ ze sobŒ wiele wspŒlnego, zdziwi siŒ pani. ProszŒ pozwoliŒ z nami do saloniku, tam jest wiŒcej spokoju, opowiemy pani.

Zrobił to tak zgrabnie, Œe nim siŒ obejrzała, juŒ wyprowadzał jŒ z sali balowej. Violet tak zainteresowała jego słowa o Allainie, Œe dopiero z opŒzaniem przypomniała sobie o jego ostrzeŒeniu.

Stała jak wryta i odwrŒciła siŒ gwałtownie, aŒ spŒdnice zawirowały wokŒł jej kostek.

- ChwileczkŒ, lepiej bŒdzie, jeŒli wrŒcŒ. MałŒonek byłby niezadowolony, gdybym znikła mu z pola widzenia. - PrzecieŒ pozostawił paniŒ bez opieki juŒ jakiŒ czas temu.

- Owszem, ale moŒe wlaŒnie mnie szuka. PŒjdŒ zobaczyŒ.

- Chce pani straciŒ takŒ okazjŒ? Œmiało, proszŒ do nas. Był silniejszy, niŒ siŒ mogła spodziewaŒ, i zuchwalszy.

Złapał jŒ jednŒ rŒkŒ w pasie i odciŒgnŒł od drzwi, które zamknał kopniakiem.

PrzyciŒgnŒł jŒ do siebie i próbował pocałowaŒ w usta.

Gwałtownie odwrŒciła głŒwŒ, odpychajŒc go obiema rŒkami.

- Nie! Wasza WysokoŒć, nie! ProszŒ ...

Niemal udało jej się wyrwać. Roześmiał się zaskoczony i zdwoił swoje wysiłki.

Chwyił ją za kark, wsunął palce w upięte włosy i podniósł jej twarz do góry. Wykręcała się jak mogła, mimo to jego wargi musnęły kącik jej ust.

Nagle drzwi się otworzyły, do środka wpadł powiew ciepłego powietrza i dźwięki muzyki. Wkroczył Allain, po czym zamknął drzwi za sobą.

- Wasza Wysokość - powiedział spokojnie - mniemam, iż wybaczysz mi to wtargnięcie.

Violet z westchnieniem ulgi odskoczyła od cesarza, który, zdetronowany, rozluźnił chwyt. Ludwik Napoleon odwrócił się gniewnie.

- Proszę natychmiast wyjść!

- Ale nie bez damy.

Napoleon odzyskiwał pewność siebie.

- Nie zniesiemy dłużej, by nam przeszkadzano - rzekł wyniośle.

- Obawiam się, że Wasza Cesarska Mość będzie musiał - odparł nie zrażony Allain, odwracając się ku Violet i podając jej ramię. - ściszmy Waszej Wysokości miłej zabawy.

Cesarz otworzył usta, jakby miał zamiar zaprotestować albo wezwać straż. Nagle w jego oczach zabłysła iskierka wesołości. Wzruszył ramionami z wystudiowaną obojętnością.

- Bardzo dobrze, sam zerwij ten kwiatek, Massari.

Ale ostrzegam cię, nie ma róży bez kolców.

- Wiem o tym - odparł poważnie, patrząc z troską na zarumienioną twarz Violet.

Odwrócił się i wyprowadził ją z salonu.

Kiedy z powrotem znaleźli się w sali balowej, Violet zaczęła mówić urywanymi zdaniami:

- Jak dobrze, że przyszedłeś. Nie wiem, jak ci dziękować. Nie myślałam ... wiem, że

mnie ostrzegales ... ale nawet przez mysl mi nie przeszlo, Se on ...

- To satyr!

W glosie Allaina zabrzmiala taka wscieklosc, Se przebiegl ja dreszcz lęku. Nie byla pewna, czy mozna wyzwać cesarza na pojedynek, ale pamietala, Se w Nowym Orleanie taki ton nie wrosl nic dobrego.

Strapiona, zlapala sie za glowe.

- Chcialabym stąd pójsc, jeśli się uda. MoSe pomoglybys mi znalezc Gilberta? Chyba jest w salonie karcianym.

- Dobrze, ale jak ty się czujesz?

- Rozbolala mnie glowa. Ale obiecuję, Se nie zemdleje.

- Nie mam nic przeciwko temu, póki jestem obok ciebie i moge cię złapac -

rozpogodzil sie nieco. - Ale musisz wiedziec, Se to nietakt wychodzic wzescniej niS cesarz.

Musicie sie wyslizgnac bocznymi drzwiami, nie Segnając sie z hrabiną.

- Nie pomyslam o tym. MoSe lepiej zostane. Powiedziala to z glębokim wahaniem w glosie. Nie chodzilo tylko o bol glowy. Napiecia ostatniej godziny, utarczka z Gilbertem, potem incydent z Ludwikiem Napoleonem, a teraz mysl o tym, Se ludzie obserwują ja i Allaina i plotkują - to bylo dla niej zbyt wiele. Na balu nie bylo nikogo z jej znajomych, nikogo z krewnych Gilberta, wszyscy - mimo Se mówili po francusku, a jezyk ten uwasala za swój ojczysty - wydawali jej sie obcy i dalecy. Dotad uwasala sie za Francuzkę, tak ja wychowano, teraz zdala sobie sprawe, Se jest inaczej, Se jest Amerykanką francuskiego pochodzenia.

Allain badawczo przygladal sie jej pobladłej twarzy i pokręcił glową.

- Nie przejmuj się. Wytlumaczę was i poSegnam hrabinę w waszym imieniu.

Chodźmy poszukać twojego męSa.

Znaleźli Gilberta przy stoliku do faraona. Przed nim piętrzył się stos złotych monet.

Ledwie rzucił na Violet okiem i nawet nie przerwał gry, żeby rozważyć jej prośbę. Przecież wygrywa, czy ona tego nie widzi? Nie może odejść, kiedy karty mu sprzyjają. Poza tym wydawało mu się, że ona lubi tańczyć.

Violet przyglądała się zaciętemu wyrazowi twarzy Gilberta i pomyślała sobie, że jest zadowolony z pretekstu do odmowy. Nie zniży się do tego, by prosić go po raz drugi. Odwróciła się na pięcie.

Allain, który stał tuż za nią, nie poruszył się.

- Proszę łaskawie wybaczyć, m'sieur, czy to oznacza, że mam pańską zgodę, by dotrzymać towarzystwa pani Fossier w jego zastępstwie?

Gilbert podniósł głowę i popatrzył mu prosto w oczy.

Zmarszczył czoło, mierząc się z jasnym spojrzeniem Allaina. W palcach obracał powoli złoty pieniądz.

Przy stoliku ucichło, karciarze popatrzyli po sobie, potem na obu mężczyzn. Allain wytrzymał wzrok Gilberta, uniósł lekko głowę - na twarzy miał nieugięte wyzwanie, w oczach stalowe błyski. Jego barczysta sylwetka przybrała imponującą, niemal królewską postawę. Ogrom jego gniewu, w pełni kontrolowanego, ale nieubłaganego, był wręcz namacalny.

Gilbert wciągnął powietrze przez zęby. Czoło wygładziło mu się. Zamrugął oczami.

Lęk, który Violet wcześniej stłumiła, powrócił z nową siłą. Wyciągnęła dłoń i uspokajająco dotknęła ramienia Allaina. Stłumionym głosem spytała:

- Zgadzasz się, Gilberte?

Zwilżył wargi. Jego głos był chrapliwy. - Jak chcesz.

- Dziękuję - odpowiedział za nią Allain z szorstką uprzejmością. Podał jej ramię i

wyprowadził ją z pokoju.

Violet obejrzała się za siebie. Gilbert patrzył za nimi z oszołomieniem na twarzy. Było oczywiste, że zobaczył w oczach Allaina coś, co powstrzymało go przed starciem z artystą. Odwróciła głowę i spojrzała na męża, który ją prowadził. Był teraz spokojny, odprężony. Zapragnęła wyjść stąd, wsiąść do jego powozu i wyruszyć z nim na ulice Paryża. Sam na sam z nim.

Jej serce zatrzepotało oczekiwaniem i dziwnym lękiem.

* * *

Ten bal, musiał przyznać Allain przed samym sobą, to nie był najlepszy pomysł. Chciał ofiarować Violet wieczór beztrudnej zabawy, zobaczyć, jak błyszczy wśród paryskiej socjety, i - oczywiście - mieć pretekst, by wziąć ją w ramiona. Nie bardzo się to wszystko udało.

Czuł się głupio. Już dawno nie miał takiej ochoty, by unicestwić drugiego męża. A fakt, że przydarzyło mu się to w stosunku do człowieka starszego i nie mającego zaprawy, człowieka, którego już na dobrą sprawę skrzywdził, jeśli nie uczynkiem, to na pewno myślą - to po prostu hańba. Nie miał prawa stawiać sprawy na ostrzu noża. Gniew i obawa o Violet nie są żadnym usprawiedliwieniem. Nie miał prawa ryzykować pogorszenia jej sytuacji tylko dlatego, że krew w nim wrzała.

Tak naprawdę to cesarza miał ochotę nadziać na swoją szpadę jak indyka na rożen; tak, Ludwik Napoleon to nadęty indor. Co za nieznośna pycha, jak on śmiało nastawać na cnotę Violet, jak mógł ciągnąć ją w ciemny kąt, zupełnie jak jakąś kucharkę. Okoliczności nakazywały ostrożność i dyskrecję, ale mimo to powinien był go wyzwąć. Co go obchodzi te okoliczności, co go, tak naprawdę, obchodzi Francja. Jest tu przecież tylko chwilowo. Co innego interesuje go naprawdę, gdzie indziej czyhają na niego prawdziwe niebezpieczeństwa.

Gilbert miał pecha, Œe nawinał mu się od razu po scysji z Napoleonem. Mąż Violet został zmuszony do wyboru między upokorzeniem a śmiercią. Nieprędko wybaczy małŒonce, Œe była przyczyną i Œwiadkiem jego tchórzliwego odwrotu.

Gdyby Gilbert zdobył się na odwagę i podjął wyzwanie, cóŒ by mu, Allainowi, pozostało? By wyjść z honorem, powinien wypalić z pistoletu w powietrze i pozwolić skrzywdzonemu męŒowi oddać strzał. Zrobiłby to? Ach, nie. Zabiłby męŒa Violet z zimną krwią, i to z najprostszej przyczyny: by ją uczynić wdową. Przynajmniej spróbowałby. Niech mu Bóg wybaczy.

Spojrzał na Violet, która szła za nim wąskim bocznym korytarzem do tylnych schodów. Kroczyła jak królowa, jak cesarzowa, z podniesioną głową i wyprostowanymi plecami, głucha na szepty, które szły w ślad za nimi. Jej duma i cnota były imponujące. Odwaga, której brakowało jej męŒowi, u niej była czymś naturalnym jak oddychanie. Traktować taką kobietę jak dziecko, które moŒna rozpieszczać lub karcić, zaleŒnie od własnego widzimisię, to głupota. MęŒczyzna, który sobie na to pozwala, zasługuje, by taką kobietę utracić.

I pomyśleć, Œe zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę i wyjść z nim.

MoŒna dostać zawrotu głowy. Nie spodziewał się tego. Przez ostatnie tygodnie obserwował, z jakim trudem wyzwala się z więzów narzuconych przez tradycję kobietom z jej sfery i szanował ją za to. Nie zdziwiłby się, gdyby dzisiaj wybrała bezpieczeństwo i pozostała z męŒem, mimo Œe się wycofał. A moŒe właśnie dlatego.

Nie uczyniła tego. Wybrała jego, Allaina. Nic dotychczas nie napawało go taką dumą.

Nic dotychczas nie sprawiło, by czuł się tak nędznie. Gilbert Fossier nie był wart tej kobiety. Nieszczęście

polega na tym, Œe on sam, Allain, takŒe nie jest jej wart.

ROZDZIAŁ X

Joletta powoli i ostrożnie otworzyła oczy. Głowa pulsowała bólem, wszystkie członki zdawały się powyłamywane ze stawów. Leżała na chodniku. Wokół niej tłoczyła się gromadka gapiów. Pod głową miała coś miękkiego, chyba zwinięty płaszcz. Rone, w samej koszuli, klęczał obok niej. Trzymał jej dłoń w ciepłym uścisku i masował ją lekko, marszcząc czoło.

Nieopodal stał i przyglądał się jej z głęboką troską i niepokojem przystojny brunet w brązowej skórzanej marynarce i koszuli z kremowego jedwabiu, z lotniczymi okularami słonecznymi zsuniętymi na czubek głowy i wciśniętymi w czarne kręcone włosy. Prosto ciosane rysy rozciągnęły się w uśmiechu, gdy spostrzegł, że jest przytomna.

- Proszę o wybaczenie, signorina - powiedział głębokim, niskim głosem. - Nigdy bym tak mocno pani nie pchnął, gdyby nie to, że nie było czasu na ceregiele.

Włoch. Bez zaskoczenia rozpoznała akcent, śniadą cerę, niemożliwy do podrobienia styl ubierania się. Miała dziwaczne poczucie, że tak właśnie musiało być. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę dlaczego i uśmiechnęła się trochę do siebie, a trochę z siebie. Niedoszły wypadek uliczny. Włoski wybawca. Violet. Bzdury. Coś jej się w głowie poplątało.

Podniosła rękę i dotknęła głowy. We włosach miała lepkie od krwi miejsce.

- Sa ... samochód? - zapytała niepewnie.

- Zwiął już dawno - odpowiedział Rone. - Ale nawet cię nie musnął.

- Kierowca powinien się zatrzymać, musiał widzieć, co się stało - powiedział drugi mężczyzna, marszcząc z dezaprobatą szerokie brwi, tak że zetknęły się nad nosem.

- Widział go pan? - Joletta skrzywiła się, bo zabolą ją przy ruchu.

Włoch sięgnął po jej rękę. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł z jej palców plamy krwi.

- Niestety nie. Był straszny tłok, rozumie pani. A ja patrzyłem tylko na panią, widziałem, że stoi pani na drodze tego idioty. Ach, signorina, niech mi pani wierzy, naprawdę nie chciałem pani zrobić krzywdy.

- Jestem panu wdzięczna za ratunek - powiedziała. Nic by mi nie było, gdyby ten słupek nie stał na drodze. - Wszystko przez to. Ale proszę pozwolić, że się przedstawię.

Caesar Zilanti, do usług, signorina.

Rone rzucił mu szydercze spojrzenie.

- Może lepiej zostawić formalności grzecznościowe na później - powiedział do Joletty.

- Najpierw trzeba cię zawieźć do szpitala.

- Byłam nieprzytomna?

- Krótką chwilę, ale to nic nie znaczy.

- To tylko chwilowe zamroczenie, zaraz dojdę do siebie. Nie trzeba ...

- Może być wstrząs mózgu. - Ton Rone'a był stanowczy. - Nic nie zaszkodzi, jeśli obejrzy cię lekarz. - On ma rację, signorina - łagodnie przekonywał Caesar Zilanti.

- Nie mam zamiaru przesiedzieć całego wieczoru w izbie przyjęć.

- To nie zajmie wiele czasu. - Ciemne oczy Włocha patrzyły z powagą. - Z przyjemnością zawiozę panią, mój samochód stoi tuż za rogiem.

- To nie jest konieczne. Weźmiemy taksówkę - uciął Rone.

Męszczyzna uniósł ze zdziwieniem brwi.

- o tej porze? Chyba pan śartuje. Proszę się zgodzić, to dla spokoju mojego sumienia.

Coś w atmosferze, jaka zapanowała pomiędzy Rone'em a Caesarem Zilantim,

martwiło Jolettę. Byli dla siebie niezmiernie uprzejmi, a patrzyli na siebie spod oka.

Zastanawiała się, czy nie doszło między nimi do jakiejś scysji, gdy leżała nieprzytomna; może poszło o to, że Włoch pchnął ją zbyt silnie.

Teraz nie pora się tym przejmować. Głosy odbijały się jakby echem w jej głowie, wypełniając ją bólem. Poza tym głupio tak leżeć na chodniku, gdy nad głową kłóci się dwóch facetów.

- Dobrze, dobrze, pojedę do szpitala - powiedziała próbując usiąść - żeby to już mieć z głowy. - Benissimo, moim wozem?

- żeby było najszybciej.

Rone'owi zrzęda mina, ale nie sprzeciwiał się więcej. Wizyta w szpitalu zajęła znacznie mniej czasu, niż obawiała się Joletta. Obsługa była sprawna, a młoda lekarka, która ją badała, wyraźnie ucieszyła się, że może poćwiczyć swój angielski. Stwierdziła nieznaczne wstrząśnienie mózgu, prześwietlenie głowy nic nie wykazało. Nie ma potrzeby jej hospitalizować, natomiast powinna się oszczędzać: wstrzymać się z uciążliwymi podróżami, grą w tenisa i temu podobnymi. W razie potrzeby może używać zwykłych środków od bólu głowy, jedynie teraz, na początek, dostanie coś mocniejszego. Oczywiście w razie nasilenia się bólu, zawrotów głowy albo zaburzeń widzenia powinna natychmiast zgłosić się do lekarza. Podstawowa recepta to cieszyć się pobytem we Francji.

- Może dalibyście się oboje zaprosić na kolację? zapytał Caesar Zilanti, gdy wyszli ze szpitala. - Byłoby mi bardzo miło. Co prawda jest jeszcze wcześnie, ale moglibyśmy sobie przedtem chwilę posiedzieć przy drinku.

- Nie wiem - powiedziała zerkając na Rone'a.

- Przykro mi, ale ja nie mogę - odparł Rone. - Mam do załatwienia parę telefonów do kraju.

Przecież twierdził, że tak ułożył sobie sprawy słusbowe, by nie musieć stale kontaktować się z firmą. To pewnie tylko wymówka. Tak czy owak, nie bardzo miała ochotę męczyć się sama konwersacją z nieznanym cudzoziemcem.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Chyba lepiej pójdę dziś wcześniej spać, ale bardzo dziękuję za zaproszenie.

- MoŜe więc jutro? - nie dawał za wygraną.

- Obawiam się, Ŝe nie da rady. Po południu wyjeŜdŜamy do Lucerny.

- Wielka szkoda. To byłaby prawdziwa przyjemność. Ale pozwoli pani, Ŝe odwiozę ją do hotelu?

Jego srebrne alfa romeo stało niedaleko. Po drodze spytał:

- A po Szwajcarii nie wybieracie się czasem do Włoch?

- Na cztery czy pięć dni - odparła Joletta.

Caesar popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Tylko? Za mało, stanowczo za mało. Tak wiele mógłbym wam pokazać, gdybyśmy się spotkali.

Przewodnik, który potrafi oprowadzić po róŜnych miejscach wartych zwiedzenia, a nie leŜących na utartych szlakach turystycznych, to byłoby coś. Joletta uśmiechnęła się z Ŝalem.

- Chyba będziemy musieli poradzić sobie sami.

Caesar wślizgnął się do samochodu.

- Szkoda. - Jego ciemne oczy posmutniały. Przekręcił kluczyk w stacyjce i rzucił od niechcenia okiem, czy Rone juŜ wsiadł. - Straszna szkoda.

Włoch prowadził z werwą. W paryskim ruchu, przypominającym wyścig w Le Mans, czuł się jak ryba w wodzie. Zwolnił tylko na chwilę, gdy Joletta omal nie spadła z fotela na zakręcie. Po chwili jednak pędził znowu, płosząc klaksonem kierowców pozbawionych sportowej Ŝyłki.

Pomyślała, Ŝe męŜczyzn tego typu określa się jako niebezpiecznie przystojnych. Miał cięŜkie powieki, zmysłowe, szerokie usta i gęste włosy. Najwyraźniej był świadom swojej

atrakcyjności, bo emanowała z niego pewność siebie. Na nią - a zapewne też na inne kobiety - patrzył uwodzicielsko. To zachowanie, a także rodzaj auta i ubranie, zgodne z najnowszymi tendencjami mody męskiej, składały się na całość niewątpliwie pociągającą. Nie był to typ, który zazwyczaj przyciągał uwagę Joletty, ale interesujące byłoby poznać go bliżej.

A może i nie. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała, to komplikacje sercowe.

Przed hotelem jeszcze raz podziękowała Włochowi za wszystko. W jego czarnych oczach pojawił się taki zawód, że z czystego poczucia winy uległaby i przyjęła ponowne zaproszenie na kolację, gdyby Rone nie wziął jej pod rękę i nie zaprowadził do hotelu.

- Mamy miękkie serduszko, co? - powiedział z rozbawieniem, gdy wchodzili do hallu.

- Pewnie tak - zgodziła się z kwaśnym uśmiechem. - Zaczynam też podejrzewać, że potrzebny mi opiekun. Nigdy w Syciu tak mnie nie prześladował pech, to po prostu nie do zniesienia.

- Nic by ci się nie stało, gdybym bardziej uważał. W jego głosie zabrzmiało takie samooskarżenie, że zrobiło się jej przykro.

- Nie jesteś za mnie odpowiedzialny. śartowałam z tym opiekunem.

- A gdyby ta posada mi się spodobała? - spytał z półuśmiechem.

- To niewdzięczna praca, już się pewnie zorientowałaś. - Poczowała ucisk w gardle, ale zignorowała je. - Za to w moim stylu.

- W takim razie jesteś przyjęty - zaśartowała, choć miała wątpliwości, czy to do końca dowcip. Nawet nie chciała myśleć, do czego by to prowadziło, gdyby to była poważna propozycja.

Nie chciała też myśleć o tym, że ten wypadek, który omal nie skończył się tragicznie, mógł wcale nie być zwykłym wypadkiem. Tak niewiele osób wie, gdzie ona się znajduje, a wśród nich jest Rone. O pewnych sprawach lepiej wcale nie myśleć.

Wersal był wspaniały, olśniewający, tak jak się tego spodziewała, lecz wielkie, zimne pokoje i lustra w nieskończoność odbijające pustkę, ślady Śycia, które niegdyś tu tętniło, a zostało tak gwałtownie przerwane, okrutnie zakończone, miały w sobie takŜe coś przygnębiającego. Nieczynne fontanny i nienaturalnie wypielegnowane ogrody wydawały się smutne i opuszczone, brak im było wesołych śmiechów i dekadencek zepsucia obyczajów, które nigdy juŜ tu nie wrócą.

Gdy nadszedł czas odjazdu do Lucerny, czuła się nasycona Francją.

Jazda była długa, mimo Őe jechali pierwszorzędną autostradą na południowy wschód.

Jolettę znów rozboleła głowa, choć rano czuła się świetnie. Wzięła dwie aspiryny, zamknęła oczy i wcisnęła się w oparcie fotela.

Otworzyła oczy. Droga wiodła przez osady, skupiające się wokół kościelnych wieŜ o

szarych dachach, otoczone strzyŜonymi Őywopłotami z głogu, przez winnice z nisko

poprzycinanymi

winoroślami,

przez

jaskrawoŐłte

łany

kwitnącego

rzepaku

i

zielonobłękitnawego Őyta ułoŜone w gigantyczną szachownicę. Powieki znów jej opadły.

Gdy obudziła się ponownie, spostrzegła, Őe głowę ma wspartą na ramieniu Rone'a.

PoniewaŜ on spał, a spręŜyste mięśnie stanowiły wygodną poduszkę, nie zmieniła pozycji.

LeŜąc z zamkniętymi oczami rozmyślała o tym, jak łatwo mu przyszło postanowić, Őe

dołącza się do wycieczki, i jak jej łatwo przyszło się na to zgodzić. Pochlebiało jej, że tak pragnie jej towarzystwa, ale równocześnie niepokoilo ją to. Kompan był z niego doskonały: naturalny, naturalny, na .luzie, wesoły i zajmujący; mieli sobie mnóstwo do powiedzenia. Mimo to w jego stosunku do niej coś jej przeszkadzało. Widać było, że jest nią zainteresowany, że go pociąga. Jednak dotykał jej tylko przelotnie, nie próbował pozwolić sobie na więcej. Owszem, umizgiwał się czasem, ale wyglądało to na żarty, zachowywał się w stosunku do niej jak brat, nie jak kochanek.

Prawda, wcale nie pragnęła, by rzucił się na nią szaleńczo i namiętnie. Była zadowolona, że spotkała mężczyznę, który wcale nie próbuje zaciągnąć jej wprost do łóżka. Ma swój urok bycie z człowiekiem, który ma dość delikatności, by zdawać sobie sprawę, że kobiecie ze wstrząsem mózgu, choćby nawet i lekkim, wystarczy, jeśli pocałować ją w czoło w drzwiach sypialni i życzyć dobrej nocy.

Ale gdy przypomniła sobie, jak całował ją tamtej nocy na ciemnej ulicy Nowego Orleanu, nie była już taka pewna, że wszystko jest w porządku. Jakby świadomie powstrzymywał się, jakby uważał, by się jej nie narazić.

Nie rozumiała do końca również własnych reakcji.

Jego obecność, jego troskliwość i opiekuńczość sprawiały jej niekłamano radość, ale coś jej nakazywało rezerwę. W stosunkach z mężczyznami przywykła już do tej swojej ostrożności, do kwestionowania ich motywów, ale teraz wyglądało to inaczej.

Pomyślała o swoich podejrzeniach w stosunku do niego, które pojawiły się w Londynie. Minęły, gdy okazało się, że jej kuzynka, a pewnie i ciotka, także bawią w Europie. Ciekawa była, czy je wtedy wyczuł. Człowiek o takim wyostrozonym instynkcie mógł coś zauważyć. Martwiła się, że swoim zachowaniem mogła mu sprawić przykrość.

Nie będzie sobie wiele obiecywać po tej wspólnej wyprawie. Po pierwsze nie ma

czasu się nim przejmować, po drugie to nie byłoby rozsądne. Przecież wcale go nie prosiła, żeby z nią jechał. Z drugiej strony, nie mogłaby zapobiec jego przyłączeniu się do grupy, nawet gdyby chciała. A więc będzie cieszyć się jego towarzystwem i poczuciem bezpieczeństwa, jakie jej daje, i nie będzie za wiele oczekiwać na przyszłość. Przynajmniej się nie rozczaruje.

Było już późno, gdy przybyli do Lucerny. Miasto było słabo oświetlone, a góry widać było jedynie w postaci niewyraźnych mrocznych zarysów, piętrzących się nad wodami jeziora, w których odbijały się roje gwiazd. Ich hotel mieścił się przy bocznej uliczce, zaledwie parę przecznic od brzegu jeziora. Joletcie trafił się pokój ciasny, ale uroczo staroświecki, z wieloramiennym secesyjnym żyrandolem ze szklanymi kloszami w kształcie tulipanów i sepiową tapetą w scenki alpejskie.

Na szerokim dwuosobowym łóżku leżała pierzyna.

Wielkie okno, zasłaniane elektrycznie opuszczaną roletą, można było otworzyć na chłodne, czyste górskie powietrze. Wdychając jego świeżość, Joletta jeszcze raz zapadła w sen.

Obudziła się rześka, wygłodniała i znudzona beczynnością. Niezwłocznie po śniadaniu udali się z Rone'em kolejką górską na szczyt masywu Rigi. Była to zapierająca dech w piersi podróż przez hale, na których czekoladowobrazowe szwajcarskie krowy pasły się wśród drewnianych szałasów pasterskich na bujnej zielonej trawie, usianej solnymi alpejskimi kwiatami, tuż obok stromościennych dolin i z błękitnymi, przyprószonymi śniegiem potężnymi szczytami w tle. Widoczność była doskonała, mogli podziwiać panoramę całych Alp, rojące się od śniegu jezioro i samą Lucernę. Był weekend, więc na świeżym powietrzu wyległy tłumy Szwajcarów, począwszy od starych babć, a na tłustych niemowlakach skończywszy.

Pojawiło się też wielu lotniarzy. Joletcie cierpła skóra na myśl o takim rzuceniu się w przepaść na kruchej konstrukcji z aluminiowych rurek i nylonowej płachty.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można lubić i w ogóle uprawiać taki sport: Rone przekomarzał się z nią, że jest mięczakiem, ale zauważyła, że zawsze stara się stanąć między nią a krawędzią kałdejskiej stromizny, nawet jeśli wtedy zasłaniał jej widoki.

Lunch składał się z kiełbasy na gorąco i smaonych kartofli oraz lodów malinowych na deser. Zjedli go oglądając występy zespołu ludowego. Później wybrali się na miasto.

Przeglądali się wystawom z rolexami i scyzorykami armii szwajcarskiej, fotografowali malowidła ścienne na domach. Spacerowali wokół Lwa Lucerneńskiego, pomnika członków straży szwajcarskiej Ludwika XVI, którzy zostali zgładzeni. Mark Twain, jak ją poinformował Rone, uznał ten pomnik za najbardziej wzruszający w Europie.

Właśnie przy pomniku Joletta zorientowała się, że zostawiła w hotelu swój notatnik.

Miała dzięki temu więcej swobody: mogła w spokoju podziwiać miejskie kwietniki pełne bratków, tulipanów i stokrotek, a także białe bzy i kobierce roślin alpejskich pokrywające skalne ogródki przed domami - i nie czuła przymusu rejestrowania kałdego kwiatka.

Słońce chowało się wśród róów i fioletów, gdy doszli do słynnego zabytkowego krytego mostu dla pieszych, który prowadził na drugi brzeg rzeki Reuss, tuż przy jej ujściu do jeziora. Idąc i słuchając własnych kroków, odbijających się echem, i szeptu zielonołzotej wody pod przęsłami, podziwiali malowidła na ścianach bocznych, przedstawiające sceny z historii miasta, poczynając od średniowiecza.

- Patrz, łabędzie! - zawołała Joletta, gdy wychylili się przez balustradę w pobliżu Wieży Wodnej.

- To para w trakcie godów. - Rone przysglądał się wielkim białym ptakom sunącym majestatycznie po wodzie z wygiętymi wdzięcznie szyjami. Ich pióra barwiła na różowo

poświata zachodu.

Woda pachniała rybami, glonami i topniejącym śniegiem. Po lewej stronie widzieli malownicze zielone cebulaste kopuły jakiegoś kościoła na tle dalekich masywów górskich. U słyszeli orkiestrę dętą z pobliskiej restauracji. Zapadł zmierzch, pozapalały się światła.

Wieczorny wiatr powiał chłodem od wody. Joletta otuliła się ciasniej kremową bawełnianą wiatrówką. Gapiąc się na światła i dachy miasta zastanawiała się, czy Violet te tu stała i oglądała ten sam widok.

Myśli o Violet nawiedzały ją od kilku dni; drzemiąc w autobusie miała nawet sen o niej. Śmiałość, z jaką Violet sięgała po to, czego pragnęła, napełniała ją podziwem. Jej prapraprababka odczuwała lęk, wyrzuty sumienia, zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństw, a mimo to działała. Kto by się tego spodziewał po typowej przedstawicielce kobiet czasów wiktoriańskich? A może Violet wcale nie była taka typowa?

Może w Nowym Orleanie pruderyjne zasady epoki nie były tak wszechobowiązujące, jak w stanach północno - wschodnich, gdzie wpływy purytańskie były najsilniejsze?

Pomyślała o sobie i o swoim długim narzeczeństwie z Charlesem. Teraz zaczęła podejrzewać, że wcale nie była w ten związek tak głęboko zaangażowana, jak jej się wtedy wydawało. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by o niego walczyć, by - narażając się na ryzyko odrzucenia i upokorzenia - gonić swoje pragnienia, chociaż nigdy się sama przed sobą do tego nie przyznała, poczuła nagłą, choć szybko stłumioną ulgę, kiedy okazało się, że Charles znika z jej życia.

Gdyby dostała swoją szansę, co by zrobiła? Chciałaby wiedzieć. Szkoda, że nie ma jakiegoś sposobu, żeby stwierdzić, jak wiele krwi Violet płynie w jej żyłach, ile z jej ducha otrzymała wraz z genami.

- Jak myślisz - odezwała się, przerywając długą ciszę - czy historia się powtarza?

- Czy ludzie popełniają te same błędy, które inni popełnili przed nimi, o to ci chodzi?

- Niezupełnie. O coś takiego ... może nie reinkarnację w ścisłym sensie ... ale o to, czy w którymś z następnych pokoleń mogą powtórzyć się wypadki, które zdarzyły się we wcześniejszym pokoleniu.

Spojrzał zrazu kpiąco, ale potem jego wzrok złagodniał. - Jeśli miałbym ci na to odpowiedzieć, musiałbym znać więcej szczegółów.

- Dajmy spokój - uśmiechnęła się, choć jej oczy pozostały poważne. - Po prostu chodzą mi po głowie różne głupstwa.

Przyglądał się jej twarzy w gęstniejącym mroku. Zamyślił się.

- Wciąż zdarzają się dziwne rzeczy. A co do reinkarnacji, to duża część ludzkości w nią wierzy.

- Ale ty nie?

- Mam zwyczaj polegać na dowodach.

- Możesz je znaleźć za późno.

Uśmiechnął się.

- Tak to jest z wierzeniami.

Para łabędzi podpłynęła bliżej. Zalecały się do siebie rytmicznymi ruchami swoich długich szyj. Wpłynęły pod most i znikły im z oczu. Joletta odwróciła się, by spojrzeć na Rone'a. Obserwował ją, ale ciemność nie pozwalała odczytać wyrazu oczu. Wyprostował się z wolna i odwrócił ku niej. Ona też się wyprostowała. Wstrząsnął nią dreszcz, wyczuwała w nim jakąś zmianę.

Wyciągnął ku niej rękę, dotknął ramion z powolnym rozmysłem, jakby rozkoszując się tym dotykiem. Nie uchylał się od jej spojrzenia, wyraz twarzy miał szczery, choć poważny i skupiony. Patrzyła mu w oczy, niezdecydowana jeszcze. Kiedy przysunął się bliżej, spuściła

wzrok, zawieszając spojrzenie na jego wargach.

Wstrzymała oddech. Czowała przyspieszone bicie własnego serca. Owionął ją jego zapach: mieszanka świeżego powietrza, czystej bielizny, ciepłej skóry i drzewa sandałowego. Promieniujące ciepło jego ciała otulało ją, mąciło myśli, zniewalało. Uniosła odrobinę do góry twarz, przyzwalając, wyczekując.

Jego usta, jędrne, lecz łagodne, przyłgnęły obiecująco.

Wsunęła dłonie pod rozpięty skafander, który miał na sobie, i przesunęła w górę, zanurzając palce w jedwabistej gęstwinie jego włosów na karku. Wargi ją paliły, rozchyliła je lekko, nie broniąc dostępu.

Była to wyprawa w świat zmysłów, łagodna i ekscytująca. Bez pośpiechu smakowali ten pocałunek, rozkoszując się zmysłową przyjemnością i obietnicą, jaką niósł ze sobą.

Joletta czuła Śar, wzbierający pod jej skórą. Jego język wsunął się między jej wargi.

Dotknęła go własnym językiem, zachęcona delikatnością. Z gardła wydała stłumione westchnienie, oddając się zmysłowej eksploracji miękkiego wnętrza jego ust, gładkości jego zębów. Jego dłoń spoczywała na jej plecach, rozmasowując napięte mięśnie, przyciskając ją mocniej, zmuszając do uległości.

Ręką przejechała w dół po szerokiej klatce piersiowej, na płaski brzuch. Natrafiła na pasek. Był gładki i chłodny, w przeciwieństwie do jego ciała, które paliło Śarem. Pasek poprowadził jej dłoń aż do tyłu. Między silnymi mięśniami grzbietu, które biegły wzdłuż kręgosłupa po obu jego stronach, tworzyło się zagłębienie. Wsunęła tam palce, ręką przyciągnęła Rone'a mocniej ku sobie.

Oddychał głęboko. Wziął w dłonie jej twarz. Boczną powierzchnią kciuka gładził ją po policzku, delikatnej muszli ucha, po smukłej szyi, kruchym obojczyku, po czym powoli, łagodnie zamknął swoją dłoń na półkuli jej piersi.

Zapłonęła oczekiwaniem, krew jeszcze śpieszniej zaczęła krążyć w jej żyłach.

Zadrżała, gdy jego kciuk dotarł do nadzwyczaj wrażliwego koniuszka piersi. Objęła go mocniej, przyciągnęła jeszcze bliżej. Czuła twardość jego podbrzusza na uległej miękkości swojego łona.

Na moście rozległy się kroki i szmer głosów. Nie byli już sami.

Joletta znieruchomiała, potem zaczęła się z wolna odsuwać. Pierś Rone'a uniosła się i opadła w bezgłośnym westchnieniu. Rozluźnił uścisk, ale nie puścił jej. Popatrzyli na trójkę młodych Szwedów - dwóch chłopców i dziewczynę o długich blond włosach - którzy minęli ich, roześmiani, nawet nie spojrzawszy w ich kierunku.

Joletta uśmiechnęła się z Salem. Jakże to amerykańskie, wstydzić się pocałunku w miejscu publicznym. A tutaj wszędzie, od Hyde Parku po szczyt Rigi, widzieli objęte i tulące się do siebie pary.

Podniosła wzrok na Rone'a, ale pod dachem mostu zrobiło się już tak ciemno, że nie dostrzegła wyrazu jego twarzy. Chyba był smutny, ale może to tylko fioletowa poświata zmierzchu sprawiła takie wrażenie, bo za chwilę roześmiał się wesoło i pociągnął ją ze sobą w stronę brzegu. Wrócili do hotelu tą samą drogą, którą przyszli.

Większość członków grupy miała pokoje na tym samym piętrze - pokój Rone'a znajdował się blisko schodów, jej trochę dalej. Nie zatrzymał się przy swoich drzwiach, poszedł z nią w głąb korytarza. W słabym świetle kinkietów z lat dwudziestych Joletta starała się dojrzeć numer na drzwiach.

Nagle Rone chwycił ją mocno za nadgarstek i zatrzymał. Popatrzyła na niego, a on położył palec na ustach, nakazując ciszę, i wskazał spojrzeniem drzwi.

- Zostawiłaś w pokoju zapalone światło? - spytał szeptem.

- Chyba nie - pokręciła powoli głową.

Wyjął jej klucz z ręki, przysunął się do drzwi, włożył go w zamek i przekręcił. Joletta chciała wejść, ale szybkim gestem ją powstrzymał.

Światło za drzwiami zgasło.

Rone pchnął drzwi z całej siły, zaczekał moment, po czym wskoczył do środka.

Rozległo się stęknienie, a potem łomot ciała uderzającego o ścianę. Przewróciło się z trzaskiem krzesło, słychać było jakieś szmery, przekleństwa.

Joletta rzuciła się do przodu. Wewnątrz zatrzymała się. Czuła ostry, gorzki - cytrynowy zapach nie znanej wody po goleniu w chłodnym górskim powietrzu, wpadającym przez otwarte okno. W świetle dochodzącym z ulicy zobaczyła dwie czarne, splecione w walce sylwetki.

Zareagowała odruchowo. Przycisnęła włącznik światła. W pokoju eksplodowała jasność. Ubrany na czarno mężczyzna w kominiarce na twarzy odwrócił głowę. Warknął coś, wyrwał się gwałtownie Rone'owi i szczupakiem rzucił się ku oknu. Wskoczył na parapet, zatrzymał się na ułamek sekundy i już był na zewnątrz.

Rone skoczył do okna i wychylił się. Joletta podbiegła do niego. Zobaczyli tylko zwisającą luźno linę. Spuszczona była z dachu, dwie kondygnacje powyżej, a kończyła się dwa piętra niżej, nad chodnikiem.

- Zwiął - stwierdził Rone.

W jego głosie słychać było zawód i złość. Joletta rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym znów przyjrzała się linie.

- Włamywacz - powiedziała. - Nie do wiary. Rozejrzał się po pokoju.

- Zobacz, co tu się dzieje.

Odwróciła się z wolna. Pokój przypominał pobojuwisko - wszystkie szuflady były powyciągane, zawartość walizki wyrzucona na podłogę, sama walizka pocięta. Nośm,

materace porzucane z łósek, kołdry porozpruwane. Puch pokrywał wszystko białą jak śnieg warstwą, wzbijającą się łagodnie w powietrze.

- O mój Boże - wyszeptała, przyciskając do siebie mocno torebkę, w której spoczywał dziennik.

- No tak - rzekł Rone, przyglądając się jej zmrużonymi oczami. - Może opowiesz mi wreszcie coś o tym pechu, który cię prześladowuje.

ROZDZIAŁ XI

Dyrektor hotelu stanął na progu pokoju Joletty jak wryty. Czegoś takiego jeszcze w swojej karierze hotelarskiej nie widział. Nie przestawał jej przepraszać. Kradzieże, owszem, zdarzały się, jak wszędzie, ale to?! Nie wyobrażał sobie, by winowajcą mógł być jego ziomek. Czy młoda dama nie naraziła się jakiemuś cudzoziemcowi?

Postawa dyrektora nie poprawiła samopoczucia Joletty.

Nie miała ochoty na składanie zeznań, a zwłaszcza na ujawnianie szczegółów dotyczących jej rodziny i dziennika praprapraprababki. Jednak Rone nalegał, by zeznawała, poza tym zniszczone zostało mienie hotelowe.

Policjanci wykazali się sprawnością, a nawet okazali jej pewne współczucie. Spisali szczegółowy raport, zanotowali uwagi na temat włamywacza i obiecali gruntowne śledztwo. Jednakże nie należy sobie zbyt wiele obiecywać, zaznaczyli. Szanse schwytania winowajcy nie są zbyt wielkie.

Po odejściu policji obsługa hotelu przystąpiła do przywracania porządku. Niestety, dyrektor nie jest w stanie zaoferować Miss Caresse innego pokoju, bardzo mu przykro.

Rozpoczyna się szczyt sezonu, hotel jest pełny. Nie zdziwi się, jeśli pani zdecyduje się na inny hotel, chociaż o tej porze raczej nigdzie nic wolnego nie znajdzie.

Joletta zapewniła dyrektora, że zostanie, i zamknęła za nim drzwi. Czuli się

zmordowana nuŝącym przesłuchaniem, nieustannym powtarzaniem kłamstwa, Ŝe nie ma pojęcia, czego mógł szukać włamywacz, poza tym bolała ją głowa i marzyła o tym, by wziąć aspirynę i połoŝyć się do łóŝka.

- Nie moŝesz tu zostać - powiedział Rone, marszcząc czoło.

- Muszę - próbowała się uśmiechnąć. - Słyszałeś, co mówił dyrektor.

- W moim pokoju stoją dwa łóŝka.

Joletta zerknęła na niego. Nic w jego minie nie świadczyło o tym, by powodował się czymkolwiek innym niŝ troskliwością i względami praktycznymi.

- Miło z twojej strony, Ŝe tak się o mnie troszczysz, ale to niekonieczne.

- Nic nie wiadomo. Nie podoba mi się to wszystko. Ten facet szalał tu z noŝem. Co by się stało, gdybyś była sama? A jeśli on wróci?

Przycisnęła palcami pulsujące skronie. Zamknęła oczy.

- Nie wróci.

- A skąd wiesz? - Przysiadł na krawędzi stołu i załoŝył ręce na piersi.

Nie była w stanie jasno myśleć. Od bólu głowy zbierało jej się na mdłości. Zaczęła szukać w torebce środków przeciwbólowych. Nie podnosiła wzroku, starając się uniknąć uwaŝnego spojrzenia Rone'a.

Rone wstał i podszedł do niej. Wziął z jej rąk torbę i znalazł fiolkę aspiryny. Wyjął dwie tabletki i podał jej na dłoni.

- Tego szukasz?

Skinęła głową z wdzięcznością. Poszedł do łazienki i wrócił ze szklanką wody.

Przyglądał się, jak łykała i popijała tabletki, po czym powiedział:

- Mówiliśmy o facecie z noŝem.

Popatrzyła na niego, potem znów w bok, i westchnęła.

- No dobra, rzeczywiście moŜe wrócić.

Nie miała zamiaru tego powiedzieć, słowa same się jej wyrwały. Rone nic nie odparł.

Podniosła na niego wzrok. Spodziewała się pytań, dociekań, tymczasem on milczał. ZwiłŜyła wargi i dodała:

- W końcu nie znalazł tego, czego szukał, więc moŜe się domyślić, Őe noszę to przy sobie.

- Co ty powiesz? - odparł ze zjadliwą ironią. - Bierz, co ci potrzebne, i chodź.

- Nie, nie. Zamknę po prostu okno i drzwi. Nic mi nie będzie. - Chciała pokręcić zdecydowanie głową, ale uznała, Őe nie jest to dobry pomysł, więc przestała.

Patrzył jej prosto w oczy, bardzo stanowczo.

- PrzecieŜ wiesz, Őe nie będę cię napastował. Będziesz zupełnie bezpieczna.

- Mam do ciebie zaufanie, ale wolałabym ...

- MoŜesz na mnie polegać. To, co się stało na moście, juŜ się nie powtórzy.

Przełknęła z trudem, omijała go wzrokiem. Niskie brzmienie jego głosu sprawiało, Őe działo się z nią coś dziwnego.

- Wiem o tym - wykrztusiła wreszcie.

- A więc ustalone. - W szedł do łazienki i zaczął się rozglądać. - Co ci potrzebne?

Szczoteczka do zębów, grzebień, co jeszcze?

Dała za wygraną z pewną ulgą. Gdyby została, na pewno nie mogłaby zasnąć. Z

drugiej strony wcale nie była pewna, czy będzie się mogła wyspać w obecności Rone'a. Była przekonana, Őe zaoferował jej łóŜko bez ubocznej myśli, ale nie potrafiła zapomnieć tego momentu bliskości na moście. On sam, pomyślała, teŜ tego nie planował.

Pokój Rone'a urządzony był trochę mniej przytulnie niŜ jej, ale w zasadzie podobnie.

ŁóŜka stały pod ścianami, pod kątem prostym w stosunku do siebie. Pokazał, które jest

wolne, i położył na nim jej rzeczy.

Poczuła się skrępowana, gdy stanął naprzeciwko niej.

Zastanawiała się, czy on też czuje się podobnie. Śmiała się, że nie ma więcej doświadczenia w sytuacjach tego rodzaju. Szukała w myślach jakiejś dowcipnej uwagi, ale bez skutku.

- To był męczący dzień - powiedział. - Idziesz pierwsza do łazienki?

Rzuciła mu spojrzenie spod oka. Nie skorzystała z propozycji. Usiadła na łóżku i westchnęła ciężko.

- Chyba muszę ci coś wyznać.

Przerwała, szukając właściwych słów, a on tymczasem usiadł w jednym z niewygodnych foteli przy stoliku pod oknem. Spokojnie powiedział:

- O tym nieproszonym gościu u ciebie w pokoju? Skinęła głową.

- Chyba powinieneś o czymś wiedzieć, zwłaszcza jeśli przez mnie masz dalej wpadać w tarapaty. Jedyna rzecz, która zginęła, to mój notatnik, w którym robiłam zapiski od początku tej podróży.

Pokrótce opowiedziała mu, po co tu przyjechała. Nie wdawała się w szczegóły, nie zdradziła też z podejrzeniami wobec ciotki.

Rone słuchał w milczeniu, ze zmarszczką skupienia na czole. Milczał jeszcze dłuższą chwilę, gdy skończyła. Wreszcie spytał:

- To wszystko?

- Co rozumiesz przez wszystko? - Zdziwił ją ton powątpiewania w jego głosie.

- Chodzi mi o to, czy jesteś pewna, że tego człowieka interesują tylko notatki i kopia dziennika?

- A co jeszcze?

Patrzył na nią badawczo, czujnie.

- Ty mi lepiej powiedz. Pamiętaj, on zgasił światło, gdy cię usłyszał, i czekał z noŜem w ręku.

- Myślisz, Őe on ... - zamilkła, nie mogąc znaleźć słów.

- Najwyraźniej nie wiedział, Őe nie będziesz sama.

- Nie, na pewno nie chciał mnie skrzywdzić. Po prostu doszedł do wniosku, Őe mam dziennik przy sobie.

- PrzecieŜ powiedziałaś, Őe zostawiłaś go w Nowym Orleanie. - W jego głosie brzmiały niedowierzanie, irytacja i rozbawienie.

- Mam ze sobą fotokopię - powiedziała z uśmiechem satysfakcji.

Zmierzył ją nieodgadnionym spojrzeniem.

- Podejrzewam, Őe nie zamierzasz rezygnować - rzekł po chwili.

- Nie mam innego wyjścia. Notatki jestem w stanie zrekonstruować, choć nie wiem, czy to ma sens, bo im więcej piszę, tym mniej z tego wynika.

- Jesteś przekonana, Őe w diariuszu nie ma nic konkretnego na temat receptury?

- Zupełnie.

RozłoŜył ręce.

- Nie chciałbym ci odbierać ducha, ale wydaje mi się, Őe ta podróż to daremny trud.

- Chyba tak - zgodziła się. Starła się nie myśleć o zaufaniu, jakie Mimi w niej pokładała, i o tym, co będzie, jeśli nie odtworzy receptury.

- Ten ktoś nie traktuje sprawy lekko. Pomyśl, kradzieŜ torby w Londynie, wypadek w ParyŜu.

Wbiła wzrok we wzór na dywanie.

- Staram się o tym nie myśleć.

- Ale to nie na wiele się zda. - W jego głosie odezwała się nuta irytacji.

- Wiem, ale moŜe dadzą wreszcie spokój.

- Kto?

- No, ci, co to robią - wzruszyła ramionami, me patrząc mu w oczy.

Rone nie odzywał się przez dłuŜszą chwilę, potem zapytał niespodziewanie:

- A nie myślałaś, by dać za wygraną i wracać?

- Nie mogę.

- Czemu? - zapytał z tłumioną niecierpliwością.

W jej oczach pojawił się wyraz przekory.

- Nie wiem. MoŜe to duma, moŜe ośli upór, moŜe ciekawość. Albo po prostu mus.

Nie spuszczał z niej spojrzenia. Przez chwilę zdawało się, Ŝe będzie dalej się z nią spierał. W końcu pokiwał tylko głową.

- W porządku. Chętnie ci pomogę.

- JuŜ mi pomogłeś. Niesamowite, ale zawsze jesteś przy mnie, kiedy coś się dzieje.

- Nie o to mi chodzi. Chcę ci pomóc w tych wariackich poszukiwaniach.

Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

- Chyba nie interesuje cię takie beznadziejne przedsięwzięcie.

Przez twarz przemknął mu uśmiech.

- Interesujesz mnie ty, no i mam słabość do obrony straconych pozycji. A poza tym nie mam nic ciekawszego do roboty.

- To nie jest zabawa - powiedziała z wolna.

- Ja teŜ tak sędę.

Z jego twarzy biła szczerowość i Ŝyczliwość. Był rozluźniony, a jednocześnie czuło się, Ŝe moŜna na nim polegać. Nie było sensu dalej się opierać.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Skoro tak bardzo chcesz - a i tak już w tym siedzisz - to nie widzę przeszkód.

Przez jego oblicze przebiegł jakby cień, wydawało się, że powie coś jeszcze. Ale dodał tylko:

- Zaczynamy od rana. A teraz kąpiel. Panie mają pierwszeństwo.

Słyszając wodę płynącą w łazience Rone wstał i podszedł do okna. Oparł się ramieniem o futrynę. Nacisnął przycisk elektryczny, podnoszący rolety, i wyjrzał na ulicę. Z markotną miną gapił się na ozdobne gzymsy kamieniczki po przeciwnej stronie. Ma przecież to, czego tak bardzo chciał. czemu więc się nie cieszy?

Ona jest taka ufna. Czy na pewno? Miała jakiś błysk w spojrzeniu, gdy patrzyła mu prosto w oczy. Błysk, który wywoływał w nim dziwne zakłopotanie. Ciekawe, co ona widzi, gdy tak patrzy na niego swoimi wielkimi brązowymi oczyma, ciekawe, co się jej tam roi w głowie.

Chciałby wiedzieć o niej wszystko.

Nie chce jej skrzywdzić. Przed chwilą był taki moment, że chciał jej wyznać wszystko, wszystko wyjaśnić. To był przemożny impuls. Ale się mu oparł. Za wielkie ryzyko. Co robić?

Pierwsza sprawa, to trzymać od niej ręce z daleka.

Będzie spał w swoim łóżku, trzymał się swojej części pokoju. Nie będzie jej śledził zbyt dokładnie. Będzie przy niej tylko wtedy, kiedy to będzie konieczne, i nie będzie zwlekał z odejściem. Nie będzie zwracał uwagi na łabędzie gody.

Ten incydent na moście - to był błąd. Wiedział o tym od razu, ale nie potrafił się oprzeć. Niebezpiecznie jest trzymać się zbyt blisko niej. To go może zabić.

Ten człowiek w jej pokoju zaskoczył go. Nie przewidział takiej możliwości, nie

przygotował się. Powinien był odprowadzić Jolettę gdzieś dalej i samemu wrócić do pokoju.

Ten ktoś to szaleniec, i na dodatek groźny. Po wszystkim będzie musiał nagadać, komu trzeba.

No i trzeba pokryć straty w pokoju hotelowym. To naleŜy do niego.

A więc dziennik nosi ze sobą w torbie. Tak podejrzewał. Odwrócił głowę i spojrzął na duŜą torbę z miękkiej skóry stojącą na podłodze przy łóŜku. Rzucił okiem na drzwi łazienki, Őeby się upewnić, czy są zamknięte. Poszperał w torbie i wyciągnął gruby plik kartek, złączonych szeroką gumową taŝmą.

Niepewnym ruchem podniósł okładkę. Ujrzał staroŝwiecką kaligrafię, trudną do odczytania. Ciekawe, taki drobiazg przyczyną tylu kłopotów. MoŜe mu później pozwoli przeczytać. Jeśli nie, sam sobie poradzi.

Plusk wody w łazience ucichł. Rone wepchnął dziennik z powrotem do torby i wrócił na swoje łóŜko. PołoŜył się na wznak z rękami załoŜonymi pod głowę. LeŜał tak, gdy Joletta wynurzyła się z łazienki w kłębach pary.

Rozczesała włosy, które mokrymi falami opadały jej na ramiona. Twarz miała zarumienioną, ŝwieŜą i niewinną, bez makijaŜu. Była boso, a o ile mógł dostrzec, pod turkusową jedwabną koszulą nocną nie miała na sobie nic lub prawie nic. Połyskliwa, lejąca się tkanina z cudowną wiernością oddawała jej kształty, gdy składała starannie w kostkę swoje ubranie i układała je na szafce.

- Kolej na ciebie - powiedziała wesoło.

Musiał się chwilę zastanowić, o co jej chodzi, by zaraz przypomnieć sobie, Őe o łazienkę. Miał ochotę przewrócić się na brzuch, Őeby ukryć efekt, jaki wywarł na nim jej widok.

To szaleństwo. To się nie moŜe udać. Trzeba będzie wypić piwo, którego się

nawarzyło.

Nie mógł się zdecydować, czy wziąć prysznic. MoŜe lepiej zważyć się od razu do łóŜka. MoŜe to go powstrzyma, ona jest taka czysta, taka uroczo świeŜa i niewinna. KaŜda przeszkoda jest dobra.

Nie, to na nic. MoŜe lepiej weźmie zimny prysznic. Gdy wyszedł z łazienki, Joletta juŜ spała. Albo dobrze udawała'. LeŜała z jedną ręką zwisającą z łóŜka, jej rzęsy rzucały długie - cienie na policzki, a pierś unosiła się miarowo.

Zapomniał wziąć ze sobą piŜamę do łazienki. Owinął się ręcznikiem w pasie i podreptał do walizki, która stała na podłodze przy jego łóŜku. Zerkając na Jolettę szukał piŜamy - leŜała płasko złoŜona, gdyŜ na ogół jej nie uŜywał.

Wstał ze spodniami od piŜamy w rękę. Jakby przyciągany magnetyczną siłą, zbliŜył się do łóŜka Joletty. Powoli ukląkł obok.

Lampa z łazienki rzucała Őóltawy poblask na jej twarz. Wyglądała tak bezbronie. Z bolesną czułością popatrzył na siniec na policzku i draŝnienie na czole. Wyciągnął rękę, Őeby jej dotknąć, ale powstrzymał się i dłoń zawisała w powietrzu. Miętkość jej skóry, urocze linie ust stanowią pokusę, która ogarnia go gorącą falą. A gdyby tak połoŜyć się koło niej i obudzić pocałunkiem?

Zaklął z cicha. A gdzie jego postanowienie?

Zerwał się na równe nogi, aŜ głoŝno zatrzeszczało mu w kolanach. Znieruchomiał, bojąc się, Őe ona otworzy oczy i zobaczy go przy łóŜku.

Minęła chwila. Jest taki zmęczony. Chyba od wieków nie wyspał się porządnie. I nie wiadomo, kiedy wreszcie się wyŝpi.

Wrócił do łazienki. WłoŜył spodnie od piŜamy. Pogasił Őwiatła i na palcach poszedł do łóŜka. Wślizgnął się pod kołdrę i wyciągnął wygodnie.

Leżał nasłuchując. Nie słyszy jej oddechu. Czy ona tam jeszcze jest? Może poszła?

Podniósł głowę, wpatrując się w ciemność.

Ciągle jest. Ciągle śpi. Ciągle jest piękna. Ciągle nietknięta.

Jak można się było spodziewać, wychodząc rano razem z pokoju Rone'a natknęli się na dwie najbardziej gadatliwe wdowy z całej wycieczki.

A można było tego uniknąć, Joletta i Rone już wcześniej zjedli śniadanie i wybrali się na poranny spacer. Byli też w pokoju Joletty i spakowali jej rzeczy, bo tego dnia opuszczali hotel. 'Mogła przecież wziąć swoją walizkę i zejść na dół sama. Ale nie, Rone uparł się, że zniesie jej rzeczy wraz ze swoją ciężką skórzaną walizą.

W autobusie powitały ich znaczące uśmiechy. Rone najwyraźniej nie zwracał na nie uwagi, ale Joletta czuła się skrępowana. Głupio jej było, że ludzie spekulują na temat jej życia seksualnego, a może i wyobrażają sobie ją i Rone'a razem w łóżku. Nie była szczególnie pruderyjna, ale uważała, że w pewnych sprawach dyskrecja jest jak najbardziej na miejscu.

Gdy zajmowali swoje miejsca w autokarze, Joletta zwróciła uwagę, że niektóre kobiety przyglądają się Rone'owi z wyraźnym uznaniem w swoich wyblakłych oczach.

Przyjemnie było na niego popatrzeć tego ranka. Policzki miał starannie wygolone, powieki jeszcze ciężkie od snu, przyjazny uśmiech dla wszystkich.

Trochę było im ciasno, a za sprawą jego szerokich barków i długich nóg. Rone bardzo ją przeproszał, że zajmuje trochę więcej miejsca, niż mu przysługuje, ale jej to nie przeszkadzało. Czuła ucisk jego męskiego ramienia i pobudzona tym, a także znaczącymi uśmiezkami wokół, zaczęła się zastanawiać, jakim też kochankiem jest Rone. Z pewnością dżentelmen w każdym calu, szarmancki, wesoły i chyba pomysłowy. Uśmiechnęła się lekko.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał.

- Ach, nic - odparła szybko. - Nie jest ci za ciepło? Nie? Chyba się za ciepło ubrałam,

słońce grzeje z tej strony.

Zmierzali w kierunku Włoch. Na obiad mieli się zatrzymać w Lugano, przy granicy.

Dotarli tam dość wcześnie. Kierowca wysadził ich nad jeziorem, a pilot wycieczki objaśnił, gdzie można coś zjeść. W każdej uliczce można było znaleźć przytulną restauracyjkę albo kawiarenkę. Rone i Joletta skusili się na bakłażany z parmezanem i czerwone tokańskie wino, żeby uczcić rozpoczęcie włoskiego etapu ich podróży. Potem ruszyli na przechadzkę po pobliskim parku.

Krył się on za kamiennym murem i iglastym żywopłotem, musiał być kiedyś ogrodem prywatnym, otaczającym dużą podmiejską willę. Przylegał do brzegu jeziora i stanowił cichą przystań, gdzie śpiew ptaków brzmiał głośniejszy niż szum ruchu ulicznego zza muru. Stare drzewa rzucały chłodny cień, słońce przygrzewało, leniwie pluskały wody jeziora, kwiatowe klomby rozsiewały słodkie zapachy, a widok błękitnych, spowitych w chmury szczytów napełniał pogodą ducha. W oddali motorówka przecinała ton jeziora, ciągnąc za sobą białą smugę piany.

Joletta przechadzała się wśród rododendronów i azalii, robiła zdjęcia kwiatnych rabatki i zastanawiała się, czy Violet widziała kiedyś ten ogród, czy była tutaj sto lat temu. Powinna to wiedzieć, ale nie wie. Przy pierwszym czytaniu kartkowała dziennik pobieżnie, zamierzając później studiować go wnikliwie. Jednakże ostatnio towarzystwo Rone'a tak bardzo ją absorbowало, że nie mogła znaleźć czasu na lekturę.

Do zbiórki mieli jeszcze ponad pół godziny. Należało wrócić do autokaru punktualnie, wycieczka nie będzie czekać na spóźnialskich, lecz na razie nie było pośpiechu. Usiedli na ławce na nabrzeżu, rozkoszując się ciepłem słońca i powiewem wiatru znad jeziora. Joletta otworzyła torbę, wyjęła dziennik i mrugając oczyma w jaskrawym świetle, zaczęła szukać właściwego miejsca.

Jej uwagę przyciągnęła scena miłosna między Violet i Allainem. Pośpiech i pragnienie zmieniły się w pośądanie. Pióro Violet zawahało się przy tym opisie. Było coś o namiętnych pieszczotach i szeptanych zaklęciach, o zgniecionych róŜach. Dalej na kartach widniały pojedyncze słowa i zamazane atramentem plamy - miejsca, które naleŜało wypełnić wyobraźnią. Lektura była więc trudna, a czasami wręcz niemoŜliwa.

Dopiero po dłuŜszej chwili Joletta zdała sobie sprawę, Ŝe Rone zagląda jej przez ramię. Zatrzasnęła dziennik i przycisnęła go zazdrośnie do piersi.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał prostując się. Właśnie doszedłem do bardzo ciekawego miejsca.

Dlaczego to zrobiła? Ot, po prostu odruch, zakłopotanie.

- Nie wiem. Pewnie z przyzwyczajenia. - Wstała i schowała dziennik do torby.

- Jeśli mam ci pomagać, powinienem poznać treść.

- Wiem. MoŜe później.

Nie nalegał, za co była mu wdzięczna. Poszli dalej, zatrzymali się przy długim klombie fioletowych bratków, tak ciemnych, Ŝe niemal czarnych. Jolettę zachwyciły aksamitne płatki, łagodnie drŜące na wietrze.

Zakiełkował jej mglisty pomysł, by stopniowo wprowadzić Rone'a w treść diariusza.

- Słyszałeś kiedyś o języku kwiatów?

- „Oto rozmaryn, na pamiątkę; proszę cię, luby, pamiętaj; A to bratki, Ŝebyś o mnie

*

myślał...”

- OtóŜ to - uśmiechnęła się, mile zaskoczona bystrością Rone'a i jego wiedzą. -

Wygląda na to, Ŝe w czasach wiktoriańskich lubowali się w takich rzeczach. Język kwiatów występuje w tym dzienniku jako środek sekretnego komunikowania się, rodzaj szyfru między

moją praprapraprababką a męŜczyzną, z którym wdała się w romans. Bratki oznaczają „jesteś w moich myślach”.

- Myślisz, Ŝe ten kwiatowy szyfr moŜe mieć coś wspólnego z perfumami, które starasz się odtworzyć?

- Przyszło mi to do głowy, choć nie bardzo wiem, jak to by mogło wyglądać.

- Ale zastanawiasz się, co mogły oznaczać te róŜe? Rzucił jej wymowne spojrzenie, świadczące o tym, Ŝe czytał dziennik dłuŜszą chwilę, zanim go schowała.

- Miłość, oczywiście, cóŜ by innego?

- Rzeczywiście - odparł z odrobiną ironii.

Rzuciła mu zjadliwe spojrzenie. Właściwie to dobrze, Ŝe on nie traktuje treści dziennika zbyt poważnie. Zadowolili się tym, co ona uzna za stosowne mu zdradzić.

Ruszyli spacerkiem ścieŜką wzdłuŜ brzegu jeziora.

Kilkaset metrów przed nimi stał wysoki krzew o ciemnozielonych, połyskujących liściach i jaskrawych kwiatach barwy koralowej.

- To azalia? - Rone wyciągnął rękę w stronę krzewu.

- MoŜliwe.

- Zobaczmy. - Przyśpieszył kroku.

Joletta zerknęła na zegarek. Jest jeszcze czas. Ruszyła za nim.

Krzew okazał się rododendronem - w jego cieniu rosło mnóstwo konwalii, nieco dalej był piękny ogródek skalny z kobiercami Ŝółtych i karmazynowych kwiatów porastających

* W. Shakespeare, Hamlet, akt IV, scena V, przekł. J. Paszkowskiego (przyp. tłum.).

omszałe kamienie. Obok niepewnie stawiał kroki mały chłopczyk, niemal osesek jeszcze; gaworzył radośnie, bawiąc się duŜą niebieską piłką. Miał głowę w platynowych lokach i chochlika w oczach. Wyraźnie cieszył się swoją nowo nabytą umiejętnością biegania, jego

śmiech wybuchał co chwila nową falą radości nie do opanowania. Rodzice malca siedzieli na ławce nieopodal, trzymając jeszcze jedno dziecko w nosidełku i zajadając się lodami.

Maluchowi udało się kopnąć piłkę. Potoczyła się w stronę jeziora. Rone podbiegł, żeby ją złapać. Chwycił ją, zakozłował i odrzucił małemu. Chłopczyk zaniósł się śmiechem i znów kopnął.

Wywiązał się pełen szaleńczej wesołości mecz. Rone grał z całym poświęceniem, rzucając się raz po raz w bujną szmaragdowozieloną trawę. Joletta pękała ze śmiechu oglądając to widowisko. Nie pomyślała nawet o tym, żeby spojrzeć na zegarek.

Spóźnili się na autokar. Placyk, z którego mieli odjechać, był pusty. Widzieli wcześniej w parku parę osób z grupy, ale w tej chwili nie było już żywego ducha. Regulamin wycieczki wymagał punktualności i ostrzegał, że na spóźnialskich nie będzie się czekać dłużej niż kilka minut. Powodowałyby to ogromne komplikacje organizacyjne, konieczność przekładania rezerwacji i temu podobne.

Było ponad pół godziny po czasie.

- Nie ma sprawy - powiedział Rone. - Wynajmiemy wóz i złapiemy ich w Wenecji. A jak się nie uda, to we Florencji.

- Nasze walizki zostały w autokarze.

- Kupimy, co nam będzie potrzebne.

- Już raz to robiłam. - Tak zupełnie się tą sytuacją nie przejmował, że nabrała pewnych podejrzeń. - Widzę, że się nie załamujesz, co? Cały czas tego chciałeś: zostawić wszystkich, wynająć auto i wyruszyć na własną rękę ..

- Czy to najgorszy pomysł? - W jego głosie zabrzmiała czujność.

- Myślę - powiedziała po krótkim zastanowieniu - że zrobiłeś to specjalnie.

Patrzył na nią długo, nim odparł:

- A jeśli nawet?

- Dlaczego? Dlaczego zrobiłeś coś takiego?

- MoŜe się mylę, ale miałem wraŜenie, Ŝe nie było ci za wygodnie w tym autokarze.

- Ach, rozumiem. To wszystko dla mojego dobra.

- Nie tylko.

Jego spokój draŜnił ją tylko.

- Tak czy owak, nie miałam zamiaru odłączać się od grupy.

- Teraz juŜ za późno.

A właściwie, to czemu nie, pomyślała z irytacją. Niech ma, czego chciał, niech zobaczy.

ROZDZIAŁ XII

16 czerwca 1854 r.

Niegdyś uwaŜałam się za cnotliwą. Teraz odkryłam, Ŝe w duszy kaŜda cnotliwa kobieta jest kurtyzaną. Jestem kobietą namiętną. A takŜe podstępna i zdradziecką. Bo jakŜe to inaczej nazwać?

Szaleństwem jest sądzić, iŜ w swoim postępowaniu kierujemy się jedynie własną wolą, Ŝe podejmujemy decyzje samodzielnie, na podstawie jedynie własnych przemyśleń i dla spełnienia jedynie własnych pragnień. Sądziłam, Ŝe jeśli kiedykolwiek udam się do Allaina, to tylko z potrzeby serca. Nawet nie śniło mi się, Ŝe mogę to zrobić ze złości.

Violet zobaczyła znów tych dwóch męŜczyzn w chwili, gdy Allain podawał jej dłoń, by pomóc wsiąść do karety, która miała ją odwieźć na powrót do hotelu. Stali pod łukiem arkady, niedaleko domu hrabiny. Jeden z męŜczyzn zwrócony był w ich stronę i przyglądał się im uporczywie. Trącił łokciem swojego kompana i wskazał ich palcem. Obaj 'natychmiast podbiegli do czarnego, nisko zawieszzonego powozu, który czekał dalej na ulicy. Gdy Violet i

Allain ruszali, woźnica czarnego pojazdu sadowił się na koźle. Musieli chwilę manewrować ostrośnie wśród innych ekwipaŝy, które tłoczyły się w uliczce. Gdy wreszcie znaleźli się za rogiem, ciemny powóz ruszył i trzymał się za nimi w pewnej odległości.

- Widziałeś? Tych dwóch znowu nas śledzi.

Allain odwrócił się i popatrzył do tyłu przez małe owalne okno. Zachmurzył się.

Violet ciągnęła:

- Chyba nie sądzisz, ŝe to Gilbert ich nasłał? Zastanawiała się przez chwilę. - Chyba nie, nie zdąŝyłby. Kto to moŝe być?

Nie odpowiedział. Długo patrzył jej w oczy. Wziął ją za rękę, przytrzymał w ciepłym uścisku, jakby miał jej nigdy nie wypuścić. Przez moment zawisło nad nią poczucie zagroŝenia.

Zdawało jej się, ŝe ciepło ciała Allaina przenika przez tkaninę jego surduta, jedwab jej sukni i bielizny. Serce zabiło jej ŝywiej. Gdzieś w głębi zaczęła się odzywać wielka tęsknota, jakieś ukryte dotąd pragnienie. Aŝ jej się w głowie zakręciło. Równocześnie poczuła w sobie chęć ryzyka, lekcewaŝenie dla zagroŝeń. Myśli goniły jedna za drugą, w końcu przerodziły się w jeden impuls. Powoli rozwarła palce ręki, którą trzymał, i odwzajemniła uścisk.

- Drŝysz - stwierdził ze zdziwionym zatroskaniem.

- Tylko trochę.

- Zimno ci?

- Wręcz przeciwnie. Czy ... czy tamten powóz jest wciąŝ za nami?

Wyjrzał i skinął głową.

- Co będzie ... - zaczęła - co będzie, jeśli to Gilbert juŝ wcześniej kogoś za nami wysłał?

- To nie jest wykluczone - powiedział cicho - chociaŝ wolałbym o tym nie myśleć.

- Ani ja, niemniej jednak trzeba stanąć twarzą w twarz z faktami - odparła. - Pytanie, co mamy w takim razie zrobić?

- MoŜemy zrobić wiele rzeczy. - W jego głosie zabrzmiał smutek. - Mogę skończyć portret i poŜegnamy się na zawsze. Ty wrócisz do roli potulnej Ŝony, ja wyjadę z ParyŜa. Albo ty wyjedziesz.

- Nie - odparła zdecydowanie.

- W takim razie, jeśli nawet są to ludzie wynajęci przez twojego męŜa, to niech doniosą, co widzieli. Niewiele będą mieli do opowiadania.

- MoŜemy im uciec - powiedziała cicho.

- Po co? I tak zaraz stwierdzą, Ŝe wróciłaś do hotelu.

- Chyba Ŝe nie wrócę.

Znieruchomiał. Mocniej ścisnął jej rękę, ale po chwili zwolnił uścisk, gdy zdał sobie sprawę, Ŝe zadaje jej ból. Wpatrywał się w nią przenikliwie w mdłym blasku latarni wpadającym do wnętrza karety. Zapytał cicho:

- A dokąd miałybyś pojechać?

- Oto jest pytanie - zniŜyła głos do szeptu i spuściła oczy. - Wymyślisz jakieś miejsce, gdzie mogłabym się bezpiecznie schronić?

- Violet... - W tym słowie była pasja, ale i wątpliwość. ZwiłŜyła wargi.

- Proszę! Nie ... nie wytrzymam tego dłuŜej ... tego, Ŝe nie mogę się ani na krok ruszyć bez zgody Gilberta, do nikogo się odezwać, nic zrobić. Ani chwili dłuŜej.

Minęła dłuŜsza chwila, nim odpowiedział, a głos miał ochrypły, niemal szorstki:

- Niech mnie piekło pochłonie, ale ja teŜ tego nie mogę znieść.

Wychylił się do stangreta i wydał mu jakieś polecenie.

Pojazd potoczył się Ŝwawiej. Allain usiadł z powrotem, a Violet chwyciła go mocno

za rękę. Odetchnęła głęboko, dusząc się w gorsecie. Wtuliła twarz w ramię Allaina i zamknęła oczy.

Violet nie miała pojęcia, jak Allain zamierza umknąć prześladowcom. Kręte uliczki starego miasta nie pozwalały na rozwinięcie znaczniejszej prędkości. Jednakże wkrótce woźnica bezbłędnie wyprowadził ich z plątaniny zaułków i znaleźli się na prostej alei wiodącej na przedmieścia. Była szersza niż uliczki w centrum, ale także zatłoczona powozami. W jednym z pałaców, odsuniętych od ulicy i schowanych za szpalerem platanów, najwyraźniej odbywał się bal, gdyż okna były rzęsiście oświetlone. Allain polecił stangretowi, by się zatrzymał.

- Co to za pałac?

- Dom Pontalbów. Synowa barona także wydaje dziś przyjęcie, a była tak miła, że przysłała mi zaproszenie.

Nim się Violet spostrzegła, porwał ją na ręce jak piórko i wysadził z karety.

Stangretowi kazał szukać miejsca dla pojazdu, jakby mieli zamiar tutaj pozostać. Tymczasem poprowadził Violet szybko między stojącymi powozami.

Usłyszała turkot nadjeżdżającego czarnego powozu.

Allain zatrzymał się przy wiśniowym ekwipażu. Otworzył drzwiczki i pomógł jej wsiąść, a przez ramię zawołał półgłosem stangreta. Podszedł mężczyzna w liberii.

- Powiedz swojemu panu, że biorę to lando. Sprawa nie cierpiąca zwłoki. Może skorzystać z mojej karety, tylko niech ktoś ją odprowadzi rano.

- Ach, pan Massari. Mogłem się domyślić - odparł cicho stangret. - Mój pan będzie zaszczycony.

Allain wsiadł do środka i zamknął drzwiczki.

- To powóz mojego przyjaciela - wyjaśnił pośpiesznie. - Wyrozumiały człowiek.

- Na pewno, skoro poŚyczasz tak bezceremonialnie.

- On korzystał z mojej karety wielokrotnie.

Zamilkli oboje, kryjąc się w siedzeniach, gdy czarny powóz znalazł się blisko.

Przejechał obok, a obaj męŜczyźni wpatrywali się w karete przed nimi. Po chwili zjechała na pobocze. Powóz pojechał dalej, ale nikt z niego nie wysiadł. Najwyraźniej ich prześladowcy, zgodnie z intencją Allaina, pomyśleli, Őe Őcigani postanowili wziąć udział w przyjęciu.

Minuty mijały. Niemal wieczność trwało, nim stangret Allaina, który zszedł z kozła i skierował się na tyły pałacu, wyłonił się z ciemności po przeciwnej stronie.

Wgramolił się na kozioł wiśniowego landa. Po kilku sekundach ruszyli. Zrazu powoli, potem szybciej.

Gdy lando mijało czarny powóz, Allain odwrócił się szerokimi plecami, zasłaniając okienko, i wziął Violet w ramiona. Jak wyjaśnił jej szeptem, po to, by ją ukryć przed wzrokiem prześladowców, a poza tym, Őeby wyglądali na parę kochanków na schadzce. Co właściwie jest prawdą, pomyślała Violet wtulając twarz w jego ramiona.

Ulica, przy której znajdował się dom Allaina, była pusta, gdy nadjechali. Wysiedli z powozu wcześniej, Őeby nie wzbudzać zainteresowania, i doszli na piechotę. Dziwne było tak iść - powolnym, spacerowym krokiem po pośpiechu i zamieszaniu ostatnich godzin, a równocześnie było w tym coś naturalnego, jakby powrót do domu z dalekiej podróŜy.

Drzwi otworzyła im gospodyni. Na widok Violet zrobiła zdziwioną minę, ale powstrzymała się od uwag. Powiedziała jedynie, Őe w pracowni pana przygotowała na jego powrót przekąskę: orzechy, ser i wino. Wychodząc, obejrzała się jednak przez ramię z troską w oczach.

Razem wspięli się po schodach. W chodzili stopień po stopniu, nieśpiesznie, ale i bez ociągania; stanowczo, jakby zmierzali do celu, który znany jest im obojgu i przez oboje

akceptowany. Podtrzymał jej ramię mocno, ale bez przynaglania.

Violet nie miała wątpliwości, co robi. Fakt, że znaleźli się razem, we dwoje, w tym miejscu i o tej porze, wydawał się nieunikniony; wszystko, co zdarzyło się przedtem, było tylko zapowiedzią dzisiejszego dnia.

Na stole koło kominka paliła się pojedyncza świeca.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, stanęli naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy w migotliwym świetle. Violet nie mogła złapać tchu, uwięziona w fiszbinowej klatce gorsetu.

Oczy miała szeroko otwarte, zadumane, pociemniałe od niepokoju, lecz pełne determinacji, jak u zakonnicy nowicjuszek przed ołtarzem. Czekwała.

Allain gwałtownie odwrócił się od niej. Podeszedł do stolika, wziął pełną garść cienkich świec z pudełka, zapalił jedną po drugiej od płomienia i umieścił wszystkie w wysmukłym świeczniku, który stał w rogu. Wykwitł rząd płomyków, które oświetliły jego twarz złotem, błękitem i czerwienią, tak że wyglądała jak odlana z brązu.

Violet po raz pierwszy opadły wątpliwości. Postąpiła krok do przodu.

- Przestań! - powiedział po cichu, lecz gwałtownie. - Proszę, przestań.

- Co? - wyszeptała.

Wrócił do tacy, na której stały kieliszki i omszała butelka wina. Uśmiechnął się jakby z trudem, wziął butelkę i zaczął nalewać wino. Nie odrywając wzroku, powiedział:

- Mieć wątpliwości. Wyrzuty sumienia, wstyd. To ze mnie powinno się pasy drzeć za to, że cię do tego doprowadziłem.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, słysząc w uszach dudnienie własnego tętna. W końcu przemówiła:

- Skoro mówimy o wstydzie, to teś go odczuwam.

- Nie ma powodu. To wszystko moja wina, uwodziłem cię z rozmaitych powodów,

czystych i nieczystych, ale głównie i przede wszystkim ze zwyczajnego, elementarnego pośądania. Powinienem był je zwalczyć, nie ma dla mnie wytłumaczenia.

- A musi być jakieś? - Zastanawiała się, co właściwie chce jej powiedzieć, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

- Musi, skoro podejmuje się takie ryzyko.

- To moje czy twoje ryzyko?

- Twoje - powiedział raczej szorstko. - Tylko twoje, ponieważ ja swoje ryzyko podjąłem już dawno.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Mam więc się wstrzymać?

- Od tego zależy twoje bezpieczeństwo.

Czy on sądzi, że Gilbert ją skrzywdzi, jeśli odkryje prawdę? Przejmowałby się takimi przyziemnymi problemami? Więc o co innego może chodzić? Właściwie to wszystko jedno.

- Gdybym myślała tylko o swoim bezpieczeństwie, nie byłoby mnie tutaj. Nie byłabym warta ... warta twoich rós.

Sięgnęła do bukietka, przypiętego do stanika sukni, poczuła pod palcami chłodne płatki. Zrozumiał, co zamierza, i zrobił w jej stronę szybki krok.

- To ja nie jestem wart twojej miłości - powiedział zacinając się. - Chociaż zawsze będę cię darzył swoją.

Wyciągnęła do niego ręce. Róse, dotknięte jej palcami, zaczęły się osypywać, płatki opadały, zsuwały się po jej spódnicy, spływały na podłogę różowoczerwonym deszczem.

Migotały na dywanie jak krople rozprysniętej krwi.

Wyrwał jej się okrzyk śalu i przesądneho lęku. Wtedy objął ją mocno i wziął na ręce, mruczając cicho: - Nie przejmuj się, najdroższa, obsypię cię różami, wszystkie twoje dni będą

róŜami usłane.

- A noce? - szepnęła.

Niosąc ją w stronę kanapy, odparł:

- Noce przede wszystkim.

PołoŜył ją na kanapie, wśród perskich ogrodów jedwabnej narzuty z frędzlami. Wyjął, jedna po drugiej, szpilki, które trzymały jej fryzurę, a falujące sploty włosów spłynęły w dół i rozsypały się po poduszkach. Przyglądał się z podziwem, jak rzucały miękkie błyski w migotliwym świetle świec. Ujął jej twarz w swoje rozgrzane, silne dłonie, po czym pochylił się i dotknął wargami ust.

Było to pełne słodczy błogosławieństwo, wyraz najgłębszego uszanowania. Cofnął się odrobinę, nie odrywając od niej wzroku, po czym połoŜył się obok. Wyciągnęła rękę i palcami dotknęła jego warg, badając ich kontur, gładkość i jędrność.

- Szkoda - powiedziała z westchnieniem - Őe nie mogę ofiarować ci mojego dziewictwa.

- I wolałabyś, Őebym ja nie miał doświadczenia?

Lepiej jest tak, jak jest, Őadne z nas nie musi obawiać się ani bólu, ani przykrych niespodzianek. Oboje moŜemy obdarować się czystą przyjemnością.

Przytulili się mocno, pierś do piersi, udo do uda dwoje serc biło gwałtownym, urywanym rytmem.

Odsunął ją nieco, musnął czoło ciepłymi wargami, dotknął nimi wraŜliwej skóry powiek i przeciągnął po delikatnym wyniesieniu kości policzkowej. Dotarł do wilgotnego kącika jej ust, smakował jego wilgoć, wreszcie zapuścił się w słodkie wnętrze.

Była gotowa na przyjęcie tego łagodnego ataku. Śmiało zetknęła swój język z jego językiem. Chciała posmakować, poznać, ogarnąć tego męŜczyznę ciałem i duszą, zagubić się

w nim.

Było to pragnienie tak gwałtowne, tak mocne, że obawiała się okazać mu tę siłę.

Ogarniało ją ono jak upojenie, krążyło w żyłach jak wino, a zadrżała, a jej dłonie zacisnęły się konwulsyjnie na jego barkach.

Jego pierś falowała przyspieszonym oddechem. Przesunął dłoń na jej plecy i zaczął uwalniać z pętelek niezliczone guziczki stanika. Gorący dotyk na chłodnej skórze, która wyłaniała się po trochu, był czymś niezwykle intymnym, niewiarygodnie kuszącym. Nie chcąc pozostać mu dłużna, wsunęła palce pod klapy jego surduta i zaczęła odpinać jeden za drugim guziki kamizelki.

Ściągał jeden rękaw jej sukni, odsłaniając ramię i płytkie zagłębienie u nasady szyi.

Przyłgnął do niego wargami, smakował jego słodką bezbronność, badał tętniący tam puls.

Uwolnił z rękawa jej rękę i zacisnął powoli dłoń na łagodnej wypukłości piersi. Rozchyliła wargi i westchnęła spazmatycznie. Jak spięty ostrogą obsypał pocałunkami gorącą linię wzdłuż koronkowego rąbka gorsetu, pod którym kryły się dwie ciepłe wypukłości. Dotarł językiem aż do sterczącego sutka, zwilżył go, uchwycił wargami.

Zatopiła się w rozkoszy nie do zniesienia, uwolnione pragnienia nie dawały się

okiełznać, wpiła palce w błyszczące pukle jego włosów, ledwie wstrzymywała się, by nie przygarnąć go z całej siły. Nawet nie zauważyła, kiedy zdjął jej drugi rękaw sukni, rozpiął

koszulę pod spodem i zsunął skłębioną masę szeleszczących jedwabi. Odsunął się trochę od niej, by zrzucić z siebie własne odzienie. Zaprotestowała nieartykułowanym dźwiękiem.

Jednakże przyglądała mu się spod rzęs, chłonąc piękno jego ciała. Chciała je poznać.

Przy rozsznurowywaniu gorsetu namęczyli się oboje, pomagała mu ściskając się w

talii, by poluzować haftki. Zaklął bezgłośnie, zobaczywszy czerwone ślady odgniecia na jej ciele, i począł koić je pieszczotami. Jego palce gładziły, pieściły, wędrowały coraz niżej,

przebiegły przez płaszczyznę brzucha, zatrzymały się na puszystym trójkącie u zbiegu ud. Za palcami szły pocałunki.

Zacisnęła powieki, próbowała się odwrócić, zacisnąć uda, ale nie pozwolił jej na to.

Namiętny, delikatny, odkrywczy, zabrał ją ze sobą w podróż w nieznane, nieodgadnione królestwa rozkoszy. Coraz dalej, coraz bliżej, coraz mniej oporu, coraz więcej zachwytu.

Wreszcie przyciągnęła go niecierpliwie.

Wszedł w nią z powściąganą gwałtownością, jakby z nieuchronnej konieczności.

Przez długą chwilę trwali tak w bezruchu.

Czuła się wypełniona, lecz nie przepełniona, syta, lecz nie przesycona. Namiętność ogarniała ją jak strumień, wybijający ze źródła gdzieś w jej wnętrzu. Zadrżała, zadygotała, dłońmi przycisnęła jego umięśnione plecy. Pod wrażliwymi opuszkami czuła przepływające fale napięcia wywołane narzuconą sobie samokontrolą. Ta świadomość rozpałała jej zmysły do białości, wyrwała z gardła ciche westchnienie.

Podniósł się nad nią i doprowadzając ekstazę do granic wytrzymałości, pozostał w zawieszeniu, opanowany, choć na krawędzi kontroli. Złapała go obiema rękami, przyciągnęła do siebie, a on zagłębił się w nią, mocniej i mocniej, sondując granice snu i jawy, przynosząc zapierający dech w piersi wybuch spełnienia.

Później stali w otwartym oknie, owinięci w jedwabne narzuty z frędzlami, wdychając nocne powietrze i przyglądając się gwiazdzystemu niebu nad Paryżem. Miasto rozjaśniały świetlne punkciki, układające się w linie proste, to znów zagmatwane. To lampy gazowe wzdłuż ulic i nabrzeża Sekwany. Rzuciły szarawą poświatę na nocne niebo, przypominając o jutrze, która miała wkrótce nadejść. Szybko, zbyt szybko.

- Taki Paryż chciałbym zapamiętać - powiedział Allain głosem cichym i przepojonym smutkiem. I ciebie chciałbym zapamiętać taką, jaka jesteś teraz: ciepłą i piękną, z

rozpuszczonymi włosami ...

- Przestań! - Podniosła głowę z jego ramienia, obróciła ku niemu twarz i położyła palec na ustach. Przypomniła jej o rozstaniu, które musi nastąpić, a o którym nie chciała jeszcze myśleć.

Chwytał ją za rękę i przycisnął do ust, po czym położył ją sobie na sercu. Jego pierś wzniosła się i opadła ciężkim westchnieniem. Sięgnął dłonią ku jej talii, rozłożył palce, objął łagodnie jej ciało, jakby chciał je zatrzymać na zawsze.

- Jesteś taka śliczna, taka kochana i śliczna - wyznał cicho, a jego ciepły oddech musnął jej czoło. - Kocham cię, kocham ze wszystkich sił, pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Uwierz mi, proszę. Czasami, kiedy stałem kładąc farby na płótnie i patrząc na ciebie, jak siedzisz na podestce, miałem ochotę rzucić się na ciebie i pojąć wprost na podłodze.

Potarła czołem o jego brodę. Głosem, w którym nie było drżenia, powiedziała:

- Czasami, gdy tak siedziałam na tym podium, chciałam, żebyś to zrobił.

- A jeśli zrobię? - Jego ręce zaczęły znów brać ją w posiadanie.

- Zrobiłbyś? - Oblał ją rumieniec.

- Jeśli tego byś pragnęła. Jeśli oboje byśmy tego pragnęli. - Jego słowa zabrzmiały jak ślubowanie.

- Teraz ... - wyszeptała - teraz moje pragnienia są takie same jak twoje. Teraz i zawsze.

Powtarzając jej imię jak zaklęcie zaniósł ją na podest, opuścił na podłogę i sam ułożył się obok.

Znów oddali się miłości i namiętności, minuty płynęły, a oni nie ustawiali w zapamiętaniu.

Wreszcie jednak noc dobiegła końca.

Allain pomógł Violet się ubrać, zasznuował jej gorset, pozapinał guziki, rozłożył krynolinę na trzciniowych obręczach rusztowania. Własną szczotką o srebrnym uchwycie rozczesał jej włosy. Podtrzymując ciężkie, lśniące splety, powiedział nagle:

- Ucieknij ze mną.

- Ach, Allainie - wyszeptała. Łzy zalśniły w kącikach jej oczu, dławiliły w gardle.

- Zrobisz to? Jeśli tego pragnę?

Z wolna obróciła się ku niemu.

- Kocham cię naprawdę..., powiedziała łamiącym się głosem.

Wpatrywał się w nią długo, z jego szarobłękitnych oczu wyzierał głęboki ból.

Popatrzył na miękkie pasmo włosów, które trzymał w ręku, puścił je i spłynęło falując na jej spódnicy. Niemal skrzeczącym głosem rzekł:

- Kochasz mnie, ale jesteś jego żoną. I dlatego, mimo moich pragnień, nie pójdziesz ze mną.

- Gilbert też mnie kocha. - Nie mogła wytrzymać jego spojrzenia.

- Aleś tak, jakśby inaczej. Tylko jak mocno?

Pokręciła głową .

- Ale są jeszcze śluby, które złożyliśmy.

- Póki śmierć was nie rozłączy ... - powiedział ze spokojną pewnością w głosie. -

Mógłbym się go pozbyć ... na ubitej ziemi.

Podniosła głowę. Patrząc mu prosto w oczy wzięła go za rękę, pogładziła po twardej dłoni szermierza.

- Gdybyś to zrobił, nie byłbyś tym człowiekiem, którego pokochałam. A gdybym ja nie umiała dotrzymać świętego przyrzeczenia, nie byłabym tą kobietą, którą ty pokochałeś.

- Chyba nie doceniasz nas obojga.

- MoŜe, ale to niczego nie zmienia.

Westchnął, rozluźnił się.

- Nie, ale on moŜe wrócić do domu przed tobą. I juŜ nie będzie taki kochający.

Na to nie miała odpowiedzi.

Allain w milczeniu, z zastygłą w cierpieniu twarzą zszedł z nią do powozu. Wsiedli.

W drodze jedynie trzymał ją za rękę. Zdawał się nie widzieć czarnego powozu, który jechał za nimi w pewnej odległości. Violet mu o tym nie powiedziała. Cóż to miało za znaczenie.

Chciał wejść z nią do środka, odprowadzić do samych drzwi. Nie pozwoliła. Nie zapomniwała o ryzyku pojedynku. Nie mogłaby mu zapobiec, gdyby Gilbert i Allain stanęli twarzą w twarz.

Odjechał, bo błagała go, by to zrobił. Patrzyła, jak wsiada, jak zaprzęg rusza, potem odwróciła się i weszła przez drzwi, które przytrzymał dla niej nocny portier.

Drzwi saloniku nie były zamknięte na klucz, wewnątrz panowała cisza i ciemność.

Violet nasłuchiwała przez chwilę• Nagle serce podskoczyło jej ze strachu. Poczwała dym tytoniowy.

Czerwone światełko zapalonego cygara rozjarzyło się W miejscu, gdzie przy ogrodowym oknie stał fotel. W świetle budzącego się poranka zamajaczyła sylwetka męŜa.

Przemówił ostro:

- O której to się wraca, moja droga Ŝono? Zawahała się.

- Ja ...

- Oszczędź mi wyjaśnień, nie pora na nie. Dobrze, Ŝe nie śpisz. Pakuj się.

WyjeŜdŜamy do Szwajcarii. Dziś, z samego rana.

ROZDZIAŁ XIII

W trakcie podróŜy po Szwajcarii Gilbert ani razu nie wspomniał o tej nocy po balu.

Ucinał teŜ wszelkie próby tłumaczenia się Violet. Zmieniał temat albo po prostu wstawał i odchodził. Jakby chciał udawać, Ŝe to się w ogóle nie wydarzyło. W towarzystwie zachowywał się wobec Violet uprzejmie jak niegdyś, dbał o jej wygody i był szczodry w podarunkach. Jednak Ŝe na osobności karał ją chłodem, milczeniem i nieustannym pilnowaniem.

W Genewie nabyli dywany i złoty zegarek kieszonkowy, grawerowany w alpejskie scenki. Gilbert kupił wielką skrzynię, właściwie kufer posagowy, który, jak twierdził, będzie świetnie pasować do sypialni Violet. Dał jej w prezencie zegar z kukułką, który wydawał się jej ohydny.

Wynajęli niewielki domek na przedmieściu Lucerny i codziennie chodzili na wycieczki po kwiecistych górskich halach. Mógłby to być doskonały wypoczynek, w czystym powietrzu rozbrzmiewającym dzwonkami krów, pod cudownym błękitem nieba, jednak Ŝe Gilbert do tego nie dopuszczał. Górskie spacerzy były w jego wykonaniu sprawdzianami wytrzymałości, sadył wielkimi krokami, siekąc pod drodze trawę i kwiaty swoją laską i wciąż nawołując, by się nie ociągała, by przyspieszyła kroku. Nie wstrzymywała go nawet zła pogoda - nieraz musiała maszerować za nim w błocie i deszczu, brudna i przemoknięta do nitki.

Wieczorami jadal w restauracjach - posiłki były obfite, ale mdłe, bo pozbawione przyprawy w postaci konwersacji przy stole. Potem wracali do pokoju. Violet brała ksiąŜkę albo szyła, a Gilbert siedział, udając, Ŝe czyta 'prasę, i przyglądał się jej znad gazety. Musiała czasem wiele godzin wytrzymać to Ŝwidrujące spojrzenie, ale postanowiła, Ŝe nie da się złamać. Niekiedy jednak chroniła się wcześniej w łóŜku i leŜała z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemność, starając się nie myśleć, nie czuć, nie pamiętać.

Od czasu do czasu Gilbert wychodził i do późnej nocy przesiadywał w tawernach,

opijając się piwem i objadając tłustymi kiełbaskami. W takich razach Hermina miała przykazane pilnować jej i nie pozwalać się ruszyć, póki on nie wróci. Zjawiał się pijany i nadąsany, z twarzą usmarowaną tłuszczem, zionąc czosnkiem i piwem. Violet unikała go jak tylko mogła, bo był wtedy głośny i szorstki, wytykał defekty jej urody w porównaniu z dziewczynami, które widział.

Nie zbliżał się do niej, dotykał tylko wtedy, kiedy nie można było tego uniknąć.

Patrzył na nią z niesmakiem, gdy się rozbierała czy ubierała. Zastanawiała się, dlaczego ją w ogóle trzyma przy sobie. Chyba tylko z instynktu posiadania, żeby podkreślić swoje prawa właściciela.

Czasami zdawało jej się, że już dłużej nie zniesie tej cichej nienawiści mężczyzny i ciągłych upokorzeń. Z początku potulnie mu się podporządkowywała, pełna wyrzutów sumienia i poczucia winy. Jednak w miarę upływu czasu rosła w niej uraza i bunt. Z kolei ją teraz zaczęła ogarniać złość na niego. Nie jest przecież dzieckiem, które głaszcze się po główce, jak jest grzeczne, a daje klapsy, kiedy się źle zachowa. 'Jest istotą ludzką, ma swoje uczucia i potrzeby, swoje idee i opinie. Skoro Gilbert nie chce czy nie może tego uznać, jeśli uporczywie traktuje ją nieludzko, nie będzie go dłużej szanowała, nie czuje się już z nim związana.

Tak więc wędrowali powoli od jeziora do jeziora, znad Lucerny nad Como i dalej, nad Lugano. Tam właśnie doszła do nich wiadomość, że gabinet brytyjski wydał siłom zbrojnym rozkaz inwazji Krymu, że ma się odbyć spotkanie dowódców alianckich. I to właśnie w Lugano dogonił ich portret malowany przez Allaina.

Gilbert kazał przysłać obraz tego samego ranka, kiedy opuszczali Paryż. Ponieważ nie dostarczono go przed odjazdem ich pociągu, wydał polecenie, aby go za nimi wysłano.

Minęło trochę czasu, zanim do nich dotarł.

Gilbert nie wypakował go z płaskiej transportowej skrzyni, tylko postawił przy ścianie i od czasu do czasu obrzucał nienawistnym spojrzeniem. Obraz zdawał się go równocześnie fascynować i odpychać. Violet podejrzewała, że z jednej strony - jako posiadacz, który go zamówił i zapłacił za niego - pragnie go mieć, a z drugiej - gardzi nim.

Pewnego dnia poczekała, aż mąż wyjdzie, i posłała po młotek i dłuto, żeby otworzyć skrzynkę.

Spojrzała. Patrzenie na obraz było jak patrzenie na samą siebie oczami Allaina.

Odradzało ją.

Wspaniałe bogactwo i czystość kolorów, cieliste odcienie lśniły i wibrowały syciem.

Kompozycja obrazu była doskonała. Fałdy sukni i delikatne kontury koronek oddano po mistrzowsku.

Oczy z portretu zdawały się patrzeć, przesuwać za obserwatorem. Biła z nich samoświadomość, odwaga i stanowczość, z trudem skrywana radość i delikatne, rozkwitające poświadczenie.

Przypominał jej, kim była, przypominał o wszystkim, co się wydarzyło.

Ból straty przeszył jej serce, ogarnął całe jej jestestwo jak śrąca trucizna. Każdego nerw jej ciała łkał z tęsknoty. Próbowwała to powstrzymać, opanować. Nie potrafiła.

Gilbert miał rację, że nie spojrział na ten obraz.

Ale ona nie schowa go na powrót.

Nadal stała przed swoją podobizną, z młotkiem i dłutem w dłoni, z kawałkami desek i płótna pakowego u stóp, gdy usłyszała, że wraca mąż. Nawet nie drgnęła.

Gilbert stanął w drzwiach jak wryty, potem zamknął je i podszedł do niej. Głosem ociekającym słońcem powiedział:

- A więc musiałaś przyjrzeć się dziełu twego kochanka.

Obejrzała się przez ramię, po czym odłożyła narzędzia na stolik.

- Tak, a czemuś by nie?

- Nawet nie zaprzeczasz, że był kochankiem - powiedział oskarżycielsko.

Spojrzał ponad jej ramieniem na obraz, jego twarz znieruchomiła jak maska.

Usłyszała ton bólu w jego głosie i niespodziewanie odezwały się w niej skrupuły.

Zwilżyła wargi.

- Myślałam, że nie masz wątpliwości.

- Głupiec ze mnie, prawda? Wolałem myśleć, że jesteś po prostu lekkomyślna, a nie zdeprawowana.

- Czyśby? - Jej ton był teraz twardszy. - To trzeba było sobie oszczędzić wydatków na szpiegów.

- Szpiegów? Sądzisz, że opłaciłbym kogoś, żeby był świadkiem mojego upokorzenia?

- Nie po to. Po to, żeby pozbyć się wątpliwości.

W oczach Gilberta błysnął gniew. Oddychał ciężko przez nos.

- Wolałbym wynająć kogoś, żeby przetrzepał trochę skórę twojemu gachowi.

- Myślisz, że przestraszyłby się? - Podniosła głowę. Bardzo wątpię.

Zrobił krok w jej stronę, ale się zatrzymał.

- To kazałbym go zabić, a ciebie razem z nim wysyczał.

- Łatwiej nasłać płatnego mordercę - powiedziała cicho - niż posłać sekundantów, prawda? Zauważyłam, że się do tego nie paliłeś.

- Uwiódł mi sone, nakłonił, by szargała moje dobre imię, a ja miałbym mu dać satysfakcję? Trzeba było go zabić jak psa, každy sąd w Europie by mnie uniewinnił, a zwłaszcza we Francji. Tutaj rozumieją takie rzeczy.

- Ach tak, jakieś to słuszne, jakie sprawiedliwe - powiedziała z bezbrzeżną pogardą -

Se maŃ moŃe obraŃać kobietę bezkarnie.

Ruszył ku niej z zaciŃniętymi pięściami.

- MiałaŃ u mnie wszystko, czego dusza zapragnie.

- Wszystko, co sam chciałaŃ mi dać. Nie obchodziło cię, czego mi trzeba naprawdę.

To mu dało do myŃlenia, zawahał się na moment, po czym zwycięŃyła złoŃć.

- JesteŃ zbyt młoda, Ńeby wiedzieć, czego chcesz. Nie masz jeszcze wyrobionego smaku.

- Raczej boisz się, Ńe mój gust moŃe się róŃnić od twojego. I słusznie. Potrzebuję czegoŃ innego niŃ to, co ty mi dajesz. Lubię inne rzeczy niŃ ty.

- MyŃlisz o tym swoim artyŃcie? Nie będziesz go miała, moja w tym głowa. Lepiej o nim zapomnij!

Chwycił w rękę dłuto, które odłoŃyła, i zamachnął się na portret. Przeciął jej malowaną twarz i szyję, poleciały odpryski farby. Zadawał cios za ciosem, strzępy płótna wypadły z ramy.

Violet osłupiała z przeraŃenia. Podbiegła i złapała go za rękę, krzycząc:

- Nie! Nie ró b tego, proszę! Nie moŃesz ...

Odwinął się i uderzył ją grzbietem dłoni w twarz, aŃ jej głowa odskoczyła. Zachwiała się. Odwrócił się, upuszczając dłuto, które potoczyło się w kąt. Złapał ją jedną ręką za ramię, a drugą zanurzył w gęstwinie wysoko upiętych włóŃów. Przyciągnął ją ku sobie.

- Tak! Zrobię to! Mogę.

Szarpnął ją w stronę sypialni. Opierała się, odpychała go od siebie. Bez skutku, miał nad nią przewagę fizyczną, tym większą, Ńe wŃiekłość wzmagala jego siły. Próbowala podrapać mu twarz, chwycił ją za nadgarstki tak boleŃnie, Ńe ugięły się pod nią kolana.

Straciła równowagę, ostatnie parę kroków do łóŃka taszczył ją jak worek.

- Jesteś moją Soną - obwieścił triumfalnie i rzucił się na nią. Przygwoździł ją do łóżka i zadarł spódnice.

To, co nastąpiło później, było bolesne i upokarzające, i absolutnie nie do wybaczenia.

Violet zniosła to, lecz łzy ciekły jej gorącym strumieniem, spływały po policzkach i wsiąkały we włosy i poduszkę. Nie wydała żadnego dźwięku, chwyciła tylko rozpaczliwie powietrze. Przestała się bronić, leżała bez ruchu. Oddała mu tylko swoje bezwładne ciało, a sama schroniła się gdzieś w głębi siebie, gdzie nigdy jej nie dosięgnie, gdzie nie może i nigdy nie będzie mógł dotknąć. Tam jest niepokonana. Tam jest wolna. Nie wybaczy nigdy.

Potem zsunął się z niej i leżał przez chwilę nieruchomo po swojej stronie łóżka, a jej łzy płynęły nadal. W końcu otarła je ręką prześcieradła. Chwile mijały, odmierzane tykaniem zegara z kukułką - tym hałaśliwym przypomnieniem o upływie czasu, które zakłócało ciszę popołudnia.

- Nie płacz - rzekł głosem wypranym z emocji. Nie chciałem ci zrobić krzywdy.

Nie odezwała się ani nie poruszyła.

- Nie proszę o wybaczenie, sama zasłużyłaś sobie na to przez swoją krnąbrność i brak skruchy.

Nie odpowiedziała. .

- Może za mało czasu z tobą spędzałem, może powinienem był zabierać cię ze sobą na zakupy, radzić się ciebie i uwzględniać twój gust przy wyborze umeblowania, ale to jeszcze nie powód, by dopuszczać się cudzołóstwa.

- To nie o to chodzi - wyszeptwała.

Zignorował ją. Zmęczonym głosem, choć z domieszką ironii, powiedział:

- Ta sprawa się nie powtórzy. Gdybyś miała dziecko, nie byłoby czasu na takie głupstwa. Będziesz miała dziecko, choćby to miało nas zabić.

Zacisnęła powieki i położyła rękę na ustach, żeby stłumić szloch, który się w niej budził.

Następnego dnia przyjechał Allain.

Violet spacerowała sama, próbując ukoić duszę pięknem ogrodu, który odkryła nad brzegiem jeziora. Nagle zjawił się koło niej Allain; kroczył nieśpiesznie, z dłońmi założonymi do tyłu, z twarzą podniesioną ku słońcu, jakby najzwyczajniej w świecie wyszedł na poranny spacer.

Zapach bratków niesiony przez wiatr stał się nagle słodszy, niebo bardziej błękitne, a chmury płynące nad oddalonymi górami - bielsze. Oczy Violet napełniły się łzami, choć próbowała się uśmiechnąć.

Patrzył na nią z wesołą miną, ale po chwili stanął jak wryty.

- Aż tak źle?

- Tak ... nie - powiedziała, ocierając oczy drżącymi palcami. - Cieszę się, że cię widzę.

Jego spojrzenie obiegło prędko jej lniany kostium podróżny w kolorze starego złota z ciemnozieloną lamówką, do którego nosiła słomkowy kapelusik ozdobiony gałązką bluszczu, spoczęło na bladym obliczu, i na sińcu, który ciemniał na jej twarzy. Spokój, który brzmiał w jego głosie, nie harmonizował z nieubłaganą zawziętością jego spojrzenia.

- Przyjechałbym wcześniej, ale nie miałem pojęcia, dokąd się udaliście. Podążyłem śladem portretu, bezwstydnie przekupiłem spedytora.

- Nie dano mi wysłać nawet pośrodkowego listu. Violet przechyliła kremowy jedwabny parasol, by rzucał głębszy cień na posiniaczony policzek.

- Tak się domyśliłem. Jadąc za wami bałem się, że mogę się rozminąć w drodze z jakąś wiadomością, wysłaną przez ciebie do Paryża.

W jej oczach pojawiło się przygnębienie.

- Nie wolno mi pisać nic prócz mego dziennika. Nie wolno mi korzystać z poczty.

- Teraz to nie ma znaczenia. - Ujął jej dłoń w rękawiczce ciepłym i pewnym uściskiem.

- Dzisiaj po raz pierwszy wyszłam sama - powiedziała, próbując się uśmiechnąć - i to tylko dlatego, że Gilbert umówił się na spotkanie w sprawie kupna jakiejś starej, liczącej sobie czterysta lat zbroi, a Hermina uskarża się na zimne górskie powietrze, że spowodowało na nią atak reumatyzmu. - Wiedziała, że doszły tutaj jeszcze wyrzuty sumienia Gilberta z powodu wczorajszego zajścia, ale nic nie powiedziała.

- Wiem. Śledziłem was, czekałem na okazję, kiedy zostaniesz sama. Zdaje się, że należało wyłamać drzwi.

Zaprzeczyła ruchem głowy, konwulsyjnie zaciskając palce na jego dłoni.

- Dobrze, że jesteś, ale nie powinieneś być przyjeżdżać.

- Jakbym mógł cię zostawić? - powiedział po prostu. Zza pleców wyjął szorstawy kwiat, pachnący i świeży, jeszcze z kropelkami rosy na płatkach. Położył go na jej dłoni. Cheirantus, czyli lak wonny. Symbol, który znaczy „wierność w złej godzinie”.

Padła mu w ramiona, a on objął ją z całej siły. Ich wargi odnalazły się rozpaczliwie, a Allain przechylił parasol, by osłaniał ich przed spojrzeniami przechodniów.

W chwilę później, nadal ciasno objęci, znaleźli ławeczkę nad jeziorem i usiedli wpatrując się w wodę.

Violet przypomniała sobie, jak surowo osądzała kochanków, których widywała w podobnych sytuacjach w Paryżu. Nie zdawała sobie wtedy sprawy, jak trudno jest takiej parze znaleźć ustronne miejsce i jak głęboka jest potrzeba, która nimi kieruje.

Długo trwało, nim nasycili się nawzajem odzyskanym dotykiem i smakiem. W końcu

Allain przemówił, głosem stłumionym przez jej włosy, w które wtulał wciąż usta.

- Przyjechałem, żeby cię stąd zabrać.

Przez te wszystkie tygodnie prawie nie śmiała myśleć o nim, ale zdawała sobie sprawę, że jeśli się pojawi, to trzeba będzie rozstrzygnąć ważne rzeczy. Ta chwila właśnie nadeszła, tutaj, w tym pięknym ogrodzie, pod ciepłym słońcem, wśród kwiatnych woni niesionych przez wietrzyk.

Nie była pewna, czy tak naprawdę ma na to ochotę. Powoli odsunęła się od niego.

Odwróciła głowę, spojrzała przez jezioro na dalekie góry, wznoszące się chłodnymi masywami w niebo.

- Zabrać stąd? Ale dokąd? Z powrotem do Paryża?

- Raczej nie. Tam najpierw będzie cię poszukiwał mąż.

- Tak. Powinieneś wiedzieć, że groził ci.

- Nie boję się go, ale wolałbym, żebyś nie musiała się niepokoić. Chciałbym, bardzo tego chcę, być z tobą w ciszy i spokoju. Na przykład, gdyby ci to odpowiadało, w Wenecji.

Wenecja. Z Allainem.

Jechać z nim, to znaczy zostawić nie tylko męża, ale całą rodzinę, przyjaciół, miasto rodzinne, ojczyznę. To rzucić się w niepewną przyszłość z mężczyzną, którego prawie nie zna.

Potrząsnęła głową.

- Gilbert nie da za wygraną tak łatwo. Postanowił. .. postanowił mieć dziecko.

- Przysięgam - rzekł Allain stanowczo - że jeśli będziesz mieć dziecko, to jedynie moje.

Odwróciła ku niemu twarz. Minę miała poważną, spojrzenie nieprzeniknione, lecz badawcze, gdy spotkała jego wzrok. W jego oczach zobaczyła niezmiernie pokłady miłości, obietnice, które wzruszyły jej serce do bólu. Letni wiatr igrał kosmykami jego włosów,

szarpał końcami jedwabnej apaszki, którą miał zawiązaną na szyi. Allain zmrużył odrobinę oczy, ale nie drgnął, czekał na odpowiedź.

Powoli na jej usta wypłynął słodki uśmiech. Jej głos kipiał radosnym zadowoleniem.

Spytała:

- Kiedy jedziemy?

Zerwał się na równe nogi. Pociągnął ją za sobą. Nie spuszczał z niej szarobłękitnego spojrzenia, tej samej barwy co wody jeziora.

- Teraz - odparł. - Natychmiast.

Allain wynajął karete, żeby przewiozła ich przez góry do Mediolanu. Domagał się najlepszych i najbardziej rączych koni. Bez sprzeciwu zapłacił bająnską sumę, której zaśladano. Dodał nawet hojny napiwek, by zapewnić sobie dyskrecję karczmarza, u którego dokonała się transakcja.

Z Mediolanu wyruszyli pociągiem. Tempo jazdy zdawało się Violet ślimacze. Nie zwracała uwagi na wodospady na zboczach, rozległe górskie pejzaże, widoki warownych miast zawieszonych nad dolinami. Ciężko jej było na duszy, wciąż oglądała się za siebie. Bała się pomyśleć, co zrobi Gilbert, gdy odkryje, że uciekła. Wiedziała, że poruszy niebo i ziemię. Już sama jego pycha nie pozwoli mu dać za wygraną.

Allain wziął ją za rękę i powiedział:

- Bądź spokojna, cara mia. Twój mąż może się domyślać, że jesteś ze mną, ale nie jest tego pewien. Zanim się upewni, my już będziemy daleko.

- Wiem, ale ...

- Zapomnij o tym. Wyrzuć go ze swoich myśli. Raczej pomyśl o tym, co będziemy robili w Wenecji. Zostawiłaś tyle rzeczy: ubrania, biżuterię, pamiątki. Daję ci słowo, że odkupię ci wszystko, co tylko będę mógł.

- Nie przywiązuję znaczenia do przedmiotów.

- A ja tak. - W jego głosie zabrzmiała powaga. - Nie chciałbym, żebyś przede mną była czegoś pozbawiona.

- To, co mi już dałeś, jest znacznie ważniejsze - odparła z przekonaniem. Zrobiła dobry interes: zamieniła na własne szczęście te wszystkie przedmioty, które posiadała. Już wcześniej, w Paryżu, miała szansę z tego skorzystać, wybrała wtedy źle pojęte poczucie obowiązku i przywiązanie do konwenansów. Teraz sama mogła rozstrzygnąć.

Allain nie wspominał o małżeństwie. Dzieci, owszem, ale nie legalizacja związku. To nie było możliwe i nigdy nie będzie, bo jest związana z Gilbertem. Nawet gdyby nie było przeszkód natury religijnej, jej mąż nigdy nie zdecyduje się na publiczne potwierdzenie swojej małżeńskiej porażki przed legislaturą stanu Luizjana, która miała prawo orzekania o rozwiązaniu związku małżeńskiego.

Będą z Allainem musieli żyć w grzechu. Dziwne, jak niewiele to teraz dla niej znaczyło, a niegdyś było równoznaczne ze skandalem i ruiną. Nic na to nie poradzi. Słowa jej nie zranią, tylko ludziom może się to udać.

Na noc zatrzymali się w małej gospodzie na przedmieściach Mediolanu. Zbyt podnieceni, by spać, kochali się w świetle księżyca, wpadającym przez okna, a potem leżeli objęci, czekając na przyjscie dnia.

Rano wsiedli do pociągu, który sapiąc mijał wiejskie rezydencje kryte czerwoną dachówką, położone wśród zielonych, nagranych słońcem winnic, porozrzucane tu i ówdzie wioski o domostwach z kamienia, pełne kur, dzieciaków i kóz, z cmentarzami, na których strąsy stoją wyniosłe cyprysy. Krajobraz pagórkowaty ustąpił szarym równinom. Powietrze, które wpadało przez okno do przedziału, pachniało dymem węglowym, kwitnącymi trawami i wsią. Słońce przypiekało. Drobiny kurzu z aksamitnych zasłon wirowały leniwie w jego

złocistych promieniach.

Violet podziwiała łatwość, z jaką Allain przerzucał się z francuskiego na niemiecki, potem na dialekt wenecki, gdy załatwiał sprawy z urzędnikami kolejowymi na dworcu. Kiedy mu o tym powiedziała, uśmiechnął się tylko:

- To konieczność, jeśli nie ma się kraju, który można nazwać ojczystym. Najmocniej związany czuję się chyba z Wenecją. Mam tam krewnych, rodzinę matki.

- Czy będziemy ... to znaczy, czy zamierzasz ich odwiedzić? - Nie była pewna, czy ma ochotę składać teraz wizyty jego krewnym, kimkolwiek mogli się okazać.

Wykazał pełne zrozumienie dla jej rezerwy.

- Tylko gdybyś miała na to ochotę.

- Czy to z powodu ojca nie masz prawdziwej ojczyzny?

Potwierdził z roztargnieniem. Spuściła oczy i spytała:

- Czy był może dyplomata?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Masz tak wiele znajomości w kołach rządowych ... i mieszkałeś w tylu krajach.

Pokręcił głową z uśmiechem.

- Mój ojciec przez pewien czas zajmował wysokie stanowisko, ale nie w korpusie dyplomatycznym, przestał je piastować jeszcze przed moim urodzeniem. Jeśli darzy się mnie jakimiś szczególnymi względami, to raczej dlatego, że moi przodkowie umieli dobrze się śnić.

- Aha, dla pieniędzy - skomentowała.

Sprawił wrażenie, jakby pieniądze nie stanowiły dla niego problemu. Zawahał się chwilę, nim udzielił jej odpowiedzi.

- Można by tak powiedzieć.

- Skoro z nich korzystasz, to domyślam się, iż twój ojciec już nie żyje.

- Oboje moi rodzice nie żyją, o ile mi wiadomo.

Matka, niegdyś primadonna opery, zmarła w Anglii stosunkowo niedawno. Mój ojciec wyruszył na swego rodzaju pielgrzymkę wkrótce po moim urodzeniu. Miał wrócić, ale więcej go nie zobaczyliśmy. Przez kilka lat docierały o nim różne wieści, potem już nic.

Takie rzeczy się zdarzały. Człowiek ginął bez wieści na morzu albo napadnięty gdzieś na odludnym gościńcu, gdzie nie było nikogo, kto by mógł go zidentyfikować. A czasami znikał umyślnie, owszem, by uniknąć obowiązków rodzinnych albo innych sytuacji, które były dla niego nie do zniesienia.

- Przykro mi - powiedziała. Uśmiechnął się lekko.

- Nie ma powodu. To było tak dawno.

- A co z twoją matką? Dlaczego tam została?

- Tam miała dom, ojciec ją tam urządził, tam miała znajomych w kręgach towarzyskich i teatralnych. Robiła tylko krótkie wypadki do Włoch. Myślała, że on może wróci.

Chłód przebiegł Violet po plecach, kiedy rozważała to, co powiedział. Jego ojciec zabrał kobietę z domu, od bliskich, i osadził w obcym kraju, a potem ją opuścił. Ona wyjeżdża z Allainem, porzuca wszystko. Czy on też byłby w stanie ją tak bezlitośnie zostawić?

- Nie patrz w ten sposób, cara mia - powiedział, biorąc ją za rękę. - Nigdy cię nie opuszczę. Ale pochlebia mi, że ci na mnie zależy, i łechce moją próżność, że jesteś taka zainteresowana.

Delikatny rumieniec wystąpił na jej policzki, ale wytrzymała jego spojrzenie. Miętko powiedziała:

- Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie to interesuje.

- To dobrze. Dowiesz się wszystkiego.

Po chwili zaczął opowiadać o okolicy, przez którą jechali, i o niełatwej sytuacji, jaka wytworzyła się na Półwyspie Apenińskim. Głęboki tembr jego głosu sprawiał Violet przyjemność, a zaciekawienie budziły wnikliwe analizy polityczne, jednak nie mogła opędzić się od myśli, że ta jego elokwencja wynika z chęci zmiany tematu. Może chciał wyjawiać swoje sekrety, ale najwidoczniej uznał, że jeszcze na to nie pora.

Północna część półwyspu, jak opowiadał Allain, stanowiła od stuleci pole bitewne, na którym królowie z dynastii Walezjuszów i Burbonów z Francji oraz Habsburgów austriackich załatwiali swoje porachunki. Różne terytoria na tym terenie przechodziły z rąk do rąk dziesiątki razy. Po klęsce Napoleona Kongres Wiedeński położył kres panowaniu Francuzów. Wenecja wraz z Lombardią znajdowały się nadal pod rządami Austrii, ale pozostała część półwyspu zajmowało kilka drobnych państw, między innymi Królestwo Sardynii, Królestwo Obojga Sycylii, Księstwa Parmy i Modeny, Wielkie Księstwo Toskanii i, oczywiście, Państwo Kościelne, rządzone przez papieża.

Z różnymi terytoriami związane były różnorodne tytuły, stare i nowe, a posiadacze tych tytułów walczyli o wpływy. Na dodatek, jak w całej Europie, od 1848 roku w powietrzu wisiało nieustannie widmo rewolucji. Według opinii Allaina jakieś wydarzenie albo jakiś człowiek wreszcie zjednoczy półwysep w jedną, silną republikę. Tymczasem większość krajów, pod przywództwem Królestwa Obojga Sycylii, stanęła przed decyzją przyłączenia się do wojny krymskiej po stronie aliantów. Nie można było uniknąć konsekwencji tego odległego konfliktu.

Na dworzec w Wenecji przybyli późnym popołudniem. Pasażerowie hałaśliwie rzucili się do wysiadania. Odbierali bagaże i śpieszyli na prom przez lagunę, ostatni już tego dnia. Violet i Allain nie mieli dużo do niesienia; Allain chwycił niewielką walizkę podróżną, którą zabrał ze sobą z Paryża, Violet trzymała w ręku jedynie parasol. W tłoku i ścisku ruszyli wąskim przejściem w stronę nabrzeża dla promów.

Właśnie mijali bramę dworca, gdy nagle Violet została gwałtownie odepchnięta.

Potknęła się o własne spódnice i zachwiała, omal nie upadła. Za nią wywiązała się jakaś szamotanina. Odwróciła się - tłum się rozproszył, kobiety krzyczały, płakały jakieś dzieci. W środku tego zamieszania Allain bił się z dwoma osobnikami.

Ogarnął ją najpierw lęk, potem wściekły gniew.

Parasol, który trzymała w ręku, był solidny, przeznaczony zarówno do ochrony przed słońcem, jak i do uŹywania w charakterze laski podróŜnej. Srebrny uchwyt umocowany był do stalowego pręta z Źelazną końcówką, zaostrzoną w szpic.

Jej pierwszy cios trafił jednego z napastników w policzek i szyję, rozcinając je do krwi. Zaatakowany odwrócił się ze złowrogim okrzykiem.

Allain rzucił okiem w jej stronę, wbił pięść w brzuch drugiego napastnika i odskoczył.

Złapał Violet w pól, schował za siebie i zręcznie wyjął parasol z jej ręki.

Napastnicy byli chudzi, brudni, z twarzami w bliznach - typowe rzezimieszki, jakich pełno w portach na całym świecie. Jeden był drobny, drugi trochę potężniej budowany. Klnąc głośno, oskrzydłali Allaina.

Allain nie wypuścił walizki z ręki. Lekki uśmiech pojawił się na jego ustach, a oczy lśniły kocią bystrością. Zaatakował.

Pierwszy z męŹczyzn wydał z siebie gulgoczący odgłos i zwałił się na plecy. Z ręki wypadł mu sztylet i potoczył się po bruku. Drugi rzucił się, by go podnieść. Parasol przeciął powietrze ze świstem. MęŹczyzna chwycił się za bezwładną dłoń i zachwiał.

Allain ruszył do przodu, trzymając parasol pewną dłonią. Napastnicy zaczęli się wycofywać, trzymając się za zranione miejsca.

Z tłumu rozległy się pojedyncze okrzyki uznania, jednak większość przechodniów nawet się nie obejrzała. Violet chwyciła Allaina mocno za rękę. Skrzywił się z bólu.

- Jesteś ranny - powiedziała niemal szeptem.

- Moja wina, nie byłem dość czujny. - Uśmiechnął się z pewnym przymusem.

- Niech zobaczę ... - zaczęła. Pokręcił głową.

- Prom ucieknie. Z opatrywaniem rany poczekamy, aŹ będziemy na miejscu. To tylko

draśnięcie.

- Chodziło im o pieniądze - zapytała z niepokojem - czy ... coś innego.

- Oto jest pytanie. Jeśli nasłał ich Gilbert, to znaczy, że miał diabelskie szczęście.

Nocleg znaleźli w zabytkowym pałacu tuż przy Canale Grande. Allain wyjaśnił jej, że jest własnością pewnej wdowy w podeszłym wieku, signory da Allori. Była to trzypiętrowa budowla ze złocistego piaskowca; pozieleniały pas w dolnej części znaczył zasięg morskiej wody. Fasadę zdobiły podwójne loggie na drugim i trzecim piętrze, z gotyckimi łukami i rzeźbionymi balustradami w orientalnym stylu.

Allain zostawił na chwilę Violet w rozkołysanej czarnej gondoli, która przywiozła ich na miejsce, i poszedł rozmówić się z majordomusem. Violet знаła go już na tyle, by nie dziwić się jego koneksjom i łatwości, z jaką załatwiał wszelkie sprawy.

I tym razem udało mu się. Nim zapadł zmierzch, zainstalowali się w obszernym, kwadratowym pokoju z wysokimi oknami wychodzącymi na jedną z frontowych loggi.

Dwóch młodych posługaczy pod kierownictwem zarządcy domu, mężczyzny w średnim wieku o miłym uśmiechu i wydatnym nosie, a jeszcze wydatniejszej szczęce, wniosło im do pokoju wannę z miedzianej blachy. Zaraz pojawiła się też pokojowa, tęga kobieta o ostrym języku, z małym wąsikiem pod nosem, która okazała się Soną owego majordomusa.

Przyniesiono wodę do kąpieli, w dostatecznej wprawdzie ilości, lecz niedostatecznie gorącą.

Na ogromnym łożu z przykurzonym baldachimem z jedwabnego brokatu pokojowa położyła nocną koszulkę: niemal przezroczysty, lekki jak piórko kawałek batysty ozdobiony ręcznej roboty koronkami, a także szlafroczek, nieco tylko grubszy. Na pytanie Violet, skąd wzięła te szczegóły garderoby, gestem głowy wskazała na Allaina, puściła oko i z zaaferowaną miną wyszła z pokoju.

Zarządca domu, Savio, sprowadził lekarza, małomównego mężczyznę o poważnym

wyrazie twarzy. Obejrzał on skaleczony bok Allaina, zrobił mądrą minę, po czym umył ranę wodą z mydłem, posypał jakimś białym proszkiem i założył opatrunek z czystego płótna. Ukłonił się unię, otrzymawszy honorarium, podszedł do Violet i ucałował jej dłoń, a następnie wyszedł. Allain patrzył za nim ze zmarszczonym czołem.

Savio, człowiek - jak się okazało - wszechstronnie utalentowany, zadbał także o kolację, którą zgodnie z poleceniem Allaina przyniesiono im do pokoju, gdy się wykąпали. Posiłek składał się z makaronu z zieloną sałatą, po których podano pieczeń wieprzową z młodymi kartofelkami i kapustą. Dania były smaczne i ładnie podane. Kuchnią zajmowała się mała Sonka majordomusa. Usługiwali dwaj młodzi posługacze, jak się okazało, ich synowie. Po kolacji Violet i Allain zabrali swoje kielichy z resztą wina na loggię. U siedli i rozkoszowali się wieczornym powietrzem, przyglądając się ruchowi na kanale i przysłuchując się nawoływaniom gondolierów.

Wszedł księżyc, rzucając na wodę srebrzyste refleksy, powlekając dachy i kominy bladą poświatą, dziwacznie spłaszczając perspektywę i przekształcając miejski pejzaż w czarno - biały rysunek szalonego artysty. Gdzieś z oddali, z jakiegoś starego ogrodu pałacowego, dobiegł tryl słowika. W którymś z sąsiednich domów zespół kameralny ćwiczył koncert klarnetowy A - dur Mozarta, bez końca powtarzając powolną i rozspiewaną środkową część, adagio, która płynęła nad dachami, zabarwiając noc melancholią. Gdzieś na Canale Grande gondolier zaśpiewał słodko brzmiącym głosem miłosną pieśń. Woda pluskała o pale cumownicze i odwieczne kamienie ścian pałacu.

Pod loggią przemknęła gondola, rzucając na wodę krąg złotego światła z latarni dziobowej. Violet odwróciła twarz w stronę Allaina i w tej złotej poświacie zobaczyła jego oblicze, jego wpatrzone w nią oczy, głębokie jak dwa bezdenne jeziora pośladania. Wyciągnęła do niego rękę.

ROZDZIAŁ XIV

Joletta cieszyła się, że trasa, którą wiozł ją autem Rone do Wenecji, nie odbiegała za bardzo od tej, którą obrali Violet i Allain powozem i koleją. Układ komunikacyjny nie zmienił się zbytnio, a nasyp kolejowy biegł wzdłuż autostrady przez większą część drogi. Samochód, jaki im się trafił, niedobitek z agencji wynajmu, mały, stary i zdezelowany, z ręczną skrzynią biegów, za którym ciągnęła się błękitna chmura spalanego oleju, nie miał nawet klimatyzacji. Joletta wiedziała, że w Europie samochody zwykle są skromniej wyposażone niż w Stanach, ale nie mogła się powstrzymać od uwagi, że w autobusie przynajmniej była czynna klimatyzacja.

Rone przez pół dnia wysłuchiwał jej uszczypliwości i obserwował, jak męczy się, walcząc z prądem powietrza z otwartego okna, który wichrzył jej włosy. Kiedy zatrzymali się na chwilę, poszedł do sklepu i kupił jej białą jedwabną chustkę na głowę i ogromne włoskie okulary przeciwsłoneczne w białej oprawce. Gdy jej to wręczał, była zaskoczona i zła na siebie, że sama nie wpadła na ten pomysł, więc podziękowała mu dość opryskliwie. Kiedy jednak zawiązała sobie chustkę na głowie, włożyła okulary i wystawiła łokieć przez otwarte okno, poczuła się bardzo po europejsku. Oczywiście nie wspomniała o tym Rone'owi.

Joletta nie umiała posługiwać się ręczną skrzynią biegów, więc całą drogę prowadził Rone. Już po dziesięciu minutach od przekroczenia granicy Włoch dziękowała Bogu, że znalazła wymówkę i nie musi siedzieć za kierownicą.

Włosi jeżdżą jak wariaci, pędzą z samobójczą, a raczej zabójczą prędkością, i za nic mają wszelkie względy bezpieczeństwa. Samochód w każdej chwili może okazać się bronią zaczepną w bezpardonowej walce, jaka nieustannie wre na autostradach.

Jazda wśród nieobliczalnych kierowców pojazdów pędzących z prędkością stu

czterdziestu kilometrów na godzinę, czyli ponad osiemdziesięciu pięciu mil, nie wydawała się robić na Ronie większego wrażenia włączył się w ruch sprawnie i z nie mniejszym niż tubylcy wigorem. Kierownica w pewnych dłoniach, zmysły czujne i wyostrzone - Rone trzymał się swego i nie ustępował nikomu.

Joletcie przypadła więc rola pilota. Wprawdzie nie była przyzwyczajona do europejskich znaków drogowych i odległości podawanych w kilometrach, ale radziła sobie zupełnie niezłe, mimo że z początku, gdy Rone rzucił jej mapę na kolana, miała poważne obawy. Włoski system autostrad nie różnił się jednak specjalnie od tego, co знаła z międzystanowych tras szybkiego ruchu w USA, a oznakowanie wyglądało nawet lepiej.

Udzielała Rone'owi instrukcji zwięzłych i trafnych i na ogół tylko wtedy, gdy sam ją zapytał. Pogwizdywał w czasie jazdy jakąś włoską piosenkę ludową, jak się jej zdawało, ale nie znała jej tytułu. Najwyraźniej był zadowolony, że udało mu się wyciągnąć ją z tej zbiorowej wycieczki. Ją też cieszyła odmiana. O wiele przyjemniej było podróżować samochodem, zwalniając, gdy coś warte było obejrzenia, czy zatrzymując się, by coś sfotografować. Pęd powietrza przyjemnie chłodził twarz. Dzięki temu, że nie jechała hermetycznie zamkniętym, klimatyzowanym autokarem, mogła wreszcie sycić się zapachami otoczenia, chłonać woń ligustru okalającego winnice, ziołowe aromaty świeżo skoszonej trawy, a nawet nikły odór stada kóz pasącego się w oddali.

Chciała, by ta podróż trwała bez końca. Ale nawet na torturach nie przyznałaby się do tego Rone'owi. Nie miała ochoty być rozsądna. Była na niego wściekła i chciała, by to odczuł. Włączyła radio.

Rone zerknął na nią. Gwizdanie urwało się jak uciął. Kręciła gałką, szukając jakiejś stacji. Po paru próbach zmarszczyła czoło. Przykro jej się zrobiło, że przez nią przestał gwizdać. Było to przyjemniejsze niż wszystko, co udawało jej się znaleźć w radiu. Tylko rock

i transmisje z meczów piłki nożnej. Nie chcąc tak od razu wyłączyć radia i obawiając się pełnej napięcia ciszy, nastawiła jakąś rockową muzykę i opadła na oparcie fotela.

Właściwie to wstyd, że z nim nie rozmawia, pomyślała.

Już same nazwy miejscowości, które mijali, przywodziły na myśl fascynujące i romantyczne skojarzenia, a Rone należał do rzadko spotykanego gatunku ludzi, którzy potrafili takie rzeczy docenić. Ponadto na drzewach zieleniły się nowe liście, krzewy kolcolistu obsypane były żółtym kwieciem, a na przydrożach czerwieniły się maki większe i jaskrawsze niż w Anglii czy Francji. Raz i drugi odwróciła się do niego, by coś powiedzieć, ale się nie przemogła.

Wyglądała przez okno, gdy to on wreszcie przerwał milczenie.

- Jak długo zamierzasz to ciągnąć?

- O co ci chodzi? - Odruchowo przybrała napastliwy ton.

Uśmiechnął się lekko.

- Jak długo zamierzasz jeszcze tak milczeć.

Tak, zachowywała się tak samo jak Gilbert w stosunku do Violet. Nie spodobała jej się ta analogia, pomyślała, że być może taki sposób radzenia sobie ze złością jest cechą rodzinną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. - Sam sobie nawarzyłeś tego piwa. Nie muszę być miła dla kogoś, kto próbuje decydować za mnie.

- Ale nie musisz się tego dąsać. Jeśli jesteś niezadowolona, po prostu powiedz, nie umiem czytać w myślach.

- No i całe szczęście.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz, spojrzał na nią zza ciemnych okularów, leniwie wyciągniętą w fotelu, i powiedział w zadumie:

- A ja śluję.

- W każdym razie kulturalni ludzie - wyprostowała się pośpiesznie - nie

wmanewrowują innych w sytuację przymusową.

- Nawet w ich własnym interesie? - Rzucił okiem w lusterko, potem znów na nią, po czym skupił uwagę na drodze.

- Nie do końca zgodziliśmy się, o ile pamiętam, co naprawdę jest w moim interesie, ale nawet wtedy nie wolno uciekać się do takich kombinacji.

- Chciałbym podkreślić, że porwałem panią tylko na jedno popołudnie, nie na całe życie. Chyba że nastąpi zmiana planów.

Zsunęła okulary słoneczne na czubek nosa i spojrzała na niego znad szkieł. Nie sprawiał wrażenia zakłopotanego jej badawczym spojrzeniem, prowadził wóz zrelaksowany. Wpadający przez otwarte okno strumień powietrza igrał z jego ciemnymi, prostymi włosami i kołnierzykiem koszulki polo rozpiętym pod opaloną szyją. Ten luz, a także ciemne okulary nadawały mu wygląd prawdziwego Europejczyka, co podnosiło jego atrakcyjność.

- Co masz na myśli? - spytała cierpko.

- że spodobałoby ci się spróbować własnych sił w podróżowaniu. Cóż by innego?

- Nazwałabym to raczej kidnapingiem. - Nie chciała przyznać, że pomysł samodzielnej wyprawy bardzo jej przypadł do gustu.

- Czytasz za dużo powieści sensacyjnych. No, ale wyjaśniliśmy sobie to i owo.

Będziesz się już do mnie odzywać?

Pochyliła się, by wyłączyć radio, które chyba po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny podawało wyniki ligowych meczów piłki nożnej. Nie była uparta do tego stopnia, by robić na złość sobie samej.

- Z przyjemnością. O czym porozmawiamy na początek?

Mijali Mediolan czteropasmową obwodnicą, E30, zostawiając za sobą staroświeckie

wille, kwitnące sady i zagony warzyw przykryte pasami folii. Pora była wczesna, mieli wszelkie szanse dogonić grupę w Wenecji, najpóźniej do kolacji.

Nagle wszystko się zmieniło.

Feralna ciężarówka na pozór niczym się nie wyróżniała, przypominała te, które widzi się w Ameryce, była może tylko trochę mniejsza. Dziesiątki takich mijali po drodze.

Wyprzedzała ich lewym pasem jakby nigdy nic. Może trochę za blisko; niezbyt to przyjemne uczucie, kiedy się jedzie małym wozem. Kierowcom ciężarówek w Stanach też się czasem wydaje, że cała droga należy do nich.

Joletta usłyszała, jak Rone cicho zaklął. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. W pełnym skupieniu, ze zmarszczonym czołem, patrzył w boczne lusterko. Docisnął gaz do dechy.

Uderzenie rozległo się głuchym, metalicznym łoskotem, jakby trafiła ich gigantyczna pięść. Samochód zarzuciło z piskiem opon. Rone z trudem odzyskał panowanie nad kierownicą. Wchodzili w zakręt. Joletta, tracąc równowagę, jedną ręką chwyciła się pasa, drugą oparła na desce rozdzielczej.

Ciężarówka powtórnie uderzyła w tył auta. Samochód wypadł z szosy, ze zgrzytem zaczął zsuwać się z nasypu, podskoczył, przewrócił się na bok i przetoczył. W powietrze wzbily się fontanny świru i ziemi. Przed nimi wyrósł szpaler platanów. Rone nie wypuszczał kierownicy z rąk, mięśnie jego ramion wyglądały jak wyrzeźbione w kamieniu. Wóz obrócił się, ustawił bokiem. Uderzyli w coś z głośnym trzaskiem. Posypały się liście, zadźwięczał metal. Coś zasyczało i auto znieruchomiało. Silnik wył na wysokich obrotach. Nagle zamarł, a Rone wyłączył stacyjkę.

- Uciekaj! - rozkazał szybko. - Już!

Odpiął pas bezpieczeństwa i pchnął barkiem drzwi od swojej strony. Joletta, ledwie

przytomna, zauważyła, że po twarzy płynie mu krew. Manipulowała przy swoim pasie, ale palce miała zeszywniałe, niezgrabne. Chyba wieczność trwało, nim sprężyła zatrasku ustąpiła. Spróbowała otworzyć drzwi, ale ani drgnęły.

Rone złapał ją za rękę i pociągnął ku sobie. Przesunęła się na jego siedzenie i w pośpiechu wygramoliła na zewnątrz.

Rone trzymał ją mocno i odciągał od wraku. Złapała równowagę, ruszyli co siłą w nogach.

Czuła zapach gorącego metalu, palących się przewodów elektrycznych.

Potykali się w wyschniętych korytach wysłobionych w skarpie przez spływającą wodę, czepiały się ich lodygi bluszczy, który porastał nasyp. Byle dalej, sekundy mijały.

Nagle usłyszeli za plecami coś jakby miękki furkot, jakby odgłos zapalnego palnika gazowego. Potem rozległ się huk.

Gorący podmuch eksplozji uderzył ich w plecy i powalił na ziemię. Instynktownie osłonili głowy rękami, wtulili się w grunt.

Najgorsze minęło po paru sekundach. Usiedli ostrożnie i zasłaniając twarze rękami od niewiarygodnego śaru, kierowani neodpartą pokusą, odwrócili się za siebie.

Pomarańczowo-żółte płomienie strzelały w górę, liścąc świeżą zielen platanowych liści, przesłaniając niebo czarnym pióropuszem dymu. Wnętrze samochodu przypominało rozszarzony do czerwoności kocioł.

Niewiele brakowało ... Łapiąc z trudem powietrze siedzieli i patrzyli.

Na autostradzie nad nimi samochody zwalniały, kilka zatrzymało się. Wybuchła jakaś awantura - słyszeli podniesione głosy, widzieli wymachiwanie rąk. Z czerwonego samochodu wysiadł mężczyzna i zmierzał w ich stronę.

- Moi przyjaciele - odezwał się Caesar Zilanti, gdy znalazł się blisko nich i mogli go

usłyszeć - mieliście szczęście, co?

Pochylił się i wyciągnął rękę, by pomóc Joletcie wstać. Odruchowo przytrzymała się jej, ale patrzyła na niego w oszołomieniu. Spojrzała na jego samochód i odezwała się:

- Skąd się pan ...

- Jechał za nami. - Rone wstał o własnych siłach. - Widziałem go w lusterku juŜ od ładnych paru mil.

- Raczej kilometrów, ale owszem. - Włoch lekko wzruszył ramionami. Jego ciemne spojrzenie spoczęło na Joletcie. - Signorina jest tak piękna, Őe nie chciałem stracić jej z oczu.

Rone podparł się pod boki i stanął przed nim, patrząc mu w twarz. Minę miał podejrzliwą i niezbyt przyjemną• - - Ciekawe, jak się panu udało nas znaleźć.

- Te wycieczki autokarowe - w głosie Włocha zabrzmiało lekcewaŜenie - łatwo się dowiedzieć, którędy jadą. W hotelu w ParyŜu dowiedziałem się od kierowcy autokaru, Őe pilot waszej wycieczki zawsze zarządza postój na lunch w kafeterii „Movenpick” nad jeziorem Lugano. Załatwiłem swoje sprawy w ParyŜu i podjechałem tam. Zobaczyłem, Őe signorina nie jest sama, widziałem, Őe idziecie do parku. Autokar odjechał, a was w nim nie było. Poszedłem do parku. Reszta była prosta.

- Skoro widział pan, Őe spóźniliśmy się na autobus, to czemu nie zaoferował pan podwiezienia? - Ton Rone'a był uprzejmy, ale spojrzenie - wręcz przeciwnie.

Caesar uśmiechnął się, ale wyrazu jego oczu nie moŜna było dostrzec spod krzaczastych brwi.

- Skąd mogłem wiedzieć, co pan kombinuje? Wyglądało na to, Őe chce pan zostać z signoriną sam na sam, co zresztą bardzo dobrze rozumiem.

Wyjaśnienie wiarygodne, pomyślała Joletta, ale czy prawdziwe? Rone zdawał się podejrzewać, iŜ Caesar śledził ich znacznie dłuŜej, niŜ się przyznawał. Czy Włoch mógł mieć

coś wspólnego z włamaniem do jej pokoju w Lucernie? Jaki mógł być jego związek z tamtą sprawą? A może i z tym wypadkiem?

Nagle poczuła się słaba, ręce zaczęły jej drżeć. Nie tylko czuła się strasznie, lecz i wyglądała strasznie, wiedziała to, a w perspektywie, zamiast odpoczynku, miała rozmowy z kolejną cudzoziemską policją.

- Tak czy owak - powiedziała do Caesara powoli ciesząc się, że pana widzę. To pański kraj. Niech pan nam powie, co mamy teraz zrobić.

- Są dwie możliwości - powiedział, drapiąc się po brodzie. - Pierwsza, to wsiąść do mojego samochodu i odjechać stąd natychmiast.

Joletta zamrugła.

- Ale... trzeba wezwać policję, złożyć zeznania, zawiadomić firmę wynajmu samochodów ...

- A po co sobie robić kłopot? To Włochy, róbcie, co wam się podoba, i miejcie nadzieję, że karabinierzy i firma wynajmu was nie znajdą i nie będą o nic pytać. - Chyba jednak zadamy sobie ten - trud - rzekł Rone po namyśle.

- Dobrze, jak chcecie. - Włoch się uśmiechnął. Pomogę wam.

Rone nic już nie dodał, ale zrobił drwiącą minę. Karabinierzy okazali się niezwykle uprzejmi, a prezentowali się doskonale w swoich eleganckich błękitnych mundurach.

Prowadzili dochodzenie bez pośpiechu. Przepraszali bardzo, że nie są w stanie aresztować kierowcy ciężarówki od razu, ale mają zbyt mało danych, i dlatego proszą o wyrozumiałość. Jest im niezwykle przykro, że taki straszny wypadek spotkał miłych turystów we Włoszech, mają nadzieję, że to nie zepsuje wrażeń z ich pięknego kraju. Całe szczęście, że nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Czy krwawienie u signora Adamsona ustąpiło? Va bene.

Trzeba załatwić holowanie i protokół szkód dla firmy wynajmu samochodów. Polisa

ubezpieczeniowa waśna, oczywiście? Bene, bene. No to tylko jeszcze trzeba tu podpisać.

Było późno, gdy znaleźli się na bulwarze, gdzie Caesar zostawił swoje auto.

Zauważyli autokar - stał zaparkowany na tym samym nabrzeżu; właśnie przeładowywano

bagaż na wózek, który miał go zawieźć do tramwaju wodnego, by ten z kolei

przetransportował go do hotelu. Poszli w tamtą stronę - Joletta cieszyła się na wycieczkę

gondolą, przewidzianą w programie wieczoru, i na kolację w hotelu.

- Przepraszam bardzo, ale proszę tego nie robić! zakrzyknął boleśnie Caesar. -

Błagam, zjedzcie kolację ze mną, oboje. Mój kuzyn ma tu restaurację, bardzo dobrą. Potem

będzie czas na przejażdżkę gondolą, jeśli będziecie mieli ochotę. I to nie na taką dla turystów,

raz - dwa i z powrotem na brzeg, byle szybciej. Nie, na prawdziwą, romantyczną, nocną

podróż gondolą. Obiecuję.

Caesar w ciągu tych kilku godzin dał się poznać jako prawdziwy sojusznik - jak lew

walczył w ich interesie z karabinierami, opiekował się nimi troskliwie, woził samochodem i

śłużył za przewodnika, zaprowadził ich do hotelu i uchronił przed rozmaitymi naciągaczami,

oferującymi swoją pomoc.

Joletta obejrzała się na Rone'a, ale to on patrzył na nią' pytająco.

Pokazała na jego koszulę, na której nadal widniały rdzawe plamy krwi.

- Chyba i ty, i ja potrzebujemy więcej czasu na odświeżenie się niż pozostali

uczestnicy wycieczki - stwierdziła.

- Prawdę mówiąc, wcale nie mam ochoty na wczesną kolację z resztą grupy.

- Wczesną? Jak to wczesną? - dopytywał się Caesar z niedowierzaniem. - Nie, nigdy.

To jest słoneczna Italia, tu się nie zje nic rozsądnego przed dziesiątą, jedenastą.

Rone skinął głową.

- Więc dobrze, idziemy do restauracji pańskiego kuzyna, ale na mój rachunek.

Caesar gwałtownie zaprotestował, dowodząc, że to jego obowiązkiem jest ich ugościć, ale bez powodzenia. Rone nie ustąpił: on stawia. Umówili się, że spotkają się na nabrzeżu dla taksówek wodnych przy hotelu za dwie godziny.

Joletta przypatrywała się obu mężczyznom, jak ściskali sobie dłonie na pożegnanie.

Wydawało jej się, że nabrali dla siebie nawzajem pewnego szacunku, może nawet sympatii.

Ale to nie jest wystarczający powód, aby Rone tak łatwo zgodził się na wspólny wieczór.

Pewnie ma w tym ukryty cel: chce przycisnąć Caesara, wysondować, jakie są jego zamiary, dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Klucze do pokoi hotelowych miały ciężkie, mosiężne breloki, przypominające o tym, by nie zabierać ich ze sobą, ale zostawiać w recepcji. Joletta obawiała się kłopotów z Rone'em; podejrzewała, że będzie ją namawiał, by zainstalowała się w jego pokoju.

Uprzedzając go, już na schodach zaczęła mu tłumaczyć swój punkt widzenia.

- Rozumiem cię doskonale - przerwał jej. - Wiem, że rano czułaś się zakłopotana, gdy widziano cię wychodzącą z mojego pokoju. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odparł stanowczo.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, choć była trochę zaskoczona.

- Cieszę się, że jesteś taki rozsądny - powiedziała, stając pod drzwiami swojego pokoju.

- Jestem wyjątkowo rozsądny. - Wyjął jej z ręki klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka. - Zostanę u ciebie.

Przez moment nie wiedziała, co mu odrzec. Weszła za nim i zamknęła drzwi z większą energią, niż to było konieczne.

- Nie o to mi chodziło!

- Wiem - rzucił przez ramię. Podszedł do okna, otworzył je, pchnął na oścież okiennice. Widok był piękny - kremowe mury, czerwone dachy najęsone antenami telewizyjnymi, zielona, zaśnieżona kopia kościoła, smukła dzwonnica. W dole pluskały wody kanału. Rone odwrócił się tyłem do okna. - Dobrze wiem - powtórzył. - Ale po tym, co się dziś zdarzyło, nie zostawię cię tu samej, chyba że pod strażą brygady antyterrorystycznej. Westchnęła cięsko pod jego stanowczym spojrzeniem.

Opadła na łóżko, które zajmowało prawie cały pokój. - Obawiałam się, że zrobisz aferę z tego wypadku.

- Zdawało mi się, że z teorii wypadków zrezygnowaliśmy już w Lucernie. O mały włos nie zginęłaś.

- Ty też.

- Tak.

Coś w jego głosie zmusiło ją do rzucenia mu szybkiego spojrzenia. W jego oczach widać było zakłopotanie i coś w rodzaju szacunku. Znow opuszcza wzrok, zaczęła gładzić ręką atlasową błękitno - złotą kapę przykrywającą łóżko, a po chwili odezwała się właściwie do siebie:

- ...: Trudno w to uwierzyć.

- To tylko świadczy o tym, jak niewinne życie prowadziłaś. Ludziom prawym zawsze trudno jest uwierzyć w nikczemność innych.

Oddechnęła głęboko. Nie dawało jej spokoju parę spraw, o których mu dotąd nie wspomniała, a z którymi powinna go zapoznać, jeśli ma nadal z nią podróżować. Ale czy może mu się przyznać, że ludzie, którzy najwyraźniej postanowili ją skrzywdzić, to jej własna rodzina?

Nagle podniosła rękę. Odwróciła głowę i popatrzyła za siebie, na szeroką przestrzeń

materaca, na długi podgłówek, na dwie bliźniacze poduszki ułożone jedna przy drugiej. Wbiła w Rone'a szeroko otwarte oczy. Nieco podniesionym głosem powiedziała:

- Tu nie ma drugiego łóŜka!

- Ale to jakie przestronne - odparł z niewzruszenie obojętną miną.

Atmosfera pomiędzy nimi zawibrowała napięciem.

Minuty mijały. Joletta zamknęła oczy. Pochyliła się, wsparła łokcie na kolanach, a na dłoniach obolałą głowę.

- BoŜe - powiedziała - jak długo to jeszcze będzie trwać?

Caesar okazał się prawdziwym wielbicielem swojego miasta i kraju. Zachwyty wyczuwało się w jego głosie, gdy w drodze na kolację pokazywał im rozmaite budowle i zabytki, a takŜe widziało w jego oczach, gdy rozglądał się wokół, by zwrócić ich uwagę na jeszcze jeden posąg, jeszcze jeden ciekawy detal architektoniczny.

Wodna taksówka zabrała ich na Piazza San Marco.

Wysiedli i poszli spacerkiem do restauracji zlokalizowanej gdzieś w plątaninie uliczek w pobliŜu placu. Zrobiło się późno. Turystów powoli ubywało. Mieli plac praktycznie tylko dla siebie. Spacerowali po szarych kamiennych płytach, wśród zabytkowych budowli, smukłych bizantyjskich łuków, rzeźbionych kamiennych koronek i setek kolumn, wyglądających jak białe duchy w świetle wschodzącego księŜyca.

Patrząc na zachwyconą twarz Joletty, Caesar powiedział cicho:

- Bella, prawda?

- Si - odparła. W takim momencie angielszczyzna wydała jej się nie na miejscu. -

Bella, bella.

Rone, który szedł po jej drugiej stronie, wyciągnął dłoń, by pokazać parę gołębi, osrebrzonych blaskiem księŜyca, okrąŜających spiralnym lotem smukłą dzwonnice.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową. Z pewnym rozbawieniem zdała sobie sprawę, że odzyskuje radość z podróŜowania.

Towarzystwo takich dwóch wysokich, energicznych, zabójczo przystojnych męŜczyzn, którzy zabiegają o jej względy, uderzało do głowy jak szampan. Cieszyła się, ale nie bardzo wiedziała, skąd się to bierze. Nigdy nie myślała o sobie jako o Jemme Jatale. Nie miała ochoty wygrywać jednego z nich przeciwko drugiemu, prawdę mówiąc, nawet obawiała się, że może dojść między nimi do jakichś ostrzejszych spięć. Mimo to ich obecność u jej boku podnosiła ją cudownie na duchu.

W restauracji kelnerzy równieŜ zdawali się okazywać jej względy. Kłaniali się, uśmiechali, szeptali komplementy, bacznie obserwowali, jak je. AŜ za bardzo. Miała wrażenie, że uprzejmy uśmiech przyklei się jej do twarzy.

Po sałacie zabrano używane nakrycia. Kelner, szczupły blondyn pod czterdziestkę, o zręcznych ruchach, sprzątnął takŜe stojący przed Jolettą płaski talerz do głównego dania.

Myślała, że to pomyłka, bo Caesarowi i Rone'owi pozostawiono ich talerze. Podano makaron, tasiemki Jettuccini z delikatnym śmietankowym sosem z owoców morza. Joletta spodziewała się, że jako jedyna kobieta przy stoliku zostanie obsłużona pierwsza, tymczasem stało się inaczej. Obaj panowie dostali swoje porcje, a ona siedziała przed pustym miejscem na stole.

Wreszcie za jej ramieniem pojawił się kelner. Postawił przed nią złoty kwadratowy talerz. Dostała obfitą porcję Jettuccini, dwukrotnie większą niż męŜczyźni. Na dodatek podano jej świeŜo starty parmezan, czego Saden z panów nie dostąpił.

- To największy komplement dla pięknej kobiety powiedział Caesar, z rozbawieniem obserwując rumieniec, który wykwitł na policzkach Joletty. - Wystarczy tylko podziękować.

Poczuła się wyróżniona, uhonorowana. A dzięki obecności Rone'a i Caesara poczuła się wyjątkowo, choćby miało to trwać tylko jeden wieczór. Wiedziała, że świadomość tego

faktu odbija się w jej uśmiechu, w jej postawie i kroku, gdy wychodzili z restauracji. Nie była pewna, jak długo potrwa, ale rozkoszowała się tym.

Wszystkie prawdziwe gondole są czarne - to najściślej przestrzegana tradycja, tak twierdził Caesar. Ta, którą zarezerwował dla nich na przejażdżkę kanałami, lśniła polerowaną czernią, od wysoko wzniesionego, rzeźbionego dziobu, do wysokiej rufy. Mieściła pięć miejsc siedzących, obitych ciemnowisniewym pluszem, burty zdobiły miękko połyskujące koniki morskie z mosiądzu. Czy była tak luksusowo wyposażona na pokaz dla turystów, Jolitta nie wiedziała, woląca myśleć, że tak właśnie wygląda typowa wenecka gondola. Gondolier o diabolicznej urodzie był ubrany w koszulę w czarno - białe paski.

Zachowywał się z szacunkiem wobec nich, choć bez uniżoności, miał wewnętrzną siłę i pewność siebie, tak charakterystyczne dla Włochów, co zdążyła już zauważyć. Pomógł jej usadowić się w gondoli, gdy tymczasem Caesar i Rone wiedli uprzejmy spór, który z nich gdzie usiądzie. Wreszcie Rone zajął miejsce koło Joletty, a Caesar, machnąwszy bezradnie ręką, usadowił się z przodu i odwrócił ku niej przez oparcie siedzenia.

Przyćmione oświetlenie na Canale Grande stwarzało romantyczny nastrój. Nocna bryza od Adriatyku niosła miły chłód i świeżość, marszczyła lekko wodę. Miarowy plusk wiosła hipnotyzował. Widoki skąpane w srebrnym księżycowym blasku, migoczącym w wodzie krętych kanałów między starymi budowlami, były tak cudowne, że aż nierealne.

Caesar wskazał im po drodze kilka słynnych pałaców, pokazał też dom Casanovy i

*

budynek, w którym mieszkali Robert Browning i Elizabeth Barret Browning. W trakcie gdy pokazywał im dom Marco Polo i zwracał uwagę na stopniowe pograżanie się miasta w wodzie, położył dłoń na kolanie Joletty. Uwagę miała tak pochłoniętą podziwianiem widoków, że prawie tego nie zauważyła.

* Małżeństwo poetów angielskich połączone romantyczną miłością; w latach 1846 - 6r zamieszkiwali

we Włoszech, gdzie Elizabeth zmarła. Za Śycia niezwykle wysoko ceniony był, o sześć lat młodszy od niej,

Robert. Obecnie z dorobku poetyckiego obojga największą wartość przedstawia cykl osobistych liryków

miłosnych Elizabeth pt. „Sonety z portugalskiego” (przyp. tłum.).

Rone pochylił się, chwycił Caesara za przegub i przełożył jego rękę z powrotem na oparcie siedzenia z przodu. Wyraz twarzy miał uprzejmy, ale mimo półmroku można było dostrzec w jego oczach błysk wyzwania. Caesar mruknął coś w odpowiedzi, co nie zabrzmiało jak komplement, lecz po chwili niezręczna sytuacja została zażegnana i zaczęli podziwiać zbliżający się most - Ponte Rialto.

W chwilę później skręcili w węższy kanał. Dołączyła do nich inna gondola, w której znajdował się śpiewak i akompaniujący mu akordeonista. Płynęli leniwie ciemnym kanałem, a solista, szczupły brunet o operowym głosie, umiał im czas pieśniami, takimi jak „Santa Lucia”, „O sole mio” i „Torna a Surriento”. Na życzenie Caesara zaśpiewał im także „Non ti scordar di me”. Ludzie stawali na mostach i przysłuchiwali się muzyce, inni wychylali się z okien, ciesząc się z darmowego koncertu. Jakiś człowiek idący chodnikiem przy kanale zawtórował w pewnej chwili śpiewakowi, wykazując się zupełnie niezłym głosem.

Romantyczne serenady, bel canto, przejażdżka gondolą w świetle księżyca, wszystko to zakrawało na kicz. Joletta z mieszaniną irytacji i rozbawienia pomyślała o tym, jak łatwo ulega sentymentom, ale zaraz znów poddała się nastrojowi chwili. Usadowiła się wygodnie, wspierając na pluszowym oparciu. Stwierdziwszy, że Rone opiera na nim rękę, uśmiechnęła jej jako poduszki.

Zacząła się zastanawiać, czy to przypadkiem nie ten sam kanał, nad którym mieszkali

Violet i Allain. Tamten dom z wspartymi na kolumnach loggiami mógł stać gdzieś tu w

pobliŹu. Kiedy tamtych dwoje tu przybyło, miasto liczyło trzysta lat, następane sto pięćdziesiąt niewiele tu zmieniło. W Wenecji wiele się zmieniło, ale teŹ wiele pozostało bez zmian.

Gondola zbliŹała się do skrzyŹowania kanałów.

Gondolier wydał ostrzegawczy okrzyk, po czym zakręcił długą łodzią w poprzeczny kanał. Ten był juŹ zupełnie nie oświetlony, z obu stron ocieniały go wysokie, ślepe mury.

Zagłębiali się w ciemność. Sylwetka Caesara majaczyła przed nimi, dziobu łodzi wcale nie było widać.

- Doskonale - szepnął Rone.

Odwrócił się i położył ciepłą dłoń na policzku Joletty, odchylił jej głowę. Jego wargi, miękkie, gładkie, ciepłe i zaborcze, dotknęły jej warg.

Ta chwila napawała taką słodyczą, Źe w jej duszy rozległo się bicie dzwonów. Zaraziła się europejskim brakiem zahamowań, nie obchodziła jej obecność gondoliera za plecami, ani to, Źe z przodu, w ciemnościach, siedzi Caesar. Odwróciła się do Rone'a, położyła mu dłoń na piersi, by poczuć mocny, pewny rytm jego serca. Poddała się impulsom, które prowadziły ich oboje z jednaką gotowością ku nieuchronnemu, tak samo jak poprzednio poddała się muzyce.

Przygarnął ją mocniej. Czubkiem języka badał wraŹliwe powierzchnie jej warg, nie broniła mu wstępu. Ich języki zetknęły się szorstko - gładkimi, spręŹystymi mięśniami w delikatnym tańcu; rozpalone Źarem wargi zwarły się mocniej.

Joletta przytuliła się do jego twardego ciała, czując, jak mrowienie rozkoszy wnika w jej zmysły, wzmaga się, ogarnia falą jak przypyływ Adriatyku. Pod nią kryła się radość Źycia tak• bezbrzeŹna, Źe wywoływała gęsią skórkę.

Wpłynęli na jaśniejsze wody. Rone puścił ją z ociąganiem.

Pozbawiona okrycia jego ramion poczuła nocny chłód.

Chciałaby pozostać otulona. Od niepamiętnych czasów nie czuła w sobie tyle Źycia,

takiej euforii i zadowolenia.

To szaleństwo, wiedziała o tym. Przecież jacyś obcy deptają jej po piętach, może nawet chcą jej wyrzucić krzywdę.

Chyba że to właśnie z powodu niebezpieczeństwa tak się czuje, może to jakaś pierwotna reakcja na zagrożenie.

Może to tylko wynik uwolnienia się od codziennych spraw, oddalenia od domu, od ludzi, którzy ją znają, rezultat poczucia samodzielności.

A może to po prostu wino i komplementy mężczyzn uderzyły jej do głowy.

Nie wiedziała. Chyba nawet nie chciała wiedzieć. Wolą się temu zwyczajnie poddać.

Uczucie szczęścia nie opuszczało jej po zakończeniu przejażdżki; towarzyszyło jej, gdy Caesar całował ją w rękę na dobranoc; trwało podczas drogi do hotelu i wchodzenia krętymi schodami do ich pokoju. Nie opuszczało jej, gdy Rone zamknął drzwi na klucz.

Joletta weszła do pokoju pierwsza i sięgnęła do włącznika światła. Rone chwycił ją za rękę. Przez moment bała się, że zobaczył albo usłyszał coś niepokojącego w ciemnym pokoju.

Ale nie.

Zamknął drzwi i obrócił ją ku sobie. Zarzucił jej ręce na swoją szyję, wziął ją w ramiona.

Słodycz i śmiech jego warg w ciemności uderzyły Joletcie do głowy. Poczula, że bierze ją na ręce, zanosi do łóżka. Świeca kładzie ją w plamie księżycowej poświaty, padającej na łóżko z otwartego okna. Świeca pochyla nad nią swoją barczystą sylwetkę. Kontur jego głowy, każdy poszczególny kosmyk włosów obrysował srebrną kreską księżycowy blask. Twarz pozostała w cieniu. Przez moment zlekła się go, bez twarzy wyglądał obco.

Położył się przy niej, teraz oboje byli skąpani w srebrnym blasku, znajome rysy napełniły ją radosną ulgą.

Stopili się w jedno, przylgnęli wargami, splekli udami. Joletta wiedziała, że ta chwila nadejdzie już wtedy, gdy Rone pochylił się ku niej w gondoli. Była nieunikniona. A może stała się taka już wcześniej, gdy wyciągał ją z rozbitego samochodu, a może jeszcze wcześniej, gdy pocałowali się na moście w Lucernie, albo nawet wtedy, gdy zobaczyła go w Paryżu. Jakby czekała całe życie, czekała tylko na to. Ale dłuższej już nie musiała czekać.

Poczuła, że ogarnia ją słodka ociepność. Dotknęła jego twarzy, szorstkiej leciutko od zarostu. On ujął jej policzek w zagłębienie swojej silnej dłoni, palcami pieścił gładką skórę. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, ciemne i wilgotne, przepełnione obietnicą. Joletta przywarła do niego mocniej. Jędrne piersi przylgnęły do muskularnej klatki piersiowej, a podbrzusze przycisnęło się do jego niewiarygodnie gorących i twardo nabrzmiąłych męskich lędźwi. Przez cienką bawełnianą spódnicę czuła, jak bardzo jej pragnie, i serce jej załomotało. Mięśnie jego ramion były twarde, ale elastyczne, gdy łagodnie gładził ją po plecach. W połączeniu z wilgotną świeżością weneckiej nocy jego zapach, zapach bawełny i drzewa sandałowego, zapach rozgrzanego mężczyzny zachęcał i prowokował. Mieszał się z jej własnym zapachem Herbacianej Rosy, tworząc niewysłowioną erotyczną rapsodię woni.

Nie był nowicjuszem, dowodziła tego pewność, z jaką sięgnął do jej piersi, z jaką rozpinął guziki bluzki. Ale dla niej to też nie był pierwszy raz. Stosunki z narzeczoną odbywały się pośpiesznie i prawdę mówiąc, na ogół nie dostarczały jej szczególnej satysfakcji. Może dlatego Joletta nie umiała sobie przypomnieć, by kiedykolwiek przedtem odczuwała takie niepokohamowane posądanie. Nigdy jej się tak gorączkowo nie spieszyło, nigdy nie miała takiej ochoty rzucić się na mężczyznę i doznać natychmiastowej rozkosznej ulgi. Równocześnie jednak była świadoma głębokiej, wewnętrznej tęsknoty do powolnego, nie kończącego się spełnienia. Chciała być częścią Rone'a, sprawić, by on stał się częścią jej, chciała go poznać do dna.

Czy jest na to szansa?

Odpędziła te myśli, czując chłód powietrza na nagiej skórze. Rone odgarnął cienką tkaninę jej bluzki. Ciepło jego oddechu, wilgotny ślad jego ust musnął wygięcie karku.

Wstrząsnął nią dreszcz, gdy przejechał językiem po zagłębieniu u nasady szyi. Przesuwał się niżej, zostawiając wilgotny trop ciepłych pocałunków w dolinie między jej piersiami, a równocześnie zręcznie rozpinając haftki stanika.

Skóra Joletty zapłonęła. Usłyszała głuchy łoskot własnego serca. Uniosła biodra, by mu pomóc w ściąganiu spódnicy, westchnęła głośno, gdy opuścił głowę i omiótł ustami napięte mięśnie jej brzucha. Chwyciła go za włosy, zanurzyła palce w ich jedwabistej gęstwinie, jakby chciała go powstrzymać, po czym z cichym, gardłowym jękiem pchnęła go dalej.

Niespiesznie, z pewnością w swoich poczynaniach wtulił twarz we wklęsłość jej brzucha, wdychając jej wyjątkowy aromat, po czym wrócił znów do góry. Obrysował językiem wzniesienie piersi, po czym troskliwie i metodycznie, rozkoszując się jej jędrnością, podążał ku szczytowi. Joletta wstrzymała oddech, oddając się zmysłom bez reszty. Skóra jej promieniowała gorącem. Potem, gdy poczuła ciepło jego ust na koniuszku sutka, dała się ponieść śarowi namiętności.

Nie wiedziała, śe może być tak. Nigdy przedtem nie czuła takiej gorącej fali czystej, nieokiełznanej rozkoszy. Drżącymi palcami dotknęła jego twarzy, pogładziła policzki. Poczowała ruchy szczęki, gdy jego język ocierał się o trzymany w ustach sutek. Poczowała wewnętrzną potrzebę dawania, rozrzutną, aś bolesną hojność.

Tym samym niespiesznym i troskliwym zabiegiem poddał drugą pierś. Zatrzymał się na chwilę, by przywrzeć ustami do krzywizny śeber, pod którą jej serce biło stałym, miarowym rytmem. Przesunął się w górę jeszcze raz, poszukał ust, a tymczasem rękę

prowadził miarowymi, przemyślanymi, kolistymi ruchami, schodzącymi coraz niżej i niżej, do jedwabistego trójkąta u zbiegu jej ud.

Ile serdeczności może nieść dotyk, do jakiej może prowadzić zażyłości, ile barier burzyć, jak głęboko sięgać w miejsca sekretne, najpilniej strzeżone, ile dawać rozkoszy, której oboje pragnęli i ku której nieuchronnie zmierzali. Rone działał krok po kroku, pewnie, metodycznie. Jego zabiegi zaowocowały falą nieposkromionego pośądania. W jej gardle zawibrował zdławiony okrzyk. Drżąca poruszyła się pod jego rękoma, tonąc w rozkoszy, pełna lęku, że on się zatrzyma. W ekstazie oddawania się sama szerzej rozłożyła uda, by ułatwić mu dostęp.

Za jego dłonią podążyły usta. Jolenta wciągnęła głośno powietrze. Przestała myśleć o czymkolwiek, przeginała się lekko, przyciągała do siebie w niepowstrzymanej, namiętnej wdzięczności, rozkoszując się muskularną twardością jego ciała, która tak doskonale dopełniała jej własną miękkość.

W tym wzajemnym odkrywaniu czułych zagłębień i wrażliwych wypukłości była jakaś magia. Kiełkowała w ich wnętrzach, rozkwitała, ich oddechy stawały się coraz szybsze, a serca były jedno przy drugim. Przeszłość i przyszłość przestawały istnieć, zostawało tylko pragnienie, wzmagane jeszcze rozmyślnym odkładaniem jego spełnienia.

Wreszcie poddali się, odwrócili ku sobie.

Wszedł w nią, ona go przyjęła, otuliła pulsującym powitaniem.

Magia. Magia ciał, magia dusz.

Odwlekali moment spełnienia, to była walka, wznoszenie się i opadanie w delikatnym rytmie, osuwanie się z drżącymi mięśniami i skórą mokrą od potu, która przesuwała się po drugiej skórze jak śliski jedwab. Jolenta chwyciła go za ramiona, napięte od powstrzymywania się. Uniosła się ku niemu, wzięła w siebie głęboko, jeszcze głębiej, coraz głębiej z każdym

pchnięciem. Krew szumiała jej w Słuchach, łomotała w uszach. Zmysły napięły się do granic ostateczności. Wspinali się coraz wyżej, coraz dalej, ku wciąż niedoścignionemu celowi.

Nagle mieli go w zasięgu ręki.

Joletta poczuła, że jej serce zatrzymuje się na chwilę, potem rusza znów gwałtownie.

Krzyknęła cicho. Wir magii chwycił ją w swoje objęcia, pozbawiając kontroli w rozkoszy tak przenikliwej, że niemal nie do zniesienia, nie kończącej się, przelewającej się przez krawędzie wieczności. Przyłgnęła do mężczyzny, który ją wziął, czując spazmy, które go przebiegały, gdy dosięgał szczytu. U słyszała swoje imię wyszeptane jak błogosławieństwo.

Znieruchomieli.

Wiatr znad Adriatyku osuszał pot z ich ciał. Zanim skóra ostygła, zapadli w sen.

Budząc się o świcie, przytuleni do siebie pod kołdrą bok przy boku, usłyszeli brzęczenie komara.

Odwrócili się ku sobie. To było jak powrót do domu z dalekiej podróży.

ROZDZIAŁ XV

Przecież nie miał zamiaru tego robić.

Rone stał w strumieniach gorącej wody pod prysznicem, splukując z siebie pianę o zapachu drzewa sandałowego, a kłęby wonnej pary unosiły się wokół niego. Powinien mieć do siebie śmiech o te godziny spędzone w łóżku z Jolettą, wiedział to. Ale nie miał. Nikt mu nie odbierze tego, co przeżył, a może jeszcze przeżyje. śmiech zachowa na później.

Była niepodobna do śladnej kobiety, którą znał. Nic dziwnego, wiedział to od początku.

Przyszła do niego poprzedniej nocy tak naturalnie, jak jakaś mityczna nimfa, bez wahania, bez udawania, bez dawania mu do zrozumienia, jaki honor go spotyka.

I właśnie dlatego czuje się uhonorowany.

Czuł jeszcze wiele innych rzeczy, ale wolał teraz o nich nie myśleć, jeśli ma jej pozwolić, by trochę pospała.

Boże, ileś w niej odwagi. I opanowania. Wczoraj, po wypadku, mógł oczekiwać, że wpadnie w histerię. Tymczasem nic takiego. I to nie z powodu braku świadomości czy wyobraźni, by zrozumieć, co mogło się z nimi stać. Siedziała z pobladłą twarzą i szeroko otwartymi oczyma, bez ruchu, przez całe pięć minut. Nie dopuściła do siebie innych, sama poradziła sobie ze swoim strachem.

Przedtem, zanim wypadli z szosy, była na niego mocno zirytowana, i słusznie.

Poczułby się lepiej, gdyby krzyczała, obrzuciła go wyzwiskami, chociaż pewnie Sądnych nie znała. Ale nie, wystawiła go na próbę milczenia, a nie mógł tego wytrzymać.

Miał nadzieję, że nie zauważyła, jak mu było ciężko.

Jeśli ona się zorientuje, jak łatwo jest jej go zranić, i to boleśnie, to będzie się miał z pyszna.

Wenecję znał już z poprzednich pobytów, ale nigdy nie towarzyszyła mu kobieta, która nie udawała zblazowanej. Joletta zachwycała się wszystkim spokojnie, lecz jej zachwyt lśnił jak słońce nad laguną. Wszyscy byli nią oczarowani, każdy mężczyzna bez wyjątku.

Również Caesar Zilanti. Również i on sam, Rone.

Nie był w stanie utrzymać rąk przy sobie, powściągnąć swojej Sądzy. W tej wieczornej chwili, w blasku weneckiego księżyca Joletta wyglądała zbyt ponętnie.

Kłuje go zazdrość. Caesar ma szczęście, że nie spoczywa na dnie Canale Grande.

Potrafi prawić słodkie słówka, ten sk ...

Wziąć się w garść. Tego mu trzeba. Zdawało mu się, że będzie umiał trzymać się blisko Joletty, śledzić każdy jej krok i zachować przy tym zimną krew. Idiota. Sam się w to wplątał.

No i co teraz?

Teraz zabawi się w Judasza, zabierze Jolettę na plac Świętego Marka, wystawi na wabia i będzie czekał. Będzie udawał niewiniątko, a czuł się jak zdrajca.

Zakręcił prysznic i sięgnął po ręcznik, zanurzył w nim twarz na dłuższą chwilę.

Odetchnął głęboko, raz, drugi, wypuścił powietrze z długim westchnieniem.

Mój Boże, jak on tego nienawidzi. Naprawdę. Wiedział, że tak będzie, ale nie sądził, że mu z tym będzie aż tak ciężko.

Zostało jeszcze trochę czasu, jeszcze tydzień we Włoszech, potem wycieczka się skończy. Może to głupota i egoizm, ale zamierza ten czas wykorzystać jak najlepiej dla siebie.

Joletta spod rzes obserwowała wychodzącego z łazienki Rone'a i uśmiechnęła się do siebie, widząc, jak stara się cicho zachowywać. Miała lekki sen, obudził ją jego pierwszy ruch, gdy zsuwał się z materaca, ale nie chciała, by mu było przykro, więc udawała, że śpi dalej.

Właściwie nigdy nie mieszkała z mężczyzną; nigdy nie budziła się rano przy męskim boku, nigdy nie widziała mężczyzny, jak bladym światem kręci się ostrożnie po pokoju w samym ręczniku. To fascynujące.

Na plecach, między łopatkami, lśniły mu krople wody, których nie dosięgnął ręcznikiem, kilka zatrzymało się też wśród ciemnych, kręconych włosów na jego udach.

Obserwowała z leniwym zadowoleniem, jak połyskują, gdy grają jego mięśnie. I pomyślała, rumieniąc się lekko, że chętnie by je osuszyła.

W Szwajcarii nie zachowywał się tak swobodnie.

Ubrał się w łazience, a kiedy ona brała prysznic i przebierała się, wyszedł z pokoju.

Dziś zrezygnował z takich manewrów i była to miara zażyłości, jaka się między nimi wytworzyła. Taka intymność jest nieco niepokojąca, ale można się do niej przyzwyczaić.

Zaczął cichutko pogwizdywać blusową wersję „St. Louis Woman”, wyciągnął z walizki zmianę bielizny i coś, co wyglądało na mały ekspres do kawy. Wskoczył w slipy i dżinsy, po czym wrócił do łazienki napełnić ekspres wodą. W chwilę później Joletta poczuła aromat świeżej kawy i usłyszała ciche syczenie podgrzewanej wody.

Rone bezszelestnie poruszał się po pokoju, podszedł do okna, oparł się o futrynę.

Założył ręce na nagiej piersi i spoglądał na dachy Wenecji. Przyćmione światło nadało jego rysom wygląd zamyślony, a nawet lekko smutny. Coś go trapi? Interesy? Może coś w związku z nią?

Joletta miała ochotę zapytać, co mu jest, ale nie знаła go na tyle, żeby się wtrącać w jego prywatne sprawy. A poza tym wcale nie była pewna, czy chce wiedzieć.

Przeciągnęła się, wsparła na łokciu. Schrypniętym głosem zapytała:

- Czy dobrze czuję, to kawa?

Rone odwrócił głowę. Rozciągnął usta w nie spiesznym uśmiechu i skinął głową.

- Mam nadzieję, że nie będzie dla ciebie za mocna.

- Jestem z Nowego Orleanu, może zapomniałeś?

Nie ma dla mnie za mocnej kawy.

Przyjął to z uśmiechem, po czym rzekł: - Przepraszam za wczorajszą noc.

- Przepraszasz?! Nie brzmi to zbyt pochlebnie. - Próbowała mówić lekkim tonem.

Uśmiech na jego twarzy zgasł, ustępując powadze. - No, dobrze, jedyne, za co przepraszam, to to, że nie zadbałem o zabezpieczenie. Zrobiłbym to, gdybym się spodziewał... ale przynajmniej jest dowód, że tego nie planowałem.

- Ach. - Spuściła wzrok, zdając sobie sprawę, o czym mówi. Ciąsa, antykoncepcja, te rzeczy nie przyszły jej w ogóle do głowy. - Ja też nie ... to znaczy ja w ogóle ... - Tak też myślałem - wyratował ją z zakłopotania z nutką humoru w głosie. - Ale na przyszłość

możemy temu zaradzić. Poszukamy jakiejś apteki?

Była to subtelna, aluzyjna propozycja, a jednocześnie pytanie, świadczące o tym, że niczego nie uważa za przesądzone. Słyszając to Joletta zdała sobie sprawę, że świadomie podsunął jej wymówkę, gdyby nie miała ochoty kontynuować zainicjowanej przez niego fizycznej strony związku. Coś mogła zrobić w tej sytuacji?

- Oczywiście, jeśli będziemy mieli czas jej poszukać.

- Aha - przeciągnął znacząco. - Myślę, że damy sobie radę.

Roześmiała się, nie mogła się opanować. Za moment leżała przygwożdżona do materaca, którego sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. Przeturlał ją na wznak, zawisnął nad nią, podpierając się na łokciach i wpatrując w nią z zachwytem. Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę, po czym wyciągnęła ręce i zarzuciła mu na szyję, przyciągnęła jego głowę ku sobie, przywarła wargami do jego warg.

Gołębie na placu Świętego Marka zbijały się w swarliwe stada wokół sprzedawców ziarna, krążyły grupkami w porannym słońcu, połyskując fioletem i zielenią. Zrywały się w powietrze z łopotem skrzydeł, spłoszone przez grupy turystów albo włoskie dzieci spieszące do szkoły obok Pałacu Dogów i katedry. Ze starej wieży zegarowej rozległo się bicie dzwonu. Joletta przypatrywała się temu wszystkiemu, siedząc przy ustawionym na płytach placu stoliku i pijąc wraz z Rone'em cappuccino. Pomyślała sobie, że gołębie weneckie ani wyglądem, ani skłonnością do amorów nie różnią się od tych, które знаła z Nowego Orleanu. To dodawało otuchy.

Nie tylko gołębie wyglądały znajomo. Zaciśnęła wargi zobaczywszy wysoką blondynkę, kroczącą sprężyć się w jej stronę pomiędzy przechadzającymi się grupkami wycieczkowiczów, sprzedawcami pocztówek i pamiątek. Natalia.

Jej pierwszą reakcją było rozdrażnienie i gniew. Nie była zaskoczona tym, że Natalia

ją znalazła. O, nie. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, można było się tego spodziewać. Ale jak śmie pokazywać się jej na oczy?!

Miała ochotę wstać i odejść, odmówić rozmowy z kuzynką. Ale co by to pomogło?

Coś trzeba zrobić, to jasne. Równie dobrze można zacząć od razu.

Natalia podniosła rękę i pomachała z odległości kilkunastu metrów. Ubrana w śmiałą kreację od Versacego w żywych barwach turkusowej zieleni, purpury oraz ostrej włoskiej Sólci wyglądała nie na miejscu na tym pokrytym patyną wieków placu. Niezliczone złote i emaliowane bransoletki zadzwoniły na jej przedramieniu i spłoszyły gołębice w promieniu dobrych dwudziestu stóp.

- Witaj, kuzyneczko - zaszcebiotała. - Wiedziałam, że znajdę cię gdzieś na tym placu.

Wszyscy tu się w końcu pokazują.

Joletta przywitała się bez entuzjazmu. Natalia, nie zrażona tym, podeszła do stolika i omiotła Jolettę krytycznym spojrzeniem. - Dobrze wyglądasz, Wenecja ci słuchsy, jak widzę. - Zwróciła się do Rone'a, który wstał na jej widok. - A może to zasługa twojego towarzysza.

Nie zamierzasz mi go przedstawić?

Joletta dopełniła obowiązku, Rone skłonił się lekko.

Minę miał nieco sztywną, jakby nie był zachwycony tym nagłym wtargnięciem.

Atmosfery nie rozluźniła kolejna uwaga Natalii.

- Muszę stwierdzić, że wygląda lepiej niż te typy, z którymi na ogół się prowadzasz, ci brodaci artyści, którzy nigdy nie mają nic do powiedzenia, i nadęci profesorkowie, którym z kolei gęba się nie zamyka.

Joletta usłyszała skrywaną zawiść w głosie kuzynki.

Dla Natalii jasne światło włoskiego słońca nie było zbyt łaskawe: obnażało ziemistą cerę pod makijażem - rezultat licznych nie przespanych nocy i nadmiaru alkoholu i

podkreślało ostrymi cieniami zmarszczki niezadowolenia między starannie wymodelowanymi brwiami.

Natalia sięgnęła po krzesło, by usiąść, nie czekając na zaproszenie. Gdy Rone podsuwał jej krzesło, obdarzyła go wystudiowanym olśniewającym uśmiechem.

- Rone - powiedziała w zamyśleniu - to brzmi jak imię dla kowboja. Jest pan nim?

- Niezupełnie. .

- Co to znaczy? Umieram z ciekawości. - Natalia, zauważywszy kelnera, pstryknęła palcami, by go wezwać.

- Mam kowbojskie skłonności, ale brak mi konia.

- Cóż to za skłonności? - Drwina w głosie Natalii nie budziła wątpliwości.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Odruch spieszenia z pomocą potrzebującym, impuls rozwiązywania problemów dobrze wymierzonym ciosem.

- Człowiek czynu. Coś podobnego! - Oparła brodę na pięści, wytrzymując jego wzrok.

Joletta obrzuciła kuzynkę twardym spojrzeniem.

Konwersacja między Natalią a Ronem przybierała dziwny obrót. Ton Natalii był najwyraźniej kpiący, a jej uśmiech miał w sobie coś drapieżnego.

Natalia należała do kobiet, które lubią męskie towarzystwo i nie kryją się z tym. W tym, że skupiała swoją uwagę na każdym mężczyźnie, który znalazł się w jej zasięgu, nie było nic dziwnego. Reakcja Rone'a była jednak niespodziewana. Odchylił się w swoim krześle, jakby chciał powiększyć dystans między nimi, a wyraz twarzy miał nadal napięty.

Ponieważ Rone zignorował jej ostatnią zaczepkę, Natalia zerknęła na Jolettę, po czym znów przeniosła wzrok na Rone'a. Zapytała od niechcienia:

- Poznaliście się dopiero co, czy teś jest to coś na dłuższej?

- A co ci do tego? - odparła Jolenta z napięciem w głosie. - Chyba Œe obawiasz siê, Œe on ci przeszkodzi.

Natalia otworzyła szeroko oczy.

- Nie złoŒ siê tak. W czym miałyby mi przeszkodzić? Nie wiem, do czego pijesz.

- Nie wierzę ci za grosz. Dziwi mnie, Œe masz czelnoŒ stanąć przede mną po tym, jak omal nas wczoraj nie zabiłaŒ.

- ZabiłaŒ? Ja?! Czy ty przypadkiem trochę me przesadzasz?

Jolenta wytrzymała wzrok kuzynki.

- MoŜe nie było to twoim zamiarem, ale samochód, którym jechaliŒmy, zapalił siê i wybuchł po tym, jak ta ciê Œarówka zepchnęła nas z drogi.

- Chwileczkê ... - zaczęła Natalia, marszcząc brwi.

- To była podła, niegodziwa sztuczka, po prostu usiłowanie zabójstwa.

- MyŒlisz, Œe mam coŒ wspólnego z tym wypadkiem? Niedowierzenie w jej głosie wydawało siê autentyczne, ale Jolenta wiedziała, Œe Natalia jest mistrzynią udawania. -

Widziałam ciê w ParyŜu. Wiem, Œe mnie Œledzisz. Natalia zwróciła szeroko otwarte oczy na Rone'a. Ten nie zmienił wyrazu twarzy. Wróciła wzrokiem do Joletty.

- Wiêc myŒlisz, Œe my ... przecieŜ to bzdura. Stanowimy rodzinê! A co do Œledzenia, cóŜ, muszê ci powiedziec, Œe ten twój wypad wydaje mi siê dziwaczny. Chyba znalazłaŒ diariusz, nic dziwnego, przecieŜ znałaŒ dobrze Mimi i mieszkanie. JeŒli jednak byłaby w nim receptura, to juŜ wszyscy byŒmy ją znali. DomyŒlam siê, Œe natknęłaŒ siê na coŒ, co ciê tutaj sprowadziło, ale nie sãdzê, Œeby prawdopodobieństwo trafienia na jakãŒ rozsãdną poszlakê było wiêksze niŜ jeden na milion. Po tylu latach!

- To co robisz w Europie? Natalia rozeŒmiała siê niewinnie.

- Mam swoje wlasne Œycie, no wiesz. PrzejeŒdŒalam têdy i postanowiłam zajrzec, jak

się miewasz.

Joletta nie dała temu wiary, ale nie miała zamiaru się z tym zdradzać. .

- A co u ciotki Estelli i Timothy'ego?

- Nie mam pojęcia, gdzie bawi mój drogi braciszek. Buja gdzieś samopas, była, zdaje się, mowa o Cykladach czy o Korfu .. J ego zdaniem ta cała sprawa to, cytuję, „strata cennego czasu w sezonie plaśowym”. - W głosie Natalii zabrzmiały teraz po raz pierwszy ciepłe tony.

A mama, jak słyszałam, wybierała się do Nowego Jorku, do Lary Camors. Firma „Camors Cosmetics” ma ogromne laboratorium, które moŝe słuŝyć nie tylko do wytwarzania własnych perfum, ale takŝe do przeprowadzania analizy chemicznej obcych kompozycji. Mama miała zabrać próbkę Le Jardin de Gaur, ŝeby uzyskać ich duplikat.

- To się nie uda - powiedziała Joletta, choć głos jej zdrŝał.

Natalia machnęła lekcewaŝąco ręką.

- Matka sądzi inaczej, a zwykle osiąga to, czego chce, tak czy inaczej.

To była prawda, nie warto było się spierać.

- Nie powiedziałaś, dokąd to się wybierasz, ŝe „po drodze” tu wpadłaś.

Natalia nie odpowiedziała od razu. Zbliŝał się kelner, u którego złoŝyła zamówienie.

Kiedy odszedł, rzekła: - Miałam się spotkać z przyjaciółką, ŝeby spędzić parę dni w Saturnii, aby się zregenerować u wód po sezonie zimowym. Ale coś jej wypadło i spóźni się parę dni.

- Szkoda. - Joletta pozwoliła sobie na cień ironii.

- Wcale nie - odparła Natalia z promiennym uśmiejchem - posiedzę z wami parę dni, póki nie przyjedzie, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Nie będziesz zachwycona - odrzekła Joletta. Jesteśmy na wycieczce autokarowej.

Natalia zaniósła się śmiejchem i zwróciła się ku Rone'owi.

- Chyba nie z tymi wszystkimi przewodnikami, kurczakami na kolację i farbowanymi

na niebiesko emerytkami w poliestrowych kostiumach?

- Większość pań nosi sprane jedwabie i nylon ze spadochronów, ale poza tym się zgadza.

- No, cóż. - Natalia wzruszyła ramionami. - Skoro wy jesteście w stanie to znieść, to i ja też jestem.

- Nie.

Kategoryczny ton Rone'a wprowadził Jolettę w zdumienie. Ze zmarszczonym czołem przyjął niedowierzające spojrzenie szaroniebieskich oczu Natalii. Na myśl o tym, że tak szczerze daje do zrozumienia, i że woli być z nią sam, rumieniec wystąpił na jej policzki.

- Rozmawiałam z kuzynką - Natalia w rozdrażnieniu podniosła głos.

Rone uśmiechnął się z przymusem.

- Nie chciałbym być niegrzeczny w stosunku do krewnej Joletty, ale wolelibyśmy zostać sami. Rozumie pani ..

- Ach, to tak się rzeczy mają? - Natalia zmierzyła Jolettę spojrzeniem. - Cóż za fascynujący obrót spraw. - Nie ma w tym nic nadzwyczajnego - powiedziała Joletta, jakby broniąc się. Czy Natalia wie, że dopiero niedawno się poznali, czy też nie wie?

- Pewnie nie, zwłaszcza dla niektórych. Ale nigdy nie podejrzewałam ciebie, że możesz gustować w takich wyskokach.

- A co się pani nie podoba? - Ton Rone'a był ostry. Natalia uniosła brew i rzuciła mu drwiące spojrzenie. - Ach, cóż za opiekun. Uwielbiam to. Po prostu obydwie z Jolettą nie mamy okazji pogadać. Chyba nie pozbawi mnie pan paru godzin z nią?

- Nie zostawię jej samej.

- Ależ oczywiście, może pan zostać z nami - powiedziała Natalia słodkim głosem.

Rone nie powiedział nic więcej, spojrzał tylko pytająco na Jolettę.

- Do lunchu będziemy się tu wałęsać - wyjaśniła Joletta kuzynce. - Potem wybieramy się na wyspy Tercello i Burano zwiedzać zabytki. Musiałaś to widzieć dziesiątki razy.

- Ale nigdy w takim towarzystwie - powiedziała stanowczo Natalia i pociągnęła łyk kawy, którą postawił przed nią kelner.

Było jasne, że z jakiegoś powodu Natalia chce spędzić z nimi czas. Co się za tym mogło kryć, Joletta nie miała pojęcia. Jeśli jej ciotka zamówiła analizę perfum, to nie powinno ani jej, ani Natalii zależeć na recepturze odkrytej w inny sposób. Chyba że chciały pozbyć się współniczki.

Zainteresowanie kuzynki skupiło się na Ronie. Może chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, po to, żeby ocenić, jaki wpływ na poszukiwania Joletty będzie miała jego obecność. Ponieważ Joletta doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli Natalia i wszyscy inni będą wiedzieć, że ma towarzystwo i nie jest już samotnym celem, przestała się sprzeciwiać.

Natalia postanowiła być czarująca. Mówiła bez przerwy, rzucała celne, dowcipnie złośliwe uwagi o wszystkim, co widzieli, opowiadała anegdoty i historyjki ze swoich poprzednich pobytów w Wenecji i innych miejscach Europy, okraszone znanymi nazwiskami i głośnymi tytułami. Cały swój urok kierowała na Rone'a. Reagował powściągliwie, ale jego mimika zdradzała, że znał niejedną z obgadywanych przez Natalię sław.

Natalia nie interesowała się wystawami sklepowymi, które z kolei wzbudzały zainteresowanie Joletty. Ręcznie wydmuchiwane szkło albo rzeźbione kamee z niezwyklej piękności kamieni nie ekscytowały kuzynki. Nie zaszczyciała uwagą gotyckich płaskorzeźb na murze, nie miała ochoty wystawać na garbatych mostkach i podziwiać widoków na tajemniczą sieć kanałów. Ponieważ Joletcie z trudem udawało się przebić przez ekspansywny sposób bycia Natalii, by porozumieć się z Ronem, zaczęła się czuć jak piąte koło u wozu.

Zawsze tak było. Natalia zawsze ją przyćmiewała, zawsze brylowała w towarzystwie

dzięki wykształceniu wyniesionemu z prywatnych szkół oraz szerokim kontaktom w tak zwanych sferach. Kiedyś myślała, że ona to robi specjalnie. Teraz już nie była tego pewna. Może to po prostu nieumiejętność zrozumienia uczuć drugiej osoby.

W pewnym momencie Joletta skręciła do sklepiku, żeby przyrzeć się kolekcji porcelanowych figurek Armaniego. Były tak piękne, tak wspaniałe w swojej romantycznej dekoracyjności, że zabawiła przy nich dłuższą, niż planowała. Zwłaszcza jedna z nich przypadła jej do gustu - para kochanków w gondoli. Niestety, taka rzecz jest zbyt krucha, by ją wozić, a poza tym była stanowczo za droga na jej kieszeń. Rozstała się z nią i z uprzejmym sprzedawcą z wielkim Salem i wyszła na ulicę.

Rone i Natalia stali w pewnym oddaleniu. Natalia mówiła coś szybko, urywanymi zdaniami i wygrażała palcem Rone'owi przed nosem, a on stał z opuszczoną głową i zrezygnowaną miną.

Joletta zmarszczyła brwi i ruszyła w ich stronę. Natalia rzuciła okiem w jej kierunku.

Gniew natychmiast znikł z jej twarzy. Powiedziała kilka słów półgłosem i promiennie się uśmiechnęła.

- Coś nie w porządku? - zapytała Joletta podchodząc. - A co miałyby być nie w porządku?! - odparła Natalia. - Rone właśnie postanowił, że we troje stworzymy własną grupę wycieczkową, zrezygnujemy z wyprawy na wyspy, pospacerujemy po Rialto albo jeszcze lepiej bo jest za gorąco - wybierzemy się do Lido na plażę.

- Naprawdę?

Nie mogła w to uwierzyć, zwłaszcza po dyskusji, jaką mieli poprzedniego dnia na ten sam temat, to znaczy na temat jednostronnych decyzji. Popatrzyła na niego badawczo. Z jego twarzy biło przygnębienie, oczy miał ciemne, nie próbował się bronić.

W ciągu ostatniej godziny Joletta dokonała paru odkryć. Po pierwsze, że ani chwili

dłużej nie ma ochoty przebywać w towarzystwie Natalii. Ma dosyć wleczenia się za nią, wysłuchiwania jej tyrad. Poza tym stwierdziła, że jest kobietą zaborczą. To odkrycie wprowało ją w lekkie zmieszanie, ale uznała, że nie będzie z tą zaborczością walczyć. Natomiast musi jakoś zaradzić sytuacji.

- Czy to na pewno pomysł Rone'a? - Popatrzyła kuzynce prosto w oczy.

- A czyj by? Czy nie jest znakomity? Będzie tak wspaniale!

Joletta pokręciła głową:

Nie jestem przekonana. Rone, jak pewnie zauważyłaś, to typowy dżentelmen z Południa. Nie potrafi odmówić damie, zawsze jest bardzo grzeczny. Ale wydaje mi się, że na początku miał więcej racji. Wolimy być sami.

- Nie bądź taka.

- Przykro mi, ale na pewno równie dobrze będziesz się bawić, czekając sama na przyjaciółkę. Tyle tu ludzi, bez wątpienia znajdzie się jakiś diuk czy książę krwi, który pomoże ci zabić czas. - Nie mogła się powstrzymać od złośliwości. Miała ochotę dokuczyć kuzynce.

Natalia w osłupieniu wpatrywała się w Jolettę dłuższą chwilę, po czym zwróciła się do Rone'a:

- Powiedz jej - poleciała cierpko. - Niech zobaczy, że to nie mój pomysł. Przekonaj ją.

Na pewno potrafisz.

Rumieniec gniewu wypłynął mu na oblicze. Natalia nie spuszczała z niego oczu.

Pierwszy spuścił wzrok. Kiedy popatrzył na Jolettę, jego spojrzenie było chmurne, jakby nieostre. Odezwał się głosem bezbarwnym, przytłumionym:

- Wiesz, że wolałbym odłączyć się od grupy.

To, że Natalii udało się do tego stopnia na niego wpłynąć, zdawało się dziwne. Coś tu

nie gra. Joletta nie wiedziała, o co chodzi, ale wyczuwała to wyraźnie.

Natalia nie dała jej czasu na odpowiedź.

- Ty przecieŜ teŜ nie lubisz tego całego zwiedzania rzekła przymilnie - prawda?

Oczywiście, jeśli naprawdę nie moŜesz z tego zrezygnować, ja i Rone poradzimy sobie bez ciebie.

- Nie - powiedziała Joletta powoli. - W porządku.

- A więc ustalone! - zawołała Natalia. - Tak będzie o wiele lepiej.

Wrócili do hotelu, aby zabrać kostiumy kąpielowe i zawiadomić pilota wycieczki, Őe nie wezmą udziału w popołudniowym wyjeździe.

Zbierali się do wyjścia, gdy pojawił się przed nimi Caesar Zilanti z szeroko otwartymi ramionami.

- Jesteście wreszcie. Wiedziałem, Őe musicie się zjawić, Őeby nie przepuścić dzisiejszej wycieczki, o której wczoraj wieczorem wspominaliście. - Chwycił dłoń Joletty, uniósł ją do ust. - Ach, moja śliczna, jak pani głowa? Doskonale? Chciałem koniecznie panią złapać, zanim wyjedziecie, Őeby przekazać zaproszenie, które z pewnością panią ucieszy.

- Zaproszenie? - spytała ciekawie. ZauwaŜyła zmarszczone czoło Rone'a i zdziwienie na twarzy Natalii, ale postanowiła nie zwracać na nich uwagi.

- Mój kuzyn jest właścicielem zabytkowego pałacyku. Z przyjemnością was ugości.

Joletta zdecydowała się błyskawicznie. Zdawała sobie sprawę, Őe szybkość decyzji wynika z chaosu uczuciowego, w jaki popadła ostatnio, ale nie dbała o to.

- Mam wielką ochotę. - W jej promiennym uśmiechu kryła się buntownicza duma. -

Oczywiście nie mówię za Rone'a ani moją kuzynkę, oni mają zdaje się inne plany.

NaleŜało wobec tego wyjaśnić sytuację i dokonać prezentacji. Natalia obdarzyła

Włocha ciepłym uśmiechem i na dłuŜej pozostawiła dłoń w jego uścisku. Caesar zareagował z

właściwym sobie wdziękiem, lecz szybko zwrócił się do Joletty, ze zmarszczką zatroskania na czole.

- Więc nie jedziecie na wyspy? Ale jutro nie będzie czasu, a ich nie można nie zobaczyć.

- Ach, tam nie ma nic takiego do oglądania - stwierdziła Natalia.

- Wenecja to nie tylko Canale Grande i bazylika Świętego Marka - oświadczył Caesar tonem dezaprobaty. - Jej rzeczywisty charakter znaleźć można na wyspach, w hutach szkła i innych warsztatach - mieszczących się poza miastem, żeby zapobiec pośarom w chatkach rybaków malowanych na jaskrawe kolory, żeby widać je było z morza.

Joletcie niepotrzebna była dalsza zachęta. Chciała poznać Włochy jak najdokładniej.

Zwróciła się do Rone'a i Natalii:

- Róbcie we dwoje, na co macie ochotę. Ja jednak wolę jechać na wyspy.

Natalia obrzuciła ją i Caesara niezadowolonym spojrzeniem.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. - Ton Joletty nie pozostawiał wątpliwości.

- Nie możemy cię powstrzymać, oczywiście - wzruszyła ramionami kuzynka.

- Wobec tego musimy jechać z Jolettą - powiedział Rone. - Chyba znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby.

- Albo dwa, jeśli już mamy sprawdzać - zaproponował Caesar z pewnym siebie uśmiechem. - Z przyjemnością posłucham was za przewodnika.

- Chwileczkę. - Natalia była wyraźnie zirytowana. Nie mam zamiaru jechać na żadne wyspy i koniec. Obiecałeś mi Lido, Rone.

Zapadła cisza. Przerwał ją Caesar.

- Nie widzę żadnego problemu. Ja zajmę miejsce Rone'a u boku Joletty. On dotrzyma

towarzystwa pani.

Joletta zauważyła, że Rone poruszył się gwałtownie, ale zaraz znieruchomiał.

Popatrzył na nią, odpowiedziała mu pytającym spojrzeniem. Odwrócił wzrok, odprowadził nim przepływającą łódź.

Joletta poczuła w środku pustkę, która ogarnęła jej serce. Twarz miała poważną, z odrobiną niepewności w oczach popatrzyła na Caesara.

- Na pewno masz coś ważniejszego do roboty, niż mi towarzyszyć.

- Nawet tysiąc niecierpiących zwłoki spraw nie odwiódłoby mnie od ciebie, carina

Joletta - odparł natychmiast. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Jego skwapliwość i galanteria podziałały jak balsam na zbolełą duszę Joletty. Udało się jej uśmiechnąć.

- A więc postanowione.

- Na to wygląda - rzekła Natalia z niezadowoloną miną.

Rone się nie odezwał.

Joletta obawiała się, że popołudnie będzie się nieznośnie wlokło, tymczasem minęło jak z bicza trzasnął. Podróż przez lagunę odbyli tramwajem wodnym, lśniącym od polerowanego drewna i mosiężnych ozdób, bardzo czystym i świetnie utrzymanym. Kiedy Joletta zwróciła na to uwagę, Caesar wyjaśnił jej, że dla weneccjanina łódź jest dumą, czyści się ją i poleruje, tak jak inni robią to ze swoimi samochodami.

Wyspa Tercello szczególnie przypadła jej do gustu, była nieduża i zdawała się gościnnie zapraszać, jej ogrody wyglądały bardzo stylowo, z bujnymi, włochatymi karczochami, pnącym groszkiem i ścieżkami, na których wygrzewały się w promieniach słońca koty.

Chodzili z Caesarem po kamiennej posadzce zabytkowego kościoła, którą stopy

wiernych szlifowały od tysiąca lat. Potem zjedli szybki lunch w cieniu winorośli, moŜe tej samej, pod którą pewnej mglistej i ponurej zimy Hemingway pisał „Za rzekę, w cień drzew”.

Na wyspie Burano Caesar, mimo protestów Joletty, kupił jej mały obrazek przedstawiający parę w siedemnastowiecznych strojach, trzymających serce przebite strzałą. Omijając główny plac zatłoczony kioskami z pamiątkami dla turystów, spacerowali wzdłuŜ domów w czystych kolorach róŜu, szafranowej Ŝółci, mandarynek, jaskrawego lazuru i krwistej czerwieni.

Caesar wziął ją za rękę i uśmiechał się do niej z podziwem w ciemnych oczach, a słońce połyskiwało na jego granatowoczarnych; falujących włosach i barwiło na złoto śniadą twarz. Nic z tego nie wyniknie, to tylko flirt, tak przynajmniej jej się zdawało, lecz nic nie mogła poradzić na to, Ŝe działała na nią jego zaprawiona pewnością siebie męskość i bijący z oczu podziw dla niej jako kobiety. Takie jawne okazywanie podziwu, typowe dla Włochów i Latynosów, to potężna broń. Zastanawiała się, czy on zdaje sobie 'z tego sprawę.

Zastanawiała się teŜ, dlaczego inni męŜczyźni, zwłaszcza Amerykanie, z niej nie korzystają. Była na swój sposób wdzięczna Caesarowi. Komplementy, którymi ją bez końca obsypywał, jego nieustanne umizgi, gorliwość, z jaką podjął flirt, pomogły jej pozbierać się po ciosie, jaki jej dumie zadała rejterada Rone'a. Caesar dał jej takŜe moment wytchnienia w uczuciach do Rone'a, które rozwinęły się zbyt szybko, stały się zbyt gwałtowne, aŜ trudne do zniesienia. Potrzebowała trochę czasu, Ŝeby się zatrzymać, zastanowić nad tym, co robi i dlaczego, moŜe jeszcze raz pomyśleć, czy naleŜało tak szybko dopuszczać do zaŜyłości.

Patrząc na Caesara, Joletta myślała teŜ o Violet i jej Allainie, który miał włoskich przodków. JeŜli historia w pewien sposób się powtarzała, to Caesar zająłby miejsce Allaina. Nie Ŝeby naprawdę wierzyła w takie rzeczy, jak reinkarnacja, wędrówka dusz, powtórne narodziny. Ale tu, w Wenecji, czuła się bliŜsza Violet niŜ tam, w Nowym Orleanie.

Zacząła rozumieć impulsy, które powodowały jej praprapraprababką, rozumieć aŜ nadto dobrze.

Doszli do końca uliczki, która prowadziła nad morze, na trawiasty brzeg, nad którym stała ławeczka. Caesar ruszył w jej kierunku, bezceremonialnie wyprzedzając inną parę, która zmierzała w tę samą stronę. Posadził Jolettę, następnie sam opadł koło niej, z niewzruszoną miną ignorując gniewne pomruki tamtego męŜczyzny i kobiety.

Siedzieli dłuŜszą chwilę, rozkoszując się słońcem i wiatrem na twarzach, obserwując, jak zamglone niebieskozielone morze faluje i skrzy się w słońcu.

Po jakimś czasie Caesar odezwał się:

- Ta twoja kuzynka, Natalia, wydaje mi się bardzo do ciebie podobna.

- Z wyglądu?

- Cóż, jest blondynką, to zawsze dodaje atrakcyjności, ale miałem na myśli charakter.

Jest bardzo ... stanowcza.

- ZauwaŜyles to, mimo Őe widziales ją zaledwie chwilę? - W głosie Joletty zabrzmiało powątpiewanie.

Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu.

MęŜczyźni zauwaŜają takie rzeczy.

- Podoba ci się taka stanowczość u kobiety?

- Czasami tak, czasami nie. Nie lubię, gdy mi się rozkazuje.

Joletta pomyślała, Őe Rone'a teŜ nie podejrzewała o to, by lubił, kiedy mu się rozkazuje. W Őadnym razie. A tymczasem podporządkował się Natalii tak łatwo. Dlaczego?

To pytanie gnębiło ją całe popołudnie, ćmiło jak bolący ząb. Jedyna odpowiedź, jaka jej przychodziła do głowy, była taka, Őe Natalia pociągała go jako kobieta i wolał spędzić czas z nią.

Spytała cicho, w zamyśleniu:

- Sądziysz, że moja kuzynka jest bardziej pociągająca niż ja?

- Co za pytanie, carina - odparł, odwracając się do niej i kładąc łokieć na oparciu ławki za jej plecami. Czemu pytasz?

Wzdrygnęła się lekko - zadała to pytanie pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się wcale.

- Czy to z powodu Rone'a porównujesz się z nią? - pytał dalej.

Caesar rozumiał znacznie więcej, niż się spodziewała.

- Nie mówmy o tym - odparła. - To nieważne.

- Myślę, że ważne. - Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął stłumionym głosem: - Jesteś od niej inna, to wszystko. Jej uroda jest jak okno wystawowe, widać ją z daleka, to jakby jasny ogień, który zauważysz każdy mężczyzna. Twoja uroda ma blask bardziej dyskretny, jak płomień świecy. Trzeba podejść bliżej, żeby docenić jej tajemnicze światło. Ty jesteś typem kobiety, z którą mężczyzna chce się oświecić, żeby spędzić całe życie, podtrzymując ten ogieniek, grzejąc się w jego stałym cieple. Ona należy do tych, które mężczyźni biorą na kochanki, są jak ognisko, które płonie jasno i szybko się wypala.

Joletta napotkała jego nieruchomy wzrok i wytrzymała go przez dłuższą chwilę, obserwując, jak w jego brązowych oczach pojawia się wesołość.

- I tylko dwa typy kobiet rozróżniasz? - zapytała.

- Nie - odparł uśmiechając się. - Są jeszcze matki.

Zanim wrócili do hotelu, złożyli jeszcze wizytę jego ciotce. Prosto z tramwaju wodnego przesiedli się do gondoli, która zawiozła ich kanałami do starego domu.

Z zewnątrz budynek nie wyglądał okazale, fasada była prosta, z jedną tylko loggią z gotyckim łukiem. Przypominał dom, w którym zatrzymali się Violet i Allain, ale Joletta

zorientowała się, że takich domów jest wiele.

Wystrój wnętrza był eklektyczny, z wielkimi lustrami w ramach ze złotych liści, smukłymi stojącymi lampami w czerni i chromach, wielkimi majolikowymi urnami pełnymi wiosennych kwiatów i abstrakcyjnymi plakatami wielkości wrót do stodoły.

Ciotka Caesara nie przypominała zgarbionej starej damy w koronkach, pachnącej lawendą, jak wyobrażała sobie Joletta. Okazała się energiczną kobietą, o włosach zaczesanych do tyłu i upiętych w ciasny kok, noszącą w uszach wielkie kolczyki z szarymi brylantami jak małe słońca, ubraną w bladozłotą jedwabną suknię, zdradzającą autorstwo *

Armaniego na pierwszy rzut oka. Powiedziała, że bardzo się cieszy, mogąc gościć przyjaciółkę swojego siostrzeńca; nie sądziła, że ma on taki doskonały gust. Jest też zachwycona, że może pokazać swój dom, właśnie odnowiony po wieloletnich zaniedbaniach. „Weszła się” w ten dom, jeśli można tak powiedzieć, od pokoleń należący do rodziny jej męża. Wprowadziła się tu w zeszłym roku, po śmierci teściowej. Musi im pokazać wszystkie unowocześnienia, jakie tu wprowadzono.

Zostali na kolacji, zatrzymani niemal siłą. Wieczór okazał się uroczy, kolację podano na loggii, w czasie gdy zmierzch przechodził powoli w noc. Składała się z niezliczonej ilości doskonałych dań, przednich win, a wszystkiemu towarzyszyła ciekawa konwersacja.

Było późno, gdy Joletta i Caesar dotarli do przystani przy hotelu. Nie chciał jej tam zostawić, nalegał, że odprowadzi ją aż pod drzwi pokoju.

Zatrzymali się w korytarzu, przed jej pokojem.

Podziękowała mu jeszcze raz za obrazek, a także za całe popołudnie i wieczór. Gdy sięgnęła do klamki, chwycił ją za rękę i powstrzymał.

- Domyślam się, że nie zaprosisz mnie do środka? zapytał z uśmiechem w głosie.

- Słusznie. - Jej odmowa była spokojna, ale bezdyskusyjna.

- Wiedziałem. - Westchnął. - Chyba się cieszę, że nie jesteś podobna do wielu innych,

tak głodnych miłości, że przyjmą pierwszego mężczyznę, który pospieszy im ją ofiarować.

Zmarszczyła czoło.

- Mówisz o kobietach w ogóle czy o Amerykankach w szczególności?

* Giorgio Armani, UL 1935, głośny włoski projektant mody (przyp. tłum.).

- O twoich krajankach, tak. Dziwisz się? I tak, i nie.

A głośno powiedziała:

- Bo chyba właśnie te, które czegoś szukają, przyjeżdżają samotnie do Europy.

- A ty, Joletto droga? Czego ty szukasz?

Popatrzyła mu w oczy, wyczuła napięcie pobrzmiewające w tym pytaniu. Wytrzymał

jej spojrzenie. Nagle puścił jej dłoń, podszedł bliżej i chwycił ją w pól. Pochylił się i

przycisnął swoje usta do jej ust.

Jego wargi były twarde i mięsiste, smakowały winem.

Ruchy miał pewne. Jego uścisk był zdecydowany, ale nie nadmiernie mocny. Jego

dotyk sprawiał jej pewną przyjemność, była w nim sugestia, że można by spróbować posunąć

się dalej. Ale mimo to nie budził nieodpartej, szalonej potrzeby odkrycia, ile jeszcze

rozkoszy można z niego wydobyć.

Dlaczego nie protestowała? Przez wdzięczność?

Z obawy przed zranieniem go, po całej jego uprzejmości?

Z potrzeby sprawdzenia swoich własnych emocji, jeśli idzie o Rone'a? Wszystko po

trosze. Czy to było fair w stosunku do Caesara? Nie było na to na razie odpowiedzi. Musiała

rozeznąć się we własnych uczuciach. A i on musiał poszukać własnych odpowiedzi.

Zaczęła się odsuwać, łagodnie i bez pośpiechu, żeby nie wyglądało to na zupełne

odrzucenie.

W tym momencie drzwi pokoju otworzyły się. Rone, w samych dŹinsach, ze zwiniętym w rulon czasopismem w ręku, patrzył na nich gniewnie.

- Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać, myślałem, Źe masz problem z kluczem - powiedział ostro, patrząc jej prosto w twarz.

- Nie - odparła z napięciem.

- Widzę. Pośpiesz się. Napuszczam ci wody do wanny. - Wrócił do pokoju i zamknął drzwi.

Joletta w osłupieniu rozwaŹała to, co powiedział.

Było to jawne obwieszczenie ich zaŹyłości. Bez wątpienia chciał w ten sposób ostrzec Caesara, ale jak śmiał to uczynić po tym, jak zachował się przy Natalii - nie rozumiała.

ZauwaŹyła jeszcze coŹ. Po pierwsze, woda do wanny rzeczywiŹcie leciała. A po drugie, to, co wzięła za czasopismo w jego ręku, było kartkami z dziennika Violet.

ROZDZIAŁ XVI

10 sierpnia 1854 r.

Obawiałam się powiedzieć Allainowi o zniszczeniu portretu, który namalował. Jak bolesna byłaby dla niego świadomość, Źe Gilbert wyładował swoją wŹciekłość na płótnie, nad którym on pracował gorliwie tyle czasu. Co by powiedział? Czy musiałabym mu opowiedzieć o tym, co nastąpiło później? To było upokorzenie trudne do zniesienia, jeszcze trudniejsze byłoby do opisania.

Prawie półtora miesiąca minęło w Wenecji, zanim zebrałam się na odwagę, Źeby porozmawiać na ten temat, a i wtedy właŹciwie przez przypadek.

Allaina nie było w domu całe rano. Miał zwyczaj robić o tej porze zakupy do nieskomplikowanych posiłków, które przygotowywał pod kierunkiem Violet kucharz signory

da Allori, w skład których wchodziły gołąbki lub skowronki, mątwy, oberŜyny, rozmaite makarony, przyrządzone z pomidorami i serami. Violet czasami chodziła z nim. Lubiła błądzić po bazarze, targować się o owoce i warzywa, nigdy nie zapominając o kupnie świeŜych kwiatów do upiększenia ich pokojów. Te wyprawy, wzbogacone czasami o odwiedziny w sklepie z antykami albo odzieŜą, •z winami czy obuwem, niekiedy teŜ z przystankiem na kawę i coś słodkiego w jakiejś kawiarence na chodniku, sprawiały, Őe poranki mijały jak z bicza trzasnął, a takŜe dostarczały tematów do popołudniowych rozmów. Tego ranka nie czuła się dobrze. Była to drobna przypadłość, ale nie miała ochoty na te rozmaite ostro - surowe zapachy na targu. Nie ma nic bardziej kłopotliwego niŜ Őłodkowa niedyspozycja w miejscu publicznym.

Allain wrócił niosąc pod pachą rulon zamalowanego płótna. Obraz znalazł na straganie handlarza starzyzną, jego autorem był niejaki Antonio Canal, zwany Canalettem. Jego prace nie cieszyły się wielką estymą za Őycia artysty, uwaŜano go bowiem za zbyt komercyjnego; malował setki widoków Wenecji, kupowanych na pamiątkę przez zwiedzających miasto, głównie Anglików, w połowie osiemnastego stulecia. Allain zachwycał się mistrzostwem warsztatowym swojego znaleziska, znamionującym, jak twierdził, architektoniczne wykształcenie malarza. Pod niebo wynosił Őwietlistość kolorów Canaletta i biegłość w uŜywaniu camera obscura, do wykonywania szkiców. Te wszystkie zalety nie przesądziły jednak, jak powiedział, o dokonaniu zakupu.

Popatrzył na Violet z miną chłopaka, który kryje jakiś sekret. UŐmiechnęła się, czując wzbierającą czułość, i zadała pytanie, na które, jak wiedziała, czeka:

- Więc dlaczego go kupiłeś?

Allain postukał palcem w Őrodek płótna, przedstawiający fragment Canale Grande za Ponte Rialto w pastelowych, promiennych barwach akwamaryny, dojrzałych brzoskwiń, złota

i niezliczonych odcieniach błękitu.

- Tu - oznajmił.

Dopiero po chwili zobaczyła.

- Aha! - Jej uśmiech był jeszcze bardziej promienny niż kolory na płótnie.

Malarz przedstawił także dom, w którym mieszkali. Jego część, co prawda, zasłaniały mury pałacu, ale widać było loggię i okna ich sypialni, te same mury w ciepłym kolorze ochry, z niebieskobrązową wodą liśną fundamenty.

Świadomość, że obraz ma co najmniej sto lat, wywołała u Violet dziwne uczucie. To coś niepojętego, że dzieło przeżyło o tak wiele lat swojego twórcę.

- Chciałbym mieć kiedyś - powiedział Allain patrząc na płótno - mieć kiedyś dom, gdzie mógłbym go powiesić, by rozjaśniał jakiś zakątek salonu, i gdzie mógłbym nad kominkiem powiesić twój portret.

Violet spojrzała na niego. Przełknęła z trudem ślinę i odwróciła wzrok. Cicho rzekła:

- Byłoby cudownie ... ale to niemożliwe.

- Dlaczego niemożliwe? - spytał, a w jego głosie zabrzmiało napięcie.

- Portret... jest zniszczony. Gilbert go pociął. Potem ślał, jak sądzę, ale co się stało, to się nie odstanie. - To wtedy ... kiedy skrzywdził ciebie?

Nie potrafiła odpowiedzieć, nie mogła. Wyciągnął rękę i wziął ją pod brodę, żeby na niego popatrzeć, ale zasłoniła oczy powiekami.

Nie nalegał. Wziął ją w ramiona, przytulił do serca, sapiąc ciężko z gniewu, burzył oddechem jej włosy. W końcu rzekł:

- Powiniennem być go zabić.

Jego delikatność uczuć, a nawet jego wściekłość, działały na nią kojąco. Walcząc z węzłem w gardle, wykrztusiła:

- Jemu teŜ było szkoda obrazu.

Minęła dłuŜsza chwila milczenia. Wreszcie westchnął, rozluźnił się.

- Właściwie powinienem mu współczuć. Ia teŜ szalałbym z gniewu, gdybym wiedział, Ŝe cię tracę.

Skinęła z trudem głową.

- Tak mi przykro.

- Z powodu portretu? Namaluję nowy, lepszy. Ale dotarło do mnie, Ŝe zostałaś skrzywdzona z mojego powodu, przeze mnie. Część winy spada na mnie.

- Dlaczego? - Mówiła cicho, z napięciem. - PrzecieŜ dajesz mi tylko radość.

- Więcej biorę, niŜ daję.

- Nie bierzesz niczego, czego bym ci z ochotą nie dawała.

- Oczywiście, taka z ciebie przecieŜ rozpustnica. W jego głosie prócz śmiechu pobrzmiwał teŜ i ból.

- Tak - zgodziła się powaŜnie. - Weźmiesz mnie teraz do łóŜka?

- Madame, to mnie szokuje.

- Pana? Bierze pan czy nie?

- Nawet spiŜowe konie św. Marka mnie nie powstrzymają.

Potem leŜeli nadzy w ciepłym powiewie znad morza, który przenikał przez aŜurowe okiennice. Allain wstał i zostawił ją w półśnie wśród skłębionych prześcieradeł. Wrócił za chwilę. Materac ugiął się pod jego cięŜarem. Potem między jasnymi i łagodnie zaokrąglonymi kopałami jej piersi o róŜowych sutkach i siatce błękitnych Ŝyłek spoczęło coś cięŜkiego i zimnego.

Z początku myślała, Ŝe to jakiś naszyjnik z wisiorkiem.

Łańcuch z cięŜkich ogniów błyskał miękko dukatowym złotem. Do niego przyczepiony

był mały przedmiot, przypominający trochę miniaturę kadzielnicy, używanej w kościele. Był wyrzeźbiony z jednego dużego kawałka ametystu i ujęty w złote zamocowania z perełkami i brylancikami.

Usiadła, wzięła klejnot do ręki. Było to rękodzieło niezwyklej urody, owoc mistrzostwa i benedyktyńskiej staranności. Złote skuwki ukształtowane były w liście, pnącza i słyki, na ametystowym naczynku widniała płaskorzeźba przedstawiająca ptaka z rozłożonymi skrzydłami. Drżały jej dłonie, gdy obracała przedmiot w palcach, podnosząc go do światła, by zobaczyć dokładniej.

Spojrzała na Allaina. Stłumionym głosem spytała:

- Co to jest?

- Pozwól - odparł. Sięgnął po klejnot, pomanipulował przy ametyście. Jedną jego część, na kształt zakrętki, dawała się zdjąć.

Ametyst okazał się flakonikiem. Uniosła się z niego cudowna woń perfum, złożona, a równocześnie prosta, bogata, a jednocześnie wyrafinowana, rodząca senne wyobrażenia, napełniająca zmysły najczystsza rozkoszą. Była w niej esencja letniej nocy w jakimś egzotycznym kraju, pachnącej gorącym powiewem od wzgórz, gdzie kwitną pomarańcze i migdały. Był wonny tajemniczy ogród otoczony murem, zalany srebrzystym blaskiem księżyca, gdzie dochodzi daleki szept morza. Były namiętne pocałunki i woń wilgotnych ciał kochanków wśród zmieszanych płatków róż. Były kandyzowane fiołki i korzeń kosaćca florenckiego. Były łany dzikiego rozmarynu i narcyzów. Była wetiweria i laski wanilii, była przysypana śniegiem winnica. I jeszcze dużo, dużo więcej, jedna za drugą warstwy woni, odwołujących się do coraz głębszych pokładów umysłu, jak stary, na wpół zapomniany refren.

- Perfumy Kleopatry - powiedziała Violet spokojnie, prawie bez pytającej intonacji.

- I Józefiny. I Eugenii.

- Ale skąd ... dlaczego?

- Właściciel tej perfumerii przy Rue de la Paix, z którym rozmawiałem, robi tę kompozycję na zamówienie cesarzowej. DuŜo ryzykował, dając mi to, ale miał wobec mnie dług wdzięczności. Poza tym to romantyczna dusza: nie odmówił, kiedy się dowiedział, Ŝe to dla damy mego serca.

Ich spojrzenia spotkały się, Violet w jego oczach zobaczyła niezmierzone głębie miłości. Poczwała się oczyszczona tym przeŜyciem, niego dna, lecz wywyŜszona, ogrzana, wręcz rozpalona siłą jego uczuć.

- Cieszę się na myśl o mocy, którą się im przypisuje - powiedziała. - Niech przywiąŜą na zawsze ciebie do mnie, a mnie do ciebie.

- Modlę się o to - odparł.

Te oświadczenia wymagały pocałunku, by je przypieczętować, i jeszcze więcej ...

Później, gdy leŜeli spleceni w uścisku, Violet powiedziała:

- Chciałabym podziękować ci za te perfumy ...

- JuŜ podziękowałaś. - Piers Allaina zadrgała od tłumionego śmiechu, czwała jego dudnienie w głębi, pod swoim policzkiem.

- Ty draniu - powiedziała wesoło, przyczesując kędzierzawe włosy na jego klatce piersiowej, które łaskotały ją w nos. Pogładziła go po ramieniu, po czerwonej bliźnie, pozostałej po ciosie noŜa. - Chciałam tylko powiedzieć, Ŝe nie wiem, co zrobię, jak mi się te perfumy skończą.

- KaŜemy zrobić więcej - odparł z zadowoleniem.

- Będziemy posyłać po nie do ParyŜa?

- Widzę, Ŝe mnie nie doceniasz - powiedział z udawaną urazą. - Moja droga, skoro

Napoleon ofiarował Józefinie ich recepturę, to ja nie mogłem się zadowolić niczym mniej
ważnym.

- Masz ją?

- Tak jest. MoŜesz mieć tych perfum, ile chcesz, kapać się w nich, jeśli ci przyjdzie
ochota.

- Ochotę to ja mam tylko na ciebie. Jesteś cudowny.

Podniósł się i wsparł na łokciu. ZbliŜył usta do jej warg.

- Zobaczmy, czy to prawda.

Tak im mijały dni, zlewając się ze sobą w słoneczne, beztroskie pasmo. Jedli, spali i
kochali się. Siadywali późno w noc na loggii, przyglądając się, jak feeria barw zachodu słońca
przechodzi w szarość zmierzchu. Wzbogacali swoje skromne zasoby garderoby, odwiedzając
krawców i modystki. Pewnego dnia Allain kupił laskę z ukrytą wewnątrz szpadą, na
wypadek, jak powiedział Violet, gdyby nie było jej w pobliŜu ze zbawczą parasolką.
Czasami wynajmowali łódź, brali kosz z jedzeniem i winem, i wybierali się na Lido,
albo na jedną z dalszych wysp, gdzie łowili ryby i brodzili w wodzie. Wracali opaleni, z
wilczym apetytem na kolację i na siebie nawzajem.

Allain kupił farby i pędzle i zaczął znów malować, starając się uchwycić migotliwe
światło i delikatne barwy Wenecji na małych, łatwych do przewozu płótnach.

Podczas gdy pracował, Violet siadywała koło niego z robótką. Niekiedy odwiedzała
wdowę da Allori, damę o ciętym języku i łagodnym sercu, która uwielbiała wychylać się z
okna i nawoływać swojego majordomusa, gdy ten chodził załatwiać jakieś sprawy. Od czasu
do czasu Violet wybierała się sama na zakupy, radując się całkowitą swobodą, jaką tu miała.
Uczyła się języka, poznawali ją okoliczni sklepikarze, zawarła znajomość z jednym z
gondolierów, młodym, przystojnym chłopakiem, który na jej widok zawsze przepychał się

przed inne łodzie do brzegu, ryzykując niemal życie, byle tylko służyć jej kursem.

Z wolna rzeczy, które kupowali z Allainem podczas wspólnych wypraw - krusze weneckie kryształ, antyczne meble, obrazy, rozmaite bibeloty - zaczęły wypełniać ich pokój. Uzgodnili więc z wdową da Allori, że zajmą całe najwyższe piętro domu. Teraz wynajęli pokojówkę, dziewczynę, która - jak bez zdziwienia odkryli - okazała się siostrzenicą zarządcy domu, Savia. Z wolna przestronne pomieszczenia zaczęły przypominać prawdziwy dom. Przy różnych okazjach, mniej lub bardziej przypadkowo, stworzyli sobie krąg znajomych, w większości Anglików zamieszkałych w mieście. Chodzili na prośzone kolacje, czasami przyjmowali kogoś u siebie. Nie zależało im specjalnie na rozszerzaniu tego kręgu, własne towarzystwo wystarczało im w zupełności.

Violet czuła się szczęśliwa. Niekiedy jej dusza wręcz śpiewała w zachwycie tak głębokim, że z trudem zawierała go w sobie. Zdarzały się dni tak piękne, wypełnione kolorami, śmiechem i czystą, bezgraniczną miłością, że wzruszały aż do łez.

Ale bywało też, że w swoje stalowe szpony chwycił ją straszny lęk - stawała wtedy w oknie wpatrując się w nicłość albo leżała bezsennie w łóżku do świtu, słuchając cichego oddechu Allaina.

Pewnego przedpołudnia siedziała przyglądając się, jak Allain maluje. Zorganizował sobie kąt do pracy w rogu dodatkowej sypialni o wysokich, wychodzących na północ oknach. Zza jego pleców wpadał czysty i przesycony błękitem blask. Jego twarz w tym oświetleniu była skupiona, poważna, i nie zakłócała tego wrażenia smuga modrej farby na policzku. Był pochłonięty tym, co robił, zdawało się, że zapomniał o całym świecie.

Poprawiła się na wyściełanym aksamitem krześle. Od razu spojrzał na nią.

- Znudziło cię haftowanie? - Popatrzył na porzuconą na kolanach kanwę.

- Po prostu lubię się przyglądać, jak pracujesz. Robisz to z takim przejęciem.

Lekki rumieniec zadowolenia, ale i czegoś jeszcze wystąpił mu na policzki.

- Nie chciałem, żebyś się czuła zaniedbana.

- Nie czuję się zaniedbana. - Przekrzywiła lekko głowę i rzuciła mu szybkie, roześmiane spojrzenie spod oka. - Ale czasami żałuję, że nie mam, jak ty, jakiegoś zajęcia, którym mogłabym wypełnić swój czas i swoje myśli.

- Jest pod dostatkiem farb i płótna, możesz spróbować.

- Ach, wątpię, bym miała talent.

- Rysujesz dobrze, widziałem twoje szkice w diariuszu - powiedział poważnie.

Pokręciła głową z uśmiechem. Naszkicowała raz jego portret na ostatniej stronie dziennika, w czasie gdy ją malował. Była to zupełnie udana podobizna, ale nie oddawała ciepła jego osobowości, przynajmniej jej tego brakowało.

Popatrzył jej w oczy.

- Więc co chciałabyś robić?

- Naprawdę nie wiem.

- Muzyka? Mogę ci kupić fortepian. A może popróbujesz pisania? Widzę, że notatki w dzienniku sprawiają ci wielką przyjemność.

- Bardzo lubię muzykę, ale wolę słuchać. Co do dziennika, to przelewanie myśli na papier weszło mi w krew, ale wątpię, czy potrafię tworzyć opowieści i poezję.

- Sądzę, że nie doceniasz samej siebie - rzekł z powagą. - Ale w takim razie, co byś chciała robić, skoro nie odpowiada ci muzyka i pisanie?

- Może wezmę się za hafciarstwo? - Roześmiała się w głos na widok pełnego dezaprobaty spojrzenia, jakie jej rzucił. - śartowałam, ale jest coś, co mnie kusi, choć obawiam się, że teś byś tego nie pochwalał.

Odłożył pędzel i wytarł dłonie, po czym podszedł i ukląkł przy jej fotelu.

- Rób, na co masz ochotę, byleś została przy mnie. Wytarła smugę farby z jego

policzka miękką poduszczką kciuka.

- Dopóki ty mnie pragniesz .•.

- To nie potrwa długo - rzekł, chwytając jej rękę i podnosząc do ust - tylko całą wieczność, najwyżej dwie.

Tylko w tego typu wypowiedziach nawiązywali do przyszłości.

Violet zastanawiała się czasami, jak długo będzie trwało takie życie, ale kiedy próbowała rozmawiać o tym z Allainem, on albo śartował, albo proponował jakieś przyjemności, albo wychodził i kupował jej nowy kapelusz lub coś z biżuterii. W końcu dała za wygraną, uznała, że jego zdaniem nie należy poruszać tego tematu. Wyglądało na to, że żaden program, żaden plan na przyszłość nie istnieje.

Nie zdarzyły się więcej żadne incydenty w rodzaju tego na stacji kolejowej. Jeśli ktoś ich śledził, czynił to na tyle dyskretnie, że tego nie zauważali. Zresztą kanały nie ułatwiają tego rodzaju zadania.

Mimo wszystko takie życie zdawało się Violet niezbyt realne. Myślała, by napisać do rodziny, do obu sióstr, i do Sony najmłodszego brata Gilberta - swojej przyjaciółki z lat dziecińczych - ale w końcu nie znalazła w sobie dość słów, by wyjaśnić, co się naprawdę stało. Wiedziała, że takie wyjaśnienia będą konieczne. Trzeba by napisać, kiedy ma zamiar wracać do Luizjany, czy w ogóle chce wracać. Rodzina będzie chciała wiedzieć, czy Gilbert się z nią rozwodzi i kiedy wraca z podróży po Europie. Nie ma odpowiedzi na większość z tych pytań, więc wciąż odkładała pisanie listów.

Ponieważ nie kontaktowała się z nikim, nie otrzymywała też listów, nie miała żadnych wieści z domu. Została odcięta od bliskiego sobie świata.

Allain był czuły, stały i wspierał ją ze wszystkich sił, ale mimo to nie mogła uwolnić

się od wątpliwości. Co się stanie, jeśli ją opuści? Nie miała własnych środków utrzymania.

Mogła napisać do Luizjany, żeby przysłali jej środki na powrót, ale upłynęłyby tygodnie, jeśli nie miesiące, nim jej rodzina byłaby w stanie zorganizować jej podróż powrotną. Z czego miałyby się utrzymywać przez ten czas?

A w ogóle nie wiadomo, czy powrót do Nowego Orleanu okazałby się możliwy.

Gdyby wróciła do rodzinnego miasta, musiałaby być w niesławie. Byłaby kobietą upadłą, taką, co rzuciła męża dla romansu z artystą. Co z tego, że prawda wygląda inaczej?

Nowoorleańskich plotkarek, które dobrze знаła, nie da się przekonać.

Gdzieś w głębi odczuwała lęk. Nie wiedziała, skąd się bierze to kielkujące przerażenie, ono po prostu było.

Może dlatego nie zdziwiła się, gdy pewnego dnia, późno wieczorem, rozległ się gwałtowny łomot do drzwi.

Za chwilę wbiegł na górę Savio z wieścią, że dwóch panów domaga się widzenia z signorem Massari. Uraza malowała się na kościstym obliczu Savia, gdy wręczał bilety wizytowe nieproszonych gości.

Allain z chmurną miną przez dłuższą chwilę przyglądał się wizytówkom. Przygarbił się i westchnął głęboko.

- Powiedz, że zaraz schodzę.

- O co chodzi? - spytała Violet, gdy Savio zniknął na schodach. Położyła rękę na ramieniu Allaina w bezwiednym geście błagania.

- Nie przejmuj się, to nie ma nic wspólnego z Gilbertem - powiedział, przykrywając dłonią jej palce. To rzecz, którą powinienem był załatwić dawno temu.

Nie mogła dalej nalegać, nie miała prawa wścibiać nosa w jego przeszłość. Ale nie chciała go puścić, instynkt zabraniał jej tego.

- Czy koniecznie musisz iść? MoŜe to jakiś podstęp. Przyciągnął ją do siebie, wziął w dłonie jej twarz, przycisnął swoje wargi do jej ust i powiedział:

- Uwielbiam twoją troskliwość, ale nie ma obaw, nic mi nie grozi. Zaufaj mi. To zajmie tylko chwilę.

Trwało znacznie dłuŜej.

Nie chciała podsłuchiwać. Ale podniesione głosy docierały aŜ na loggię. Goście wyszli na zewnątrz i stali prawie dokładnie pod nią, na kamiennym podejściu, dokąd przybijały gondole i gdzie jedna z nich czekała. Allain wyszedł z nimi.

Jeden z gości, sądząc po głosie męŜczyzna w podeszłym wieku, wygraŝał Allainowi zaciśniętą pięścią, jego twarz wykrzywiał bezsilny gniew. Mówił po francusku, ale z dziwnym, gardłowym akcentem, który sprawiał, Ŝe trudno było go zrozumieć.

- Mógłbyś mieć potęgę, o jakiej nigdy nie śniłeś. Mówię ci, przyjdzie dzień, Ŝe będziesz ŝałował, i Ŝ ją odrzuciłeś.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego ani teraz, ani nigdy - odrzekł Allain z bezbrzeŜnym smutkiem w głosie. - Wasz kraj nie jest moim i nigdy nie był.

- Uparty głupcze! Postawiliśmy dla ciebie wszystko na jedną kartę; to miał być dla ciebie zaszczyt! Zawiodłeś zaufanie, hańba spadnie na ciebie!

- Uniosę ją.

- Ale i na twój kraj! Wszystko było gotowe ... mógłbyś oszczędzić niejedno Ŝycie, zmienić wszystko. Wszystko! - Albo nic - odparł Allain zmęczonym głosem, jakby prowadził tę dyskusję od niepamiętnych czasów. Mojemu ojcu się nie udało.

- No tak, twój ojciec. Obiecywał wolność, sprawiedliwość, a nic z tego nie wyszło. Na próŜno płaczą do niej nasze serca. Zapamiętaj to sobie. Zapamiętaj dobrze.

- Tyle mogę dla was zrobić.

Starszy męŜczyzna wydał okrzyk wyraŜający niesmak.

Odwrócił się i ruszył wielkimi krokami ku gondoli, drugi poszedł w ślad za nim.

Violet zauwaŜyła, Ŝe nie są to w Ŝadnym razie ci, którzy napadli na Allaina na stacji kolejowej, jak się tego obawiała. Nie byli to równieŜ ci, którzy śledzili ich w ParyŜu.

Wyglądali na ludzi zamoŜnych. Trzymali się z godnością, prawie po wojskowemu, Ubrani byli dobrze, ich strojowi nie moŜna było nic zarzucić, począwszy od jedwabnych krawatów na szyjach, a na połysku trzewików skończywszy. Sprawiali wraŜenie, jakby czuli się nieswojo, jakby im czegoś brakowało ... MoŜe broni?

Stojąc juŜ w gondoli starszy męŜczyzna popatrzył na Allaina jeszcze raz.

- Prosiliśmy dwa razy, dwa razy nam odmówiono. Masz do tego prawo. Ale niełatwo się z tym pogodzić. Po 'nas zjawią się inni.

- Tak - rzekł Allain, a jego głos odbił się echem tak twardym jak kamienna kolumna, o którą Violet się opierała - wiem o tym.

- W takim razie nie będziemy cię więcej kłopotać, o wywyŜszony, po raz ostatni patrzemy w twoje oblicze. Ŝegnaj!

Allain skłonił się w odpowiedzi, gestem niby to formalnym, lecz nie pozbawionym ceremonialnego namaszczenia. Gondola pomknęła przed siebie, a on odwrócił się i wszedł do domu.

Przez pozostałą część wieczoru Allain był bardziej milczący niŜ zwykle. Siedział, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami, zmęczonymi, nawet chwilami zrozpaczonymi.

Violet czekała, Ŝe się jej zwierzy. Chciała mu pomóc, wesprzeć go w jego kłopotach.

Milczał, kiedy poszli obcy męŜczyźni, milczał, gdy wypaliły się lampki oliwne, przy których czytali, nie odezwał się podczas Ŝcielenia łóŜka. JeŜli chciał ją oszczędzić, to wcale tego nie potrzebowała. Poczwała się odsunięta, odcięta od jego kłopotów.

Obudziła się w nocy. Był nów, w pokoju panowała ciemność. Allain stał nagi w granatowym kwadracie otwartego okna, owiewany wiatrem od morza.

- Co się stało? - szepnęła.

Obejrzał się przez ramię. .

- Wybacz - odparł cicho. - Nie powinienem był ciebie pokochać. To samolubstwo z mojej strony, Œe cię zabrałem.

- Co takiego? - Usiadła, zdrętwiałymi palcami otuliła się w prześcieradło.

- Zrujnowałem ci twoje bezpieczne, spokojne Œycie. I nie mam ci nic do zaoferowania w zamian.

W jego słowach zabrzmiała nuta rezygnacji. W gardle poczuła bolesny ucisk.

Wykrztusiła:

- Wystarczy mi to, co mi dajesz.

- Chciałbym więcej. To potrzebne tobie i naszemu dziecku, które nosisz pod sercem.

Słowa te zapadły miętko w mrok. Przez dłuŒszą chwilę nie odgadywała ich znaczenia.

Wreszcie wciągnęła głęboko powietrze, treść ich wreszcie do niej dotarła.

- Ty wiesz?

- Pewne rzeczy rozumie się same przez się. Cudowna dojrzałość twego ciała napawa mnie niewysłowioną rozkoszą. Ale zastanawiam się ...

- Nad czym? - Wstrzymała oddech, czekając, aŒ dokończy myśl.

- Zastanawiam się, czy uda się przekonać Gilberta, Œe to jego dziecko.

Owładnęła nią rozpacz.

- To dziecko moŒe być jego.

- Masz powody tak sądzić? - W jego słowach wyczuwało się napięcie.

- KtoŒ moŒe wiedzieć. Miałam ... swoją miesięczną niedyspozycję w Szwajcarii, ale

po Lugano już nie ... Są powody sądzić, że on ... że on ...

- Rozumiem. - Odwrócił się w jej stronę, ale nie przysunął się do niej, lecz oparł plecami o ciężkie odrzwia. - Tak byłoby najlepiej - rzekł. Jego głos był jak zgrzyt żelaza po szkle.

- Nie!!!

Krzyk wyrwał się z jej ust, z gardła, ze wszystkich sił, na jakie potrafiła zdobyć się rozpacz. Słyszając to, rzucił się do jej stóp. Chwytał ją w ramiona, szeptał słowa miłości i pocieszenia. Wyrwała mu się, nie chciała łatwego pocieszenia, jej umysł paraliżowało przerażenie.

- Nie, Violet, proszę, nie - rzekł, chwytając ją mocno za rękę. - Nie chcę tego!

Myślałem tylko, że tak może być dla ciebie najlepiej. I dla dziecka. Jest moje, jestem tego pewien tak samo, jak tego, że w mojej piersi bije moje serce. Nie może być inaczej. Ale muszę myśleć o niebezpieczeństwach! Nikt nie może wiedzieć, że nosisz moje dziecko.

Umarłbym, gdyby coś ci się stało z mojego powodu.

Przestała się miotać, słysząc w jego głosie ból.

- Jakie niebezpieczeństwa? - spytała z przejęciem. Kim byli ci ludzie? Czego od ciebie chcieli?

Chmura przebiegła przez jego oblicze.

- Powiedziałbym ci, gdyby to mogło przynieść ci ulgę. Ale nie przyniesie. Proszę, zaufaj mi.

- Mam nie wiedzieć nic?

- Tak będzie lepiej. - Głos miał bezbarwny.

Zacisnęła pięści, przełknęła z trudem ślinę, po czym odezwała się znów:

- Ale skoro Gilbert ma uwierzyć, że to jego dziecko, będę musiała do niego wrócić ...

być z nim.

- Tak - jego odpowiedź była ledwie słyszalna.

- Jak mam to zrobić? - zawołała. - Teraz, jak mogę?!

Przyciągnął ją do siebie, przytulił do piersi, zanurzył twarz w burzy jej włosów, które rozsypały się wokół jego ramion.

- Dobry BoŜe - wyszeptał - czy myślisz, Őe dopuŐciłbym do tego, gdyby było jakieś inne wyjŐcie? MyŐl o tym rani moje serce jak noŜem. JesteŐ moja, teraz i na zawsze. Zawsze będziesz częŐcią mojego jestestwa, moją bratnią duszą. Ale mimo to wolę, ŐebyŐ Őywa pozostała w jego ramionach, niŜ zginęła w moich.

- Nawet jeŐli pozostanie przy Őyciu na takich warunkach równa się dla mnie Őmierci? - Zamknęła mocno oczy, Őeby lepiej odczuć siłę jego ramion, zapach, jaki wokół siebie roztaczał, to wszystko, co mogło się tak szybko skończyć. - Czy nie mam nic do powiedzenia?

- Nie sprzeciwiaj się, jeŐli mnie kochasz.

- To niesprawiedliwoŐć. - Oddech miała urywany.

- A gdzie jej szukać? - szepnął. - Ach, moja droga Violet, uwaŜałem, Őe ta krymska wojna zmieni coŐ, odwróci ode mnie uwagę, umoŐliwi ukrycie się w mysiej dziurze. Niestety, myliłem się. SĄ ludzie, którym zaleŜy na tym, bym nie pozostał anonimowy. I ŐczęŐliwy. Twój pech polega na tym, Őe stałaŐ się częŐcią moich losów.

- Nie nazwałabym tego pechem.

Powiedziała to szczerze. Uspokajała się, słysząc ból w jego głoŐsie, czuła drŜenie jego ciała.

- Ani ja, mówiać prawdę - zgodził się chrapliwie chociaŜ Őal pozostaje.

Nie poruszała się, oddychajac głębokoo. Wreszcie powiedziała:

- Czy nie możemy nic poradzić, nigdzie wyjechać ... żeby dali nam spokój?

- Uciekać, kryć się, oglądać przez ramię? Tego chcesz?

- To lepsze niż rozstanie. - Mówiła cicho, lecz stanowczo.

Nocna bryza z otwartego okna wzburzyła jej włosy. Allain chwycił ich pasmo, podniósł do ust. Westchnął głęboko.

- MoŜe. MoŜe znajdzie się miejsce.

ROZDZIAŁ XVII

- Gilbert jest w Wenecji.

Allain wygłosił to oświadczenie po powrocie z targu.

Violet leŜała na szeszlengu w salonie, skubiąc kawałek suchego chleba, co zaleciła jej signora da Allori jako środek zaradczy na poranne mdłości.

- Widziałeś go?

- Janie. Donieśli mi przyjaciele, których prosiłem, żeby obserwowali granice.

Widziano go, jak zmierzał do Hotelu Principessa.

- Kazałeś ... kazałeś go śledzić?! - Nie była w stanie uwierzyć we własne słowa.

Na chwilę przerwał zdejmowanie rękawiczek i przyjrzał się badawczo jej twarzy. Po chwili ściągnął do końca rękawiczkę i wrzucił ją do kapelusza, który odłożył na toaletkę. Z wolna powiedział:

- Wydawało mi się, że to rozsądny środek ostrożności.

- Dlatego tylko, że on kazał nas śledzić w Paryżu, prawda? - Zamilkła, żeby pozwolić mu coś powiedzieć. Śledził nas, prawda?

- O co ci chodzi?

W jego głosie nieznacznie pobrzmiwały władczość i irytacja. Stosunki między nimi zmieniły się od czasu, gdy przybyło tych dwóch mężczyzn. Oboje starali się udawać, że

słowa, niezależnie od tego, czy wypowiedziane, czy nie - niczego nie zmieniają. Oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

- Zastanawiałam się - rzekła z wolna - czy ci dwaj ludzie w Paryżu zostali przysłani przez Gilberta, czy też należeli do tego ... tego niebezpieczeństwa, o którym mówiłeś?

- A jakie to ma znaczenie? - 'Odwrócił się od niej, żeby zdjąć płaszcz i odpiąć spinki mankietów.

Głosem pełnym napięcia rzekła:

- Przecież wiesz, że ma.

Dłuższą chwilę wpatrywał się przed siebie, potem spojrzał jej w oczy.

- Chyba masz rację. Skoro Gilbert nie kazał nas śledzić, to znaczy, że ty poszłaś ze mną przez pomyłkę. Minęła dłuższa chwila, nim mu odpowiedziała:

- Chciałam tylko powiedzieć, że być może Gilbert nie jest głównym czarnym charakterem w tej grze, że po prostu miał powody, by nie rozumieć, o co tu idzie.

- Aha! - Głos Allaina zabrzmiał bezbarwnie. Podeszedł do okna, za którym promienie słoneczne grzały coraz mocniej. Z pustą twarzą sięgnął po uchwyt żaluzji, zanurzając pokój w nagłym półmroku.

- Wcale nie myślałeś, że to jego wysłannicy, ale udawałeś, że tak jest, żebym ja tak myślała. Dlaczego? - Musiałbym ci wszystko wyjaśnić.

- Woląłeś trzymać mnie w niewiedzy i wykorzystywać to.

- Jeśli chodzi ci o to, że dzięki temu łatwiej się poddałaś, to tak. - Odwrócił się od okna i popatrzył na nią, nie unikając jej spojrzenia.

- Czy ty nie rozumiesz, że to zmienia wszystko?

- Rozumiem tylko tyle - wyrzekł z wolna - że gdybym ci wtedy powiedział, straciłbym cię. Gilbert chciał cię zabrać do kraju, widziałem to w jego oczach tamtego wieczoru na balu.

Pomyślałem, że gdybym cię miał przez jedną noc, jedną jedyną, wtedy łatwiej byłoby mi znieść wszystkie następne noce bez ciebie. To był błąd, nie jedyny, jaki popełniłem, ale chyba najcięższy.

- Miałam o tobie lepszą opinię.

- Naprawdę? - W kąciку jego ust pojawił się krzywy uśmiezek. - Pochlebia mi to i cieszy mnie. A na swoją obronę dodam tylko, że wprawdzie domyślałem się, iż ci mężczyźni w Paryżu, a także ci na stacji kolejowej, nie byli wysłannikami twojego męża, lecz nie byłem tego do końca pewien. Nawet teraz nie wiem tego na pewno. Nigdy przedtem na mnie nie napadano. Być może to z powodu tej wojny i tego, co z niej wynika. A może nie.

Ścisnęła rękami głowę, która zaczęła ją boleć, przetarła oczy.

- A może to tylko twoje kolejne wymówki.

- Ach, tak - odparł głosem wypranym z emocji. - A może to tylko ty szukasz pretekstu, żeby jednak wrócić do Gilberta.

- Nie! - Cofnęła się, jakby otrzymała cios.

- Widzisz - podszedł do niej - te niedomówienia między nami to broń obosieczna.

Ranią cię, ale i ja doświadczam bólu.

Skinęła głową niepewnie, po czym odetchnęła i opadła na szeslong.

- Wiem. Przepraszam cię.

Zasześciło ubranie, gdy rzucił się na kolana u jej boku. Podniósł jej rękę do swoich ust, potem wziął w swoje obie dłonie.

- Nie mogę znieść tego, że rani się nawzajem. Być może starając się ochronić cię, niszczy naszą miłość i wzajemne zaufanie. Jeśli tak się stanie, to znaczy, że twoje poświęcenie dla mnie straci wszelkie znaczenie, a nasza miłość utraci wszelką wartość.

Przerwał i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w jej twarz. Na jego czole perliły

się krople potu, choć nie było upału, ręce leciutko mu drżały. Zwiłszy wargi.

- Z tego powodu składam decyzję w twoje ręce.

Wiem, że twoja troska o dziecko, które nosisz, jest nie mniejsza niż moja. Czy chcesz usłyszeć, kim jestem, czy wolisz pozostać w błogiej, bezpiecznej nieświadomości?

Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego złożonych dłoniach, które trzymały jej drugą rękę. Z miłością i zdecydowaniem powiedziała:

- Powiedz mi, i powiedz mi to szybko, póki mam odwagę słuchać. Chcę wiedzieć o tobie wszystko, choćby potem miał nastąpić koniec świata. Jak mam poznać swoje dziecko, jeśli nie będę znać jego ojca?

Wciągnął głęboko powietrze, potem wypuścił. Głos miał pewny, gdy zaczął mówić:

- To się zaczęło prawie dwa lata przed moim urodzeniem, w roku 1825, a może naprawdę zaczęło się wcześniej, lecz ujawniło w tym roku. Mój ojciec czuł się źle w swoim małżeństwie i na swoim stanowisku. Jego żona była chorowita, nie mieli dziecka ...

Kontynuował, słowa płynęły coraz łatwiej, z większą jasnością, w miarę jak historia nabierała kształtów. Przedstawiał fakty bez zakłopotania i bez dumy, szczerze i bez niedomówień. W sumie nie była to długa opowieść. Lecz zmieniała wszystko.

Kiedy zamilkł, Violet siedziała nieruchomo i wpatrywała się w przestrzeń. Była oszołomiona, jakby otrzymała niespodziany cios w głowę. Nie tyle nie dowierzała, ile nie chciała uwierzyć.

Tej opowieści nie mogła zapisać w swoim diariuszu.

Pewnie nigdy nie będzie jej mogła przelać na papier, nigdy opowiedzieć nikomu, nawet dziecku, które teraz nosi pod sercem, wyszeptać do ucha, gdy już dorośnie.

Z ciętym sercem czuła, jak wszystkie na wpół uświadomione plany i nie dokończone marzenia, które snuła w duchu - ulatują bez śladu.

- Nie martw się tak - powiedział Allain chrapliwie.

Wróciła spojrzeniem do jego twarzy. Wargi ułożyły jej się w drżący uśmiech, podniosła rękę i pogładziła jego zmarszczki, które utworzyły fałdę między brwiami. - Nie martwię się - powiedziała spokojnie. - Już dobrze. Jego rysy rozluźniły się odrobinę.

- Powiedz mi, co myślisz. Muszę wiedzieć.

- Myślę, że cię kocham i że zawsze będę cię kochać.

Skłonił głowę, ciepłymi wargami przylgnął do jej chłodnych palców, które wciąż trzymał w dłoniach. Podniósł wzrok.

- Nie bardziej, niż ja ciebie kochać będę. Pomyślała, że te słowa brzmią jak przysięga, jak ślub, jedyny, jaki będzie jej dane usłyszeć. Ale to jej wystarczało.

- Myślę też - ciągnęła po chwili - że musimy natychmiast wyjechać z Wenecji.

- W twoim stanie? Czy to możliwe?

- Dlatego z tym zwlekałeś? Ogólnie jestem zdrowa. Poranne mdłości to rzecz normalna, nie ma co się tym przejmować.

- Chyba najlepsza byłaby wieś, nie śadne miasto, w którym można się mnie spodziewać. Signora da Allori ma siostrę, która jest posiadaczką willi, wiejskiej rezydencji koło Florencji. Savio nas tam zawiezie z listem polecającym, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, chyba że nie zechcesz. Potrzebna tylko twoja zgoda.

To będzie łatwa podróż, może nawet zbyt łatwa.

- Jeśli uznajesz, że to dobre rozwiązanie, to masz moją zgodę. Ale czy nie poświęcasz swojego bezpieczeństwa w imię mojej wygody?

- Zrobiłbym to bez namysłu. Ale zapominasz, że twoje bezpieczeństwo zależy od mojego, przynajmniej póki dziecko się nie narodzi.

- W takim razie - powiedziała po prostu - ufam, że uchronisz nas wszystkich.

Podczas pobytu w willi Allain skończył malować miniaturę, którą rozpoczął w Wenecji. Ten portrecik Violet to najlepsza rzecz, jaką namalował w Syciu - tak twierdził. Natchnienie było w jej uśmiechu, powiedział, w uśmiechu lekkiej wyższości, uśmiechu kogoś, kto zna tajemnicę.

Violet nie wiedziała, że może tak wyglądać, tak czarująco, tak pogodnie. Oskarżyła go o pochlebstwo. Zaprzeczał gwałtownie. Podobieństwo jest uderzające, portret jest doskonały. Najwyraźniej słyszy jej wiejskie powietrze.

Co do tego to miał rację.

Willa była stara, miała popękane dachówki, a brązowe kamienie, z których ją zbudowano, kruszyły się na krawędziach; wysoki mur pokryty był siatką rys i pęknięć. Z okien rozciągał się rozległy widok na falujące wzgórza pokryte szarawymi gajami oliwnymi i zielonymi winnicami, na których stały parasolowate pinie.

Sufity wewnątrz pomalowano w nimfy igrające wśród chmur, na ścianach wisiały gobeliny, marszczące się w wietrzyku, który wpadał przez okna niosąc ochłodę. Z kuchni i przylegającej do niej jadalni wychodziło się do otoczonego murem ogrodu. Zaczysze to miało długie podcienia, rosły tu krzaki róś o powyginanych gałęziach i bujne winorośle; panowała tu klasztorna cisza.

Willi nie można było nazwać wygodną. Wodę do gotowania i mycia nosiło się ze źródła, który znajdował się w ogrodzie. Stajnie popadły niemal w ruinę, w słobach zagnieździły się kury i kaczki. Do najbliższej wioski było ponad pięć kilometrów, a w niej zaledwie parę domków i kościoł. Violet jednak polubiła to miejsce, dla jego wieku - mimo jego niedoskonałości - a także z powodu przeczucia, że było już kiedyś schronieniem dla jakichś kochanków.

Większość czasu spędzali z Allainem w ogrodzie.

Ustawił tu swoje sztalugi pod winoroślą, na kawałku mozaiki, która zapewniała im równe podłogę, i gdzie było dobre światło. Mieli tu też stół i kilka wygodnych krzeseł, więc dość często jadali w ogrodzie.

Panował tu spokój i poczucie bezpieczeństwa, do uszu dobiegały jedynie śpiewy ptaków, brzęczenie pszczół, szmer i plusk fontanny. Roślin doglądał dozorca willi, młody człowiek o imieniu Giovanni, który opiekę nad domem i ogrodem przejął po ojcu, a ten z kolei po swoim ojcu. Giovanni uwijał się niezmiernie, przynosił wodę ze studni dla gospodyni domu, swojej matki, Marii, przynosił też jajka ze stajni i cebulę z warzywnika z drugiej strony muru, przycinał róże albo kosił trawę pod ogromną srebrnoszarą oliwką, która rosła w narożniku. Gdy Violet patrzyła w jego kierunku, uśmiechał się zawsze i przechylał głowę w geście raczej pozdrowienia niż uniżoności.

Dzięki Giovanniemu nauczyła się rozpoznawać rośliny - od ogromnej i starej dzikiej róży do słodko pachnącej bazylii i lebiodki, szalwi, szalotki i mięty rosnących na geometrycznie wytyczonych rabatkach.

Giovanni był cichym, niezwykle uprzejmym i ładnym młodzieńcem o kręconych czarnych włosach, brązowych oczach i mocnych rękach nawykłych do pracy fizycznej. Miał swój własny ogródek, w którym uprawiał warzywa i kwiaty na sprzedaż. Jego kuzyn woził je raz w tygodniu na targ do Florencji, odległej o jakieś trzydzieści kilometrów. Giovanni opowiadał, że wiosną, kiedy kwitną w ogrodzie róże, zbiera ich opadające płatki. Robi z nich ekstrakt, tak jak jego ojciec i dziad, butelkuje go i tak je sprzedaje.

Violet to zainteresowało, więc Giovanni zaczął ją wtajemniczać w szczegóły procesu ekstrakcji i pokazał jej sprzęt, którego używa. Bardzo się cieszył, że znalazł się ktoś, kogo interesują olejki eteryczne i esencje zapachowe.

Proces produkcji perfum okazał się niezwykle fascynujący. Zdawało się wręcz

niemożliwe, by poprzez zwyczajne prasowanie płatków kwiatów w zimnym oleju, następnie odsączenie go i rozpuszczanie w destylacie winnym, można było osiągać tak cudownie wonne rezultaty. Violet zapragnęła zrobić to sama z kwiatów rozkwitającego w nocy jaśminu. Rezultat okazał się zadziwiający, wręcz ją oszołomił. Tak jakby wydobywanie woni z kwiatów i utrwalanie jej było ocaleniem ich duszy, budzeniem ich do nowego, cudownego drugiego Śycia.

Pewnego wieczoru wracała razem z Giovannim z szopy, w której urządził on swój warsztat perfumeryjny. Weszła przez boczną furtkę do ogrodu za murem, śmiejąc się w głos z jakiejś zabawnej uwagi młodzieńca, gdy nagle zobaczyła stojącego pod winoroślą Allaina, który przyglądał im się uważnie.

Giovanni zarumienił się lekko pod jego ciężkim spojrzeniem. Pozdrowił go jednak, a następnie skłonił się przed Violet.

- Dobranoc, madonna - wymamrotał i poszedł do domu.

Violet zbliżyła się do Allaina i wsunęła się w objęcie wyciągniętego ku niej ramienia. Oczekwała, aś młody ogrodnik zniknie we wnętrzu domu, po czym odezwała się:

- Nie masz mi za złe, że spędzam czas z Giovannim, prawda? On tak chętnie pokazuje mi kwiaty i perfumy, wiesz, jak to lubię. W stosunku do mnie zawsze jest poprawny, zachowuje należyty dystans.

- Powiniennem być zazdrosny - odparł, uśmiechając się do niej. - Naszego Giovanniego dzieli od zakochania się w tobie mniej niż jeden krok.

- Aleś nie - zaprotestowała. - Na poparcie tego mam największy autorytet w tych sprawach, jego matkę, która twierdzi, że on bez opamiętania flirtuje z dziewczuchami ze wsi i że co najmniej tuzin z nich jest gotowych wyjść za niego choćby jutro.

- Być może, ale potrafię odczytać nieomyłne znaki.

Może i flirtuje z innymi, ale ciebie ubóstwia. Zauważ, jak się do ciebie zwrócił przed chwilą: „madonna”, to znaczy „nasza pani”. Dawny zwrot, wyrażający największy szacunek, używany niegdyś w stosunku do wysoko urodzonych dam, dziś zarezerwowany jest prawie wyłącznie dla Matki Boskiej, Marii. Nie ma dla kobiety piękniejszego komplementu, nie mógłby okazać ci większego przywiązania.

- Nie mogę w to uwierzyć. Przecież nie zrobiłam nic, co by go mogło zachęcić, naprawdę.

- Nie musiałaś. Wystarczyło, że byłaś sobą.

- Aleś ja się spodziewam dziecka! - Pokręciła głową z niedowierzaniem zmieszany z rozbawieniem.

- Wyglądasz kwitnąco, coraz słodsza i piękniejsza z każdym dniem. Dlaczego

Giovanni nie miałby cię uwielbiać. Nie mogę mu tego mieć za złe, bo sam ciebie uwielbiam.

Allain dbał o to, by prawić jej takie komplementy.

Nie dlatego, jak sądziła, że uważał, iż potrzebne są jej zwłaszcza teraz, kiedy jej ciało zaczęło tracić swoją smukłość. Miała wrażenie, że po prostu nie chce przepuścić żadnej okazji, żeby nie okazać jej, jak bardzo ją kocha. Uwielbiała go za to, ale stwarzało to dziwne poczucie tymczasowości, zupełnie jakby obawiał się, że przyjdzie czas, gdy go zabraknie i nie będzie mógł mówić jej takich rzeczy.

Tak czy owak byli szczęśliwi. Dni mijały i noce.

Śmieli się, śpiewali razem wieczorami, dotykali się i obejmowali. Oglądali łagodne zachody słońca za wzgórzami i jeszcze łagodniejsze wschody. Jadali cudowne pieczone mięsiska i świeże warzywa gotowane w oliwie z oliwek i przyprawiane ziołami, popijając codziennie innym winem. I kochali się w wielkim łosie pod baldachimem, jakby uczestnicząc w świętej komunii.

Wieści, które zburzyły ich spokój, przyniósł Giovanni. Miał je od kuzyna, który podczas pobytów na targu we Florencji odwiedzał czasami śliczną, młodą córkę kucharki owej leciwej damy, do której należała willa, a która to dama była siostrą signory da Allori z Wenecji.

Otóż signora da Allori zmarła. Umarła na atak serca zdybawszy nocą intruza, który myszkował po domu.

Według Giovanniego siostra wdowy twierdziła, że umarła z przerażenia. Miała siniaki na całym ciele i złamany mały palec.

Czy to przypadek? Czy ta śmierć signory da Allori miała związek z ich pobylem w jej domu? Czyby nocny intruz próbował siłą wydobyć ze starszej pani wiadomość o tym, gdzie ukrywają się Violet i Allain?

- To moja wina - powiedział Allain - należało przewidzieć, że coś takiego może się stać.

- Skąd mogłeś przypuszczać, że posuną się tak daleko? - odparła Violet z lękiem w głosie. - To była tylko stara kobieta, która wynajmowała mieszkanie w swoim domu. Skąd im przyszło do głowy, że ona wie coś więcej o nas?

- Coś ich przycisnęło do muru. Teraz jest tyle niepokojów politycznych wszędzie, nie ma kraju, nad którym nie wisiałoby widmo rewolucji. W każdej chwili mogą się zacząć walki na Krymie. To dobry pretekst dla każdego.

- Ale co mogłeś zrobić, żeby ustrzec signorę?

Pokręcił głową.

- Mogłem przynajmniej udzielić wyraźnego ostrzeżenia. Próbowałem wytłumaczyć Savio tyle, ile mogłem bez wdawania się w szczegółowe wyjaśnienia. To, najwyraźniej, nie wystarczyło.

Wdowa i jej majordomus zostali poinformowani, że Violet i Allain ukrywają się przed szaleńczo zazdrosnym mężem Violet. Wydawało się, że to wystarczy.

- Myślisz, że ten nocny intruz uzyskał informację, o którą mu chodziło?

- Wygląda na to, że nie. Savio usłyszał krzyki wdowy i przybył na czas, by przepłoszyć tego człowieka. Biedna kobieta właśnie umierała.

Oboje polubili starszą panią w czasie tych tygodni, które u niej spędzili. Mimo cholerycznego usposobienia i głośnych tyrad, jakie wygłaszała do słuźby, była kobietą o dobrym sercu i zapewniła im zarówno swoje ciekawe towarzystwo, jak i tyle odosobnienia, na ile mieli ochotę. Myśl, że stali się mimowolnymi sprawcami jej śmierci, napełniała ich wyrzutami sumienia i odebrała cały smak i barwę następnym dniom.

Allain stał się milczący i przestał malować. Kwiaty na perfumy wędły, zbliżała się jesień, lecz Violet straciła zainteresowanie nimi. Poranne mdłości minęły, apetyt wrócił jej wprawdzie, ale nic jej nie smakowało tak, jak powinno, nie pomagała żadna przyprawa.

Zdarzały się noce, gdy Violet budziła się i widziała, jak Allain stoi w oknie, wpatrując się blado błękitne wzgórza w świetle gwiazd. Zdarzały się poranki, gdy budziła się i widziała, jak leży przy niej i obserwuje ją z zatroskanym, wręcz udręczonym wyrazem twarzy. Czasami przytulał ją i ścisnął tak mocno, że nie mogła złapać tchu, a on zanurzał swoją twarz w wygięciu jej smukłej szyi albo w zagłębieniu między białawymi wzgórkami jej piersi. Często kładł swoją rozpostartą dłoń na jej brzuchu, gładził go i pieścił.

Lubił przyglądać się, jak myje swoje długie, bujne sploty, pomagał jej rozczesywać splątaną gęstwinę. Rozkładał połyskliwą masę włosów na jej ramionach, by wysychały na słońcu, brał je w ręce garściami i przykładał do nozdrzy, wdychając ich zapach. Potem odsuwał na bok ciepłe pasma i całował ją w kark.

Pewnego wieczoru, po kolacji, gdy Maria i Giovanni już poszli, Violet i Allain

siedzieli pod winoroślą patrząc, jak księżyc wschodzi nad ogrodowym murem. Powietrze pachniało świeżo skoszonym sianem i palonym drewnem.

Winne latorośle szeleściły cicho nad ich głowami, targane łagodnym zefirkiem.

Cienie, rzucane przez liście w świetle księżyca, poruszały się w hipnotycznym, nieustannym rytmie. Allain trzymał ją za rękę, pieszcząc delikatnie kciukiem. Kiedy się odezwał, głos miał spokojny:

- Jest coś, co miałem zamiar powiedzieć ci już dawno. Ale jakoś nigdy nie znalazł się odpowiedni moment albo ... a zresztą, wszystko jedno. Wysłuchaj mnie uważnie. Gdybyś z jakiegokolwiek powodu została kiedyś sama, carita, musisz pójść do notariusza, którego nazwisko i adres ci podam. On da ci do dyspozycji środki ...

Lęk sprawił, że głos jej zabrzmiał ostro:

- Chodzi o pieniądze? Ale ja przecież nie chcę ...

- Wiem, zaufaj mi, wiem, Violet. Ale wysłuchaj mnie. To jest sprawa, którą musiałem uregulować dla spokoju własnego sumienia. Pozwól, że ci o tym powiem i, proszę cię, zapamiętaj to dobrze, zrób to dla mnie.

- Czy sądzisz ... - przerwała, nie mogąc znaleźć właściwych słów na wyrażenie swojego lęku. Zacisnęła palce na jego dłoni.

- Nie wiem. Wiem tylko, że to jest jedna z wielu rzeczy, które muszę zrobić, żeby chronić ciebie i nasze nie narodzone dziecko. Pozwól mi, proszę.

W jego głosie brzmiał taki ból i takie błaganie, że nie mogła odmówić.

- Dobrze - powiedział z ulgą, kiedy już nie protestowała. - Więc słuchaj.

Wysłuchiwała go w skupieniu. Kiedy upewnił się, że zrozumiała wszystko, zamilkł.

Zapadała wokół nich noc, a księżyc wisiał nad nimi jasny, ogromny i nieruchomy.

Allain wstał i ukląkł u stóp Violet. Przytulił ją i położył głowę na jej łonie. Ona

gładziła palcami jego sprężyste falujące włosy, dotykała twarzy wnętrzem dłoni i próbowała objąć jego szerokie ramiona swoimi drobnymi rękami. Trwali bez ruchu długie chwile, potem on szepnął:

- Chodź, połóż się ze mną.

Rozłożył obrus ze stołu na starych kamiennych płytach, pociągnął ją ku sobie. Leżeli długo, a księżycowy blask tańczył w ich oczach. Potem on łagodnie odwrócił się do niej i powymował szpilki z jej włosów. Pocałował ją w powieki, w policzki, czoło, płatki uszu i w czubek brody. Z powolną i uważną troską uwolnił ją z ubrania, potem zdjął swoje, a leżeli całkiem nagi, a ich skórę pokrywały cienie liści winorośli.

Jego dotyk był pełen uszanowania, jego usta ciepłe i wilgotne; z wielką uwagą poświęcał się każdemu pulsującemu zagłębieniu i każdej wypukłości jej ciała. Jak ślepy skąpiec, który liczy swoje zapasy złotych monet, rozpoznając dotykiem ich kształty i rozkoszując się nimi, tak on składał jej swój hołd.

Przylgnęła do niego, rozpływała się w rozkoszy.

Poświadczenie płynęło w jej żyłach, a wraz z nim hojność tak ogromna, tak bujna, Śe zdawała się prawdziwym błogosławieństwem, miłosnym sakramentem.

Przywarł do niej, dobijając się upragnionego wejścia, wzięła go do środka z powolną uwagą. Poruszali się łagodnie, bardzo łagodnie, oddychając płytko, nierówno, jakby próbowali okiełznać całą siłą woli i rozwagi tę burzę, która rozpętała się wewnątrz nich.

Drżący, wstrząsani wściekłymi jej atakami, powściągali gwałtowność, która się w nich budziła, bo nie chcieli skrzywdzić dziecka, które uościło się pomiędzy nimi. I w nagrodę oblała ich gorąca fala szaleńczej rozkoszy, która śpiewając rozlewała się w ich żyłach, wzbierając jak powódź w ich łomoczących sercach.

Potem Allain przygarnął ją, tulił, szepcząc miłosne słówka. Gdy ich ciała ostygły,

zebrał ubrania, zaniósł je do sypialni, a potem wziął Violet na ręce i przeniósł na łóżko. Leżał przy niej, gdy zasnęła, wdychając aromat jej ciała, i słuchał mocnego, regularnego pulsowania własnej krwi w ścianach. Nie spał.

Gdy nadszedł ranek, Violet obudziła się w łóżku pod baldachimem sama.

Nie zaniepokoiła się szczególnie. Pomyślała, że Allain wyszedł przynieść jej kawę do łóżka, jak to czasem robił, albo postanowił wykorzystać poranne światło do utrwalenia jakiegoś widoku na płótnie, albo też zwyczajnie poszedł na spacer. Znajdzie go w ogrodzie albo przy śniadaniu. Może poszedł do stajni popatrzeć na kocięta, które kotka powiła parę dni wcześniej. Albo pojechał do Florencji coś załatwić i zajęło mu to więcej czasu, niż planował. Albo też zostawił jej kartkę z wyjaśnieniem, a wiatr ją gdzieś porwał.

Przez całe rano podrywała się na każdy odgłos kroków, na każdy szmer liści na wietrze. Chodziła w tę i z powrotem z sypialni do ogrodu, trzykrotnie pod byle pretekstem zaglądała do stajni. Pytała o niego Marię, a słysząc swój własny głos zabarwiony nutką histerycznego lęku, postanowiła wziąć się w garść, żeby nad nim zapanować. Chciała zapytać Giovanniego, ale pojechał do kuzyna z jarzynami na targ.

Wrócił późnym popołudniem. Violet zobaczyła go z ogrodu. Zbliżył się do niej wolnym krokiem, ze spuszczonej oczami. W ręku trzymał wiązkę kwiatów, raczej wiecheć niż bukiet.

- Proszę mi wybaczyć, madonna - powiedział cicho. Miałem go pani przynieść dziś rano, i zrobiłbym to, ale spała pani i nie chciałem jej budzić. To zbyt mało, by nazwać to bukietem, ale właśnie takie, a nie inne kwiaty polecono mi pani ofiarować.

Wzięła ostrożnie wiązkę, obejrzała z jednej i drugiej strony. Były tam nagietki, jaskrawopomarańczowe i pachnące, wokół nich owijał się ciemnozielony bluszcz.

Bładoniebieskie niezapominajki kryły się skromnie wśród postrzępionych liści mniszka.

Zachrypnięty głos z trudem przedarł się Jej przez gardło:

- Czy to od signora Massariego?

- Tak, madonna.

Zamknęła oczy, nie mogąc znieść widoku więdnących kwiatów.

- Dziękuję, Giovanni. MoŜesz odejść.

- Jest jeszcze coś, madonna.

- Tak? - Podniosła wzrok z nagle rozbudzoną nadzieją.

- Mam pani słuŜyć za obrońcę.

- Za obrońcę ... - Ostatnia iskierka nadziei zgasła.

- Na śmierć i Őycie. To przywilej, jakiego nie oczekiwałem. Wielka przyjemność dla mnie i zaszczyt.

Co mogła mu rzec, gdy tak stał przed nią, gotów na kaŜde jej skinienie. Nie mogła mu przecieŜ powiedzieć, Őe go nie chce, nie potrzebuje, Őe woli tego obrońcę, który był u jej boku przedtem, Őe chce, by wrócił.

Zmusiła swoje wargi do nikłego uŐmiechu. - Dziękuję, Giovanni.

- Do usług, madonna.

Violet poczuła się, jakby odebrano jej oddech, odebrano jej Őycie. Młody ogrodnik odwrócił się i zaczął się od niej oddalać. Coś ją tknęło.

- Giovanni! - zawołała.

Odwrócił się natychmiast i podbiegł do niej.

- Jestem na kaŜde pani wezwanie.

Violet wzruszyła Őarliwość w jego głosie, ale nie poświęciła temu większej uwagi.

- Jak signor ci dawał te polecenia ... kiedy to było?

- Wczoraj ... przed zmierzchem.

- Rozumiem. Dziękuję jeszcze raz - wyszeptała.

Giovanni odszedł, chociaż oglądał się kilka razy za siebie ze zmartwioną miną. Violet usiadła z bukietem w cieniu winorośli. Położyła kwiaty na kolanach. Dotykała ich ostrożnie palcami, a łzy w jej oczach wzbierały piekącą falą.

Niezapominajki: prawdziwa miłość. Bluszcz: wierność.

Nagietki: smutek.

Mniszek: wyroki bogów.

To był list, wiadomość w swoistym języku, ich własnym języku.

Allain opuścił ją, postanowił odejść dla jej bezpieczeństwa. Albo z jakiegoś innego powodu, który teś mogłaby zrozumieć, ale nigdy pogodzić się z nim.

Tak jak rozumiała, ale nie mogła się pogodzić z wiadomością, którą jej przekazał kwiatami.

Kocha ją.

Będzie ją kochał aż do śmierci i nigdy nie pokocha mniej.

Smuci się z powodu rozstania. Czy wróci, tylko bogom wiadomo.

ROZDZIAŁ XVIII

Joletta odłożyła dziennik Violet, który czytała, i poszła do łazienki. Pochyliła się do lustra nad umywalką, żeby przyrzeć się sobie dokładnie. Oczy ma niewątpliwie czarne, jak Violet, a takśe jak jej własna matka i ojciec. Mimi miała oczy szare, Natalia ma szaroniebieskie, z przewagą szarości. Timothy ma oczy piwne.

Gilbert Fossier miał piwne oczy. Allain Massari - szare.

Co oczywiście nic nie znaczyło, bo Mimi wyszła za dalekiego kuzyna rodziny

Fossierów, potomka młodszego brata Gilberta, o którym Violet wspominała w dzienniku.

Wszyscy uważali, że Mimi i jej mąż, którego zwano Popem, są spokrewnieni.

Mimi musiała wiedzieć, że tak nie jest.

A może i było? Violet sama wydawała się niepewna, który z nich dwóch był ojcem dziecka.

Trudno było Joletcie przyjąć do wiadomości, że jej przodkowie ukrywali jakieś tajemnice. Przez tyle lat byli dla niej tylko imionami na drzewie genealogicznym, postaciami niemal legendarnymi.

Joletcie zawsze się wydawało, że podróż Violet i Gilberta do Europy była typowym przykładem wielkopańskiej ekstrawagancji, ostatnim akordem tego stylu. Sycia, któremu kres położyła wojna secesyjna. Nigdy nie wydawała się czymś nadzwyczajnym, nie było wokół niej najgłośniejszego skandalu ani wzmianki, że wiele się po niej zmieniło, z wyjątkiem pozyskania przez Violet słynnych perfum. Joletta słyszała jedynie, że Gilbert i Violet spędzili dwa lata w podróży i wrócili z córeczką.

Rone'a nie było. Wziął prysznic i wyszedł wcześniej, przed dobrymi dwiema godzinami. Starał się być cicho, myślał, że ona śpi. Joletta leżała plecami do niego i nie otwierała oczu, póki nie została sama. Potem sięgnęła po dziennik, aby się upewnić, że jest na miejscu, bezpieczny. Kartkując strony zwróciła uwagę na zapiski dotyczące początków ciąży Violet.

Zastanawiała się, czy Rone coś z tego wywnioskuje.

Jej zaczęło kiełkować parę pomysłów, opartych na znajomości historii, ale były zbyt mgliste, żeby mogły się przydać. Ciekawa była, czy Rone'owi coś przyjdzie do głowy.

Został mu jeszcze kawałek do przeczytania. Tym razem zamierzała pilnować, żeby dziennik spoczywał w jej torbie. Rone musiał go wyjąć poprzedniego dnia, dlatego mógł sobie wieczorem poczytać. W pośpiechu jakoś tego nie zauważyła.

Schowawszy bezpiecznie dziennik, wróciła do łazienki wziąć prysznic. Potem

ściągnęła włosy zwykłą drewnianą klamrą; nie umalowała się. Nigdy nie poświęcała zbyt wiele uwagi fryzurze i kosmetykom, a w jasnym świetle Italii i naturalnym sposobie bycia jej mieszkańców było coś, co sprawiało, że makijaż wyglądał sztucznie i nie na miejscu.

Wzięła z walizki T - shirt i modrą bawełnianą spódnicę i położyła na łóżku. Jej spojrzenie zatrzymało się na moment na wgłębieniu w poduszce, gdzie spoczywała głowa Rone'a. Odwróciła szybko wzrok.

Kładąc się koło niego do łóżka miała obawy, że być może będzie on chciał kontynuować to, co zaczęli poprzedniej nocy. Nic takiego nie zaszło. Albo uznał, że ona nie jest w nastroju, albo sam stracił trochę zapału zobaczywszy ją z Caesarem. W każdym razie trzymał się swojej połowy łóżka.

Ubierając się Joletta jeszcze raz pomyślała o związku Violet i Allaina. Byli ze sobą tak blisko, tak byli pewni tego, co czuli, mieli w sobie tyle szaru. Zastanawiała się, ile w tym było prawdziwej miłości, a ile seksualnego zauroczenia?

Tamtych dwoje miało szczęście, pomyślała. W tamtych czasach ludzie nie mieli tylu wątpliwości. Akceptowali to, co czują, w całości. Nie analizowali bez końca swoich związków, nie kwestionowali zależności od osoby, którą kochali, nie walczyli z tym. W napiętości, która wybuchła między nimi, była jakaś niewinność. Ich związek był czysty, nieskalany dekadentkami freudowskimi aluzjami ani nieustannym bombardowaniem przez środki masowego przekazu seksualnymi podtekstami. Była w nim świętość, wymiar duchowy, który dziś, w czasach pogoni za przyjemnością, został zagubiony.

Rozmyślenia Joletty przerwało pukanie do drzwi.

Otworzyła je w przekonaniu, że to Rone wraca albo że pokojówka przyszła posprzątać pokój.

- Hej! - zawołał stojący w drzwiach młody człowiek.

Stał w nonszalanckiej pozie, z rękami w kieszeniach drelichowych spodni, z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

- Timothy! - Uściskała go, zaskoczona i uradowana widokiem znajomej twarzy w obcym miejscu. - Skąd się tu wzięłeś?

- Z Korsyki. Przyleciałem w nocy - powiedział, odwzajemniając ochoczo uścisk.

Niedbałym ruchem odgarnął włosy z oczu i spytał: - Jadłeś śniadanie? Natalia twierdziła, że cię nigdy nie znajdzie, ale założyłem się z nią o dwudziestkę, że mi się uda.

Poszli do hotelowej restauracji na standardowe kontynentalne śniadanie. Bułeczki i rogaliki z masłem i marmoladą stały już na stołach, wraz z dzbankami gorącej kawy i mleka.

Timothy zwierzył się, że znudziło go opalanie, jachting i oglądanie antycznych ruin, więc postanowił zobaczyć, jak jej i Natalii idzie z perfumami. Uznał, że powinien wykazać minimum zainteresowania.

- No i jak się udało? - zapytał, odgryzając spory kawałek rogalika.

Jego bezpośredni sposób bycia był miłą odmianą po pretensjonalności Natalii. Joletta przedstawiła mu sytuację bez koloryzowania.

Pokiwał głową, przełykając.

- Tak myślałem. Przegrana sprawa, moim zdaniem. Powiem ci, co bym zrobił na twoim miejscu: po prostu powłóczyłbym się tu trochę i nieźle zabawił.

- Tak też właśnie robię - odparła.

- No nie, mówię poważnie. Bo właściwie, co to za wielka sprawa? Czym się różnią jedno perfumy od drugich? Powinniśmy zrobić naradę rodzinną, wyciągnąć coś z zapasów Mimi i powiedzieć tej Camors, że to stara rodzinna receptura. Kto się na tym pozna?

- Lara Camors. Jeśli ma nos znawcy.

Wzruszył ramionami.

- Tak twierdzisz. Ale zawsze można jej wmówić, że zapach jest trochę inny, bo nie można już dziś dostać jakiegoś składnika, czy coś w tym rodzaju.

- Mnie to nie pomoże, jeśli zdecyduję się dalej prowadzić pracownię. Mnóstwo kobiet w Nowym Orleanie używało tych perfum od dziesiątków lat i gwarantuję ci, że poznają się, jeśli nie będą takie same.

- Ale coś trzeba wymyślić, i to szybko. Matka mało się nie wścieknie. Można by pomyśleć, że pójdzie z torbami, jak jej się nie uda ta transakcja.

- Mnie się już dostało - powiedziała Joletta z kwaśną miną.

- Mnie też. - Twarz mu spochmurniała. - Grozi, że przestanie dawać mi pieniądze i będę musiał pójść do roboty! To wtedy, kiedy budżet szlag trafia.

Joletta przechyliła głowę.

- Takie straszne byłoby dołączyć do naszych szeregów siły roboczej?

- Bo ja wiem, może i nie, gdybym cokolwiek umiał. Problem polega na tym, że nie mam studiów. Matka nie mogła się zdecydować, na co powinienem pójść, no i zostałem zawodowym plaśowiczem.

- A czy przypadkiem to nie ona zasugerowała ci, żebyś skrócił trochę plaśowanie i przyjechał tu pomóc Natalii w pilnowaniu mnie?

Poczerwieniał nieco na twarzy.

- Wiesz, jaka ona jest ... a może nie. Właściwie nie kazała mi tu przyjeżdżać, ale gadała i gadała, a ja zrozumiałem aluzję.

Joletta pociągnęła łyk kawy.

- Nie mogę pojąć, dlaczego aż tak zależy jej na pieniądzach.

- Nie masz pojęcia. Forsa, kasa, sałata. Zawsze tego nam trzeba. Jesteśmy kosztowną rodziną. Trudno dotrzymać kroku ludziom, którzy mają tego jak lodu. Roześmiał się z cicha.

- Biedna Natalia, pewnie znów będzie musiała wyjść za mąż. To jej się nie spodoba. A może i tak, zaleśy od faceta. Zdaje się, że dopadła już jakiegoś dobrze zapowiadającego się.

- Naprawdę? Tu, w Wenecji?

Kiwnął głową, przelękając gorącą kawę.

- Naczelnny dyrektor w „Camors Cosmetics”, a na dodatek syn właścicielki. Natalie

umówiła się z nim dziś na śniadanie w „Cipriani”, gdzie się zainstalowała. - Naprawdę? -

Hotel „Cipriani” nie należał w żadnym razie do tanich. Ciekawe, że właśnie teraz przyjechał do Wenecji ktoś z „Camors”:

- Dlatego wiedziałem, że będziesz teraz wolna. Timothy z przeproszącą miną wziął następną bułeczkę.

- Co? - Joletta miała ochotę posmarować rogalik dżemem morelowym, ale zrezygnowała z niego.

- Moja droga siostrzyczka zdaje się uważa, że to wspaniałe pociągnięcie; cieszy się jak motocyklista z nowego Harleya. Facet leciał na ciebie, ale zagięła na niego parol i owinęła go sobie wokół palca.

Joletta podniosła wzrok.

- Leciał na mnie?!

- Tak mówiła. Prawdę mówiąc, gość w sam raz dla ciebie. Kryształowy chłopak, kindersztubę widać na każdym kroku. Mówią, że to szef dużego kalibru: skuteczny w działaniu, nawet twórczy; nadzoruje własną firmę reklamowo - promocyjną. Nieładnie tak go podejść, ale cóż, w miłości, na wojnie i w interesach wszystkie chwytaki są dozwolone.

Joletta odłożyła bułeczkę. Straciła nagle apetyt. Jej głos brzmiał ochryple i drżał, gdy pytała:

- Ten dyrektor, jak on się nazywa?

- Niech się zastanowię - wymamrotał Timothy z pełnymi ustami. - Coś

arystokratycznego. Adamson. Jakiś trzeci, czwarty czy piąty z rzędu.

- Jesteś pewien?

- Aleś tak. Tyrone Adamson, na pewno.

Poczuła falę mdłości. Przełknęła z trudem ślinę, ale nadal miała gęsią skórę na ramionach i czuła chłód w okolicy serca.

- Dobrze się czujesz? - Timothy przyjrzał się jej uważnie. - Chyba nie powiesz mi, że nie wiedziałaś, kim jest ten Adamson.

Nie odpowiedziała wprost.

- Dlaczego ma inne nazwisko niż matka?

- To zdaje się syn jej drugiego męża, czy coś takiego. Ta baba była zamężna chyba z milion razy.

- Znasz ją? A Rone'a?

- Starszej pani zostałem przedstawiony, kiedy w zeszłym roku służyłem mamie za osobę towarzyszącą na balach dobroczynnych i rozmaitych przyjęciach w Nowym Jorku. Nie rozmawiałem z jej synem aż do dzisiejszego ranka, on chyba nie przepada za Syciem towarzyskim.

- Nie do wiary. - Głos miała urywany, a oczy zaszyły jej mgiełką smutku.

- Będziesz jadła tego ostatniego rogalika? Nie? Timothy wziął go z jej talerza. -

Powiadają, że jego matka zbudowała własnymi siłami to imperium kosmetyczne, ale zrobiła to za pieniądze jego tatusia. Po rozwodzie tatulek utrzymał pakiet większościowy akcji. Rone dostał to po jego śmierci, więc ma w firmie wiele do powiedzenia. Właściwie to on podejmuje ostateczne decyzje.

- Na przykład, czy kupić perfumy, i co zrobić, żeby dowiedzieć się, jak wylądowali z

poszukiwaniami receptury.

- OtóŜ to. - Pokiwał głową z uznaniem. - I gość jeździ za tobą po Europie nie mówiąc, kim jest, tłucze się autokarem wycieczkowym, chociaŜ przyzwyczajony jest latać concordem. BoŜe, co za cwaniaczek.

Nie mogła tego dłuŜej znieść. Musiała wyjść. Musiała to przemyśleć, połapać się w swoich uczuciach, bo mieszanina bólu i wściekłości groziła eksplozją.

Zerwała się na nogi i poprawiła pasek cięŜkiej torby na ramieniu.

- Słuchaj, przepraszam cię, naprawdę, ale muszę juŜ iść. Śniadanie idzie na mój rachunek.

- Nie trzeba - zaprotestował.

- Pozwól. Jak długo zostajesz w Wenecji?

- To zależny. - Wzruszył ramionami.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- Na razie w „Cipriani”; z Natalią. - Wyszczrzył zęby. - Jutro trzeba będzie się przenieść do przytułku. Co mi tam, towarzystwo pewnie miłsze.

- Złapię cię później. - Odwracała się juŜ, by odejść, ale zatrzymała się jeszcze na moment. - Masz dość pieniędzy?

Skrzywił się.

- Wystarczy. Nie wiadomo tylko, na jak długo. Nie przejmuj się, nic mi nie trzeba.

Poklepała go po ramieniu i szybko odeszła. Bała się zostać, bała się, Ŝe za chwilę wybuchnie płaczem. Czuła się jak ostatnia idiotka. Nic jej się nie udaje, nawet zakochać się nie potrafi z sensem.

Na tę myśl stanęła jak wryta, tak Ŝe kelner, który szedł za nią z tacą z dzbankiem kawy i garnuszkem gorącego mleka, uskoczył na bok z okrzykiem. Wymamrotała przeprosiny i

ruszyła znowu.

Nie. Tak .nie może być. Wcale nie jest zakochana, nie pozwoliłaby sobie na to.

Nie jest jakąś oderwaną od rzeczywistości wiktoriańską niewiastą, która najpierw musi oddać mężczyźnie serce, zanim pójdzie z nim do łóżka. Jest nowoczesna i rozsądna.

Seks to wspaniała odtrutka na stres, miła rozrywka na niedzielne popołudnie i doskonały sposób, żeby kogoś lepiej poznać. Nie potrzebuje koronek, perfum i kwiatów, nie wymaga poświęceń, miłosnych zaklęć i przysięg wierności.

Potrzebowała po prostu męskiego ciała, doświadczenia i trochę rozmowy.

Tak. I oparcia.

I odrobiny czułości. Może trochę humoru. Troski.

I uczciwości.

Tylko tyle i nic więcej. Niech go szlag trafi. Niech go szlag.

Zatrzymała się przy kontuarze recepcji i zostawiła wiadomość, że rezygnuje z przedpołudniowej części programu zwiedzania. Nie jest w stanie. Przynajmniej nie teraz.

Odwróciła się, zmierzając ku otwartym drzwiom na ulicę, i zobaczyła zbliżającą się wysoką sylwetkę.

Rone. Stała jak wryta. Było jednak za późno, by się przed nim schować.

- Cześć! - zawołał. Przystąpił szeroki marmurowy próg i zręcznie ominął tęgą turystkę w swetrze w amerykańskich barwach narodowych. Głos miał radośnie bez troski.

Joletta obrzuciła go spojrzeniem, które miało zmrozić go na kość, i minęła nie odezawszy się słowem. W chwilę później była za drzwiami i wmieszała się w tłum zaspanych Włochów spieszących do pracy. Skręciła w stronę pobliskiego nabrzeża.

Szybkie, mocne kroki rozległy się tuż za nią. Rone chwycił ją za rękę, zmuszając, by się zatrzymała.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał krótko. Odwróciła się z pociemniałymi od gniewu oczami.

- Absolutnie nic się ze mną nie dzieje. Po prostu dowiedziałam się, że człowiek, z którym dzieliłam łóŜko, to podlec i kłamca.

Jego mina wyrażała bezbrzeŜne zdziwienie:

- O czym ty mówisz?

- Doskonale wiesz, o czym mówię. - W jej głosie zabrzmiała jadowita pogarda. - I mam nadzieję, że znalazłeś wczoraj w dzienniku Violet coś, co się przyda twojej mamusi, bo już nigdy więcej do niego nie zajrzysz.

Wyszarpnęła ramię z jego uścisku, odwróciła się na pięcie i odeszła. Dogonił ją i znów chwycił za rękę, żeby ją zatrzymać.

- Poczekaj - na jego twarzy pojawił się smutek - nic nie rozumiesz.

Wściekłość, która w niej wrzała, wykipiała na zewnątrz.

- Wszystko rozumiem! Myślałeś, że się nie dowiem?

Myślałeś, że dam się wykorzystywać, dopóki nie dowiesz się wszystkiego, co ci się może przydać? A co z Natalią? Powinnam się była czegoś domyślić, kiedy tak się dałeś poprowadzić na smyczy.

- Nie o to chodzi - zaczął. - Nie miałem zamiaru ... Joletta zauwaŜyła zaciekawione spojrzenia rzucające w ich kierunku przez przechodniów, tę ludzką rzekę, rozstępującą się wokół irytującej przeszkody, jaką oboje stanowili. Zignorowała je.

- Nie miałeś zamiaru?! No, ale skoro się przytrafiło, to szkoda było przepuścić okazję, tak? Bo jak o tym pomyślę, to miałabym ochotę się zabić ... albo ciebie, i to gołymi rękami.

- Joletto, przestań - powiedział zniŜając głos. - Nie rób sobie krzywdy.

- Ja? To ty, draniu, zrobiłeś mi krzywdę! Tymi swoimi podłymi sztuczkami.

Powinam była się domyślić, że coś kombinujesz, kiedy ten twój południowy akcent gdzieś się rozmył. Mam ciebie dość, nowojorski jankesie. Wynoś się z mojego pokoju, z mojej wycieczki, z mojego życia. Nie chcę cię widzieć na oczy. Przenigdy.

- Nie da rady - odparł.

Ona zamrugła, zaskoczona, słysząc niewzruszoną determinację w jego głosie.

- A co to ma znaczyć?

- Nie odstąpię cię na krok. Akcent akcentem, ale w moich słowach płynie krew

Stuartów, którzy wydali na świat .konfederackiego generała, i jestem równie uparty jak ty.

Nie zrobisz kroku, jeśli bym nie był tu przy tobie, póki to wszystko się nie skończy.

- Jeśli sądzisz, że pozwolę ci włączyć się za mną, to lepiej się zastanów jeszcze raz.

- Nie masz wyboru.

Podniosła rękę i dźgnęła go w pierś wyprostowanym palcem.

- Tu się grubo mylisz!

- Czyżby? - Głos miał zupełnie spokojny. - Zobaczymy.

Tym razem, gdy znów odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, nie próbował jej zatrzymać. Po prostu dogonił ją i bez trudu dotrzymał jej kroku. Spojrzenia, które mu rzucała, przyjmował bez mrugnięcia okiem. Widać było po nim determinację.

W pewnej chwili przystanęła.

- Odejdź - powiedziała - albo zawołam policjanta i powiem mu, że mnie napastujesz.

- Zrób to - odparł - a zanim on tu się zjawi, mogę rzeczywiście to zrobić, Czy mogłabyś zatrzymać się na chwilę i wysłuchać mnie?

- A co ty mi takiego możesz powiedzieć? I jak mam uwierzyć w cokolwiek, co powiesz? Zostaw mnie w spokoju!

- Chciałbym ci tylko wyjaśnić ...

- Co wyjaśnić?! Jak to się stało, że przypadkowo przechodziłeś koło perfumerii w Nowym Orleanie? To na pewno ty mnie śledziłeś wtedy na ulicy. A może chcesz mi opowiedzieć o niewiarygodnym przypadku, który sprawił, że byłeś w pobliżu, kiedy ukradli mi w Londynie torbę? Może i jestem naiwna, ale szybko się uczę. Piękne dzięki, nie chcę żadnych wyjaśnień.

Jeszcze raz odwróciła się i odeszła. Ciężko dyszała, jak po długim biegu. Nie oglądała się na mężczyznę, który znów dotrzymywał jej kroku. Nie spojrzała na niego, nawet kiedy zaczął mówić.

- Śledziłem cię wtedy w Nowym Orleanie, kiedy szłaś do pracowni, to prawda. Nie chciałem cię przestraszyć, ale zaskoczyło mnie, że sklep jest bliżej, niż się spodziewałem. Później zobaczyłem jakiegoś rzezimieszka, który się za tobą skradał, nie wiedziałem, co szykuje, więc zrobiłem to przedstawienie, żeby go przepłoszyć. Kiedy dowiedziałem się, że wybierasz się do Europy, postanowiłem się przyłączyć. Leciłem tym samym samolotem, miałem miejsce w drugim końcu. Nie miałem zamiaru tak bardzo się w to angażować i wkraczać w twoje życie. Zdawało mi się, że jeśli się poznamy, będzie mi łatwiej mieć na ciebie oko.

- Jasne - przerwała, zła jak osa. - I było coraz łatwiej i łatwiej, prawda?

Oddechnął głęboko, jakby starając się opanować.

Odparł chrapliwie:

- Tak, Było. Ale jeśli sądzisz, że robiłem wszystko tylko po to, żeby zdobyć perfumy Violet, to się mylisz.

- Ach, skąd! Wcale tak nie sądzę. Zrobiłeś to dla Natalii, prawda? Wymyśliła sobie, że mam takie małe powodzenie, więc zawróci mi w głowie pierwszy lepszy przystojny facet.

No cóż, miała rację. Mam nadzieję, że się dobrze bawiłeś.

- Prawdę mówiąc ... - zaczął, po czym przerwał, zacisnął na chwilę wargi i odezwał się znowu - ... okazało się, że to wszystko nie tak.

- Nie? To znaczy robiłeś to po prostu dla śmiechu. Głos jej brzmiał drwiną, ale w sercu poczuła tępy ból. - Robiłem to, ponieważ bałem się, że coś ci się może stać.

- Daj spokój. - Poczwała nagle zmęczenie, które przytłoczyło ją ogromnym ciężarem.

- Wiem, że to brzmi jak wariactwo. Sam parę razy myślałem, że wariuję. Ale moja matka straciła głowę na punkcie tych perfum, kiedy tylko o nich usłyszała. Opętał ją pomysł, że wylansuje je na prawdziwy hit. Chce z nich zrobić na całe dziesięciolecia uwielbiane - a zatem nic dziwnego, że najdroższe perfumy na świecie. Perfumy z przeszłością, z romantyczną legendą, z klasą. Takie, których nie stworzy żadne laboratorium. Wyglądało na to, że nie cofnie się przed niczym, żeby je dostać w swoje ręce. Tego się obawiałem.

- Czemu z nią nie pogadałaś? - Nawet nie wiedziała, kiedy zaczęła go słuchać. Ale niech on sobie za wiele nie wyobraża.

- Z Larą Camors nie da się ot, tak pogadać. Stworzyła tę firmę od podstaw. Wyszła z zapadłej dziury w Arkansas, miała taki akcent, że pojechał się do niej, w Nowym Jorku zostawił ją na łodzi jej facet, akwizytor, który chyba nawet nie był jej pierwszym mężem. Wypruwała sobie sny, żeby stworzyć tę firmę, i udało jej się. Pomogło jej parę udanych małżeństw. Wcale nie była zachwycona, kiedy usłyszęm akcji, które mój tata posiadał od lat, żeby się dostać do kierownictwa firmy po jego śmierci.

- Dlaczego? Przecież jesteś jej synem.

- Synem, którego wraz z ojcem porzuciła. Miałem wtedy trzy lata.

Coś się zmieniło. Niewiele, ale jednak. Zwolniła kroku. Parę razy popatrzyła na niego.

Napięcie, które trzymało w żelaznym uchwycie jej kark i ramiona, odrobinę ustąpiło.

- Tak czy owak - ciągnął - naprawdę zacząłem się denerwować, gdy kiedyś wpadłem do jej gabinetu podczas jej rozmowy telefonicznej. Mówiła coś o perfumach, natychmiast urwała, ale zdążyłem usłyszeć, że nie ma powodu do radości w związku ze śmiercią Mimi Fossier, bo „jest jeszcze druga wnuczka”.

- Chodziło o mnie.

- Słyszałem dość o tej planowanej transakcji, żeby zrozumieć, i że nie chodzi o Natalię.

Jolena przeszła parę kroków i wreszcie powiedziała:

- Nie twierdzę, że wierzę w to wszystko, ale skoro naprawdę myślałeś, że coś mi grozi, dlaczego mi nie powiedziałeś?

- I miałem przyznać, że moim zdaniem Lara Camors para się najgorszego rodzaju szpiegostwem przemysłowym? Albo jeszcze gorzej? Wzięłabyś mnie za wariata, sam muszę przyznać, że nie brzmi to prawdopodobnie. Szanuję moją matkę, nauczyliśmy się współpracować przez te parę lat. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli polecę do Nowego Orleanu i sprawdzę na miejscu, co się kroi. Potem postanowię, co dalej. Okazało się, że to nie takie proste.

- Ale dlaczego kłamałeś później?

- Nie kłamałem. Po prostu nie mówiłem całej prawdy.

- Mówiłeś, że siedzisz w reklamie, produkujesz reklamówki.

- To prawda. Zarządzam działem promocji „Camors”, między innymi. Po prostu nie powiedziałem ci wszystkiego. Wydawało mi się całkiem możliwe, że każe mi się wynosić, a ja ... ja tego nie chciałem.

W jego głosie brzmiało coś, czego nie chciała „przyjąć do wiadomości”. Dlatego powiedziała:

- Zakładam, że teraz powiesz mi, i że nie interesują cię te perfumy, i nic, co robiłeś, nie

ma związku z próbą uzyskania przez twoją firmę praw do ich produkcji.

Doszli do nabrzeża. Zatrzymał się i wsunął ręce w kieszenie, patrząc na wzburzone wody kanału, przez które przedzierała się łódź transportowa załadowana po brzegi stosami skrzynek z coca - colą. Po chwili energicznie pokręcił głową.

- Nie. Tego nie powiem.

- Co znaczy - powiedziała z lekką wzdargą - Œe jednak ma związek.

- Co znaczy, Œe od tej chwili nie zamierzam ukrywać przed tobą niczego. Chciałbym się przekonać, co można osiągnąć z tymi perfumami, jeśli kiedykolwiek uda się odzyskać recepturę. Z początku nie interesowały mnie one szczególnie. Prawdę mówiąc, byłem mocno sceptyczny. Ale czytając diariusz Violet, zdałem sobie sprawę, Œe ta cała historia ma oparcie w faktach, a to zupełnie coś innego. To otwiera wielkie możliwości.

Chciała mu wierzyć, to było najgorsze. Ale przecieŒ nie może. Odezwała się cierpko:

- Postanowiłam, Œe jeśli znajdę recepturę, zatrzymam ją w swojej pracowni.

- Wielka szkoda byłoby zagrzebać ją znowu. Nie masz ani pieniędzy, ani możliwości organizacyjnych, Œeby wykorzystać odpowiednio te perfumy.

- - To nie ma żadnego znaczenia. Te perfumy były produkowane tak, jak były, przez ponad sto lat.

Chciał zaprotestować, ale najwyraźniej powstrzymał się.

- Dobrze. Niech i tak będzie. Ale w tej chwili jacyś ludzie próbują uniemożliwić ci odnalezienie receptury. Wygląda na to, Œe mają związek z „Camors Cosmetics”, więc ja czuję się odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo. Nie zamierzam spuścić cię z oka, póki to wszystko się nie wyjaśni.

- I dzięki temu znajdziesz się w uprzywilejowanej pozycji, Œeby samemu dobrać się do perfum, kiedy wreszcie znajdzie się receptura?

Spojrzał na nią z gniewem.

- Mam nadzieję, że znajdziesz tę cholerną recepturę. Obiecuję ci, że jeśli tak się stanie, będziesz mogła zrobić z nią, co ci się tylko spodoba i jak długo ci się spodoba, choćbym miał warować u ciebie na słomiance przez resztę życia, żeby pilnować, by nikt ci nie przeszkadzał.

Popatrzyła mu szczerze w oczy.

- To prawdziwa groźba.

Nie zamierzał odwoływać swoich słów, a to znaczyło, że będzie się koło niej kręcił niezależnie od tego, czy znajdzie recepturę, czy nie. Po chwili przysunął się bliżej niej.

- Chcę ci pomóc. To wszystko. Wierzysz mi? Możesz mi zaufać?

Chciałaby to zrobić, o ileś by było łatwiej. Ale miała w sobie zbyt wiele wątpienia, bólu, niepewności. A doświadczenie nie podpowiadało jej, że warto spróbować.

- Chyba nie.

Rone czuł się, jakby przeszedł przez magiel. A ponieważ sam sobie tego piwa nawarzył, czuł się jeszcze gorzej. Od wielu dni, a zwłaszcza od spotkania z Natalią, starał się wymyślić sposób, jak to wszystko Joletcie wyjaśnić. Miała pełne prawo się na niego pogniewać. Trzeba było ją widzieć, wściekłą, zranioną. Widok byłby ciekawszy, gdyby to nie dotyczyło jego.

Szkoda, że nie można zacząć jeszcze raz od początku, tam, na ulicy w Nowym Orleanie. Przedstawiłby się, zaprosił ją na kolację i szczerze, w prostych słowach wyjaśnił, o co chodzi. Jak by wtedy zareagowała? Ciekawe. Czy kazałaby mu się wynosić? Czy też dopuściłaby go w jakimś stopniu do swojego życia? Zaufałaby mu na tyle, by pozwolić mu nieść sobie pomoc?

Potrzebował jej zaufania bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Za późno.

Teraz nie ma co się tym martwić. Teraz musi zrobić wszystko, żeby nie wsadziła go w ciągu najbliższych godzin do włoskiego więzienia. Wprawdzie nie miał zamiaru jej napastować, ale był pewien, że nie będzie zachwycona jego opieką.

Lepiej, żeby o tym za dużej nie myślał. Teraz musi zrobić coś, by wrócić do łask.

- W porządku. Jakie mamy na dzisiaj plany? - odezwał się obojętnym głosem.

- Nie mam planów - odparła smutno.

Rone był przygotowany na chłodne spojrzenie, ale nie na przygnębienie. Zmarszczył czoło i powiedział:

- Myślałem o tym obrazie Canaletta, który kupił Allain. Nie wiem, czy nam to coś pomoże, ale warto by spróbować.

- Nie mam pojęcia, co się z nim stało.

- To prawda, ale jeśli pamiętasz, w dzienniku jest szkic domu i kawałek kanału.

Założył się, że to fragment tego obrazu.

Przez jej twarz przebiegł błysk zainteresowania.

- Skoro tak - powiedziała z wolna - to nie musimy szukać tego obrazu, ale jakiegokolwiek, który pokazuje ten sam fragment kanału.

Rone wyjął rękę z kieszeni, położył ją sobie na karku, rozluźniając napięcie, które tam narosło, i kiwnął głową. Miał rację, że droga do niej wiedzie przez zainteresowanie poszukiwaniami. Tonem wystudiowanej obojętności powiedział:

- Na początek proponuję zwiedzanie Palazzo Pesaro, a potem jeszcze jednej czy dwóch galerii.

Joletta spojrzała na niego z ukosa, ale nie zaprotestowała. Ma szczęście - wiedział o tym, że ona należy do kobiet rozsądnych i sprawiedliwych.

Wąłesali się po muzealnych salach, rozglądając się w lewo i prawo, a bólały ich

szyje.

Niesamowite, jak wiele było tu do oglądania, i jak mało robiono, żeby chronić to bogactwo. Do prawie każdego obrazu czy rzeźby można było podejść i dotknąć ich. Wyglądało na to, że we Włoszech jest tyle dzieł sztuki, iż pilnuje się tylko kilku największych arcydzieł.

To Joletcie udało się znaleźć pejzaż najbardziej pasujący do szkiców Violet w dzienniku. Nie było to dzieło Canaletta, lecz J.M.W. Turnera. Stwierdziła, że bardziej podobają jej się czystsze kolory i zamazane kontury u Turnera, sprawiające, że widok wydaje się jakby oglądany przez kurtynę deszczu, niż perfekcyjny warsztat Canaletta. Rone nie spierał się, wiedząc, że stara się po prostu zaleźć mu za skórę.

Stała przed obrazem Turnera z założonymi do tyłu rękoma, ze ściągniętymi w zadumie wargami, co skierowało jego myśli w rejony, którymi lepiej nie zajmować się w miejscu publicznym.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że ten dom może być tylko podobny do tego, który naszkicowała Violet. Te stare kamienice i pałace są tak podobne do siebie, a jeden fragment kanału tak podobny do drugiego ...

- Prawda - przyznał.

- A poza tym Violet mogła naszkicować wcale nie swój dom, ale na przykład jakiś stojący vis - a - vis.

- Skoro masz lepszy pomysł, słucham - odparł.

- Nie, nie. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że to wszystko może się okazać dla nas stratą czasu.

D l a n a s. Ładnie to ujęła.

- Idziemy zapukać do drzwi czy nie?

- Będzie nam potrzebny Caesar.

- Poradzimy sobie bez niego.

Rzuciła mu powątpiewające spojrzenie.

- Przecież nie znasz włoskiego? - Zamilkła na chwilę. - No nie znasz, prawda?

Kącik jego ust uniósł się w nie pozbawionym odrobiny ironii uśmiechu.

- Jeszcze niejednym mogę cię zaskoczyć.

Poczekaj tylko do wieczora, pomyślał. Głośno powiedział:

- Mamy dwie godziny do lunchu, a potem porę sjesty. Zaczynamy?

ROZDZIAŁ XIX

Znalezienie właściwego domu okazało się trudniejsze, niż im się wydawało. Malarz pozwolił sobie na pewne dowolności, zmienił perspektywę, wyeliminował ten jeden czy drugi budynek, który mu nie odpowiadał. Rone gotów był przysiąc, że Turner zacieśnił zakręt kanału. Joletta powiedziała mu, żeby poszedł do okulisty.

Drzwi domu, który wytypowali, otworzyła im młoda kobieta z małym dzieckiem na ręku. Miała na sobie jaskraworóżowy dres i reeboki z zielono - różowymi sznurowadłami, a na włosach opaskę. Z prędkością karabinu maszynowego powiedziała coś przez ramię po włosku do kogoś w głębi ciemnego korytarza, po czym zwróciła się do nich szkolną, ale poprawną angielszczyzną:

- To nie jest muzeum ani hotel. Proszę odejść. Już zamykała drzwi, ale Rone ją powstrzymał.

- Przepraszamy za najście, ale nie jesteśmy turystami.

Szukamy informacji o pewnym mężczyźnie i Amerykance, którzy, jak nam się wydaje, mieszkali w tym domu wiele lat temu.

- Nic nie wiem o takich ludziach - oświadczyła kobieta, zabawiając chłopczyka na

ręku, który patrzył na nich wielkimi czarnymi oczami spod kędzierzawej złotobrazowej czupryny, jak u cherubinka Botticellego.

- Mamy podstawy, by sądzić, że kobieta, która była właścicielką tego domu, zginęła z powodu tych ludzi szybko uzupełniła Joletta.

- Aha! Chwileczkę. - Młoda kobieta zmarszczyła czoło i zawołała kogoś przez ramię.

Rozległo się szuranie i z mroku wyłonił się mężczyzna w podeszłym wieku. Okazał się dziadkiem młodej kobiety, który przeżył w tym domu całe życie.

Był chudy i zgarbiony, czarny wełniany sweter wisiał na nim smętnie. Miał

kędzierzawe siwe włosy, szczerbaty uśmiech, ale pamięć zachował dobrą. Kobieta, o której

mówili, była jego prapraprababką, niezamożną wdową, która - podobnie jak wiele innych

osób - przyjmowała w ubiegłym stuleciu letników, zanim hotele turystyczne wyrosły jak

grzyby po deszczu po drugiej stronie laguny. Umarła na atak serca, tak twierdzili lekarze, ale

w rodzinie krążyła inna wersja. Straszna tragedia, ale i tajemnicza. Po jej śmierci przyszły

jakieś pieniądze, coś w rodzaju rekompensaty. Mała fortuna dla spadkobierców wdowy. Takie

rzeczy się w rodzinie pamięta.

Si, miała siostrę, właścicielkę wiejskiej rezydencji pod Florencją. Willa ta została

zburzona w czasie II wojny. Ogród? Tak, ocalał, mogą pojechać go zobaczyć, jeśli mają

ochotę. Czego ci Amerykanie nie są ciekawi.

Udało się.

Joletta nie chciała w to wierzyć. Znalezienie kogoś, kto był w stanie potwierdzić fakty

z dziennika Violet, zakrawało niemal na cud. Jakby czas się skurczył, przybliżając ku nim

przeszłość. Równocześnie zdali sobie sprawę z tego, jak mizerny to był sukces w porównaniu

z ogromem niewiadomych dotyczących odległej przeszłości, które mieli jeszcze przed sobą.

Wyszli z Rone'em z domu i skierowali się w stronę mostu Rialto. Postanowili

poszukać lokalu na późny lunch w rejonie bazaru. Szli w milczeniu, mijając sprzedawców kwiatów, sklepy z artykułami skórzanymi, jedwabiami, wachlarzami i zegarami, i tysiącami innych pokus dla turystów. Słońce odbijało się w kanałach, rzucając oślepiające błyski, które migwały po ścianach budynków jak zajęczki puszczone lusterkiem. Powiew od wody był orzeźwiający mimo nikłego zapachu dieslowskich spalin z silników przepływających łodzi. Chodnik świecił pustkami, większość Włochów udała się na swoją długą przerwę obiadową i sjęstę. Joletta i Rone szli w milczeniu, cała gorączkowość opadła z nich, gdy osiągnęli postawiony sobie na ten dzień cel.

- Wiesz - odezwała się nagle Joletta - nie jestem pewna, czy warto to ciągnąć. Przecież nikt nie wyjmie z szuflady pośółkłej kartki i nie powie: „Proszę, oto receptura, którą pozostawiła tutaj pani praprapraprababka ponad sto lat temu, bo wiedziała, że się pani po nią zgłosi”.

Rone rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Myślałem, że po prostu szukasz natchnienia, czegoś, co pomoże ci rozszyfrować jakieś informacje zawarte w dzienniku.

- Owszem, ale nie wiem, czy sama siebie nie oszukuję. Może nigdy nie uda mi się doszukać w tym wszystkim jakiegokolwiek sensu.

- Ale pomyśl, jakie to będzie osiągnięcie, jeśli ci się uda. A nawet jeśli nie, to co ci to szkodzi. Lepiej byłoby w Nowym Orleanie?

- Łatwo powiedzieć, ale ty też tracisz swój czas - zauważyła.

- Gdyby mi nie zależało, nie robiłbym tego.

- Racja, zapomniałam - odparła cierpko. - Chciałbyś być w pobliżu, jak na coś wpadnę.

Popatrzył jej szczerze w oczy ..

- MoŜe tak czy owak chcę być w pobliŜu.

- Przestań - urwała ostro. - Nie musisz wygadywać takich rzeczy.

- Wiem - odparł. - Ale mogę.

Obrzuciła go ukradkowym spojrzeniem. Uznała, Ŝe lepiej zmienić temat.

- Chcę ci tylko powiedzieć, Ŝe myślę o tym, by zrezygnować. Mogę spróbować zobaczyć ten ogród, bo wycieczka i tak jedzie do Florencji. Potem dalej zostanę z grupą. Dwa dni w Toskanii, trzy dni w Rzymie i to wszystko. Wracam do domu.

- Fajnie.

- Co to znaczy fajnie? - rzuciła z irytacją. - Chcę powiedzieć, Ŝe moŜesz wracać do swoich spraw.

- JuŜ to przerabialiśmy. Jesteś na mnie skazana.

- Wbrew mojej woli.

- Tak to zwykle bywa. - Wyglądał na zainteresowanego straganem z kwiatami. - A moŜe się tym wszystkim dobrze bawię?

- A moŜe - wycedziła - ja chciałabym dobrze się bawić resztą wycieczki, która mi została?

Milczał przez moment.

- Przykro mi - powiedział wreszcie - ale wydaje mi się, Ŝe waŜniejsze jest, byś wróciła do domu cała i zdrowa. - Ale zrobisz wszystko, Ŝeby mnie wykończyć. Uśmiechnął się z wolna.

- Nie, to nie było moim zamiarem.

W jego głosie pobrzmiwało coś, co wzbudziło jej podejrzenia. Popatrzyła na niego, na jego zdecydowane rysy i nieprzenikniony wyraz ciemnoniebieskich oczu. Jednak nie potrafiła z jego miny nic wywnioskować. ZmruŜyła oczy i zaczęła:

- Słuchaj ...

- Później, jeśli pozwolisz. Teraz umieram z głodu, a poza tym muszę zadzwonić.

Znajdziemy restaurację i pokłócimy się przy obiedzie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Gapiała się za nim, zastanawiając się, czy nie pójść w przeciwnym kierunku. Niech się za nią ugania. Ale ucieczka nie wydawała się jej tak atrakcyjna, jak możliwość wygarnięcia mu prosto w oczy, co myśli o takiej „polityce z pozycji siły”. Zacisnąwszy usta w prostą linię, ruszyła sztywno za nim.

Po lunchu wrócili do hotelu. Grupa miała wolne popołudnie. Ponieważ wcześniej rano mieli wyruszyć do Florencji, Joletta zamierzała zająć się pakowaniem walizki i uciąć sobie, jeśli się uda, małą drzemkę.

Drażnił ją trochę Rone, który nie odstępował jej na - krok. Nie miała dokąd uciec, gdzie się przed nim schować. A nie wiedziała, co niepokoiło ją jeszcze bardziej, co on zrobi w ciasnym pokoju hotelowym, kiedy ona zarekwiruje całe łóŜko.

Podchodzili właśnie do recepcji, żeby wziąć klucze, gdy z foteli w głębi hallu podniosło się dwoje ludzi.

- Wreszcie! - wykrzyknęła Natalia z udaną irytacją. Caesar i ja zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, czekając na was. Już mieliśmy zrezygnować.

- Ale - dodał Włoch z ciepłym uśmiechem - lepiej późno niż wcale. Cieszę się, że was widzę. Bardzo ci do twarzy w niebieskim, signorina Joletta, perfetto.

Joletta zobaczyła, że Natalia rzuca Caesarowi ironiczne i rozbawione spojrzenie. Stali blisko siebie, dotykając się ramionami. Joletta spojrzała na Rone'a. Obserwował ich tak, że z miną, którą można było określić jedynie jako czujną.

- Czyśmy przeoczyli umówione spotkanie? - spytała Joletta.

- Ach nie, nie - odparł Caesar. - Przyszedłem do hotelu, bo wpadłem na pomysł, żeby

się przejechać, i spotkałem twoją kuzynkę, która tu czekała. Zjedliśmy razem lunch.

Myślałem, że wspólnie pojedziemy obejrzeć wille nad Brentą.

- Wille?

- Atrakcja podobna do zamków nad Loarą. Wiejskie rezydencje, budowane przez dawnych Wenecjan, żeby uciec od wilgotnych równin i bawić się w rolnictwo za pieniądze zarobione na handlu morskim. Turyści rzadko tam zagląдают, a szkoda.

- Jeszcze zdążymy - powiedziała Natalia. - To tylko dwadzieścia mil, niedaleko.

Caesar mówił mi, że zna tam cudowną trattorię w miasteczku Mira. Moglibyśmy zjeść tam kolację.

- Raczej nie - powiedział Rone, biorąc Jolettę za rękę. - Mamy inne plany.

- Jakie plany? - zapytała Joletta, oswobodzając łokieć z jego uchwytu.

Spojrzenie Natalii wędrowało w tę i z powrotem, od zmarszczonego czoła Rone'a do oblanych rumieńcem policzków Joletty. Głos miała ostry, kiedy się odezwała: - Musicie przecież gdzieś pójść na kolację.

- Ale nie w tłumie - odparł Rone.

Joletta zmroziła go spojrzeniem. To, że nadal próbował nią rządzić, było nie do wiary.

- Sądzę - powiedziała głośno i wyraźnie - że ta trattoria brzmi zachęcająco.

- Przecież nawet nic o niej nie słyszałaś - powiedział Rone cierpko.

Caesar wtrącił szybko:

- To najlepsza restauracja w okolicy. Gwarantuję.

- Nie wygłupiaj się, Rone - powiedziała twardo Natalia. - Może byśmy pogadali?

Chyba cię przekonam.

Rone zeszywniał i zwrócił powoli głowę w jej kierunku. Twardo powiedział:

- Bardzo wątpię, Natalio. Naprawdę. Joletta już wie, kim jestem.

Natalia zamrugła. Jeszcze raz powędrowała spojrzeniem od niego do Joletty, zatrzymała wzrok na nim, na tym, jak przesłania Joletcie widok drzwi i wzrok Caesara.

Wykrzywiła wargi.

- A więc to tak?

- Ano tak - odparł lakonicznie Rone.

- Czy ona wie tak? - spytała spokojnie Natalia - jakimi jesteśmy dobrymi przyjaciółmi?

Nacisk, jaki położyła na te słowa, był znaczący.

Joletta poczuła ukłucie bólu. Zmusiła się do uśmiechu i odparła:

- Nie mówił mi, ale nie musiał. Domyślam się, że oboje osiągnęliście pełne porozumienie w zadziwiająco szybkim tempie.

- Rzeczywiście - przeciągała głoski Natalia. - On zadziwiająco szybko się decyduje.

Przekonasz się.

- Ale nie wtedy - rzekła Joletta - kiedy próbuje tak zdecydować za mnie. Podoba mi

się pomysł przejażdżki.

Caesar uśmiechnął się, unosząc jedną brew.

- To znaczy, że jedziesz? Możemy wynająć łódkę i spłynąć rzeką, to najlepszy sposób, żeby obejrzeć wille. Ale musimy się pośpieszyć, żeby zdążyć za dnia.

Nie był to wyjazd bezproblemowy.

Caesar traktował Rone'a sztywno. Natalia wydawała się zirytowana Caesarem. Joletta nie miała nic do powiedzenia Natalii ani Rone'owi. Rone nie odzywał się do nikogo.

Warto było jednak się wybrać.

Większość willi była palladiańska w sensie dosłownym, zaprojektował je bowiem

*

Andrea Palladio we własnej osobie. Klasyczna czystość linii i doskonała harmonia proporcji sprawiała, że były to bardziej pałace niż wille, choć ich tynkowane fasady w odcieniach kremowych, złotych i popielatych nadawały im delikatny, lekki wygląd. Kolumny, tympanony i łukowate okna, które błyskały zza murów i zieleń, różniły się od orientalnych budowli Wenecji. Łodzie wiosłowe, które wynajął Caesar, były dwuosobowe. Joletta z rozbawieniem obserwowała, jak Caesar manewrował, by znaleźć się z nią w łodzi, drugą pozostawiając Rone'owi i Natalii.

* Andrea Palladio (1508 - 1580) - architekt włoski, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli klasycyzującego kierunku w architekturze późnego renesansu, zwanego palladiańskim; autor wielu budowli, w tym kościołów, pałaców, willi podmiejskich; także teoretyk architektury (przyp. tłum.).

Wiosłowała się stojąc, jak w gondoli. Włoch nalegał, by siedziała, podczas gdy on sam będzie zajmował się wiosłami, ale odmówiła. Potrzebowała wysiłku fizycznego, żeby zwalczyć irytację, która w niej kipiała. Poza tym na stojąco lepiej było widać, a także łatwiej było uniknąć ewentualnych awansów Caesara, gdyby postanowił odłożyć wiosło i usiąść przy

niej, pozwalając łodzi płynąć z prądem.

- Ach, te Amerykanki - powiedział, opierając się na swoim wiosle na rufie łodzi, i przypatrując się z jawnym zachwytem, jak z gracją porusza wiosłem. - Potrafią wszystko, i to jak ładnie.

- Widziałam równieŜ wiosłujące Włoszki - zauwaŜyła.

- Nieliczne - zgodził się z uśmiechem - ale, podobnie jak twoja kuzynka, większość woli, Őeby to męŜczyźni odwalali robotę.

Joletta zastanawiała się przez moment, czy w uwadze Caesara nie było Őadnego erotycznego podtekstu, co w jego przypadku często się zdarzało. Popatrzyła mu w oczy, ale odpowiedział jej niewzruszonym uśmiechem.

- A więc jedziesz jutro do Florencji - powiedział po chwili. - Szkoda, Őe tak krótko bawisz w Wenecji. ZniŜył głos. - Chyba ci nie muszę tłumaczyć, carina, Őe jestem do twojej dyspozycji. Jedno twoje słowo, a zawiozę cię tam i będę przy tobie dzień i noc.

- Rone'owi by się to nie spodobało - powiedziała sucho.

Pstryknął palcami.

- Ot, tyle mnie obchodzi, co Rone'owi się podoba, a co nie podoba. WaŜne jest dla mnie, czego ty chcesz.

Jego sposób bycia stanowił dla niej odświeŜającą odmianę. Fakt, Őe juŜ kiedyś wykorzystał jej niezadowolenie, nie sprawiał jej róŜnicy. W głowie zaczął kiełkować jej pewien pomysł.

- Musiałbyś bardzo wcześnie wstać - powiedziała z zagadkowym uśmiechem.

- Dla ciebie wszystko.

- B a r d z o wcześnie.

- Mów, co mam robić.

Rzuciła okiem na drugą łódkę, odległość była dość znaczna, choć zmniejszała się, bo

Rone mocno przykładał się do wiosła. ZniŜajac glos wyjaśniła, co będzie potrzebne. Kiedy skończyła, zapytała:

- Czy pójdiesz na to?

Caesar rozłoŜył szeroko obie ręce, puszczając wiosło.

Z błyskiem w oczach odparł:

- Nie pytaj.

Pokiwała głową.

- Muszę się jeszcze zastanowić i dam ci znać, jeśli się zdecyduję.

- Namyślaj się szybko, Joletto. Nie moŜna Őyc tylko nadzieją - przewrócił oczami w udawanej rozpacz.

Po przejaŜdŜce łodziami zwiedzili wspaniałą Villę Pisani, naleŜącą niegdyś do doŜy, potem do Napoleona I, a następnie do cesarskiego pasierba, Eugene'a de Beauharnais.

Znaleźli jeszcze czas na obejrzenie jednej willi, po czym w blasku wieczornej zorzy udali się do Trattorii Nalin.

Jedzenie było doskonałe, jak Caesar obiecywał, począwszy od frutti di mare na przystawkę do delikatnego risotto i makaronu jettuccine z krabami. Popijali do tego wykwintne miejscowe wino, Prosecco Conegliano, łaskoczące język cierpką świeŜością.

PoniewaŜ konwersacja z pozostałą dwójką nie kleiła się, Joletta i Caesar rozmawiali i zaśmiewali się we dwoje. Prawił jej wyszukane i coraz śmielsze komplementy, z wielką wprawą dolewał wina, co spotykało się z jej protestami. Kiedy Rone zwrócił uwagę, Őe za duŜo pije, przestała protestować i wręcz zachęcała Włocha.

Decyzję w sprawie podróŜy do Florencji podjęła przy zamawianiu deseru. Rone zaproponował jeden deser, Caesar inny, a podczas gdy się wahała, Rone zamówił za nią.

Może to drobiazg, zwłaszcza że wybrał lody brzoskwińowe z migdałami, ku którym się skłaniała, ale miała już dosyć podejmowania za nią decyzji, dosyć dyktowania, co ma robić.

Po wyjściu z restauracji namówiła się cicho z Caesarem. Z jego oczu była radość sukcesu.

Do Wenecji wrócili późno. Jolenta i Rone rozstali się z Caesarem i Natalią na bulwarze. W recepcji poprosiła o swój klucz. Rone stanął z boku, czekał. Rzuciła mu szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, ale nie odezwał się.

- Myślałam - powiedziała po wejściu na górę, wkładając klucz do zamka - że poprosisz o klucz do swojego pokoju.

- Niestety - odparł - zwoleń pokój, a oni już tam kogoś zakwaterowali.

- Sprawdziłeś?

- Myślisz, że bym nie sprawdził?

Nie była pewna. Tak samo, jak nie była pewna, czy mówi prawdę.

Nabrała głęboko powietrza.

- Wiesz ...

- Wiem - przerwał. - Nie chcesz, żebym nocował w tym pokoju, chcesz, żebym sobie poszedł. Nie zrobię tego. Ale nie wzbudzajmy sensacji w całym hotelu, kłócąc się o to na korytarzu.

Sięgnął ponad jej głowę i pchnął drzwi. Ominął ją i wszedł do pokoju.

Jolenta mogła albo pójść za nim, albo zostać na korytarzu. Weszła do ciemnego pokoju, drzwi zatrzasnęły się za nią.

Poczuła zapach sięgając do włącznika światła. Korzenny, świeży, jak fala płynął ku niej z ciemności.

Nacisnęła guzik i pokój zalało światło.

Małe, staromodne goździki stały wszędzie, były ich setki, w wazonach umieszczonych we wszystkich możliwych miejscach. Różowe i czerwone, cętkowane i białe kwiatki o postrzępionych płatkach rozsiewały swój aromat, a kręciło się w głowie od jego słodczy.

- Co to jest, na litość boską?

- Goździki. Zobaczyłem je na targu na Rialto i zamówiłem.

- Ach, to był ten telefon.

Kiwnął głową.

- Mają znaczyć „zniweczoną miłość”, czy coś w tym rodzaju, według tego twojego dziennika. - Mówił urywanym głosem, jakby zawstydzony.

To kompletna bzdura ulegać tak oczywistemu apelowi do jej sentymentalizmu. Mimo to jego gest i zrozumienie dla jej potrzeb wskazywały, że obchodzi go w stopniu zastanawiającym. I rozbrajającym.

- Co chcesz przez to osiągnąć? - zapytała cicho.

- Przeprzić i oświadczyć, że nie chciałem cię zranić. I sprawdzić, czy jest jakiś sposób, żeby zacząć jeszcze raz od początku.

- żebyś zdążył przeczytać dziennik do końca? Nabrał chrapliwie powietrza i wypuścił powoli.

- Nie na tym mi zależy, jeśli chcesz, mogę już nigdy nie zobaczyć tego dziennika.

- To dobrze - rzekła poważnie.

Spodziewała się, że zobaczy na jego twarzy irytację. Ale nie, jedynie determinację.

Podeszła do krzesła, zsunęła pasek ciężkiej torby z ramienia. i opuściła ją na siedzenie.

- Joletto, kocham cię - powiedział głosem cichym i zachrypniętym.

- Przestań! - zawołała ostro, nie patrząc na niego, po czym dodała łagodniej: - Proszę cię, przestań.

- Wiem, że nie dałem ci powodów, byś mi wierzyła, ale musiałem ci to powiedzieć.
- Rzeczywiście, wybrałaś doskonały moment - odparła beznamiętnie.
- Chciałem już dawno, już w Bath, a może jeszcze wcześniej, tamtej nocy w Nowym Orleanie. Tylko że nie wypadało mi tego powiedzieć, póki ukrywałem coś przed tobą.
- Ale takie obiekcje nie przeszkodziły ci wejść do mojego łóżka.
- Nie śluję tego. Wydawało mi się, że nie mam szans, by coś uzyskać od ciebie jeszcze kiedykolwiek.

Naprawdę chciała mu wierzyć, to było najgorsze.

Nie mogła. Wykorzystał ją i będzie to robił, jeśli mu pozwoli. Nie zrobi tego. Nigdy więcej.

Bez wątpienia wydaje mu się, że nadal jest jakaś szansa na wydobyć z dziennika receptury, i chce być przy tym, gdyby tak się stało. I kiedy to się stanie - jeśli się stanie będzie to koniec: dostanie, czego chciał, i zniknie. A jeśli jej się nie uda, jeśli po zakończeniu podróży ona nie będzie miała niczego do zaoferowania, on nie będzie miał powodu zostać.

Tak czy owak, to ona przegra.

Temu nie jest w stanie stawić czoła.

Wszyscy zawsze ją porzucali. Matka, ojciec, narzeczony. Nawet Mimi. Tym razem do tego nie dopuści.

Tym razem to ona będzie tą, która porzuca. Podeszła do szafki nocnej, na której stało kilka wazonów z małymi, pachnącymi goździkami. Pochyliła się, żeby je powąchać, musnęła chłodnymi płatkami powieki, policzki, usta. Wino i kwiatowy aromat krążyły w jej żyłach i pomyślała sobie, że Rone zasługuje na jakiś pośmiętny prezent, na coś, co zapamięta długo, na coś, co mu osłodzi gorycz rozstania.

- Joletto! - odezwał się z błagalną nutą w głosie. Potrzebowała trochę czasu do

namysłu, czasu, Œeby stwierdzić, czy chce tego naprawdę. Czyste współczucie, nie umiejscowione poŒądanie, poczucie winy, wszystko to złoŒyło się na impuls, który narastał w niej nieustannie. Było jeszcze coŒ, wiedziała o tym, ale nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą.

Chciała mieć tę ostatnią noc z nim, po raz ostatni znaleź się bezpiecznie w jego ramionach. Potrzebowała tego poŒegnania, moŒe nawet bardziej dla siebie. Kto wie? Kogo to obchodzi? Prócz niej.

Gdy mu się odda, on moŒe pomyśleć, Œe wygrał, ale co z tego? Ona będzie znać prawdę.

A i on ją niedługo pozna. Głosem spokojnym oznajmiła:

- Trzeba spakować багаŒe, zanim połoŒymy się do łóŒka. Muszę jeszcze przepakować walizkę. Pójdę pierwsza pod prysznic, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Przyglądał się jej dłuŒszą chwilę, po czym odwrócił się z bezgłoŒnym westchnieniem.

- Nie, nie mam nic przeciwko temu.

U Œmiech, który pojawił się na jej ustach, gdy rzuciła mu spojrzenie spod oka, był ulotny i ostroŒny, ale czuły.

Joletta nie zabawiła długo w łazience. Gdy Rone zajął jej miejsce, wyciągnęła z walizki spodnie i koszulę na jutro, wystawiła swoją spakowaną walizkę za drzwi i schowała do torebki rzeczy, które zamierzała zabrać ze sobą na dół. Poklepała wypchaną torebkę, Œeby się upewnić, czy dziennik jest na swoim miejscu; prawie o nim nie myŒlała przez cały dzień. Czując jego zarys poczuła się pewniej.

W samej koszuli nocnej, haftowanej w białe, kontury kwiatów, zaczęła jeszcze raz wachać goździki. Były naprawdę rozkoszne. Wzięła jeden kwiat do ręki, wyjęła z wazonu i zabrała ze sobą pod kołdrę. Zgasiała Œwiatło i czekała ..

Kiedy po kilku minutach Rone pojawił się w drzwiach łazienki, odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Wysoki, szeroki w ramionach stał przez chwilę w jasnym prostokącie drzwi, po czym zgasił światło. Obserwowała go w półmroku, jak przechodził wokół łóżka na drugą stronę. Jeszcze raz szerokie ramiona i zarys głowy zaznaczyły się wyraźnie na tle okna, gdy kładł się do łóżka. Czekala, niezbyt cierpliwie, gdy wyciągał się koło niej.

Czuła walenie serca w piersiach, nierówne, jakby jakiś niezgrabny przedszkolak bawił się piłką. Zalewały ją fale gorąca, wilgotne dłonie łaskotały. Rola kusicielki okazuje się równie ekscytująca jak przerażająca.

Ułożyła się na boku, podparła na zgiętym łokciu i połaskotała Rone'a w usta trzymanym w ręku goździkiem.

Machnął ręką szybko, jakby oganiał się od owada, i chwycił kwiat. Nagle znieruchomiał.

- Co ty robisz? - zapytał stłumionym głosem.

- Pst!

Uwolniła goździk z jego ręki, dotknęła jeszcze raz jego ust, obrysowała ich kształt, potem przejechała wzdłuż mocnej linii jego szczęki i wygięcia szyi. Zanurzyła go w zagłębieniu obojczyków, przeczesala kilkakrotnie włosy na jego piersi aż do płaskich kręsków jego sutków. Dotknęła brodawki i drażniła ją, aż stwardniała. Rone odwrócił ku niej w ciemnościach głowę.

- Joletta? - wyszeptał błagalnym tonem. Nie odpowiedziała.

Położyła mu goździk na piersi i przysunęła się do niego, po czym gorącym i wilgotnym językiem dotknęła jego wzwiedzionej brodawki. Ssała ją, kąsała lekko, potem zajęła się drugą.

Nie odezwał się ani słowem, tylko przygarnął ją, otoczył jej ciało ramionami i

przytulił mocno, pieszcząc rozgrzane i wrażliwe wypukłości jej ciała przez miękką, cienką

bawełnę, odnajdując obszary delikatnych odczuć, o których nie wiedziała, że istnieją.

Smakowała go bez pośpiechu, odczuwając narastającą, głęboką rozkosz, słysząc, jak jego oddech staje się coraz gwałtowniejszy, podobnie jak jej własny.

W zaślepieniu szukała jego ciepłych ust. Jej miękkie wargi przylgnęły do jego warg, językiem badała zarys jego zębów, zagłębiała się w wilgotne wnętrze. Nie pozostał jej dłużny, ich języki splatały się, muskały, ale to ona wiodła prym.

Przycisnął ją mocniej, poczuła prężność jego ud.

Głaskał ją po smukłej wklęsłości talii, przebiegł palcami pieszczotliwie po zaokrągleniu bioder, obciągnął na nich bawełnianą koszulkę, wygładził fałdy, po czym zaczął ją podciągać cal po calu wyżej, coraz wyżej.

Joletta przełożyła kolano przez jego ciało, ułatwiając mu dostęp do miejsc domagających się delikatnej pieszczoty. Oblało ją gorąco, które narastało i wnikało coraz głębiej, aż zogniskowało się w jej podbrzuszu. Wydała cichy okrzyk, gdy odnalazł to najważniejsze miejsce. Topniała wewnątrz z pośladania, wargami pieściła kącik jego ust, po czym przesunęła się do ucha. Musnęła płatek małżowiny, następnie w miłosnym zapamiętaniu wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi.

Rone począł pieścić jej wezbrane piersi, obejmując je dłonią, muskając kciukiem brodawki, a pośar zmysłów w jej wnętrzu stał się niemal nie do zniesienia.

Nie ma przecież pośpiechu. Joletta, odzyskując kontrolę nad sytuacją, zacisnęła palce na jego ramieniu, po czym powędrowała niżej, odnalazła na jego piersi pachnący goździk, odrzuciła go, drżącymi palcami sięgnęła niżej, odwinęła kołdrę, którą byli przykryci, i wsunęła dłoń pod luźną gumkę jego spodni od piśamy. Pragnąc oddać mu rozkosz, którą jej dawał, zwiększyła własną tysiąckrotnie.

Kiedy ich rozedrgane ciała nie mogły już dłużej się powstrzymać, pociągnął ją na siebie. Leżała na nim dłużej chwilę, jędrne piersi przycisnęła do jego klatki piersiowej, jej płaski brzuch przylegał do jego brzucha, a ich serca waliły w podwójnym rytmie. Wreszcie uniosła się nad nim, połyskując wilgotną od sary skórą, i wzięła go do środka powolnym, płynnym ruchem.

Ruszyli łagodnie, nabierając stopniowo rozmachu, siły, prędkości. Poruszał się wewnątrz niej, dostosowując do jej rytmu, pozwalając jej dyktować ruchy i tempo, narzucając sobie opanowanie.

Oddychali coraz głębiej. Ich ciała zrosił pot. Czysty zapach jej włosów i ciepłych ciał, zmieszany z aromatem goździków, uderzał do głowy jak afrodyzjak. Joletta czuła się lekka, lecz silna, wypełniona łaską i bezgraniczną czułością, płodna i gotowa na wszystko - uosobienie wiecznej kobiecości.

Potem poczuła spazm ogarniający jej serce, lędźwie, całą jej duszę. Bezgłówna magia eksplodowała w niej jak burza.

Podniósł się, nie wychodząc z niej przewrócił ją na plecy, na skłębione prześcieradło.

Opadł na nią mile oczekiwanym ciężarem, zanurzył głęboko w jej wnętrzu. I jeszcze raz ruszył w narastającym rytmie.

Joletta dała się ponieść bez reszty. Pędziła wraz z nim, łapiąc jeden spazmatyczny oddech za drugim, przywierając drżącymi mięśniami do jego rozedrganych mięśni. Magia przyszła znowu. Czując jej gorący, obezwładniający uścisk, przylgnęli do siebie dysząc i pozwolili, by ich porwała.

Dopiero dużo później, skulona pod osłoną ramion Rone'a, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w noc, przypomniawszy sobie, że to miało być pośegnanie. Jakoś niezupełnie tak to sobie zaplanowała.

Pomyślała, żeby zostać tutaj, tak jak jest, tak długo, jak jej na to pozwoli. Może by przyjąć za dobrą monetę te jego zapewnienia o miłości?

Może to jego udawanie przerodzi się w coś prawdziwego, może jej wystarczy?

Nie.

Nie mogłaby tego zrobić. Dokonała wyboru, być może z goryczą, ale nieodwołalnie.

Jeśli się cofnie, pozwoli, by ciotka Estella i Natalia ... i Rone zwyciężyli walkowerem. I odrzuci coś, co zaczęła uważać za rzecz i niezmiernie ważną. Poczucie własnej wartości.

Odejdzie. Musi.

Obudziła się wcześniej. Szarówka za oknem dopiero zaczęła nabierać złocistych odcieni. Kościelne dzwony jeszcze nie zaczęły bić. Wysunęła się z łóżka, Rone wyciągnął rękę przez sen. Jeśli go nawet obudziła, to nie chciał, by miała wyrzuty sumienia, i udawał, że śpi.

Kończyła się ubierać, gdy w kościołach odezwały się dzwony. Ostatni raz przeciągnęła szczotką po włosach i spięła je kościanymi spinkami. Weszła do sypialni, podeszła do krzesła, schowała szczotkę do torby i zarzuciła ją sobie na ramię.

Rone leżał na wznak z rękami założonymi pod głowę.

Uśmiechnął się i popatrzył na nią. Widząc, że bierze torebkę, zapytał:

- Dokąd to tak rano?

- Damskie sprawy. To nie zajmie dużo czasu.

- Sklepy są jeszcze zamknięte - zauważył.

- Recepcjonistka mi pomoże, jak sędzę. Zaraz wracam.

Nie czekała na odpowiedź, nie zwlekała z wyjściem.

Nie pocałowała go, nie poświęcała się.

Jest mocna.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Zdała dojechać do schodów, nim łzy wypełniły Jej oczy i zmały wzrok.

ROZDZIAŁ XX

Caesar pruł swoim czerwonym alfa romeo z taką fantazją, jakby powoził rydwanem - nic dziwnego, skoro w jego żyłach płynęła krew dawnych wojowników rzymskich. Joletta parokrotnie sprawdzała, czy jej pas bezpieczeństwa zapięty jest prawidłowo, i usilnie starała się nie chwytać za tablicę rozdzielczą części, ni to było absolutnie konieczne.

Jej niepokój bawił Włocha, jak się domyślała, i dopingował do jeszcze większej brawury, by ją przekonać, że całkowicie panuje nad wozem. Nie podobało jej się to, ale zachowała to dla siebie. Była mu wdzięczna, że zgodził się ją zawieźć, dokąd chciała. A poza tym nie miała siły, żeby prowadzić teraz jakieś spory.

Wahała się, czy bawić go rozmową - to niebezpiecznie rozpraszać kierowcę podczas takiej jazdy, choć z drugiej strony może trochę zwolniłby tempo. W końcu postanowiła zaryzykować, głównie dlatego, żeby nie pogryzać się we własnych ponurych myślach. Zaczęła od pytań o zwyczajne sprawy, które jakoś dotąd nie wypłynęły w ich rozmowach.

- Gdzie mieszkam? - powtórzył z szerokim uśmiechem. - Głównie w Wenecji, czasami w Rzymie albo na Capri. Często w Paryżu. Niekiedy w Nicei.

- No tak, ale gdzie jest twój dom?

- Aha, osada trzydzieści parę kilometrów od Wenecji, moi rodzice tam mieszkają.

Nie masz stałego miejsca? Jakiegoś mieszkania?

- Nie, a po co mi?

Popatrzyła na niego zdezorientowana.

- Mówiłeś przecie, że mieszkasz w Wenecji. Gdzie dokładnie?

- Często mówię, że jestem z Wenecji, bo ludzie wtedy mówią: „Ach tak, oczywiście”.

Każdy wie, gdzie jest Wenecja. Tak mi wygodniej. - Wzruszył ramionami. Te ostatnie parę dni mieszkałem w hotelu „Cipriani”.

To ten sam luksusowy hotel, w którym zatrzymała się Natalia. Joletta poczuła ukłucie niepokoju, ale odepchnęła go od siebie.

- Chyba mi nie mówiłeś, z czego się utrzymujesz.

- To i owo kupuję, sprzedaję. Kiedyś byłem kelnerem na statku pasażerskim. Długie godziny ciężkiej roboty, ale przydało się. Nauczyłem się angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, mówię trochę po japońsku. Poznałem wiele cudownych, majątnych pań, wdów, rozwódek, podróżujących samotnie.

Zastanawiała się, co próbuje jej powiedzieć. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jeszcze raz zwracając uwagę na jego wypielęgnowaną urodę i staranną elegancję - kremową jedwabną koszulę, którą nałożył tego ranka, Rolex na lewej ręce i ciężką złotą bransoletkę na drugiej.

- Myślałaś, że jestem bogaty, bo jeżdżę takim samochodem? Pochlebia mi to, ale nie.

Przynajmniej jeszcze nie.

- Ale zamierzasz być - stwierdziła obojętnym tonem.

- Ciężko na to pracuję. - Przerwał, po czym dodał ciszej, rzucając jej spod rzęs ciepłe

spojrzenie: - Ale rzadko zdarza mi się robić to, co lubię, z damą tak piękną jak ty.

Miło to było usłyszeć, ale nie wierzyła już ani jednemu jego słowu.

- To znaczy - powiedziała z wolna - że utrzymujesz się z ... świadczenia usług bogatym kobietom.

- Joletto! Nie obrażaj mnie. Inwestuję, zawieram umowy. Nie jestem Sigolakiem. -

Nie?

- Pracuję dla siebie. Zawsze jestem sobą.

- Ale to, co robisz, wymaga, żebyś był zawsze miły dla ... ludzi?

Popatrzył jej szczerze w oczy.

- Każdej kobiecie można zawsze powiedzieć coś miłego, każda jest na swój sposób piękna.

- Na swój sposób? - zapytała beznamiętnie. Cały ten urok, te wszystkie pochlebstwa i komplementy, ta troskliwość. Zwykłe przedstawienie. Powinna była się zorientować.

- Nigdy nie powiedziałbym nic, w co nie wierzę. Przysięgam ci. Zwłaszcza tobie.

Uśmiechnęła się lekko, ale oczy miała zamysłone.

Poznał ją w Paryżu, potem zadał sobie trud, żeby ją wytropić, nawet jechał za nią samochodem, kiedy zbliżali się do Wenecji. Czy to tylko z własnej inicjatywy, czy ktoś za tym stoi?

Chciały to wiedzieć, chciały znaleźć sposób, żeby się o tym przekonać. Wiele zależało od odpowiedzi na to pytanie.

Na ich spotkanie wyrosły czerwono złote wzgórza Apeninów. Łagodne stoki wznosiły się po obu stronach autostrady, pokryte szarozielonymi gajami oliwnymi, łąkami dzikich kwiatów i aromatycznych ziół. Zbliżając się do Florencji mijali niezliczone zagrody wiejskie, sady, winnice, także szkółki, w których obok sadzonek ozdobnych drzew i krzewów sprzedawano ułamki kolumn i gigantyczne urny na kwiaty, przypominające relikty z antycznych rzymskich ogrodów.

Zatrzymali się w przydrożnym barze na kawę. Zaraz za nimi zajechał na parking srebrny fiat z ciemnymi szybami i skręcił za budynek poza zasięg ich wzroku. Joletta zauważyła ten samochód w lusterku bocznym już jakiś czas temu. Czekała przy stoliku na Caesara, który stał w kolejce do kasy, a potem z paragonem poszedł do okienka po kawę i przekąski, patrzyła na drzwi, spodziewając się pasażerów srebrnego fiata. Nikt nie wszedł.

Wspomniała o tym Caesarowi, ale nie przejął się w ogóle.

- Mają pewnie własną kawę i chcieli tylko zjechać na parking. Albo wiozą niemowlaka, którego trzeba przewinąć. Mam pójść i zobaczyć?

- Nie, nie. Na pewno masz rację.

Oparł łokieć na stole i zaczął skubać podbródek kciukiem i palcem wskazującym.

- MoŜe jesteś amerykańskim szpiegiem? - powiedział z błyskiem humoru w oku. -

Skoro za nami jadą, to moŜe mi pozwolisz zgubić tego fiata?

- Nie, nie, dziękuję - pospieszyła z zapewnieniem. Wszystko w porządku.

- Spodziewałem się. Ńartuję po prostu. Twoja kuzynka wspominała, Ńe jeździsz w poszukiwaniu jakiejś receptury. Podejrzewam, Ńe dlatego jedziemy do Florencji. Mogłaś jechać autobusem, więc pewnie chcesz, Ńeby jeszcze gdzieś cię zawieźć? Mam rację?

PoniewaŜ nie odpowiedziała od razu, ciągnął:

- MoŜe nie powinienem pytać, ale ciekawi mnie to. Muszę coś wiedzieć, jeśli mam cię zawieźć.

Nie było fair trzymać go w zupełnej nieświadomości.

Ale równocześnie nie była pewna, czy rozsądnie jest zdradzać mu za wiele. Wczoraj nie myślała o tym. Ale dziś wszystko wyglądało inaczej i sama była inna.

Ńałowaa, Ńe nie wypytała - więcej o ten ogród i miejscowość, w której się znajdował.

Zastanawiała się na przykład, czy połoŜony był na odludziu, czy pobliski dom był zamieszkanym przez cały rok. Tak była podniecona znalezieniem go, Ńe zapomniała zadać więcej pytań.

Ale skoro dotarli tak daleko, nie bardzo moŜna było się wycofać. Tak czy owak nie byłaby w stanie przepuścić okazji, która się jej trafiła, wrócić do hotelu i czekać na następny raz. Zaczęła w niej brać górę niechęć do bezpiecznych rozwiązań. Chyba to właśnie było w

jej dotychczasowym Syciu nie w porządku.

Wyciągnęła z torby mapkę, którą naszkicował jej stary męŜczyzna w Wenecji.

RozłoŜyła ją na stoliku i zaczęła wyjaśniać, dokąd chce jechać i po co.

Srebrny fiat pojawił się za nimi, gdy tylko wyjechali na autostradę. Trzymał się w pewnej odległości, ale utrzymywał tę samą prędkość co oni. Przyspieszał, gdy oni przyspieszali, zwalniał, gdy oni zwalniali.

TuŜ przed Florencją utknęli w korku, spowodowanym przez roboty drogowe i jakiś wypadek. Wlekli się wśród samochodów, które zjeŜdŜały z czterech pasów ruchu na jeden. Przedsiębiorczy sprzedawcy gazet, Ŝyłek, napojów chłodzących, gumy do Ŝucia i dropsów miętowych przemykali pomiędzy stłoczonymi samochodami, beztróska ryzykując Ŝycie i zdrowie, wśród wycia silników i trąbienia klaksonów. Caesar się niecierpliwił, mamrotał coś, wyciągał szyję, Ŝeby zobaczyć, co się dzieje z przodu, walił ręką w przycisk sygnału, gdy tylko jakiś kierowca próbował dostać się na terytorium, które uznał za swoje. W pewnym momencie, parę aut przed nimi, doszło do niegroźnej stłuczki. Z obu wozów wyskoczyli męŜczyźni, pełno było krzyków, wygraŜania, wulgarnych gestów. Kierowcy tłumnie wylegli na jezdnię. Potem kolumna ruszyła znowu, rozległo się pospieszne trzaskanie drzwiami. Był to zajmujący spektakl, jednakŜe największa korzyść z korka polegała na tym, Ŝe udało im się zgubić srebrnego fiata, który utknął gdzieś z tyłu. Gdy na drodze zrobiło się luźniej i czerwona alfa ruszyła ze swoją zwyczajną prędkością, srebrnego samochodu nie było w zasięgu wzroku.

Ogród, którego szukali, w czasach Violet znajdował się pod Florencją, jednak w ciągu półtora wieku miasto się rozrosło i wchłonęło małą podmiejską osadę. Signora Perrino, dama w średnim wieku, która była właścicielką nowoczesnej willi zbudowanej w miejsce starej, została uprzedzona o ich przyjeździe. Powitała ich w drzwiach, z macierzyńskim ciepłem, i

od razu zaprowadziła do jadalni, gdzie ugościła ich obiadem, na który składała się pieczona wieprzowina z chrupiącą skórką, podana z sałatką panzanella oraz kamionkową karafką chianti classico.

Joletta nie myślała, że już przyszło południe, bo odczekałaby do stosowniejszej pory.

Nie miała zamiaru sprawiać kłopotu nieznanemu osobie ani ochoty na zdawkową konwersację. Jednak nie wypadało odmówić. Zapamiętała tylko sobie, że aby później przysłać kwiaty, co jest zwyczajowym włoskim podziękowaniem.

Posiłek podano w otoczonym murem ogrodzie, zamienionym w rodzaj tarasu, na który ze szklanych drzwi willi wiodły szerokie kamienne stopnie. Rustykalny charakter ogrodu został jednak utrzymany, stół był z surowego drewna, poszarzałego od słońca i wiatru. Ustawiono go na posadzce ze starej mozaiki w cieniu ogromnej winorośli, tak starej, że miała pień gruby jak drzewo. Bez żadnych wątpliwości znajdowali się dokładnie w tym miejscu, gdzie lubili siadywać niegdyś Violet i Allain, tym samym, gdzie tak dawno temu kochali się w świetle księżyca. Joletta była „oczarowana”.

Ze swojego miejsca mogła rozglądać się wokoło, podziwiać pnące róże, geometryczne klomby, fontannę pośrodku. Podczas gdy Caesar zabawiał gospodynię sypiąc jak z rękawa komplementami, mogła upajać się aromatem róż i rozgrzanych słońcem ziół, słuchać plusku fontanny i brzęczenia pszczół.

Siedząc i malując przed oczami wyobraźni obrazy z dawnych czasów, poczuła, jak spływa na nią niewiarygodny spokój. Niemal słyszała przyciszone głosy Violet i Allaina, prawie widziała ich, jak przechodzą pod starą oliwką ku furtce, wiodącej do winnicy i zabudowań gospodarczych, gdzie przy swoich obowiązkach krząta się Giovanni.

Tyle że dziś nie było furtki, jedynie kamienny łuk nad fragmentem muru wskazywał, gdzie się znajdowała.

Pokręciła głową. Imaginacje. Nie wiedziała, że ma taką bujną wyobraźnię.

Przyglądając się ogrodowi, jednak zauważyła coś ważnego. Violet odtworzyła go dokładnie w Nowym Orleanie. Na dziedzińcu własnego domu zbudowała pomnik swojej miłości, pomnik swojego kochanka.

- To taka dla mnie radość gościć panią, signorina oznajmiła gospodyni. - Całe życie intrygowała mnie tragedia, która się tu wydarzyła. Członkowie mojej rodziny pracowali tu w tamtych czasach. Zastanawiałam się, co się stało z tą Amerykanką, która była sercem tej historii, czy są jacyś jej potomkowie i czy wiedzą, co się tutaj, we Włoszech, wydarzyło. No i mam jeszcze coś, co ...

Gdzieś we wnętrzu willi rozległ się gong. Gospodyni przerwała, marszcząc czoło.

Nikogo się nie spodziewa, wyjaśniła. Po chwili pojawiła się młoda pokojówka o świeżej buzi, w czarnej sukience do kolan. Signora Perrino przeprosiła gości, wstała i poszła do domu.

Caesar siedział popijając wino, nie spuszczać wzroku z Joletty, a winne latorośle nad ich głowami kołysały się na wietrze, rzucając na jego opaloną twarz ruchomą mozaikę cieni. Pochylił się, odstawił kieliszek i wziął jej rękę w swoje obie dłonie.

- O czym myślałaś przed chwilą? Wyglądałaś zupełnie inaczej, tak słodko i tajemniczo, jakbyś chowała jakiś sekret.

- Myślałam o swojej prapraprababce. - Była to prawda, ale niepełna. Nie mogła powiedzieć więcej.

- To musiała być prawdziwa dama. Pokochała Włocha, prawda?

Nie odrywając swoich przenikliwych czarnych oczu od jej twarzy, odwrócił jej dłoń wnętrzem ku górze i podniósł ku ustom. Jego wargi były ciepłe i miękkie, a czubek języka, gdy przebiegł szybko po wrażliwych miejscach, wywołał u niej dreszcz podniecenia.

- Ho, ho, ho! - powiedziała Natalia jadowitym tonem, stając w drzwiach, w których

poprzednio znikła ich gospodyni. - Mój drogi Caesarze, chyba ci nie kazałam aŜ tak czarować mojej kuzynki.

Caesar podniósł głowę i oblał się rumieńcem. Rzucił Natalii spojrzenie pełne niechęci.

Joletta wyszarpnęła rękę z uścisku Włocha. Nie bacząc na jego przeproszające spojrzenie, powiedziała do niego:

- Ktoś zmieniał dziecku pieluszkę? Natalia wybuchnęła śmiechem.

- Czy Caesar naprawdę coś takiego wymyślił? Obawiałam się, Őe nas zobaczysz, bo

Rone upierał się, Őeby trzymać się blisko. Narzekałam na włoskich kierowców, ale Rone to zupełny wariat.

Kuzynka Joletty nie była sama. Drzwi wypełniła wysoka sylwetka Rone'a. Joletta nie chciała na niego patrzeć.

Za nimi pojawiła się gospodyni ze zdezorientowaną miną, zdziwiona nagłym zainteresowaniem jej ogrodem. - Rone mógł przecieŜ przerysować sobie mapkę - powiedziała Joletta głosem bez wyrazu.

Natalia odrzuciła włosy z twarzy.

- Chciał to zrobić, ale zabrakło mu czasu, tak przynajmniej twierdzi. Na szczęście ma dobrą pamięć do szczegółów.

Joletta zaryzykowała spojrzenie w oczy Rone'a. Były smutne i czujne. Jeśli nawet był osobiście zainteresowany tym, co się tu dzieje, nie dał tego po sobie poznać.

Wszyscy są przeciwko niej. Őadnemu z nich na niej nie zaleŜy, wszyscy chcą coś od niej uzyskać. Prawda bolała jak cierń wbity w serce. Nie ma go jak usunąć bez pogorszenia sprawy.

Zwróciła się do kuzynki:

- To potrzebowałaś aŜ dwóch pomocników?

- Nie potrzebowałabym Śadnego, gdybyś zgodziła się współpracować. Nie wiem, dlaczego jesteś taka nieprzyjemna. Właściwie to obaj mnie rozczarowali. Rone pozwolił mi jechać ze sobą chyba tylko dlatego, Śe beze mnie nie dowiedziałby się, dokąd pojechałaś i z kim.

- I co teraz zamierzasz, Natalio? Wymuszenie na dodatek do kradzieŜy i włamania?

- KradzieŜ i co? Nie mam pojęcia, o co chodzi. Joletta przyjrzała się jej spokojnie.

- Dobrze, moŜesz to próbować rozegrać w ten sposób. Nie chciałabym cię rozczarować, ale obawiam się, Śe tego się nie da uniknąć. Niepotrzebnie sprawiałaś sobie tyle kłopotów. Tutaj nic nie ma.

- Nic?! - Zawód malujący się na twarzy Natalii był prawie komiczny.

Joletta machnęła ręką w stronę ogrodu.

- Masz moje notatki. I co widzisz?

Natalia podparła się pod boki i zmarszczyła brwi.

- Przestań się wygłupiać. Nie mam i nigdy nie miałam Śadnych twoich notatek.

- Daj spokój! - Joletta wstała i odeszła od stołu. Skoro ty i ciotka Estella nie nasłaliście nikogo, Śeby ukradł mój багаŜ i splądrował mój pokój, to kto to zrobił? - Skąd mogę wiedzieć? Próbowałam tylko mieć na ciebie oko, a to wcale nie było łatwe. Myślałam, Śe tak czy inaczej uda nam się dojść do porozumienia.

Joletta nie wiedziała, czy ma jej wierzyć, czy nie.

Robiła wrażenie szczerzej, ale Natalia zawsze była dobra w udawaniu.

Czy to moŜliwe, Śeby ciotka Estella działała bez porozumienia z córką? Na pewno miała dość siły i determinacji. MoŜe ukrywała przed dziećmi jakieś działania dla ich bezpieczeństwa? Zawsze chroniła dzieci i nigdy nie dopuszczała myśli, Śe mogą zrobić coś złego.

A moŜe to Rone wynajął kogoś, Ŝeby to zrobił. Ten incydent, kiedy wypłoszył intruza z jej pokoju, mógł być zaaranŜowany dla odwrócenia podejrzeń.

No i jeszcze jego matka. Tajemnicza kobieta, którą znała tylko z fotografii w prasie, Lara Camors. Czy to taka twarda kobieta interesu, jak ją przedstawia syn? A moŜe to wszystko nieprawda, historyjka wysmaŜona przez Rone'a na jej uŜytek?

Tak czy owak, co za róŜnica. Jej udział w poszukiwaniach receptury i podróŜ śladami Violet dobiegły końca.

- Wydaje mi się - powiedziała powoli - Ŝe naduŜywamy goŝcinności signory Perrino. Chodźmy lepiej.

- Zawiozę cię do hotelu - powiedział Rone.

- Przyjechała ze mną - przerwał Caesar, podpierając się pod boki.

Rone rzucił mu surowe spojrzenie.

- Ty zawieź Natalię z powrotem do Wenecji.

- Do Wenecji? Ale ja nie chcę wracać. Musimy pogadać z Jolettą. Musimy postanowić

...

- Innym razem - uciął Rone.

Natalia przyjrzała mu się zmruŜywszy oczy.

- Słuchaj no, Ronie Adamson. Mam juŜ dosyć ciebie i twoich apodyktycznych ...

Rone nie słuchał. Zwrócił się do Joletty i zapytał:

- Idziesz?

Lepiej zostać samej z Rone'em czy z Caesarem? Nie wiedziała, co dla niej gorsze.

Który wybór wymaga więcej odwagi.

- Idę - powiedziała spokojnie i stanęła u boku Rone'a.

Na moment popatrzyła w oczy Caesara. Skrzywił usta w uŝmiechu wyraŜającym

rezygnację i westchnął, po czym podniósł bezradnie rękę.

Joletta podziękowała signorze Perrino za posiłek, przeprosiła za najście i obiecała przysłać wiadomości na temat śmierci wdowy w Wenecji.

Wychodząc z ogrodu obejrzała się jeszcze raz za siebie.

Świeciło słońce, cienie liści wciąż tańczyły na starożytnych kamiennych płytach.

Pszczoły uwijały się wśród kwitnących ziół, a liście starej oliwki rzucały srebrzyste refleksy.

Trawa, gęsta i ciemnozielona, kołysała się w wiosennym wietrze, jakby muskały ją lekkie

kroki. A z jedyne go pięknego kwiatu starej, ogromnej róży osypywały się płatki, wirując w powietrzu i szepcząc, wreszcie kładąc się na ziemi plamami czerwonymi jak krople krwi.

Joletta odwróciła się szybko i ruszyła przed siebie. Pierwsze, co zwróciło jej uwagę,

gdy doszli do przydrożnego parkingu, to marka samochodu, którym przyjechał Rone. Było to ciemne volvo.

Zakładała, że to on jechał srebrnym fiatem, zapewne wypożyczonym, podobnie jak to volvo.

To znaczy, że ten, kto jechał fiatem, nie śledził jej, był to zwykły zbieg okoliczności.

W końcu nic dziwnego, większość samochodów na autostradzie utrzymuje jednakową prędkość i odległości. Przecież to nie był długi odcinek drogi, zresztą najlepszy dowód, że został w tyle po tym korku.

Rone nie odzywał się do niej, a zajęchali pod hotel.

Wtedy popatrzył na nią.

- Powiedz mi tylko jedno - wyrzekł chrapliwym od napięcia głosem - czy ten goździk, który zostawiłaś na mojej poduszce, miał coś oznaczać, czy był to tylko impuls albo jakiś śart?

Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego.

Ogarnęła ją panika, gdy szukała jakiejś odpowiedzi, która nie narazi jej na ból. Prawda jest dobra, ale nie dla niej w tym momencie.

- Nie wiem - powiedziała wreszcie, patrząc przed siebie przez przednią szybę. - Nie jestem Violet, jestem współczesną kobietą, która nie lubi komplikować symboli. Symbole są miłe, ale zwykłe słowa i czyny lepsze.

Zamyślił się.

- To znaczy?

- Nic nie znaczy - podniosła głos. - Chcę po prostu zapomnieć o wszystkim. Chcę skończyć tę wycieczkę i wrócić do domu, do normalnego Śycia.

- To się nie stanie - powiedział cicho, ale pewnie nawet gdybym na to pozwolił, a nie pozwolę.

- Dlaczego? Rezygnuję. Nie mam zamiaru zajmować się Śadnymi perfumami.

- Kto w to uwierzy?

- MoŜesz mnie śledzić.

- Mam zamiar - odparł ponuro. Zawahał się, po czym dodał: - Ale tym razem zakwaterowanie oddzielne. Dwa pokoje.

Popatrzyła mu śmiało w oczy.

- Oddzielne. I nie po sąsiedzku.

- Nie.

- Dobrze. - Ale w duchu wcale się nie zgadzała.

Prawie natychmiast po zameldowaniu się w hotelu wyszła znowu. Nie miała Śadnych konkretnych planów, Śadnego celu. Po prostu chciała się wyrwać spod nadzoru, miała nadzieję, iŜ Rone nie domyśli się, Őe wyszła od razu.

Przyjemność sprawiał jej samotny spacer po starym mieście, zwiedzanie katedry i

starych skwerów, wspinięcie się na schody, żeby zobaczyć ciekawe widoki, podziwianie Dawida Michała Anioła.

Kupiła sobie Śakiet z szerokim kołnierzem, uszyty z niewiarygodnie miękkiej i lekkiej skórki, przeznaczony na lekkie śródziemnomorskie zimy. Będzie w sam raz i na nowoorleańskie. Znalazła parę cudownych kolczyków z osiemnastokaratowego złota i kilka kosmetyczek z wytłaczanej skóry na upominki dla znajomych.

Ruch, samotność i swoboda - tego jej było trzeba.

Ale czas już wracać do hotelu.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła dochodząc do hotelu, była ciotka Estella.

Rozpoznała ją w ostatniej chwili, w jaskrawozielonych szortach, szamerowanej kurtce, włoskich sandałach i kapeluszu na bakier z doczepioną chustką przykrywającą włosy. Wokół jednego z wystawionych na chodnik stolików przyhotelowej kafejki siedziały wraz z nią jeszcze trzy osoby. Timothy na widok Joletty zerwał się niezgrabnie na równe nogi, uśmiechnął i zaczął machać ręką. Natalia, siedząca obok brata, sprawiała wrażenie zaniepokojonej, ale opanowanej. Czwartą osobą była starsza kobieta o pięknie ułożonych siwych włosach i doskonałym, choć śmiałym makijażem, ubrana w elegancki perłowopopielaty kostium. Jej szaroniebieskie oczy patrzyły badawczo na Jolettę.

- Joletto, kochanie - powiedziała ciotka Estella - oto jest ktoś, kogo powinnaś poznać.

- Zwróciła się do siwowłosej kobiety: - Laro, to moja siostrzenica, o której ci tyle opowiadałam. Joletto, to jest Lara Camors.

Matka Rone'a. Właścicielka „Camors Cosmetics”. Starsza pani uśmiechnęła się przy powitaniu, krzywiąc dziwnie wargi.

- A więc tak pani wygląda. Domyśliłabym się.

Joletta spojrzała na nią pytająco. Lara Camors dodała: - Opisywał mi panią Rone. Ma

pani wiele wspólnego z babką Rone'a, która go wychowywała. Matką jego ojca. Elegancka, rozsądna, ale trochę nerwowa.

- Dziękuję ... chyba - odpowiedziała Joletta.

Ciotka Estella posadziła Jolettę na krześle, niemal siłą wcisnęła jej do ręki kieliszek wina, a dla siebie zamówiła następny.

- Natalia twierdzi - zaczęła ciotka Estella, kiedy kelner się oddalił - Œe nie miała czasu z tobą naprawdę pogadać. Pomyślałam, Œe trzeba temu zaradzić.

- Obawiam się, Œe mogłyście sobie z panią Camors oszczędzić tej podróŜy.

- Natalia mi mówiła, Œe nie udało ci się wpaść na Œaden istotny trop w sprawie perfum, ale nie chce mi się w to wierzyć. Nie przyjeŜdŜałabyś tutaj, nie odwiedzałaś tej kobiety tu, we Florencji, bez waŜnego powodu.

- Ciociu, czy nigdy ci nie przyszło na myśl, Œe mogę mieć na głowie jeszcze inne sprawy?

Timothy, odstawiając kufel z piwem, omal go nie wywrócił. Ocierając kroplę piany, która upadła mu na rękę, powiedział:

- Bądź z nami szczerą, Joletto. Wiesz przecieŜ, Œe błądzimy w ciemności, nie znając zawartości dziennika. - Oczywiście, Œe pani wie duŜo więcej, niŜ mówi powiedziała Lara Camors. - Po prostu nie chce wam powiedzieć, bo spiskujecie przeciwko niej.

Joletta nie wiedziała, czy cieszyć się, czy złościć tą aŜ nadto trafną uwagą. Popatrzyła badawczo na matkę Rone'a.

Dłonie tej kobiety, obejmujące subtelnie kieliszek z winem, były gładkie i wypielęgowane, paznokcie w kształcie migdałów pomalowane na jasny kolor, z lekkim odcieniem róŜu. Cera nieskazitelna i delikatna, choć z nieznaczną siateczką kurzych łapek przy oczach. Wyraz tych oczu pełen był zrozumienia, lecz takŜe i wyrachowania.

- Pani ciotka bardzo się przejęła usłyszawszy, 'Œe miała pani kłopoty: skradziono „pani torbę, włamano się do pokoju i tak dalej. Prawdę mówiąc, ja takŒe - odezwała się po chwili ponownie Lara Camors.

Joletta, odpowiadając pewnym spojrzeniem na taksujący wzrok tamtej, odparła:

- Pani syn się mną opiekował.

- Tak wywnioskowałam z tego, co opowiadała Natalia. - UŒmiejch pani Camors pozostał niezmaŒcony. Mam nadzieję, Œe ułoŒyła sobie pani z nim stosunki. On potrafi być nie do wytrzymania.

- JakoŒ nam się udało.

Matka Rone'a przyjęła do wiadomości tę lakoniczną uwagę lekkim zmruczeniem powiek.

- Potrafi być trudny, ale często ma rację. Od samego początku uwaŒał, Œe wszystkie strony zaangażowane w tę sprawę powinny wypracować jakieŒ porozumienie. Wielokrotnie stąd dzwoniąc przekonał mnie wreszcie, Œe nie moŒna prowadzić negocjacji z jednym tylko członkiem rodziny. Jestem tutaj, Œeby spróbować dojŒć z panią do jakiegoŒ rozsądnego kompromisu.

Joletta zauwaŒyła, Œe ciotka Estella i Natalia wymieniają znaczące spojrzenia. Sądząc z ich min, ostatnia wypowiedź Lary Camors stanowiła dla nich niemiłą niespodziankę.

Timothy spojrział na matkę marszcząc brwi.

- To w tej chwili bezprzedmiotowa sprawa - powiedziała Joletta.

- Nie chce mi się wierzyć, Œeby receptura perfum, które były produkowane przez jedyną pracownię w Nowym Orleanie przez ponad sto lat, mogła zaginać. Tak się nie prowadzi interesów. - Ton starszej pani nie znoŒił sprzeciwu.

- Mimi prowadziła - stwierdziła ciotka Estella. Czy chcesz przez to powiedzieć, Œe

nawet jeśli laboratorium uzyska jakieś obiecujące wyniki, nie chcesz tych perfum bez zgody Joletty?

- Zgodnie z opinią moich radców prawnych muszę mieć zgodę wszystkich żyjących spadkobierców Mimi Fossier, jeśli mam dysponować swobodnym i nieograniczonym prawem do wykorzystywania tej receptury, kiedy ją wreszcie zdobędę. W takim razie, Estello, możesz uznać, że moja odpowiedź na twoje pytanie jest twierdząca. Ale najważniejsze dla mnie jest to, by pochodzenie tych perfum było udokumentowane. Bez tej 'całej barwnej przeszłości' będzie to tylko jeszcze jeden przyjemny zapach. A „Camors” ma takich zapachów na pęczki.

Joletta wyprostowała się.

- Chciałabym potwierdzić, że wolę zatrzymać te perfumy dla naszej pracowni w Nowym Orleanie.

- Rzeczywiście? A powody? - zdziwiła się Lara Camors.

- Duma, tradycja, wyzwanie - odparła Joletta.

- Ach, o to chodzi - rzekła starsza pani z wyrozumiałym uśmiechem.

- Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że gra idzie o miliony? - odezwała się Natalia, patrząc z niechęcią na Jolettę.

- Zdaję sobie sprawę.

- Jeśli masz zamiar siedzieć na tym dzienniku i trzymać wszystko, co nam potrzebne, tylko dla siebie, to ... to zabiję cię, rodzina nie rodzina. - Dziewczyna zwróciła się do Lary Camors z jadowitym uśmiechem na twarzy: - Niech pani pomyśli, to niezły pomysł, to przecież mama dziedziczy po Joletcie w pierwszej linii według cudownego Luizjańskiego prawa spadkowego. Czy to znacznie nie ułatwiłoby nam życia?

Starsza pani przyglądała się jej przez chwilę ze zdezorientowaną miną, nim „pojęła”, że to Sart. Nie roześmiała się jednak wcale. Ani ona, ani nikt inny.

ROZDZIAŁ XXI

Czekam.

Czekałam już tyle przez te ostatnie dni jesieni, przez czas winobrania i Śniw, przez te ponure, ciemne dni, gdy cała ziemia zdaje się zmęczona i pragnie jedynie spoczynku. Nie do uwierzenia, by mój kochany Allain miał do mnie nie wrócić. Nie mógłby zostać z dala ode mnie.

Tej jesieni ginęli ludzie na Krymie, w miejscach, które były tylko nazwami na mapach. Związani sojuszem władcy Anglii, Francji, Prus i Austrii włączyli się do walki z nadmiernie ambitnym i zaborczym carem Mikołajem. Śal mi biednych Śołnierzy obu stron, wysyłanych, by ginęli z dala od domów i rodzin, ale to tylko powierzchowne współczucie. Tak naprawdę Śal mi samej siebie. Ale, chcąc zachować wiarę w moją miłość, przewycięŚam słabość.

Czasami Violet ogarniała złość na Allaina. Jak on mógł tak wyjechać i zostawić ją samą wśród obcych? Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak się będzie bała, co sobie wyobraŚała, będąc kobietą w odmiennym stanie?

Powiedział, Śe jej nigdy nie opuści. Mimo to opuścił.

Opuścił.

Dzień po dniu wmawiała sobie, Śe on wróci, wróci wkrótce, Śe nie zostawi jej na zawsze. Dzień po dniu słońce zachodziło i noc pogrąŚała willę w ciemnościach, a Allain nie wracał.

Była pewna, Śe nie odszedłby bez waŚnego powodu.

Na pewno musiał się z kimś zobaczyć, załatwić coś, by połoŚyć kres tropieniu ich.

Albo moŚe chciał wymierzyć sprawiedliwość tym ludziom, którzy napadli na signorę da Allori i spowodowali jej śmierć.

Ale Œeby tak ją zostawić samą, po tym, co wyrządono tej starej kobiecie, która ich gościła, to czyn bezduszny. Co ona ma zrobić, gdyby pojawili się ci ludzie, gdyby zaŒądali wiadomości o Allainie, a ona nie mogłaby im powiedzieć?

Teraz, gdy dziecko w jej łonie rosło, często czuła się ocięŜała i niezgrabna, inaczej niŜ zwykle. Niegdyś była taka szybka i zręczna, teraz musiała poruszać się powoli i ostroŜnie. I miała wraŜenie, Œe jest podatna, wraŜliwa na wszelkie przeciwności, nawet nie ze względu na siebie, ale dziecko, które nosiła. Gdyby cokolwiek jej się stało, dziecko nie przeŜyłoby. Œeby je chronić, musiała dbać o siebie.

OczywiŒcie nie była zupełnie sama. Był przy mej Giovanni.

Zawsze znajdował się gdzieś w pobliŜu, przycinał krzewy, pełł, grabił, zamiatał posadzki. Przynosił jej bukiety kwiatów i stawiał je na stole wraz ze Œniadaniem czy obiadem. JeŒli upadła jej robótka, wyrastał spod ziemi, Œeby ją podnieŒć. JeŒli spacerowała alejkami wokół domu, zjawiał się, by jej podać ramię.

Od dnia zniknięcia Allaina Giovanni spał w domu.

Przychodził co wieczór po zmierzchu i zostawał do Œwitu. Zajął posterunek u jej drzwi, gdzie kładł sobie siennik. Jednak Œe kiedy spał, nie mała pojęcia, bo jeŒli wstała w nocy - czuwał, gotów słuŜyć jej wszelką pomocą. W długie wieczory 'późną jesienią siadywał z nią w salonie. Lubił, kiedy mu czytała. Nie był całkiem niewykształcony, uczył się trochę u miejscowego księdza, ale długi dzieñ pracy nie pozostawiał mu wiele czasu na ksiąŜki., Lubił słuŒać wieŒci ze Œwiata, ale szczególnie przypadł mu do gustu włoski przekład opowieŒci Waltera Scotta o rycerskich męŜach i szlachetnych damach. Kiedy przyłapała go na skrywanym uŒmieszku z jej nieporadnej wymowy, namówiła go, by pomógł jej doskonalić język włoski.

Zawsze sam podawał jej kolację, przygotowaną przez matkę. Nie pozwalał Violet

jadać w kuchni, lecz nosił posiłki do jadalni i przestrzegał wszelkich form. Rozśmieszał ją dowcipnymi uwagami na temat wydarzeń z Sycia wioski i jego własnej pracy, i nieustannie namawiał, by jadła więcej, zachęcając do spróbowania jeszcze tego i owego, jakby jedzenie, którym ją karmił, było substytutem miłości.

Z początku krępowało ją to.

- Giovanni, zaniedbujesz dla mnie swoją pracę - powiedziała pewnego razu - albo swoją rodzinę.

- Nie szkodzi, madonna - odparł z czułością w ciemnych oczach. - PrzecieŜ muszę być blisko, gdyby mnie pani wołała.

- Dobrze, ale przecieŜ nie musisz pilnować kaŜdego mojego oddechu.

Jego uśmiech rozpląnął się, ustępując miejsca zatroskaniu.

- Czy sprawiam pani kłopot moją obecnością?

. - Nie, oczywiście, Œe nie, ale musisz mieć swoje własne Œycie.

- Nie, madonna, ono naleŜy do pani.

Potem tak zdecydowanie zmienił temat rozmowy, Œe nie mogła więcej nalegać.

Ciekawa była, czy to rzeczywiście Allain zostawił tak surowe instrukcje, by dbał o jej wygodę, czy teŜ to sam Giovanni interpretował je w ten sposób, dla zaspokojenia własnych potrzeb. Podejrzewała, Œe i jedno, i drugie.

Pewnego dnia zapytała go:

- Czy masz kogoś wyjątkowego, swoją dziewczynę?

- Nie, madonna, gdybym miał, nie mógłbym słuŜyć pani.

Zastanowiła się przez chwilę.

- PrzecieŜ jest tyle ładnych dziewcząt, mógłbyś sobie ułoŜyć Œycie?

Wytrzymał jej spojrzenie z łagodnym błyskiem w oku i pełnym zrozumienia

pochyleniem głowy.

- Bardzo łatwo o ładną, młodą dziewczynę, madonna, znacznie trudniej o piękną kobietę.

Takie oddanie jest czymś przyjemnym dla kobiety, która z każdym tygodniem robi się coraz grubsza. Violet nękały wyrzuty sumienia, że pozwalała mu ciągnąć to wszystko, nie dając mu nic w zamian, ale mimo to nie mogła sobie tego odmówić. Przynosiło jej to ukojenie w jej osamotnieniu, które czasem stawało się nie do zniesienia, i pomagało przetrwać kolejne dni.

Potem nadeszły zimowe słoty.

Rdzawe złoto i brąz Toskanii ustąpiły miejsca szarościom równie ponurym jak stan ducha Violet. Pewnego dnia stała rankiem w oknie małej sypialni gościnnej, którą umyśliła sobie wykorzystać na pokój dziecinny, i wpatrywała się w ścieżkę, biegnącą po zewnętrznej stronie ogrodowego muru, potem wzdłuż warzywnika, a dalej za zabudowania gospodarcze. Deszcz ustał, chociaż z okapów jeszcze płynęły strugi wody, a wiatr strącał krople z drzew. Zobaczyła, jak Giovanni wychodzi z taczkami pełnymi obornika, który miał rozrzucić pod różami. Podniosła rękę, by go pozdrowić, a on skłonił głowę z uszanowaniem. Odwrócił się, otworzył furtkę w murze otaczającym ogród, i znikł.

Zza jej pleców odezwała się jego matka, która pomagała jej szykować pokój.

- To dobry chłopak, pracowity, ale w głowie mu tylko głupstwa i wielkie ideały.

- Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Maria zaczęła trzepać puchową poduszkę z większą energią, niż się to wydawało konieczne.

- Tak, pani wymaga opieki. Ale błagam, niech pani uważa. Głowa mojego

Giovanniego rozumie, że należy pani do signora Massariego, ale jego serce chyba o tym nie

pamięta.

- Mario - powiedziała zaskoczona Violet, zwracając twarz w jej stronę - popatrz tylko na mnie. Nie jestem w formie, by zainteresować jakiegokolwiek mężczyzną - Pani, nie stałaś się odraŹająca tylko dlatego, Źe nosisz dziecko i wymagasz ochrony i opieki. Giovanni to widzi.

ZniŹając głos, Violet odparła:

- Ale przecieŹ wcale go nie zachęcam.

- Wystarczy, Źe jest pani tutaj bez opieki swojego mężczyzny.

- To nie mój wybór. Janie mam dokąd iść. - Violet zawahała się, nim dodała: - Co mam robić, Mario, jeśli on nie wróci?

- Nie wiem, pani. Chodzi o pieniądze? To znaczy ... ma pani z czego Źyć?

- Ach tak - odparła Violet zdecydowanie - nie mam tylko po co Źyć.

- Proszę tego nie mówić! - Maria podparła się pod swoje tęgie boki. - Ma pani bambino, a to coś wielkiego. Nie moŹe pani wątpić w sens Źycia, myśleć o śmierci, bo dzieciątko zostanie tymi okropnymi myślami napiętnowane. Trzeba zachować pogodę ducha, Źeby maleństwo urodziło się zdrowe i zadowolone.

- Łatwo powiedzieć. A jeśli ... załóŹmy, Źe Allain nie wraca, bo jest ranny? Albo jeszcze gorzej? MoŹe nie Źyje od tygodni, a nie było komu zawiadomić mnie o tym? Nie było nikogo, kto by wiedział, Źe czekam tu na wieści o nim?

- Nie wolno się martwić na zapas.

- Muszę o tym myśleć. Muszę postanowić, co dalej.

- Nic. Trzeba spokojnie czekać na bambino. To jedyna mądra rzecz, jaką moŹe pani zrobić. Signor tak się cieszył, taki był dumny, Źe zostanie ojcem. Na pewno przyjedzie na urodziny, jeśli tylko jeszcze serce się w nim kołacze.

- A jeśli nie? Co wtedy? Gdzie mam się zwrócić o pomoc?

- Ja się panią zajmę. Niech się pani nie martwi, mam sześcioro własnych dzieci, a jeszcze wiele innych przyjął na świat. Wszystko się ułoży.

*

Jesień dłużyła się bardzo. Doniesienia z bitwy nad Almą na dalekim Krymie mówiły o wiktorii sił sojuszniczych. Dopiero potem przyszły wieści o błędach aliantów i poniesionych wielkich stratach.

Strona brytyjsko - francusko - turecka rozpoczęła w połowie października ostrzał Sewastopola, głównego portu wojennego Rosji na Morzu Czarnym. Jednakże wysadzenie w powietrze francuskich magazynów opóźniło ostateczny atak. To dało Rosjanom czas na umocnienie obrony. W rezultacie sojusznicy musieli nastawić się na przedłużone oblężenie twierdzy sewastopolskiej.

Rosjanie dokonywali zbrojnych wypadów - jeden z nich, z umocnień pod Bałakławą,

* 20 września 1854 r. (przyp. tłum.).

doprowadził, wskutek błędów dowództwa brytyjskiego, do samobójczej szarży lekkiej brygady lorda Cardigana. Była to straszliwa rzeź, ale zarazem pokaz niewiarygodnego męstwa, zakończony, dzięki posiłkom francuskiej kawalerii, całkowitym zwycięstwem.

Kilka dni później, wśród porannej mgły i deszczu, Rosjanie zaatakowali angielsko - francuskie siły oblegające Sewastopol. Bitwa okupiona została trzynastoma tysiącami poległych.

Wkrótce potem brytyjskie statki zaopatrzeniowe, wiozące nie tylko amunicję, lecz także prowiant, leki i zimowe umundurowanie, zatoneły w czasie sztormu na Morzu Czarnym. Armie sojusznicze udały się na kwatery zimowe, czekając na wiosnę, by podjąć na nowo działania bojowe.

Jeszcze w trakcie początkowych pyrrusowych zwycięstw doniesienia korespondenta wojennego „London Timesa”, opisujące szczegółowo tragiczne warunki w brytyjskich lazaretach, doprowadziły do wysłania na Krym Florence Nightingale wraz z ekipą trzydziestu ośmiu pomocnic. Na polecenie brytyjskiego komisarza wojennego zorganizowała ona opiekę pielęgniarską nad rannymi żołnierzami. Prasa okrzyknęła ją bohaterką za jej wysiłki dla ratowania życia.

I tak to się toczyło, złe wieści na zmianę z dobrymi, a na wszystkim położyły się zimowe chłody. Wille otaczał błękitny dym i zapach płonącego drewna, a także aromaty suszących się pod sufitem pęczków ziół i warkoczy czosnku.

Wonie te łączyły się z mocnym bukietem rosółu i sosów znad ogromnej kuchni Marii.

Maria nauczyła Violet szydełkowania i teraz razem robiły śpioszki i buciki, które Violet haftowała w maleńkie kwiatki. A razem z Giovannim robili perfumy.

To on natknął się na recepturę. Leżała na krześle Violet w salonie. Violet na odwrocie kartki narysowała wykrój kaftanika, który właśnie robiła. Giovanni złapał kartkę i zaczął odczytywać na głos.

- Czy to te perfumy, których pani używa? - zapytał po chwili, zerkając na nią spod długich rzęs.

- Używałam. Zostało mi już tylko parę kropli, więc oszczędzam.

Kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Na powrót pana? Ale bez trudu możemy zrobić więcej.

- Naprawdę?

- Olejek różany mam. Inne składniki można dostać w aptece we Florencji, w każdym razie większość. Może coś trzeba będzie sprowadzić z Rzymu. To są kłopoty.

- Jesteś pewien? - zapytała zaciekawiona.

- Oczywiście. - Spojrzał na nią ciepło.

- Myślisz, że umiałabym je zrobić? - Poczła przemożną chęć zajęcia się mieszaniami zapachów, które stopią się w jedną cudowną woń z wysadzanej klejnotami buteleczki.

- Z największą przyjemnością nauczę cię, madonna rzekł po prostu.

Pewnego wieczoru, gdy Maria poszła już spać, zebrali wszystkie olejki eteryczne i czystą okowitę, która pozwala wydobyć aromat. Zanieśli to wszystko do sypialni Violet, jak najdalej od kuchni i jej oparów. Usiedli przy stoliku stojącym koło kominka wraz z całym potrzebnym sprzętem, szklanymi menzurkami, kolbami i zlewkami z dziobkiem, pipetami, niezbędnymi do odmierzania drobnych ilości olejków i dodawania ich po kropli do zlewki. Giovanni, z powagą i lekką wyższością, wyjaśniał szczegóły procesu. Pierwszą miksturę przyrządził sam pod dyktando Violet, która odczytywała nazwy poszczególnych składników i ich ilości. Zmieszawszy wszystko ostrożnie, Giovanni sięgnął do przegubu Violet.

Instynktownie cofnęła rękę.

Uśmiechnął się i przytrzymał ją delikatnie, rozcierając kciukiem skóry po wewnętrznej stronie nadgarstka.

- Muszą trafić na pani skórę, tam gdzie jest ich miejsce. Przestała się opierać, a on umieścił kropelkę lotnego płynu na jej przegubie, odczekał chwilę, po czym wciągnął zapach. Zmarszczka niezadowolenia przecięła mu czoło.

- To nie to samo.

- Jesteś pewien? - Violet sama wciągnęła rozgrzany na swojej ręce aromat i zamknęła oczy, koncentrując się. Wreszcie pokręciła głową. - Masz rację. Co się nie udało? - Ciut za dużo tego albo za mało owego. Staralem się uważać, ale najwyraźniej popełniłem jakiś błąd. Zrobiła jeszcze jeden głęboki wdech. Nagle rozpromieniła się.

- JuŜ wiem. Za duŜo narcyzów. Prawie na pewno. Oczywiœcie.

- Tak? - Powąchał sam. - Tak, madonna, pani ma wspaniały nos.

Rozeœmiała siê. Jeszcze nigdy nie słyzała tak dziwnego komplementu.

- Naprawdê tak myœlisz?

- Wiem to na pewno. Niech pani miesza.

Próbka, którą przyrzadziła, wypadła doskonale. Była o tym przekonana, zanim jeszcze umieœciła kroplê na swoim przegubie. Opary unoszące siê z kamionkowej zlewki miały doskonały bukiet, uderzający do głowy wiosennymi narcyzami i róŜami pełni lata, delikatnym kwieciem pomarańczy i egzotyczną nutą piŜma, tworząc razem kompozycjê przemawiającą siłą i pięknem, i ... tak, miłością.

Giovanni chwycił ją za dłoń w momencie, gdy kropla rozlała siê po skórze, i głoœno wciągnął w nozdrza ciepły wspaniały aromat. Ekstaza wygładziła jego rysy i podniosła kąciki ust w uœmiechu.

- Właœnie tak - wyszeptał.

Podszedł i wziął ją w ramiona. Był to odruchowy gest triumfu, satysfakcji i czystej radoœci. Nie było w nim nic zmysłowego, Őadnego podstêpu, fałszu. MoŜe i łatwiej byłoby jej, gdyby było inaczej, łatwiej odmówić, proœciej siê oprzeć.

A tak, przyłgnęła do jego twardej, młodziêczej siły, przyjęła wsparcie, które jej ofiarowywał, bez wåtpliwoœci, smakując ciepłe bezpieczeŃstwo jego ramion i poczucie, Őe moŜe odetchnąć. Poczwała jego wargi i miêkki lok włosów na swojej skroni. A dziecko w jej łonie poruszyło siê, jakby wyraŜając sprzeciw.

Uwolniła siê z tego uœcisku bez poœpiechu, ale stanowczo. Giovanni jest uroczy i drogi, i aŜ nadto chêtny do usług. Nie w porzâdku byłoby go zachęcać. Miała dla niego wiele ciepłych uczuć. Gdyby sytuacja była inna ... ale nie była. Oddała swoją miłość Allainowi i

nigdy tego nie zmieni.

Odsuwając się od Giovanniego wiedziała już, że nie można dłużej czekać, że nadszedł czas działania.

Akredytywa wystawiona na nazwisko Violet u florenckiego bankiera wydawała się nieograniczona. Skorzystała więc z tego, pobierając wystarczające środki na pokrycie kosztów podróży dla dwóch osób.

Długo i poważnie zastanawiała się, czy prosić Giovanniego, by jej towarzyszył. Co innego, gdy śpi na progu jej pokoju w domu, w wiosce, gdzie każdy go zna, a jego matka mieszka w sąsiednim domu, a co innego podróżować z nim po oberżach i pensjonatach, nawet jeśli będzie miał oddzielny pokój. I nie chodziło już o jej własną reputację, miała wrażenie, że jest jej na zawsze pozbawiona. Chodziło jej raczej o to, żeby młody Włoch nie zaczął sobie za duży obiecywać.

Niemniej jednak sama w podróż wyruszyć nie mogła.

Wprawdzie szósty miesiąc jeszcze nie minął, według najstarszych obliczeń, ale robiła się ociężała, i noszenie bagaży podróżnych raczej nie wchodziło w grę.

Problem, jak się okazało, nie polegał na tym, czy pozwolić Giovanniemu jechać ze sobą, tylko jak go przed tym powstrzymać, gdy już się zorientował w jej zamiarach. Jego entuzjazm był tak jawny, a stanowczość tak niewzruszona, że w końcu nie opierała się długo.

Najpierw pojechali do Wenecji, do domu signory da Allori. Był opuszczony i zamknięty na cztery spusty. Dopytywali o Allaina w każdym hotelu i każdym lokalu przyjmującym gości za opłatą - na który się natknęli. Jednak wszelki śluch po nim zaginął. W każdym razie nigdzie nie figurował na liście gości pod własnym nazwiskiem.

Następny etap prowadził do jego domu w Paryżu.

Ten tak się stał ciemny i głuchy. Nikt z jego przyjaciół nie miał pojęcia, gdzie może

przebywać. Wszyscy zastanawiali się, gdzie się może podziewać, wszystkim go brakowało.

W ich oczach widać było ciekawość i powątpiewanie, gdy widzieli jej stan. Pewnie zastanawiali się, dlaczego go szuka i dlaczego towarzyszy jej młody, przystojny Włoch o zadziornym wyglądzie i z błyskiem zazdrości w oku, ale nikt nie dał tego po sobie poznać.

Londyn był ostatnim etapem zamierzonej podróży.

Ponieważ jednak nie miała pojęcia, gdzie mieszkał, gdy się poznali, i czy miał jakiś stały albo chociaż tymczasowy adres, więc uznała, że nie warto iść tym tropem.

Nie mając dokąd się zwrócić, Violet pomyślała o Gilbertcie. Ciekawa była, czy nadal przebywa w Europie, czy trzyma się swojego pierwotnego planu i czy zawiadomił rodzinę w Nowym Orleanie. Ciekawa też była, czy nadal jej szuka. Ale przede wszystkim chciała wiedzieć, czy widział gdzieś Allaina, przypadkowo lub z rozmysłem.

Ta kwestia nękała ją coraz bardziej, zwłaszcza że przypomniawszy sobie sugestię Allaina wypowiedzianą w Wenecji, by wracała - dla własnego bezpieczeństwa do męża. Mniej więcej po tygodniu od powrotu do willi, gdy tylko odpoczęła po trudach podróży, Violet usiadła i napisała szereg listów, wysyłając je w miejsca, które wiedziała o tym - Gilbert planował odwiedzić w pierwszym roku ich wielkiej podróży. Nie wiedziała, czy go gdzieś zastanie, czy zechce jej odpowiedzieć. Mimo to musiała spróbować. Nie podała dokładnego adresu zwrotnego, jedynie urząd pocztowy we Florencji. Chciała, by wszelkie kontakty między nią a mężem odbyły się w wybranym przez nią miejscu i czasie.

Odpowiedź przyszła z Rzymu, gdzie Gilbert spędzał zimę. Nakłaniał ją, by go odwiedziła dla szczegółowego omówienia pytań, które zadała mu w liście.

Jechać czy nie jechać?

Wizyta zapowiadała się niezręcznie. Stare wyrzuty sumienia z powodu złamania świętej przysięgi małżeńskiej i porzucenia mężczyzny, któremu winna wierność do grobowej

deski, odśyły. Wspomnienia o tym, jak ją potraktował, zblakły i juŚ się go nie obawiała.

Przestała takŚe sádzić, Śe to on stał za napadem na Allaina na dworcu kolejowym w Wenecji.

PrzecieŚ napisała do niego tylko po to, Śeby dowiedzieć się, czy nie wie czegoś o Allainie. Musi jechać.

To jej ostatnia deska ratunku. .

JednakŚe odłoŚyła wyjazd na okres po świątach BoŚego Narodzenia, a potem jeszcze trochę z powodu chłódów. Wreszcie koło połowy stycznia wyruszyła wraz z Giovannim do Rzymu.

Gilbert mieszkał w pensjonacie - ponurym domostwie koło Forum - w którym śmierdziało kotami, choć wynagradzał to trochę widok na Koloseum. Otworzyła im arogancka dziewczyna w wydekolowanej bluzce i spódnicy bez halki. Wyszła, gdy usiedli z Gilbertem do ciepławej herbaty. Zachowywała się stanowczo za swobodnie jak na pokojówkę.

Giovanni spojrział na Violet ze znaczącym uśmiejchem, jakby krytycznie komentując gust Gilberta. Violet zastanawiała się, czy obecność dziewczyny miała związek z jej przyjazdem. MoŚe miała jej pokazać, Śe nie tylko ona moŚe zachowywać się niemoralnie, a moŚe miała obudzić w niej zazdrość. W takim razie plan się nie powiódł. Zrobiło jej się przykro, Śe jej mąŚ musi się uciekać do takich sztuczek, by podbudować swoją męską dumę, ale równocześnie była zadowolona, Śe się szybko pocieszył.

Gilbert mocno schudł. Na jego twarzy pojawiło się więcej zmarszczek, sprawiał waŚenie postarzałego o dziesięć lat. Ręce drŚały mu wyraźnie, a na pomocniczym stoliku stała kolekcja napoczętych karafek.

Popatrzył na Giovanniego z" góry, gdy Violet go przedstawiała, a później traktował jak powietrze.

- A więc - powiedział ostro, zerkając na jej brzuch widzę, że dobrze wyglądasz.

- Ty tak? - odpowiedziała uprzejmie. Równocześnie posłała ostrzegawcze spojrzenie

Giovanniemu, który przesunął się na brzośko krzesła z zaciśniętymi pięściami na kolanach.

- Ponieważ nie dawałaś dotąd znaku życia, to domyślam się, że bardzo czegoś ode mnie potrzebujesz, skoro się u mnie pojawiłaś - ciągnął tonem, którego nie dałoby się nazwać przyjemnym.

- Wieści - odparła. - Tylko wieści.

- A niby dlaczego miałbym się nimi z tobą podzielić?

Jej serce zabiło nagłą nadzieją.

- Masz jakieś?

Mówił dalej szorstko, nie zwracając uwagi na jej pytanie:

- Nigdy nie brałaś pod uwagę, co ja czuję, moja droga? Nawet nie pomyślałaś, że się będę o ciebie niepokoił, prawda? Wyjechałaś i nawet nie przyszło ci do głowy, że mogę się martwić, czy nie porwali cię jacyś kidnaperzy albo inni złoczyńcy! Nie mogłaś dać mi choćby małego znaku, że żyjesz?

Musi ją strofować! Nie może po prostu odpowiedzieć na pytanie. Nie zmienił się nic a nic.

- Przykro mi, jeśli cię skrzywdziłam - powiedziała z wolna - ale ty mnie też.

- Naprawdę? To jest już coś, jakkolwiek na to patrzeć. Zajmowały go tylko własne uczucia, jego własna strata, nie obchodziło go, co ona myśli i czuje. Przez chwilę znów poczuła pustkę swojego małżeństwa, to, że kochał ją tylko - jeśli w ogóle - jako wytwór własnej wyobraźni, przedłużenie samego siebie, własność raczej, a nie jak kobietę z krwi i kości, którą była naprawdę i którą się czuła.

- Miałaś wiadomości z domu?

- Parę linijek, głównie pytania, dlaczego nie piszemy.

Wy tłumaczyłem, że to z powodu wojny poczta nie dochodzi, a poza tym, że nie mieliśmy nic interesującego do zakomunikowania, bo nie zrobiliśmy większych postępów w kierunku celu naszej podróży.

Nic interesującego do zakomunikowania.

Może tak i lepiej, niż żeby ją oczerniał w listach 'przed swoimi i jej krewnymi.

Powinna być mu wdzięczna, chociaż zrobił to tylko po to, by oszczędzić sobie upokorzenia.

- Zamierzasz wracać do Nowego Orleanu wcześniej, niż planowałeś?

- Tylko dlatego, że mnie opuściłaś? Och, co to, to nie. Nie widzę powodu. No i potrzebuję jeszcze paru sztuk mebli do naszego domu w mieście.

- Cieszę się. Nie chciałabym, żebyś z mojego powodu musiał z czegoś zrezygnować. -

Przerwała, obejmując kolana dłońmi w rękawiczkach. - A teraz, gdybyś był łaskaw odpowiedzieć mi na pytania, które ci zadałam w liście. Musisz mi powiedzieć, czy widziałeś Allaina od wyjazdu z Paryża? Może rozmawiał z tobą, coś proponował, na wypadek ... na wypadek, gdybym miała zostać sama? Muszę to wiedzieć.

Gilbert przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę. Wreszcie odezwał się z satysfakcją w głosie:

- Porzucił cię.

- Nie z własnej woli - odparła stanowczo. Sytuacja się nie do zniesienia. Czuła, że ogarnia ją gniew i przesłania wszystkie inne uczucia.

- Więc dlaczego? Co go odciągnęło od kobiety, która nosi jego bękartą?

Giovanni zerwał się na równe nogi, zanim zdołała go powstrzymać. Rzucił się na Gilberta, chwycił go silną ręką za krawat i podniósł do góry. Trzymając go tuż przy sobie, wycedził:

- Przeprósi pan madonę. Natychmiast.

Gilbert z furią wbił wzrok w Giovanniego, a jego twarz stała się najpierw ceglastoczerwona, potem zaczęła sinieć. Oddech świszczwał mu w gardle.

- Giovanni, nie! - zawołała Violet, z trudem podnosząc się z krzesła. - Zróó to dla mnie.

Giovanni ani drgnął.

- No tak... wyrwało mi się - zdołał wykrztusić Gilbert. - Nie powinienem był tak odzywać się do damy.

Giovanni nie puścił go, jedynie potrząsnął nim lekko.

Oczy Gilberta wychodziły z orbit.

- A ... Massariego ... nie widziałem.

Giovanni rozwarł dłoń i puścił Gilberta na ziemię. Ten sapiąc ciężko, opadł na krzesło. Młody Włoch cofnął się o krok. Wyciągnął rękę do Violet, wziął ją pod ramię i rzekł cicho:

- Chyba juŝ nie mamy tu czego szukać.

Oczy miała pociemniałe od smutku.

- Tak - odparła. - Wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ XXII

Był ciepły marcowy dzień. Wietrzyk niósł balsamiczne powietrze, słońce świeciło jasno. Trawa rosła jak na droŝdach, a drzewa owocowe rozwijały swoje białe i róŝowe kwiaty, jak powitalne proporce na spotkanie wiosny.

Zimowy chłód tkwił jeszcze w kamiennych murach willi. Po południu, gdy zrobiło się naprawdę ciepło, Violet wybrała się ze swoim dziennikiem do ogrodu. Giovanni przyniósł jej stołeczek, na którym mogła sobie oprzeć stopy, ŝeby nie puchły, a takŝe ciepły szal, by

ustrzec ją przed jakimś zabląkanym chłodnym powiewem w cieniu starej oliwki.

- Czy jest pani wygodnie? - spytał, stojąc przed nią rozluźniony, lecz czujny, z rękami założonymi przed sobą.

- Bardzo. - Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem, lecz zaraz spoważniał.

- Muszę powiedzieć pani o czymś. To pewnie nic ważnego, śadnego powodu do niepokoju, ale słyszałem, że wczoraj wieczorem widziano obcego w pobliżu willi.

Wszyscy w sąsiedztwie znali się dobrze i trzymali się razem, jak się o tym przekonała.

Prawie wszyscy ze wszystkimi byli powiązani jakimiś więzami rodzinnymi. Niewiele mogło ujść uwagi takiej zwartej społeczności. Skoro Giovanni mówił, iż był tu obcy, to znaczy, że tak było.

- Co robił? - zapytała.

- Nic. Wałęsał się. Poszedł sobie, kiedy jeden z naszych ludzi zapytał go, czego tu szuka.

- Czasami to dobrze, jeśli wszyscy się znają.

- Pokazał się dzisiaj?

Pokręcił głową:

- Nic mi nie wiadomo, ale proszę się nie niepokoić. Będę sadił fasolę tu obok, za murem. Proszę zawołać, gdyby pani czegokolwiek potrzebowała. I jeśli będzie pani chciała wracać do domu.

Uśmiechnęła się do niego, rozbawiona jego nadopiekuńczością, ale i rozczulona nią równocześnie.

- Wiem, jesteś na każde zawołanie.

- Na każde - odparł poważnie mimo uśmiechu.

Poszedł sobie, a Violet zabrała się do uzupełniania dziennika, myśląc, co by tu jeszcze zanotować, poza narzekaniami na swoje najrozmaitsze bóle i dolegliwości. Minął już ósmy miesiąc i niecierpliwie czekała, kiedy zrzuci swoje brzemię.

Zajęła się wiadomością o nieoczekiwanej śmierci cara Mikołaja wskutek przeziębienia i wpływem, jaki może ona wyrzucić na szanse zawarcia pokoju na Krymie. Rosyjski władca był nieustępliwy i rządził autokratycznie, w ciągu jego panowania było wiele prób obalenia go, odkąd wstąpił na tron po tajemniczym zgonie swojego starszego brata - po każdym zamachu następowała fala krwawych represji. Wydawało się, że teraz, gdy urażona duma władcy przestała wchodzić w grę, rosyjska dyplomacja może łatwiej pójść na jakieś ustępstwa. Niebawem powinno dojść do rokowań.

Koniec wojny to byłaby dobra wiadomość, ale Violet nie sądziła, by mogło to mieć jakiś wpływ na jej własną sytuację. Będzie prowadziła nadal Sycie w tej wiejskiej posiadłości i oddawała się swojemu ekscentrycznemu upodobaniu: produkcji perfum. Różnica w tym, że pojawi się dziecko.

Violet podniosła wysadzany klejnotami flakonik na łańcuszku, który nosiła na szyi. Zapach unoszący się z niego kołł jej zmysły, wywoływał uśmiech. Stał się czymś nieodłącznym, unosił się wokół niej przy każdym ruchu, wnikał w pory skóry, zdawało się, że jest obecny w jej oddechu. Pod zatyczką buteleczki był najsilniejszy, napełniał ją jej własnym poczuciem spokoju.

Może i powinna się martwić o to, co czeka ją i jej dziecko, o to, jak będą sobie radzić, gdyby Allain miał nie powrócić. Ale nie potrafiła. Weszła w okres łagodnego pogodzenia się ze wszystkim, okres, który spływa na wszystkie kobiety, gdy zbliża się czas rozwiązania. Nic nie mogła zmienić w tym, co miało się zdarzyć, i nie miała energii, by się z tym borykać.

Popołudnie mijało. Słońce zachodziło wśród różnobarwnych wspaniałości, które

malowały kamienny mur wokół Violet cudownymi barwami Tycjana czy moŜe Michała Anioła. Długie cienie przecinały świeŜą zieleń trawnika. Woda w fontannie szemrała cicho. Z kuchni wyszła Maria i nabrała wiadrem wody z fontanny. Uśmiechnęła się do Violet, podniosła pełne wiadro i wróciła do domu.

Z niedalekich wzgórz rozległy się dzwonki kóz.

Kościelny dzwon z miasteczka jakby czekał na ten sygnał, by rozpocząć swoją wieczorną pieśń.

Zrobiło się za ciemno - Violet nie mogła juŜ pisać.

Czas wracać do domu.

Ociągała się jednak. Taki piękny zmierzch. Była zmęczona, cięŜko jej było podnieść się z głębokiego wiklinowego fotela. Poczekaj jeszcze chwilę, a Giovanni przyjdzie jej pomóc.

U słyszała jego kroki na trawie, ciche, lecz zdecydowane, od strony furtki w murze.

Siedziała nieruchomo, chłonąc spokój, nie chcąc go burzyć.

Ukląkł u jej stóp, połoŜył ciepłą dłoń na jej kolanie.

- Spójrz na mnie i wybacz mi - powiedział cicho i z wysiłkiem Allain. - Niech usłyszę twój słodki głos, bo umieram z tęsknoty.

Z wolna odwróciła głowę, a w jej oczach zaślniły łzy, zabarwione wieczorną zorzą na kolor lawendy. Wyciągnęła drŜące dłonie, by dotknąć jego twarzy i pogłaskać po falujących włosach.

- Ach, mój Allainie - szepnęła - gdzieś ty był? Gdzieś ty był?

- Staralem się uratować zdrowy rozsadek i Őycie nas obojga, choć odkryłem, Őe moje własne jest nic niewarte bez ciebie. Wiedzialem, Őe nadchodzi czas rozwiazania, wiec musialem wrócić, Őeby być przy tobie. Nie zniósłbym tego, byś miała być sama w takiej chwili.

Maria miała rację, trzeba było jej słuchać, pomyślała Violet. Ale jakie to ma znaczenie, skoro on jest tutaj. - PomóŜ mi wstać - powiedziała, zdejmując stopy ze stołeczka i wyciągając ręce.

Zdjął kapelusz i odłóŜył go wraz laską, którą miał ze sobą, po czym pochylił się i objął w talii mocnym, ciepłym uściskiem.

Po chwili stali w objęciach, on delikatnie kołysał nią i dzieckiem w jej wnętrzu.

Wtuliła twarz w jego pierś, a . radość omywała ją długimi, powolnymi falami. Westchnęła z ogromną ulgą. Podniosła twarz.

Dotknął wargami jej ust tak lekko, jakby się bał, Őe je pokruszy. Po chwili jednak całował je z rozpaczliwą zachłannością, upajając się ich smakiem, przygarniając ją coraz bliŜej i bliŜej, a Ő wyrwał się jej jęk protestu.

Gorączkowo błagał o wybaczenie, wtulił twarz w jej włosy, ale widać było, Őe nie zaspokoił głodu.

Było ich czterech. Wyszli z cienia, w którym pogrąŜona była furtka w murze.

Uzbrojeni w szpady i noŜe, które połyskiwały srebrzyście w ostatnich blaskach zorzy. Na twarzach mieli maski, więc w czerni widać było tylko jasne kręgi wycięte na oczy pod szerokimi rondami czarnych kapeluszy.

Violet zobaczyła ich spoza ramienia Allaina. Jej ostrzegawczy okrzyk zdławiony był lękiem.

Allain obrócił się jak fryga, skoczył po swoją laskę.

Ukryte w niej stalowe ostrze zadźwięczało, gdy uwalniał je z osłony. Zajął miejsce między napastnikami a Violet . i przyjął postawę szermierczą.

- Idź do domu - syknął cicho przez ramię.

U słyszeli jednak. Jeden z męŜczyzn odskoczył od pozostałych i zaczął obchodzić ich

z boku. Allain cofnął się o krok, by wszystkich mieć w zasięgu klingi.

Violet potknęła się, ustępując mu z drogi. Przerazenie raziło ją jak cięcie ostrza. Nie może być mu zawadą.

Nie widziała sposobu, by Allain mógł ich wszystkich pokonać. Musi mu jakoś pomóc, musi coś zrobić. Nic nie przychodziło jej do głowy. Za sobą, w domu, usłyszała krzyki Marii.

Allain ruszył do ataku, miękko i sprężysto. Jego ruchy były tak szybkie, że nie nadążał za nimi wzrok. Związał walką od razu trzech szermierzy, robiąc zwody, uniki, odparowując ciosy, dokonując cudów zręczności. Jego twarz w półmroku była poważna i skupiona.

Klingi szczękały, zgrzytały i dzwoniły, gdy jeden szermierz starał się pokonać czterech.

Napastnicy ruszali do przodu i cofali się, osłaniali wzajemnie, ustępowali przed zjadłymi atakami Allaina. Stękali i klęli, syknięciami przekazywali sobie polecenia, wydawali okrzyki, gdy dosięgło ich ostrze Allaina. Tu i ówdzie pojawiała się krew na ich płaszczach i rękach. Ich zasapane oddechy stawały się chrapliwe z wściekłości i wysiłku.

Allain walczył z desperacką błyskotliwością i wyciskającą siódme poty energią. Jego żelazna ręka była mu posłuszna, bez trudu sięgając do wszystkich chwytów i sztuczek, których wyuczili go najlepsi mistrzowie fechtunku Paryża i Rzymu. Napastnicy byli dobrzy, ale daleko im było do jego precyzji, zręczności, przebiegłości i umiejętności. Jeden z zamaskowanych mężczyzn wydał z siebie bulgoczący odgłos i osunął się na kolana, z tułowiem pochylonym nad błyszczącą klingą Allaina.

Allain uwolnił ostrze, a tymczasem jeden z mężczyzn prześlizgnął się za jego plecy, skradając się w stronę Violet. Pozostałych dwóch zdwoiło wysiłki, by związać walką Allaina. Przez dłuższą chwilę musiał się nieźle napocić.

Violet rzuciła się niezgrabnie do biegu, wskoczyła pod zwisające pędy starej winorośli, ominęła stół i schowała się za tę przeszkodę. Napastnik zarechotał i sięgnął przez stół ręką do jej odzienia. Odchyliła się, ale udało mu się chwycić buteleczkę z perfumami na łańcuszku.

Szarpnął ją ku sobie. Uderzyła brzuchem o kant stołu i jęknęła boleśnie. Chwyciła się krawędzi, żeby się przytrzymać, bo kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Męszczyzna schował broń lekceważącym gestem.

Violet zalał straszliwy gniew. Chwyciła stół i nie zastanawiając się, pchnęła go przed siebie i przewróciła.

Łańcuszek prysnął, napastnik odskoczył, lecz za późno.

Krawędź stołu uderzyła go w piszczel. Zaklął i stracił równowagę. Violet, uwolniona, chwiała się, starając się nie przewrócić.

Męszczyzna wyszczerzył zęby i chwiejnie ruszył znów ku niej.

Allain, widząc to kątem oka, krzyknął rozpaczliwie. Nagle od strony furtki rozległ się ryk wściekłości.

Giovanni, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, rzucił się w stronę prześladowcy Violet.

W ręku trzymał kosę. Ostrze stanowiło groźną broń, lecz było krótsze i nieporównanie mniej wygodne w operowaniu niż szpada.

Napastnik obrócił się, by stawić czoło niebezpieczeństwu. Giovanni miał tylko jedną szansę. Musiał szybko znaleźć się w zwarciu. Skoczył, kosa wirowała jak jakaś archaiczna broń bogów. Zderzyli się, zaczęli zмагаć, wykręcać, szarpać, zadawać ciosy na oślep.

Napastnik przewrócił się, pociągając Giovanniego na ziemię. Obaj upadli z łoskotem na kamienne płyty. Zamaskowany męszczyzna upuścił szpadę. Ze szczękiem i chrobotem potoczyła się po płytach, kopnięta przez Giovanniego. Zatrzymała się u stóp Violet.

Pochyliła się szybko, by ją podnieść, i jęknęła z bólu prostując się. Zobaczyła, że mężczyzna, który ją atakował, wysuwa z fałd peleryny błyszczącą krótką klingę. Sztylet. Krzyknęła ostrzegawczo. Giovanni usłyszał i chwycił w silny uścisk przegub mężczyzny. Obaj przetoczyli się po ziemi, stękając, siłując się zajadle.

Violet postąpiła szybki krok do przodu, chcąc coś zobaczyć w narastającej ciemności, gotowa zadać cios bronią, którą trzymała w ręku. Ale bała się, że trafi nie tego, kogo trzeba. Znowu zerwali się na nogi. Przez chwilę przepychali się, okrążali. Resztki światła migwały błękitem na wygiętym ostrzu w rękach Giovanniego. Szpiczasty sztylet zamaskowanego osobnika wyglądał jak sędziwo.

Jak na sygnał rzucili się na siebie, rzucając, charcząc, sapiąc z wysiłku, przepychając to w jedną, to w drugą stronę, ślizgając na płytach. Rozległ się głuchy odgłos ciosu. W tym samym momencie Giovanni opuścił zamasywie kosę. Napastnik padł na wznak, w półobrocie, głowa opadła mu na bok, a na szyi otworzyła się szeroka rana, z której buchnęła krew.

Giovanni stał chwiejnie przez chwilę ze spuszczonej oczami. Podniósł wzrok na Violet, pociemniały od bólu i strachu.

- Przybyłbym wcześniej, madonna, słyszałem twoje wołanie, ale nie miałem broni ...

Chwycił rękojeść sztyletu, która sterczała mu z piersi.

Osunął się na kolana. .

Violet stłumiła ręką okrzyk, który się jej wyrwał, i poczuła wzbierające mdłości.

- Do domu! Biegnij, Violet! - rzucił Allain za jej plecami. Słowa zagłuszył szum białej broni. Ostrza przecinały ze świstem powietrze, zgrzytały o siebie, rzucając snopy pomarańczowych iskier. Słychać było ciężkie oddechy. Walczący poruszali się to w jedną, to w drugą stronę po trawniku, potykali o ciała leżących, deptali rabaty z ziołami, wzbijając w

powietrze ostry zapach bazylii, mięty, szalotki i zrytej ziemi.

Violet, rozdierana bólem, lękiem i przerażeniem, nie mogła się zmusić do ruchu.

Sylwetki walczących tańczyły jej przed oczami, nie mogła nic zrobić, stała, dźwigając ciężką szpadę, myśląc, jak by się mogła przydać.

Allain rzucił jej udręczone spojrzenie. Zdwoił wysiłki.

Odepchnął wyższego z przeciwników, dokonując cudów zręczności i siły, po czym przedarł się przez obronę drugiego. Ostrze szpady Allaina zanurzyło się w jego ciele i cofnęło ruchem tak szybkim, że ledwie zauważalnym. Został ostatni z czterech napastników.

Ten jednakże wykorzystał moment nieuwagi Allaina, by jednym ruchem wsunąć dłoń pod kamizelkę, wyciągnąć pistolet, wycelować go i wypalić.

Rozległ się huk, grzmiący wśród murów otaczających ogród. Z lufy wydobył się kłęb niebieskawego dymu. Allain upadł jak marionetka, której odcięto sznurki. Padając chwycił się ręką za szkarłatną plamę, która wykwitła na gorsie jego koszuli. Przeturlał się miękko i znieruchomiał. Jego loki rozsypały się wśród źdźbeł trawy.

Ostatni z napastników rzucił na ziemię jednostrzałowy pistolet w geście okrutnego triumfu. Z wyciągniętą szpadą ruszył w kierunku Violet.

Zatrzymał się nagle, ujrawszy Marię i grupkę wieśniaków, uzbrojonych w widły i grabie, wysypujących się przez kuchenne drzwi. Potoczył spojrzeniem po leśących kamratakach. Zauważył dziennik Violet, który leżał w trawie, a jego pochłapane krwią stronicę przewracał wiatr. Chwycił notatnik, obejrzał się jeszcze raz za siebie i rzucił do ucieczki.

Ta chwila odrysowała się ostro przed oczami Violet, tak krystalicznie czysto, że aż kłuło pod powiekami. Zarys murów ogrodu, srebrny połysk chwiejących się na wietrze liści oliwki. Wszystko było zbyt doskonałe, zbyt piękne. Aromat ziół i zdeptanej trawy, połączone z zapachem krwi, która plamiła płytki mozaiki pod stopami, tworzyły mdlącą mieszankę.

Lekki wiosenny powiew czuła na skórze jak uderzenie bicia. Zdawało się, że każdy dotyk, choćby nie wiem jak delikatny, urazi ją jak cios.

Maria rzuciła się ze zdławionym jękiem do Giovanniego. Przygarnęła go, podtrzymała, sięgnęła po sztylet i wyciągnęła go z piersi syna, który obdarzył ją słabym uśmiechem. Inni chwycili go i zanieśli do willi.

Stara wieśniaczka podeszła do Violet, łagodnie dotknęła jej ramienia i pociągnęła do domu.

Violet potrząsnęła głową.

Zmusiła mięśnie do działania, do reakcji na jej rozkazy. Powoli zbliżyła się do leżącego w kałuży krwi Allaina. Niezgrabnie uklękła przy nim. Wzięła go za rękę, unosząc bezwładne palce do policzka. Zamknęła oczy i kołysała się lekko; gorące łzy płynęły strumieniem, kapiąc na poznaczone odciskami wnętrze jego dłoni.

Powieki mu zadrżały, podniosły się. Popatrzył na nią z taką miłością i skupieniem w szarych oczach, jakby chciał po raz ostatni nasycić się jej widokiem.

Skrzywił się z bólu, jego spojrzenie uciekło w bok.

Głosem tak cichym, że musiała się domyślać, o co chodzi, wyrzekł:

- Nie ma ich?

Skinęła głową, nie mogąc wykrztusić słowa przez boleśnie ściśnięte gardło.

- Moja wina. Śledzili mnie. Powinienem być bardziej uważać.

Jego dłoń stała się zimniejsza. Violet przełknęła z trudem ślinę.

- Proszę ... proszę, nie ... - Ale sama nie wiedziała, czy chce go powstrzymać od mówienia, czy błaga go, by nie umierał.

Jego spojrzenie uciekało, skupił je z najwyższym wysiłkiem. Spróbował się uśmiechnąć, ale ból mu na to nie pozwolił.

- Miałem ci ... przynieść kwiaty ... ale w tym pośpiechu ...

- Nic nie szkodzi - wyszeptała.

- „Oto rozmaryn ... „ - jego głos był już tylko cieniem szeptu - „ ... na pamiątkę, proszę cię, luba, pamiętaj ... „, Jęknęła, gdy zamilkł, a jego powieki opadły. Krzyk uwiązał jej w gardle.

Z jej wnętrza wypłynął ból i wezbrał potężną falą. Ogarnęła ją, zalała, porwała i wyrzuciła na brzeg bezradności i rozpacz. Bezlitosne cierpienie przesywało ją na wskroś, każdy ruch, każdy dźwięk jedynie pogarszał sytuację. Próbowwała wyrwać się z rąk, które ją podniosły, zabierały ją z miejsca, gdzie chciałyby pozostać na zawsze. Słyszała głosy, których nie rozpoznawała. Zdawało się jej, że jej własna gorąca krew uchodzi jak z otwartej rany. Potem zapadła ciemność. Pogryzła się w nią z ochotą, bo już dłużej nie mogła znieść bólu.

- Jakaś piękna jest pani córka. Bella, molto bella. Violet zwróciła głowę ku Marii.

Uśmiechnęła się na widok małego aniołka, leżącego na miękkim białym kocyku rozłożonym na okrytych czarną spódnicą kolanach Marii. Dziecko spało spokojnie, jego różowe usteczka były jeszcze wilgotne od mleka. Małeńkie powieczki, skrywające ciemne oczy, obrzeżone były falbanką długich rzęs, nad nimi wyginały się łukowato brewki, a włoski, pokrywające delikatnym puchem główkę, miały kolor ciemnoblonde.

- Tak, jest piękna. Jest jej radością, pocieszeniem.

- Bella Giovanna - ciągnęła Maria cicho. - Tak się cieszę, że pani tak ją nazwała. Ma - dodała znacząco bardzo włoski wygląd.

Violet zamknęła oczy. Potrafiła już nad bólem panować, choć przychodziło jej to z wielkim trudem. Wiedziała, że w końcu z siebie.

- Tak - odpowiedziała spokojnie.

Wróciła do swojego diariusza: nowego, w ozdobnej oprawie z brązowego aksamitu, z mosiężnymi okuciami. Kupił jej go we Florencji siostrzeniec Marii. Ostatnie dni spędziła na zapisywaniu wszystkiego, co zawierał stary dziennik, skrupulatnie odtwarzała dzień po dniu, wskrzeszając każdy z nich, przeżywając jeszcze raz. W ten sposób uciekała przed teraźniejszością, która zdawała się jej nie do zniesienia.

Miała dzięki temu jakieś zajęcie; to nieustanne wspomnianie i pisanie uspokajało ją.

Nic jej nie mogło od tego odwieść, nawet lęk, że dokumentuje w ten sposób swój związek z Allainem. Potrzebowała tego dla siebie i dla jego córki.

Maria chrząknęła, nie spuszczać oczu z niemowlęcia, i odezwała się znowu:

- Nie opowiadałam pani o pogrzebie. To była wzruszająca ceremonia. Msza ślubna była bardzo uroczysta, ksiądz mówił piękne rzeczy, prawdziwie pocieszające. Było mnóstwo ludzi ... i mnóstwo kwiatów.

Violet wstrzymała oddech, starając się powstrzymać łzy.

- Gdzie go pochowano?

- Na wzgórzu, koło kościoła. Tablica jest piękna, duża, z wyrzeźbionym kwiatem róży i gałązką rozmarynu. I aniołem z opuszczonymi skrzydłami.

Violet nie była w stanie nic powiedzieć.

Milczały przez dłuższy czas. Łagodny wiosenny wietrzyk wpadał przez okno i poruszał zasłonami. Dalekie wzgórza przesłaniała mgiełka, choć słońce wydobywało ich jasne kolory ochry i zieleni.

Maria pociągnęła nosem i odezwała się znowu:

- Doktor powiedział, że dziś może pani wstać i trochę pochodzić.

- Naprawdę?

Violet wstała wczoraj na chwilę i usiadła na fotelu przy oknie. Poród miała ciężki,

straciła wiele krwi. Jej Śycie było zagrożone, tak mówiła Maria; sama nic nie pamiętała. Były obawy o dziecko, ale w końcu Giovanna przyszła na świat, protestując głośno przeciwko przedwczesnemu opuszczeniu ciepłego, bezpiecznego schronienia. Była trochę blada, ale szybko się zaróŚowiła. Jak dziecko urodzone w terminie przyssała się do piersi od pierwszego razu i .przez ostatnie trzy tygodnie odrywała się tylko po to, by spać.

- Musi pani spróbować - powiedziała Maria. - On cały czas niecierpliwie czeka. Musi się z panią zobaczyć albo sam wstanie. Nie powinien tego robić jeszcze co najmniej przez tydzień.

- A zrobi to, choćby to miało go zabić - głos Violet załamał się, uśmiech gasł powoli, jak dopalająca się świeca.

Maria pocieszająco przycisnęła jej dłoń, choć sama miała w oczach łzy.

- MęŚczyźni to głupcy, to prawda. Ale czy coś na to poradzimy? Nie. PołoŚę dziecko i pomogę pani wstać.

Maria poprowadziła ją do drzwi jego sypialni. Violet poczuła się trochę silniejsza, kolana przestały się pod nią uginać. Wydawała się sobie dziwnie lekka, połoŚyła dłoń na brzuchu i nie mogła się nadziwić, Śe jest płaski. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zastanowiła się nad tym, jak wygląda. Maria uczesała jej włosy, ale nie upięła ich wysoko.

Nie było tu lustra: ciekawa była, czy jest blada, czy teŚ zaróŚowiona z wysiłku.

Oczywiście to nie ma znaczenia. Ale to chyba dobry znak, Śe zaczęła się tym przejmować. Najwyraźniej jej 'Stan poprawia się.

Maria otworzyła drzwi sypialni, poklepała Violet zachęcająco i zostawiła ją.

Violet weszła do środka z szelestem batystów i koronek. MęŚczyzna w łóŚku drzemał.

Jego powieki zadrŚały, po czym podniosły się czujnie. Zobaczył ją.

Uśmiech, który pojawił się w kącikach ust, rozlał się powoli po całej twarzy i

rozjaśnił oczy. MęŜczyzna pokazał na stojące przy łóŜku krzesło, po czym wyciągnął ku niej obie ręce.

- Chodź. Usiądź tutaj przy mnie.

Poczuła skurcz serca. Chciało jej się płakać, ale nie mogła. Tyle łez juŜ się wylało.

Podeszła i usiadła. PołoŜyła rękę na jego dłoni, poczuła uścisk mocnych palców, odwzajemniła go kurczowo, lękliwie.

- Szkoda - powiedział głosem wibrującym tęsknotą Œe nie moŜesz się tu obok mnie połoŜyć. Spróbowałbym cię pocieszyć.

- Tak - wyszeptwała przez ściśnięte gardło.

- Ale mów do mnie. Mów, jak się czujesz. Mów o Giovannie. Widziałem ją, jest równie piękna jak jej matka, równie cudowna. Chcę słyszeć twój głos, wiedzieć, Œe jesteŒ przy mnie. Przez jedną, straszliwą chwilę myślałem, Œe nie uchroniłem cię, Œe straciłem Cię na zawsze ...

Przerwał, bo pochylila się i połoŜyła mu palec na ustach. Pod opuszkami poczuła jak jego wargi układają się w uŒmiech, który zmienia się w pocałunek.

- Powiedz mi, co będziemy robić - dokończył. Przełknęła z trudem ślinę.

- Kiedy będziemy w lepszym stanie, oboje, wyjedziemy stąd. Chyba do Egiptu.

- Tam chyba nic ci nie zagrozi.

- Ani tobie.

- Cóż Œaczy moje bezpieczeństwo, jeśli mogę być przy tobie.

- Wzmocnisz się, opalisz na słońcu.

- Dobrze by było. A co potem?

- Któż to wie?

Nie odpowiedział, leŜał tylko pieszcząc jej palce. Minuty mijały. Jego uścisk na jej

dłoni wzmógł się, po czym rozluźnił.

- Nazwij mnie po imieniu - wyszeptał. - Wypowiedz je. Chcę je usłyszeć, teraz, z twoich ust.

- Nie ... nie mogę - odparła czując, że dłuższej już nie powstrzyma łez.

- Musisz. Zrób to dla mnie. Proszę.

Nie może mu odmówić. Ale chcąc odwlec jeszcze ten moment, powiedziała:

- Prosisz swoją madonnę?

- Tak. Proszę, madonna, moja madonna.

Uklucie bólu dało się we znaki. Wargi jej zadrżały.

- No więc dobrze. Tak, ukochany, tak ...

- Giovanni - powiedział za nią błagalnie.

- Tak, Giovanni - powtórzyła łagodnie, melodyjnie. Osunęła się na kolana. Trzymając jego dłoń w swoich dłoniach oparła czoło na jego zdrowym ramieniu, nie dotykając bandażu.

Włosy opadły jej na twarz i wreszcie dała upust oczyszczającym, kojącym łzom.

24 kwietnia 1855 r.

Dziś złożył mi wizytę Gilbert. Przybył z kondolencjami.

Usłyszał o śmierci artysty, tak się wyraził. Dowiedział się o tym, gdy przyjechał do Florencji. Zapytałam go, kiedy tam się znalazł. Oświadczył, że dopiero dwa dni temu. Nie wydaje mi się.

Jestem oszołomiona. Proponuje, żebyśmy wrócili razem do Nowego Orleanu. Na razie będzie kontynuował te swoje zakupy, a ja mogę robić, co mi się podoba. Mamy wracać do domu za rok. Przez ten czas mogę robić wszystko, na co mam ochotę.

I tak zrobię. Wszystko zaplanowałam.

Gilbert chce uznać dziecko za swoje i nigdy nie poda tego w wątpliwość. Da mi w

*prezencie dom w mieście i będzie mnie w nim od czasu do czasu odwiedzał, tylko w porze
dziennej. W zamian za to mam udawać, Œe między nami wszystko jest jak dawniej.*

Stałam się twarda i cyniczna. Zgodziłam się. Czemu nie? To wiele ułatwia.

Gilbert wygląda na skruszonego.

Biedak. Myśli, Œe pewnego dnia wszystko powróci do dawnego stanu.

Ja wiem lepiej. DuŒo lepiej.

ROZDZIAŁ XXIII

Joletta siedziała, trzymając dziennik przy piersi. Otarła kropelkę, która zebrała się w kąciuku oka. JuŒ przedtem czytała zakończenie perypetii Violet, ale tu, we Włoszech, cała ta historia wzruszała znacznie głębiej.

Œałowała nie tylko Violet, część tego Œalu dotyczyła jej samej. Tyle poniosła strat w swoim Œyciu. Ostatnia z nich to była utrata kogoś, kto, w innych okolicznościach, mógłby być dla niej kochankiem takim, jak Allain dla Violet.

Nie. Nawet nie będzie o tym myśleć.

Ostatnie lakoniczne zapiski Violet były teraz równie tajemnicze jak na początku. To wszystko zupełnie do niej nie pasowało. Dlaczego tak łatwo zgodziła się wracać do domu z Gilbertem, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Niemniej jednak zrobiła właśnie tak.

Wszystko, co Joletta słyszała o swojej prapraprababce i jej Œyciu, wskazywało na to, Œe właśnie tak to się odbyło.

Czy Violet zgodziła się na powrót do Gilberta po to, Œeby wrócić do rodziny w Nowym Orleanie i uniknąć kłopotliwych pytań? Czy zrobiła to ze względu na dziecko, po to, Œeby małej Giovannie oszczędzić losu nieślubnego dziecka? MoŒe ze względu na bezpieczeństwo własne i córki, a moŒe chciała uciec z Europy, z którą wiązały się tak bolesne wspomnienia?

Co się wydarzyło w Egipcie w czasie tego roku, o którym nic nie wiadomo? Dlaczego

Violet nie została we Włoszech?

A dlaczego w ogóle Gilbert poprosił ją o powrót?

Z miłości do niej? Czy jedynie z miłości własnej? Chciał nad nią zatriumfować, odzyskać kontrolę? Zmusić do porzucenia jej ukochanej Italii?

Może Violet zgodziła się, bo uznała, że zmuszenie Gilberta, aby nadał swoje nazwisko dziecku człowieka, którego być może kazał zamordować, jest sprawiedliwym zadośćuczynieniem?

Joletta chciałaby wiedzieć więcej, na przykład dlaczego Violet przestała prowadzić dziennik, jak jej się było potem z Gilbertem, i wiele innych rzeczy.

No i jeszcze Giovanni. Joletta ogromnie była ciekawa, co się z nim stało.

Podejrzewała, ale nie była pewna.

Jak się dowiedzieć po tylu dziesiątkach lat. Tak wiele spraw pozostało nie dopowiedzianych, nie dokończonych.

Irytujące, ale rzeczywistość tak właśnie wygląda, tak się toczy prawdziwe życie, pomyślała sobie. Wiele wątków pozostaje nie dokończonych, urywa się gdzieś w przeszłości.

Lecz mimo wszystko w głowie Joletty zaczął kiełkować pewien pomysł. Przecież to fascynujące, że notes, który trzymała w rękach, nie był tym oryginalnym diariuszem, prowadzonym przez Violet od początku wielkiej podróży. Fakt ten otwierał nowe perspektywy, których wprawdzie nie dostrzegła. Przecież ta nowa wersja mogła być dowolnie ukształtowana, zdarzenia i daty mogły ulec zmianie, można było wiele pominąć lub dodać albo lekko zmodyfikować, zgodnie z celami Violet.

Właściwie nie było powodu przypuszczać, że Violet dokonała takiej machinacji.

Przecież był to jej całkowicie prywatny dziennik, nie przeznaczony dla niczyich oczu.

Niczego nie musiała ukrywać, na nikim nie chciała zrobić wrażeń. Jeśli chciała zachować swój romans w tajemnicy, wystarczyło zniszczyć relację o nim.

Mimo to Joletta chciała sprawdzić pewne rzeczy, zarówno we Włoszech, jak i w Nowym Orleanie.

Pukanie do drzwi przerwało tok jej myśli. Wiedziała, kto to. Nie tylko rozpoznała po sposobie pukania, ale odkąd wróciła do hotelu, czekała na to, zarówno świadomie, jak i podświadomie.

Rone stał w drzwiach wsparty jedną ręką o framugę. Obejrzał ją od stóp do głów, wynik obserwacji wydawał się go zadowalać, bo kiwnął głową z aprobatą.

- Wydaje ci się, że sprytna jesteś, co?

- Słucham?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. - Wszedł do środka i rozejrzał się po pokoju. -

Ciekawe, czy robisz to specjalnie.

Zamknęła z trzaskiem drzwi.

- Nie prosiłam cię, żebyś się mną opiekował jak kwoka. Jestem dorosła i mam prawo wyjść z hotelu, kiedy mi się wydaje podoba.

Nie odwrócił się do niej, tylko systematycznie sprawdzał pokój.

- Wiesz, czym to się skończy?

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz. Zaraz przenoszę tu swoje rzeczy. Obeszła go dookoła, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. - - Spróbuj, a każę dyrekcji hotelu wezwać policję. Zrobię to.

- Fajnie. A ja im powiem, że to kłótnia kochanków. A ty wyjaśnisz tym włoskim samcom, dlaczego coś, co ci się podobało w Wenecji, jest nie na miejscu we Florencji.

- Nawet we Włoszech kobieta może zmienić zdanie!

Popatrzył na nią uważnie.

- To w takim razie powiem im, że nalegasz na małżeństwo i nie chcesz mnie wypuścić, póki się nie zgodzę.

- Nie zrobisz tego.

- Przekonaj się. - Jego błękitne oczy błyszczały determinacją.

Oddechnęła głęboko, zanim odezwała się znowu:

- Może im powiem, że jesteś oszustem wykorzystującym kobiety?

Zmrużył oczy.

- Naprawdę tak myślisz?

- Niby czemu nie? - Ponieważ nawet nie próbował jej odpowiedzieć, ciągnęła: - Nie musisz robić tych wszystkich kombinacji, żeby dostać dziennik Violet. Zostań w swoim pokoju, dam ci go. Przeczytaj do końca i oddaj.

- Naprawdę? - Wyzywające nuty znikły z jego tonu. Skinęła głową. Obojętnie dodała:

- Allain umarł.

- Nie! - Zabrzmiało to, jakby nie mógł się pogodzić z niedawną śmiercią kogoś bliskiego.

Pokiwała z wolną głową i usiadła na łóżku. Ciekawe, wiedziała, że ta informacja zrobi na nim wrażenie. Przecież dlatego właśnie cisnęła nią w niego.

- Chyba tak się musiało stać. - Spojrzał na łóżko i przysiadł z drugiej strony. - W

Nowym Orleanie nie było już o nim wzmianki. Mogła z nim zerwać, ale nie umiałem sobie tego wyobrazić. A on nie należał do tych, którzy by się łatwo z tym pogodzili.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, ale on przyglądał się swoim rękóm. Jakiś pomysł

zaczął się jej mgliście wykluwać w głowie. Nim się ugryzła w język, zapytała: - Pamiętasz, co powiedziałaś w Anglii, kiedy spytałam cię o język kwiatów?

- Nie bardzo, pewnie pierwsze, co mi przyszło do głowy.

- Wspomniałaś o rozmarynie.

- Ach tak, kaŜdy to pamięta - powiedział z lekcewaŜeniem. - „Oto rozmaryn na pamiątkę, proszę cię, luby, pamiętaj”. Hamlet.

- Nie kaŜdy to pamięta. - Jej głos zabrzmiał sucho. Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Do czego zmierzasz?

- Nie, nic. Naprawdę.

Powinna była się nad tym zastanowić. Takie rzeczy się nie zdarzają - reinkarnacje dawnych kochanków, Ŝeby mogli się w końcu połączyć. To bajdy dla ludzi o wybujałej imaginacji, nonsens, który nie pomaga w radzeniu sobie z rzeczywistymi problemami.

Mydlenie oczu, jak nazwałaby to Mimi.

- Kto zabił Allaina? - spytał Rone. Zrobiła zdziwioną minę.

- Skąd wiesz, Ŝe został zabity?

- W tamtych czasach nikt nie odŜywił się zdrowo, ale on nie wyglądał mi na gościa, którego skosił zawał serca. Poza tym przecieŜ juŜ na dworcu w Wenecji na niego nastawali.

- Wygląda na 'to, Ŝe zrobili to ci sami ludzie, ale nie jestem pewna. Violet nie pisze dokładnie, pewnie sama nie wiedziała. MoŜe kryje się za tym Gilbert. Nie dałabym za niego głowy, ewidentnie stracił rozum.

- Stary Gilbert nie znał się na kobietach, wygląda na to, Ŝe sam sobie nawarzył piwa.

Jednak w tamtych czasach mógł nie mieć innego wyjścia.

- Bronisz go? - spytała z niedowierzaniem.

- Mówię tylko, Ŝe tacy nudni i sztywni faceci potrafią być szalenie zazdrośni. A wtedy od męża oczekiwano zdecydowanej reakcji na zdradę Sony. Cel uświęcał środki.

- Zdaje się, Ŝe Gilbert był o tym przekonany.

- Niezbyt zręcznie zabierał się do odzyskania Sony.

- I budzi moje największe zdziwienie, że mu się w końcu udało.

- I tak, i nie - stwierdził Rone.

- Co masz na myśli?

- W sumie nigdy jej nie odzyskał. Nigdy juŜ przecieŜ razem nie mieszkali.

- Skąd wiesz? - spytała ostro, marszcząc brwi.

- Od matki Natalii. Wyjaśniała nam, jak to się stało, że Violet zaczęła robić perfumy - odparł, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Tak czy owak, wydaje mi się, że Sycie z kobietą, której nie można nawet tknąć z powodu czegoś, co się uczyniło w przeszłości, to rodzaj tortury.

Była w tym jakaś analogia - Rone takŜe nie mógł jej tknąć z powodu czegoś, co uczynił.

Czy to właśnie chciał powiedzieć? Może zbyt wiele czyta między wierszami. Powinna powściągnąć trochę swoją wyobraźnię i rozumieć dosłownie, co się do niej mówi.

- śal ci Gilberta?

- A tobie nie, nic a nic? Jasne, to był typowy, wiktoriański sztywniak. Ale patrz, pojechał do Europy z piękną, młodą Soną, marzeniami o nowym domu i dzieciach, a wracał z niczym. W rok później przyłoŜył sobie do głowy piękny pojedynkowy pistolet z rękojeścią z kości słoniowej i próbował wyprawić się na tamten świat. Skończył jako inwalida.

- Myślałam, że to był jakiś wypadek.

- Wersja oficjalna, według Estelli, głosiła, że był to wypadek przy czyszczeniu broni.

Chcieli zatuszować sprawę, jak sądzę.

- ŷył jeszcze przez wiele lat. - Joletta zniŜyła głos, myśląc o dawnych tragediach,

wynikłych z nierozważnych słów i działań podjętych w gniewie. Po chwili dodała: - Chcę

poszukać jutro grobu Allaina.

- Wiesz, gdzie go szukać?

- Przy kościele niedaleko tej willi. Ale dokładnie nie wiem. Zapytam signory Perrino.

- MoŜemy pojechać moim samochodem. Jeszcze go nie oddałem do wypoŜycalni'.

Nie mogła zaakceptować jego propozycji. NaleŜał do wrogiego obozu. Ale nim

zdaŜyła odpowiedzieć, dodał:

- Jesteś głodna? Zdaje się, nie jadłaś.

- Nie miałam do tego głowy - odparła. - Tak mnie wciągnął dziennik.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nie ma zmartwienia. Masz ochotę na późną kolację? Tu jest Italia, bella signorina.

śaden kłopot. A ja zjadłbym wołu z kopytami.

- Przeze mnie opuściłeś kolację?

- Z całym poświęceniem. śal ci mnie?

- Jestem zła, nie śałuję cię ani trochę.

- Ale zjemy razem, dobrze?

Wiedziała, Őe to błąd dać się uwieść słodkim słówkom.

Ale nic nie mogła na to poradzić.

Przeciągnęła grzebieniem po włosach i podmalowała lekko wargi. Cały czas

zastanawiała się, co zrobić, Őeby nie wmeldował się jej na noc do pokoju. Nie wiedziała, jak

tego dokonać, zastanawiała się nawet nad zrobieniem wielkiej sceny. Nie moŜe spać z nim w

jednym pokoju. Musi się go pozbyć za wszelką cenę.

Nim skończył się wieczór, pojawiły się pewne moŜliwości.

Restauracja była mała, mieściła się niedaleko hotelu.

Serwowano tam północnowłoskie dania, z wyraźnymi naleciałościami kuchni

francuskiej; pożywnie, lecz wyszukane.

Lokal był pełny, mimo - a może z powodu - późnej pory. Turystów widziało się niewielu, większość stolików zajmowali tubylcy. Mina kelnera wskazywała, że się śmiertelnie obrazi - w imieniu własnym oraz szefa kuchni - jeśli każdy z nich nie zamówi co najmniej pięciu dań. Zanim przebrnęli przez zupę, sałatę, makarony i danie główne, które składało się z duszonej jagnięciny z młodą marchewką i bakłażanami, oraz przez deser karmelowy - wszystko to w towarzystwie odpowiednich win i likieru migdałowego - wiedzieli już, dlaczego Włosi wszędzie chodzą na piechotę. Po prostu muszą spalić te wszystkie kalorie. Już mieli ruszyć z powrotem do hotelu, gdy zobaczyli, że ku ich stolikowi zmierzają Natalia i Timothy.

- Recepcjonistka zdradziła, że polecała wam ten lokal - wyjawiała Natalia - ale nie bardzo chciałam wierzyć, że włoskim zwyczajem będziecie jeść w środku nocy.

- Jeszcze tydzień i stanę się bardziej włoski niż Włosi - odparł Rone.

- Wam obojgu to nie szkodzi, jesteście tacy szczupli, ja prosto stąd musiałabym się udać na kurację odchudzającą. Ale chciałam zapytać Jolettę, co takiego, do licha, powiedziała Caesarowi? Zadzwoił do mnie, całkowicie tym załamany, i bełkotał coś bez sensu, że wraca do swojej rodzinnej wioski koło Wenecji, która ma nazwę nie do wymówienia, i zacznie wszystko od nowa. Nie odpowiadało mu, jak wygląda w twoich oczach ani w swoich własnych. Wszystko przez ciebie. W każdym razie wydaje mi się, że to właśnie miał na myśli.

- Ach ... - powiedziała Joletta.

- Chyba wiesz, o co tu chodzi. Szkoda mi Caesara, to taki wspaniały mężczyzna.

Szkoda, że kazałam mu być miłym dla ciebie.

- I ja śaluję - powiedziała spokojnie Joletta. Natalia wyglądała na skruszoną.

- Chyba nie powinnam była' tego mówić, chociaż teraz to nie ma znaczenia. Po prostu

myślałam, że to dobry pomysł, żeby ktoś się ciebie trzymał i pilnował, co robisz.

- O Boże, Natalio - powiedział Timothy tonem braterskiej nagany. .

Joletta poczuła, że krew jej uderza do głowy. Dłonie zacisnęły się jej w pięści.

- To był chwyt poniżej pasa. Nie przyszło ci do głowy, że dotarło to do Caesara i poczuł wyrzuty sumienia?

- Caesar i wyrzuty sumienia?! śartujesz, to do niego niepodobne.

- Chyba go nie doceniasz - powiedziała poważnie Joletta.

- A ty przeciwnie. - Natalia roześmiała się. - Mówiąc szczerze, nie wiem, na co się uskarżasz. Przecież to nie zaszkodzi zawrzeć znajomość z takim przystojnym amoroso w stylu włoskim.

- Jak to miło, że o mnie dbasz. Powinam ci być wdzięczna. - Joletta starała się robić dobrą minę do złej gry, ale nie była pewna, czy jej się to udaje.

Natalia zarumieniła się trochę, a jej ton wskazywał, że daleko jej do spokoju.

- Tak czy owak, to wszystko moja strata. Układało nam się z Caesarem świetnie, ale odkąd go spuściłam z oka w Paryżu, znikł na dobre. Zakochał się w tobie chyba, ubzdurał sobie, że uratował ci życie w tym zesłanym mu przez niebiosa niedoszłym wypadku samochodowym. Poczul się rycerski i dowartościowany.

- Przykro mi - rzekła Joletta. - Nie miałam zamiaru rujnować ci romansu.

Natalia popatrzyła na nią z ukosa.

- To była moja wina. Ale skąd mogłam przypuszczać, że to samo przyjdzie do głowy Rone'owi?

- Dziękuję ci bardzo, Natalio, ale sam mogę robić wyznania - cierpko odparł Rone.

- Wystarczy już tego - powiedział Timothy. - Joletta wypisze nas z rodziny i nie będzie można się jej dziwić. - - Dziękuję, drogi braciszku. - Ironia w głosie Natalii

pobrzmiwała zmęczeniem. .

Timothy zignorował jej uwagę i zwrócił szczere spojrzenie na Jolettę.

- Słuchaj, strasznie mi przykro z powodu tego wszystkiego. Przykro mi teŜ, Œe się nie udało. Natalia mówiła mi, Œe przy pomocy tego dziennika znalazłaś w końcu figę z makiem. Nie przejmuj się. Damy sobie radę. Ale rodzina musi się trzymać razem. Jeśli moŜemy coś dla ciebie zrobić, powiedz tylko słowo.

- Myślę - powiedziała powoli Joletta - Œe jest coś takiego?

- To świetnie.

Joletta spojrzała na podejrzliwą minę Natalii.

- Mieszkasz w tym samym hotelu, prawda? Masz w pokoju podwójne łóŜko?

- Joletta, poczekaj. - W głosie Rone'a brzmiała prośba. PołoŜył jej rękę na ramieniu.

- A co jest nie w porządku z twoim pokojem? - spytała Natalia.

- Nie z pokojem, tylko z systemem bezpieczeństwa.

- Chyba nie rozumiem.

- Chodzi jej o to - wyjaśnił Rone tonem rezygnacji - Œe zbyt troskliwie jej pilnuję.

- Wprowadziłeś się do jej pokoju?! Czy to nie lekka przesada ... - Natalia przerwała, widząc minę Rone'a. A zresztą wszystko jedno - dodała pośpiesznie.

- Jemu się zdaje, Œe grozi mi niebezpieczeństwo.

- Bo grozi - stwierdził zwięźle.

- Odkąd jesteśmy w Wenecji, nic się nie wydarzyło.

- Odkąd pilnuję cię nawet w nocy.

- Mój BoŜe, Joletto, nie wiedziałam, Œe z ciebie taka pogromczyni męskich serc.

- Bo tak nie jest. Jemu nie chodzi o mnie. Powinnaś wiedzieć.

- Nie chodzi? - Głos Rone'a zabrzmiał miękko. Timothy podniósł rękę jak policjant

kierujący ruchem na skrzyżowaniu.

- Już dosyć - powiedział. - Jestem przekonany, że Natalia zgodzi się, żebyś u niej spała.

- Zapominasz, że mamy wspólny pokój z matką.

- Ach, racja. - Timothy odwrócił się do Joletty. - Możesz spać u mnie, jak chcesz.

- To niekonieczne - ostro wtrącił Rone.

- Chwileczkę - wycedziła Natalia. - Joletta jest moją kuzynką. Jeśli nie chce ciebie w swoim pokoju, to lepiej trzymaj się od niej z daleka.

- Twoja troska jest wzruszająca, ale chyba trochę nie w porę - odparł Rone.

- O co ci chodzi? - spytał Timothy.

- Wasza kuzynka omal nie zginęła. Gdzie wtedy byliście? Joletta jest ze mną całkowicie bezpieczna, w każdym razie z mojej strony nic jej nie grozi, więc dajcie sobie z tym spokój. Opiekowałem się nią dotąd i nadal będę to robił. Spróbujcie mnie powstrzymać.

Timothy zmrużył oczy, ale zmierzwiwszy się wzrokiem z Rone'em, wycofał się. Natalia też się nie odzywała, stała tylko i przyglądała się obrońcy Joletty z uwagą i pewnym zaskoczeniem w swoich szaroniebieskich oczach.

Rone nie czekał dłużej, tylko dotknął ramienia Joletty gestem zachęcającym, by z nim poszła. I poszła, głównie dlatego, że nie było sensu stać na środku, a poza tym była tak zamyślona, że zareagowała odruchowo.

Kiedy zdała sobie sprawę z tego, co robi, zatrzymała się. Powiedziała z uporem:

- Nie możesz dziś u mnie spać.

Stanął. Zmierwił ręką włosy i popatrzył w nocne niebo, jakby szukając w nim natchnienia.

- Dlaczego? - powiedział w końcu. - Czego tak się boisz? Co jest we mnie takiego

straszego, że wolisz zaryzykować spotkanie z tym łajdakiem, który przewrócił do góry nogami twój pokój w Lucernie i zepchnął do rowu pod Bolonią, niż przebywać ze mną w jednym pokoju?

- Jesteś apodyktyczny, manipulujesz ...

- To wady charakteru, a nie przyczyny.

Przyglądała się wystawie z pięknymi skórzanymi butami za jego plecami, a eleganckie fasony i kolory zaczęły zamazywać się jej przed oczami.

- Dobrze - powiedziała lekko zdławionym głosem chcesz, żeby ci wyjaśniła? Co mam ci powiedzieć? że obawiam się tego, co mogę do ciebie poczuć? Tak właśnie jest. Nie podoba mi się, że ktoś igra z moimi uczuciami, dlatego że chce coś ode mnie wyciągnąć.

Nienawidzę sytuacji, w której zaczynam coś do kogoś czuć, a potem okazuje się, że jestem wykorzystywana. Nie mogę znieść myśli, że mogę utracić kogoś, na kim mi zaczyna zależeć. Twierdzisz, że chcesz mnie bronić. Ale ja też się muszę bronić. I staram się bronić - przed tobą.

- Joletto - powiedział z cichym błaganiem i próbował wziąć ją za rękę.

- Nie! - wyrwała się i cofnęła o krok. - Nie praw mi słodkich słówek, nie przynos kwiatów, proszę cię! I nie kochaj się ze mną. Nie trzeba mi tego. Nie chcę tego. Chcę tylko dotrzeć do końca tej podróży i nigdy już więcej ciebie nie zobaczyć.

- Chciałem dobrze ...

- Piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami. - Nie patrzyła na niego.

Minął ich samochód, dudniący głośną muzyką z radia i wybuchami śmiechu. Nie zauważyli go wcale. Atmosfera między nimi osiągnęła stan rozgrzanej kruchości masy szklanej, z której hutnik wydmuchuje naczynie, zanim oderwie je od rurki dmuchawy.

Rone zacisnął szczęki, po czym je rozluźnił.

- Jeśli chcesz się mnie pozbyć - powiedział - me musisz czekać końca podróŜy.

Wtedy na niego popatrzyła. Twarz miał trochę bladą w świetle ulicznych latarni, rysy nieprzeniknione, oczy kryły się pod rzęsami.

- Naprawdę?

- MoŜesz to zrobić od razu.

Trudno było o większą stanowczość. Poczwała dziwną niechęć, Ŝeby wszystko kończyć.

Ale nie ma przecieŜ innego wyjścia.

Cofnęła się o krok. On ani drgnął.

Zrobiła jeszcze jeden krok. On wsadził ręce do kieszeni.

- Więć Ŝegnaj - powiedziała. Nie odpowiedział.

Nie pozostało nic innego, jak tylko odwrócić się i odejść.

Odwróciła się i odeszła.

Idąc czuła, jak narasta w niej ból. Powinna poczuć ulgę, prawda? PrzecieŜ się go pozbyła. PrzecieŜ chciała tego.

Prawda?

Rone patrzył za Jolettą, jak odchodzi wyprostowana, z głową podniesioną do góry.

Uwielbiał jej grację, jej godność, jej klasę. Uwielbiał nawet sposób, w jaki powiedziała mu,

Ŝeby się wynosił. BoŜe, kocha ją po prostu.

Szkoda, Ŝe w ogóle usłyszał o tych perfumach.

A przede wszystkim, Ŝe jego matka o nich usłyszała. Kiedyś myślał, Ŝe mogą okazać się ogromnym sukcesem. Teraz nie zaleŜało mu na nich wcale. Najlepiej by było, gdyby zaginęły na zawsze. Jakie to ma znaczenie? KaŜda dobra i piękna rzecz musi się kiedyś skończyć.

Tak jak jego związek z Jolettą?

MoŜe powinien wziąć się w garść, zabrać za coś innego, zająć czymś innym myśli.

Ona go nie chce. Nie potrzebuje.

Nie ma jak do niej dotrzeć. Nic się nie da powiedzieć, nic zrobić, by ją przekonać, Őe chce jej dla niej samej, potrzebuje jej jak niczego na świecie. Ból cięŜkim kamieniem legł na jego sercu.

JuŜ po wszystkim. PoŐeganie. Bez pocałunku.

Dobrze, Őe został mu chociaŜ ten goździk.

ROZDZIAŁ XXIV

Cmentarz otoczony był murem ze złotych kamieni i obsadzony smutną zielenią cyprysów. Groby z marmurowymi i granitowymi płytami skupiały się na wzgórzu, z którego rozciągał się szeroki widok. Jaskółki przecinały nieruchome powietrze, trawa drŜała od cykania pasikoników.

Joletta i signora Perrino stały przed marmurową tablicą, tak wyblakłą od słońca, wiatru i czasu, Őe delikatny rysunek kwiatów i anioła z opuszczonymi skrzydłami ledwie juŜ było widać. Wodziła palcami po wyrzeźbionych płatkach róŜy, identycznej jak ta, która rosła w ogrodzie przy willi. Pogładziła palcami napis:

Allain Alexander Massari

17 grudnia 1827 - 9 marca 1855

Violet nigdzie nie zapisała jego drugiego imienia.

Widocznie uznała je za niewaŜne.

- Był bardzo młody - stwierdziła signora Perrino, stojąca po drugiej stronie mogiły.

Joletta skinęła głową.

- Oboje byli młodzi, on i - kobieta, która tu wtedy z nim była.

- Tak. Chcę, Őeby pani wiedziała, Őe zawsze stawiamy tu kwiaty, kiedy odwiedzamy

groby rodzinne.

- Naprawdę? - Joletta popatrzyła zdziwiona. - Jak to miło.

- Właśnie zaczęłam mówić pani o tym, wtedy gdy przybyła pani kuzynka. Nic nie wiem - jak już pani mówiłam - o recepturze perfum, której pani szuka, ale opowieść o tym mężczyźnie i o kobiecie, którą kochał, ma wielkie znaczenie w mojej rodzinie. Słyszałam ją z tysiąc razy w dzieciństwie. Sama opowiadałam ją swoim dzieciom, a one powtarzają swoim.

- Ale dlaczego? - zapytała z wolna.

- Zanim tych dwoje tu przybyło, byliśmy chłopską rodziną, która służyła u Franchettich, właścicieli willi. Potem staliśmy się może nie bogaci, ale zamożni. W następnym pokoleniu weszliśmy w posiadanie tej willi i całego przynależnego do niej majątku. Nadal jest naszą własnością, obecny budynek postawił mój ojciec. Ja odziedziczyłam wszystko, nie mam rodzeństwa. Mój mąż, niech Bóg ma w opiece jego duszę, zamieszkał tu wraz ze mną. Po mnie posiadłość przejdzie na moich synów.

- Podejrzewam, że rodzina zaczęła prosperować dzięki mężczyźnie o imieniu Giovanni, który wyjechał do Ameryki. Tak było?

- Tylko częściowo. Przedtem otrzymaliśmy dużą sumę pieniędzy za przysługę wyświadczoną tej amerykańskiej damie. Zapomnieliśmy już jej nazwiska po tylu latach. To wielka radość móc rozmawiać z jej potomkami.

- Tak tu ślicznie - powiedziała Joletta. - Czytałam o Giovannim i jego matce, Marii, i cieszę się, że tak dobrze im się potem ułożyło.

Starsza kobieta przyjrzała się uważnie Joletcie, po czym kiwnęła głową, jakby podjęła jakąś decyzję.

- Jest jeszcze coś.

Zsunęła z ramienia torebkę i otworzyła ją. Wyciągnęła ze środka coś, co błysnęło

złotem i klejnotami. To był naszyjnik.

- Myślę, że prawnie należały do pani. Przechowywały go kobiety z mojej rodziny.

Wiem, że był własnością tej Amerykanki. Nie wiem, w jaki sposób znalazł się w naszym posiadaniu. Traktowano go z taką tajemniczością, że obawiam się, czy nie został skradziony.

A jeśli nie, to pewnie oddany na przechowanie Marii, mojej praprababce, która była tu wtedy gosposią, i z jakiegoś powodu nie zwrócony. Chciałabym go teraz pani oddać.

Joletta wzięła z jej ręki ciężki naszyjnik. Zapinka była rozerwana. Nikt go nie nosił od tego wieczoru w ogrodzie, kiedy napastnik zerwał go z szyi Violet. Czy podniosła go potem Maria, a później zapomniała? Może otrzymała go w prezencie? Nie ma sposobu, by się dowiedzieć.

Był piękny, trochę pociemniały ze starości i przybrudzony kłaczkami jakiejś tkaniny, w którą go zawijano, ale dokładnie odpowiadał opisowi w dzienniku. Brylanciki, wstawione w złote paski otaczające ametystowy flakonik na perfumy, chwyciły promienie słońca i odbijały je na twarzy Joletty. Zamrugła, widząc rysunek ptaka z rozłożonymi skrzydłami, wygrawerowany na ściance klejnotu. Naprawdę wspaniały, jak dzieło samego Faberge.

Obróciła lekko flakonik. Grawerowany ptak błysnął w słońcu w całej okazałości.

Powinna znać to godło. Było podobne, ale ... Nagle zrozumiała.

Na wpół zapomniane lekcje historii, fragmenty źródeł czytane na studiach, aluzje w dzienniku - wszystko połączyło się w całość. Wiedziała już, dlaczego Violet nie mogła zapisać w dzienniku, kim naprawdę był Allain. Zrozumiała też, dlatego zginął.

Łzy zapiekły ją w oczach, poczuła gorycz w gardle, nagły, niespodziewany śmiech nad Violet i człowiekiem, którego pokochała, i nieubłagany losem, który stał się ich udziałem.

- Nic pani nie jest, signorina? - zapytała z troską starsza kobieta.

- Nic. - Zdobyła się na uśmiech. Tak by chciała opowiedzieć komuś znajomemu,

czego się domyśliła. Nie komukolwiek. Komuś, kto się interesował Violet i Allainem tak jak ona. Komuś, kto znał ich historię• Chciała powiedzieć Rone'owi, chciała usłyszeć, co by na to powiedział, co by o tym myślał.

We flakoniku była odrobina złocistego płynu. DrŜącymi palcami Joletta próbowała otworzyć flakonik. Wieczko nie dało się ruszyć, przyklejone kryształkami zaschniętych perfum. Pociągnęła mocniej, bojąc się uszkodzić flakonik, powodowana przemoŜną chęcią poznania zapachu, jeśli jakiś się zachował.

Udało się.

Podniosła flakonik i głęboko wciągnęła zapach w nozdrza.

RóŜe. To najwyraźniejsza nuta. OranŜ, czyli kwiecie pomarańczy. Musk, czyli piŜmo.

Ambra. Narcyz. Orchidea waniliowa. Fiołki.

Łagodne, ciepłe, przenikające, znajome, choć egzotyczne w kombinacji zapachy zlewały się w jej umyśle.

Była zadziwiona ich świeŜością. Zgodnie z wszelkimi regułami przez tyle czasu te perfumy powinny zwietrzeć, stracić swój prawdziwy bukiet. Tak się nie stało, pewnie dlatego, Őe wszystkie składniki były czyste i naturalne, w przeciwieństwie do nietrwałych syntetyków chemicznych uŜywanych we współczesnym przemyśle perfumeryjnym, a takŜe dlatego, Őe naszyjnik był przechowywany w jakimś zamkniętym, ciemnym i chłodnym miejscu.

To był przepiękny zapach, wspaniale skomponowany, pełen tęsknoty i zachwycający.

Ale to nie Le Jardin de Gaur.

Jeszcze jeden wdech. Nie. To nie perfumy, których szukała.

RóŜa - OranŜ - Musk - Ambra - Narcyz - Orchidea - Fiołki.

Brak wetiwerii. Brak jaśminu. Brak bzu.

Łagodny, czujny uśmiech pojawił się na ustach Joletty.

No oczywiście. Ale głupi byli wszyscy.

Przejrzała.

Przejrzała prawdę o recepturze. I gdzie jej trzeba szukać.

Miała ją tu obok, ale nie dostrzegła, bo spodziewała się rzeczy niemożliwych, jakiegoś cudu. Zlekceważyła wszystko, co wiedziała o zmienności i kapryśnych ludzkich upodobaniach, wszystko, czego się uczyła o ewolucji perfum.

Zrozumiała też coś jeszcze.

Wydała z siebie łkanie, które było równocześnie paroksyzmem śmiechu. Łzy popłynęły jej z oczu, ale uśmiechała się przez nie i kręciła głową.

- Na pewno nic pani nie jest?

- Nic. Naprawdę. Po prostu coś sobie uświadomiłam.

Zacisnęła rękę na naszyjniku, po czym wyciągnęła ją w stronę signory Perrino.

- Dziękuję, że mi to pani pokazała, ale to nie należy do mnie. Myślę, że był to wyraz wdzięczności za pewną wielką przysługę.

Starsza kobieta wzięła cięski łańcuch.

- Jest pani pewna, signorina?

- Tak. Zupełnie pewna.

Sklep był jeszcze otwarty, gdy Joletta przyszła.

Panował w nim ruch mimo późnej pory. Klienci i sprzedawczynie krążyli, wybierali, kasa dzwoniła. Lokal wyglądał wesoło, tuziny zapachów dobiegały z zaplecza, gdy otwierały się drzwi do pracowni. Wszystkie te wonie mieszały się na jej powitanie.

Miała zamiar przyjść wcześniej, ale gdy po męczącym transatlantyckim locie, przesiadkach i opóźnieniach dotarła wreszcie do domu, zwała się na łóżko i spała jak kamień prawie całą dobę. Zanim pozbierała się, rozpakowała, zjadła coś i znalazła jakieś ubranie,

było już południe. Wiele godzin spędziła w czytelni uniwersyteckiej, studiując czasy wojny krymskiej i historię Rosji.

Pomachała wszystkim na powitanie i szybko przeszła przez sklep i pracownię na tylny dziedziniec. Całe wieki tu nie była. Wszystko wyglądało inaczej, jakby zmieniło się trochę, choć wiedziała, że ta zmiana zaszła w niej, nie w ogrodzie.

Jakby całe wieki minęły tę od chwili, gdy zaczęła przeczuwać, na czym polegał sekret Violet. Nie mogła się doczekać, by sprawdzić, czy ma rację.

Nabrała takiej pewności i tak ją to podekscytowało, że nie doczekała końca wycieczki.

Po rozmowie z signorą Perrino wróciła prosto do hotelu, spakowała walizkę, poinformowała kierownika wycieczki, że rezygnuje, i wzięła taksówkę na lotnisko.

Miała zostawić tę wiadomość Rone'owi, powiedzieć mu pokrótce, co odkryła. Ale recepcjonista powiedział jej, że wyprowadził się z samego rana. Nie zostawił adresu, ale wspomniał, że wraca do domu.

Do Nowego Jorku.

Joletta poczuła zawód, że tak szybko wyjechał. Niby dała mu jasno do zrozumienia, że jej nie interesuje, ale mógłby się chociaż pośegnać.

Powinna się cieszyć. Skąd więc ten zawód, to przygnębienie?

Przechodząc, rozejrzała się po ogrodzie. Wydał się jej teraz bardziej włoski, z kolumnami i arkadami, fontanną i winoroślą, z krzewem oliwnika w rogu ogrodu, bo prawdziwa oliwka nie znosi wilgoci. Weszła po zewnętrznych schodach. W salonie zdjęła z ramienia torbę i poszła do sypialni Mimi.

Wiedziała dokładnie, czego szuka, pamiętała, gdzie tego szukać. Podeszła prosto do „kufra wspomnień” Mimi, otworzyła drzwiczki, wyciągnęła górną szufladę po lewej stronie.

Paczka szklanych negatywów i wyblakłych sepiowych odbitek na cynie tkwiła na samym

dnie.

Joletta rozwiązała tasiemkę. Troskliwie przeglądała zdjęcia, aŜ znalazła to, którego szukała. Podniosła je do światła.

Musiało być wykonane pod koniec lat siedemdziesiątych, albo na początku osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, sądząc po ubraniach. Przedstawiało fronton sklepu perfumeryjnego. Przed drzwiami stała Violet Fossier w towarzystwie swojej sprzedawczyni, obie z wysoko upiętymi włosami, w zapiętych pod szyję bluzkach i suto marszczonych spódnicach do samej ziemi. Z drugiej strony Violet stał męŜczyzna, za nim widniał szyld apteki, sąsiadującej z perfumerią aŜ do śmierci jej właściciela, która nastąpiła tuŜ przed wybuchem I wojny światowej, a kilka miesięcy przed śmiercią samej Violet. Na szyldzie moŜna było odczytać napis:

Giovanni Redaelli, Właściciel.

MęŜczyzna stał nieco bokiem do aparatu, jakby nie za bardzo zaleŜało mu na podobiznie. Szeroki w ramionach i dobrze zbudowany, przystojny w stylu tamtych czasów, z bokobrodami i wąsikami. Miał na sobie ciemny surdut, rękawiczki, w rękę trzymał laskę, a kapelusz z szerokim rondem ocieniał mu czoło i oczy. Jakby unikając obiektywu, patrzył na Violet. Nawet na tej niewyraźnej, poŜółklej odbitce widać było, Ŝe na twarzy ma wyraz uwielbienia.

Violet patrzyła prosto w obiektyw, kąciki ust unosił jej lekki uśmiech. Postarzała się od czasów, gdy malowano miniaturę, ale nadal była piękną kobietą, pogodną i spokojną. ChociaŜ niemal całą uwagę poświęciła fotografii, widać było, Ŝe jest świadoma obecności męŜczyzny obok. Wydawało się, Ŝe zaraz odwróci się ku niemu i powie 'coś, a moŜe weźmie go pod ramię i pójdą razem na spacer.

Joletta roześmiała się z satysfakcją.

Z fotografią w ręku wróciła do sekretery i wyjęła ciężki aksamitny - mosiężny dziennik, który tu ukryła przed wyjazdem do Europy. Z księgą i zdjęciem podeszła do wysokiego okna, które wychodziło na galerijkę nad ogrodem. Otworzyła je, by mieć więcej światła, i zaczęła przewracać kartki dziennika, aś znalazła mały rysunek piórkiem, przedstawiający portret mężczyzny.

Tak.

Ten sam.

Westchnęła głęboko i usiadła w wiklinowym fotelu na galerii. Opuściła zdjęcie i dziennik na kolana i popatrzyła na ogród. Gdzieś w jej wnętrzu napięcie, z którego nawet sobie nie zdawała sprawy, zaczęło ustępować.

Jak długo tak siedziała, nie miała pojęcia. Kiedy wróciło jej poczucie czasu, zapadał już zmrok, a ze sklepu na dole nie dochodziły już śadne odgłosy. Wieczorny wiatr znad jeziora Pontchartrain szeleścił liśćmi oliwnika, przynosząc słodki zapach jego kwiatów.

Popatrzyła na furtkę w murze dziedzińca, furtkę, która tam była od zawsze.

Prowadziła na dziedziniec sąsiedniej posesji, którą dziś zajmował jakiś prawnik, ale niegdyś należała do właściciela apteki.

Ile osób w tamtych czasach wiedziało o tej furtce? Czy plotkowano o kobiecie, mającej męża inwalidę, który próbował się zabić, kobiecie będącej w takich zaślitych stosunkach z przystojnym włoskim aptekarzem z sąsiedztwa?

Mężczyzna na fotografii wyglądał zamośnie. Joletta nie miała wątpliwości, że cieszył się w mieście powaśaniem. Choć jako mężczyzna samotny musiał być naraśony na plotki.

Fakt, że śadne skandaliczne pogłoski na jego temat nie dotarły do potomków Violet, świadczył o jego dyskrecji i poświęceniu dla ukochanej kobiety.

Jak to jest być kochaną przez mężczyznę, który poświęcił wszystko, zaryzykował

wszystko, żeby być z ukochaną?

Lepiej o tym nie myśleć.

Joletta wstała i wróciła do salonu. Zostawiła fotografię na stoliku, ale dziennik wzięła ze sobą. Zeszła na dół, do pracowni, gdzie przyrządzano i rozlewano do flakonów perfumy.

W sklepie panowała cisza. Był już zamknięty na noc.

Odpowiadało jej to, chciała mieć spokój.

Położyła dziennik na długim stole roboczym. Wzięła zlewkę laboratoryjną i garść pipet z półki, ułożyła je starannie na blacie. Otworzyła dziennik Violet na stronie z pierwszym z małych szkiców u góry kartki.

Kod Violet był niewiarygodnie prosty. Posłużyła się rysunkami i datami. Violet umieściła w dzienniku wiele rysunków, ale większość z nich była na czystych kartkach albo na marginesach. Te, które miały naprawdę znaczenie, umieszczone zostały nad nagłówkami z datą, u góry strony. Rysunki kwiatów albo sylwetki zwierząt oznaczały olejek aromatyczny, którego należało użyć. Liczby przedstawiające dzień i miesiąc oznaczały proporcję danej esencji do całości.

Joletta przez chwilę studiowała dziennik, potem podeszła do półek z flakonami z ciemnego szkła, zawierającymi cenne olejki. Chodząc wzdłuż półek, wodząc palcami po etykietach wybierała te, które były jej potrzebne.

Ustawwszy przed sobą rząd flakonów, wzięła do ręki pipetę i rozpoczęła pracę.

W ciągu kilku chwil uniosły się wokół niej wonie.

Była tak skupiona, że nie zwracała uwagi na poszczególne zapachy. Raczej rozkoszowała się ich mieszaniną, jak piekarz zapachem rosnącego ciasta, gdy wie, że wszystko idzie dobrze.

Pracowała z uwagą i skrupulatnością, dokładnie odmierzając poszczególne olejki,

sięgając co chwilę po następny, we właściwym porządku. Nie pozwalała sobie na Śadne lekcewaŚenie, tak ją uczyła Mimi. Wiedziała, Śe nie naleŚy mieszać zawartości, zanim nie ukończy. Traktowała cenne olejki z pełnym szacunkiem, a nawet z miłością.

Była w swoim Śywiolu, zdawała sobie teraz z tego sprawę, patrząc, jak bladozielone, jasnoŚółte i żółtopomarańczowe krople wpadają do naczynia, czując zapachy, które się z niego unoszą. Dotąd, gdy mieszała perfumy, zawsze nadzorowała ją Mimi, tym razem, po raz pierwszy, robiła coś sama. Poczwała się inaczej, zupełnie inaczej.

Uwielbiała dotyk szklanych naczyń, pipet, ich cięŚar i gładkość. Czwała w sobie chęć eksperymentowania i twórczą moc. Cieszyło ją, Śe tworzy zapach, którego nie wachano od stu lat. Zdawało się jej, Śe jest czarnoksięŚnikiem powołującym do Śycia jakieś tajemnicze nowe istnienia.

Wiedziała juŚ, czym się zajmie w Śyciu. Będzie robić perfumy.

Będzie tworzyć nowe, róŚnorodne kompozycje, tak jak Mimi i wszystkie inne kobiety z rodu Fossierów od czasów Violet. Miała to we krwi, ale przede wszystkim w sercu.

Wreszcie skończyła odmierzenie. Łagodnie domieszała czystego alkoholu, który sprawi, Śe olejki staną się lotne i łatwiej dostępne zmysłowi węchu. Odczekała chwilę, po czym umieściła kroplę perfum na czystej białej bibułce. Znow odczekała i powachała. Udało jej się. Odtworzyła dokładnie perfumy Violet, te perfumy, które znajdowały się w naszyjniku.

Niemniej jednak to nie Le Jardin de Gaur. Podobne, bardzo podobne, ale nie to.

Wiedziała, Śe tak będzie.

Śeby się upewnić ponad wszelką wątpliwość, umieściła kropelkę na skórze po wewnętrznej stronie nadgarstka, poczekała, aŚ się nagrzej, i podniosła rękę do nosa.

Nie. Absolutnie nie.

Usłyszała szuranie stóp na kamiennej posadzce.

Odwróciła się gwałtownie i trzymaną w ręku pipetą potraściła zlewkę z perfumami.

Naczynie przewróciło się, perfumy polały się strumieniem po blacie, jak woda, błyszcząc egzotycznymi olejkami w ostrym świetle lampy.

Zapach uniósł się falą w powietrze, intensywny, niemal mdlący.

- Twierdziłaś, że perfumy zaginęły. Powinnam była wiedzieć, że kłamiesz - powiedziała Natalia.

- Nie wygłupiaj się. - Joletta chwyciła dziennik.

Grube karty nasiąkły perfumami, tego zapachu już nigdy nie da się usunąć.

- W takim razie, jak byś to nazwała?

Pytanie padło z ust Timothy'ego, który stanął za plecami siostry. Zza ich ramion pokazała się zacięta, wroga twarz ciotki Estelli.

- Nazwałabym to fałszywą nadzieją - powiedziała Joletta, tuląc opiekuńczo dziennik. -

Co zrozumielibyście od razu, gdybyście mieli choć odrobinę węchu.

- Nie mów do mnie takim tonem - odezwała się ciotka z gniewem. - śądam wyjaśnienia, i to natychmiast.

Pokusa, żeby ich odesłać do wszystkich diabłów, była tak silna, że z trudem się jej oparła. Poczowała tylko uderzenie krwi do głowy. Ale nie ma sensu ciągnąć tej gry niedomówień i tajemnic.

- Tłumaczę wam, że perfumy, które tu czujecie, to nie jest Le Jardin de Gaur, a zatem Le Jardin nie są tymi słynnymi perfumami sprzed wieków, o których tyle słyszeliśmy.

Podejrzewam, że kompozycja, którą znalazłam w dzienniku, może być na tych starych perfumach oparta, ale sądzę, że Violet zmodyfikowała ją, by odpowiadała jej upodobaniom, albo z jakichś innych, sobie tylko wiadomych przyczyn.

- Jak to moŜliwe? - spytała lodowato ciotka. - Matka i babka uŜywały receptury

Violet, słyŝałam o tym tak często, Ŝe mogłabym powtarzać przez sen.

- MoŜliwe, ale sędę, Ŝe trochę ją zmieniały, w zaleŜności od aktualnych upodobań

albo dostępności składników. Na przykład w recepturze Violet nie ma wetiwerii, a same na

pewno wiecie, Ŝe to jeden z głównych składników, których uŜywała Mimi, bo

nowoorleańczycy lubią ten świeŜy, drzewny zapach.

Estella wymieniła z dziećmi spojrzenia. Widząc głębokie rozczarowanie w ich oczach,

Joletta kontynuowała:

- Nie myŝcie, Ŝe na tym się sprawa kończy. Wątpię, czy perfumy, które Violet

odkryła w Europie, perfumy, których uŜywała cesarzowa Eugenia, były dokładnie takie same,

jak te, których uŜywała Józefina. To nieprawdopodobne, by kobieta oparła się pokusie

dodania swojej ulubionej esencji zapachowej. A na przykład mocna nuta fiołkowa, tak

lubiana przez Józefinę, jest nieprawdopodobna w czasach Kleopatry, która najpewniej nie

miała dostępu do tego olejku w staroŜytnym Egipcie. No i nie wątpię, Ŝe Kleopatra teŜ dodała

własne trzy grosze do receptury. A co do kapłanek Bogini KsięŜyca, to podejrzewam, Ŝe

stosowały jakąś prostą kompozycję, opartą na jednym czy dwóch mocnych składnikach o

nucie drzewnej. I co więcej, Egipcjanie lubili perfumy ...

- Dosyć! - Ciotka Estella uniosła upierścienioną rękę. - Wystarczy. Ja teŜ się

wychowałam przy perfumach, domyŝlam się reszty.

- Nie uwaŜasz, Ŝe to brzmi rozsądnie?

- Owszem, bardzo prawdopodobnie. - Ciotka Estella zgodziła się niechętnie.

- Twierdzisz więc, Ŝe nigdy nam się nie uda wyprodukować Le Jardin de Gaur? - W

głosie Natalii zabrzmiała ostra nuta.

- Twierdzę tylko, Ŝe to i tak nic nie da, bo Lara Camors oczekuje czegoś innego. Le

Jardin de Gaur ma niewiele wspólnego z tymi wspaniałymi perfumami słynnych kobiet, które jej obiecano.

- To nie może być prawda! - Natalia zacisnęła dłonie w pięści i uderzyła w blat. -

Gramy o zbyt wielką stawkę.

- Ale to jest prawda - powiedziała Joletta. - I nikt z nas nic na to nie poradzi.

- Oprócz ciebie - odparła ciotka z goryczą. - Posługując się recepturą Violet możesz zrobić coś zbliżonego do Le Jardin de Gaur.

Joletta pokiwała w zadumie głową.

- Tak, to prawda. Niedokładnie to samo, ale coś zbliżonego.

- Czyli wygrałaś.

Joletta nie odpowiedziała. W ciszy oderwała kawał papierowego ręcznika z rolki, która wisiała u końca blatu. Zaczęła wycierać rozlane perfumy.

- Właściwie - powiedział Timothy lekkim tonem to nie ma żadnego znaczenia.

- Nie bądź głupi - warknęła jego matka. - Ma wielkie znaczenie.

- Niby jakie? - Zrobił minę naiwniaka, opierając się o framugę drzwi. - Tylko my wiemy, że te wszystkie perfumy nie są identyczne.

Natalia patrzyła na zmianę to na matkę, to na brata.

Starsza kobieta przyglądała się synowi ze zmarszczonym czołem. Natalia spojrzała z boku na Jolettę, po czym wzruszyła ramionami i powiedziała:

- To się nie uda. Joletta wie i powie to prosto w oczy każdemu, nawet jeśli sama nie zechce korzystać z receptury. A ponieważ chce, to z pewnością zadzwoni do Lary Camors.

Ciotka Estella wyduła wargi.

- Lara uwielbia forszę, ale ma hopla na punkcie rzetelności reklam. Dbą o dobre imię firmy Camors jak kwocka o swoje kurczęta. Nie pójdzie na żadne kombinacje.

- Chyba Œe uda nam siê zmusiê Jolettê do milczenia. Natalia popatrzyła na kuzynkê z powątpiewaniem.

- Co masz na myśli? - spytał leniwie Timothy. Kąpiel w Missisipi w betonowych butach? Dobra myśl, siostrzyczko. I nie trzeba by siê z niã dzieliê kasã ani martwiê, czy podpisze umowê.

- Wolne Œarty - powiedziała jego matka. - MoŒe ruszyłbyś głowã w jakimś rozsãdnym kierunku, jeśli jesteś do tego zdolny.

- MoŒe łapóweczka? - zapytał. - Co mamy takiego, co chciałyby mieê nasza urocza kuzynka?

- Nic - odparła Joletta twardo. - Nie chcê od was łapówek ani niczego. Nic mnie nie obchodzi „Camors Cosmetics” .

- Czy to znaczy, Œe pozwolisz nam uŒyê receptury i wszystkiego, co siê z tym wiãŒe, i bêdziesz siedzieê cicho? - Oczy Natalii rozjaśniły siê nadziejà.

- Tego nie powiedziałam. - Joletta wyrzuciła papierowy rêcznik do kosza, po czym zmierzyła po kolei wzrokiem swoich krewnych.

- Czy myśleliście, co siê stanie, jeśli po wprowadzeniu perfum do produkcji ktoś wykryje,

Œe

to

mistyfikacja?

Firma

„Królewskie

Perfumy

Fossierów”

będzie

skompromitowana na zawsze. To będzie koniec sklepu, koniec pracowni, nie mówiąc o zszarganiu dobrego imienia rodziny.

- Mówisz, jakbyś po uszy utknęła w epoce wiktoriańskiej - zadrwiła Natalia. -

Przecież będziemy mieli pieniądze, to nie wystarczy?

- Joletcie nie zależą na pieniądzach, tak jak nam, siostrzyczko - rzekł miękko Timothy.

- Ale może wolalibyśmy, żeby rodzina nie zrobiła z siebie bandy głupków.

- To najsensowniejsza rzecz, jaką od dawna od ciebie usłyszałam - stwierdziła ciotka.

Popatrzyła na Jolettę: Możemy na ciebie liczyć?

- Ja jej nie ufam - oświadczyła Natalia. - Ale mam lepszy pomysł.

- Ho, ho. - W spojrzeniu Timothy'ego było tyle niechęci, co ironii.

Natalia obrzuciła go miśdającym spojrzeniem.

- Joletto, powiedziałaś, że ta stara receptura na nic się nie zda. W porządku. A czy chciałabyś robić Le Jardin de Gaur na podstawie receptury uzyskanej z analizy chemicznej?

- Myślę, że mogłabym. - Joletta założyła ręce na piersi.

- Świetnie. To pozwól nam wykorzystać tę recepturę z dziennika. Powiemy, że wszystko było dobrze, póki nie pojawiła się Mimi i nie wprowadziła modyfikacji, dodała wetiwerii i tak dalej. Innymi słowy rozdzielilibyśmy recepturę, zrobili z niej dwie, jedne perfumy dla ciebie, drugie dla nas.

To była ta łapówka, którą proponował Timothy, Joletta przejrzała rodzinę na wylot. W swojej zachłanności byli tacy łatwi do rozszyfrowania. Czy zdawali sobie z tego sprawę? A może ich to nie obchodziło, bo była z rodziny i nie liczyła się?

- Myślicie, że Lara Camors na to pójdzie? Albo Rone?

- Podejrzewam, że tak, zwłaszcza gdybyś im to wszystko wyjaśniła. Jeśli chcesz,

moglibyśmy nawet wspomnieć, że skład zmienił się od czasów Kleopaty. I tak dziś najmodniejsze są perfumy francuskie. W reklamie wystarczyłoby wymienić Eugenię i Józefinę. Poza tym przecieŜ to prawda?

- Nie wiem. Violet o tym nie pisała.

- Ale wystarczająco bliskie prawdy, żeby można tak twierdzić. - W tonie Natalii brzmiało zmęczenie, a zmarszczka na czole pogłębiła się.

Joletta zawahała się, ale w końcu pokręciła głową.

- Nie sędzę, żeby to wystarczyło komuś takiemu jak Lara Camors, a juŜ na pewno nie wystarczy Rone'owi.

ROZDZIAŁ XXV

Joletta z westchnieniem ulgi zamknęła drzwi za rodziną. Mogli wyjść sami, tak samo jak weszli, ale odprowadziła ich z pewną przyjemnością.

Była wyczerpana. Kłótnia na temat receptury, nieustanne wałkowanie tych samych argumentów, wydawało się, że to wszystko trwało całe godziny.

I nie sądziła, żeby to był juŜ koniec. Jej ciotka z dziećmi będzie wracać i przekonywać ją, bez wątpienia, albo wymyśli jeszcze coś równie niemożliwego do przyjęcia. Wszystko jedno, i tak im się nie uda.

Ze wszystkich sił starała się być sprawiedliwa. Ale wiedziała teraz, na co może sobie pozwolić, a na co nie. Wiedziała, że nie ma zamiaru oszukiwać „Camors Cosmetics” ani opinii publicznej. Zajmie się mieszaniem i wąchaniem i znowu mieszaniem. Na własną rękę postara się odtworzyć Le Jardin de Gaur. Jeśli się jej nie uda, to nic. Zrobi, co będzie mogła.

Przez stulecia musiały zaginać tysiące perfum, tak samo jak miliony Sywotów. Zostały odcięte, jak luźne końcówki wątku w pięknej tkaninie. Strata jest bolesna, ale ludzie muszą być dalej, dalej kochać, wykuwać swoją przyszłość, iść naprzód.

I ona pójdzie tą drogą, tak samo jak Violet tyle lat temu. Krzątała się po pracowni.

Skończy sprzątać bałagan spowodowany rozlaniem perfum, a potem wróci do domu.

Torbę i klucze zostawiła na górze. Przechodząc po chwili przez dziedziniec

zatrzymała się na chwilę, żeby odetchnąć świeżym, wolnym od zapachu perfum powietrzem.

Miała wrażenie, że brodziła w jakichś oblepiających wyziewach. Nadmiar zapachu, który normalnie by się jej podobał, okazał się nie do zniesienia.

Było ciepło i przyjemnie. Wilgoć w powietrzu sprawiała, że wydawało się miękkie jak jedwab. Łagodny wietrzyk szeleścił liśćmi starego oliwnika w kącie ogrodu i winorośli na pergoli. Wskutek niskiego ciśnienia wody fontanna ledwie pluskała. Pod starą bramą, która prowadziła na ulicę, gołębie gaworzyły jak zasypiające niemowlęta.

Dźwięk ten przeniósł Jolettę na moment na plac Świętego Marka w Wenecji, do chwili, kiedy patrzyła na eskadrę gołębi kołującą wokół dzwonnicy katedry, a u boku z jednej strony miała Rone'a, a z drugiej Caesara.

Bella, bella - szepnęła do siebie, uśmiechając się leciutko.

Ten ogród niósł też wspomnienie Mimi, a także myśl o jej upadku z tych zewnętrznych schodów. Teraz kładła się na nim cieniem także pamięć o tragedii we Florencji.

Otrząsnęła się i zaczęła wchodzić po schodach. Wtedy zauważyła jakiś cień pod oliwnikiem w odległym kącie ogrodu.

- Kto tam? - zawołała ostro.

Nikt się nie odezwał. Czas zwolnił biegu. Starła się wzrokiem przebić ciemność. Już pomyślała, że to tylko kot polujący na gołębie, gdy z cienia wynurzyła się męska sylwetka.

- To tylko ja - powiedział Timothy. Odetchnęła z ulgą.

- Co ty tu robisz? Myślałam, że poszliście - rzekła z irytacją.

- Matka i Natalia rzeczywiście poszły, ale ja musiałem wrócić, żeby się z tobą

zobaczyć. Chcę mieć ten dziennik, Joletto.

- Już o tym mówiliśmy. Zdawało mi się, że sprawa jest zamknięta, przynajmniej na dzisiaj.

Podszedł bliżej.

- Nic nie jest zamknięte. Naprawdę potrzebny mi ten dziennik. Camors nie będzie z nami gadać, póki go nie zobaczy. Nie ruszę się bez niego.

Jego głos brzmiał dziwnie płasko i beznamiętnie.

Joletta poczuła ciarki na plecach. Mimo to nie ustępowała. - Dlaczego ty się do tego wzięłaś? Myślałam, że ci nie bardzo zależy.

- Forsa, kochaneńka, forsa. Dwie bańki, mówiąc ściśle. Poza tym chodzi o matkę.

Wścieknie się, jeśli nie dostanę dziennika i tej starej receptury, którą odtworzyłaś. Oczekuje po mnie, że się wreszcie czymś wykazę. Nie mogę jej sprawić zawodu.

- Timothy, przepraszam cię, ale chyba rozumiesz, że tego się nie da zrobić. Nigdy się na to nie zgodzę. - Tak. Dlatego wróciłem, żeby cię zabić - powiedział spokojnie. - Nie mam chęci, naprawdę. Ale i nie mam wyjścia.

Zrobił jeszcze jeden krok ku niej. Odskokzyła, zasłoniła się stolikiem. Jednocześnie podmuch wiatru powiał jej w nozdrza gorzko - cytrynowym zapachem. Woda kolońska Timothy'ego. Przedtem jej nie czuła w oparach rozlanych perfum. Gorzka cytryna. Pamięta ten ostry, drażniący zapach.

Poczuła ucisk w gardle, musiała przełknąć, nim udało się jej wydobyć głos.

- To ty. To ty przetrząsałaś mój pokój hotelowy w Szwajcarii, i to ty szperałaś tu na górze, przed moim wyjazdem.

- Do luzu, na nic były te wszystkie podchody. Znalazłem tylko ten durny notatnik z twoimi grymołami. Bez dziennika wszystko na nic. - Próbował okrążyć stolik. - To ty nas

zepchnąłeś z szosy. - Odsunęła się, żeby mieć przed nim osłonę.

- Wściekłem się. W Paryżu omal cię nie rozjechałem, ale był tam ten głupkowaty Italianiec. No i Rone. Ze mną nie należy zadzierać. Mimi też się o tym przekonała. Trzeba ją było tylko leciutko popchnąć, kiedy schodziła ze schodów. I było po niej.

Jej babka. Śmiertelnie przerażona, tak samo jak signora da Allori. Dreszcz wstrząsnął Jolettą. Mośe i o tym próbowała jej powiedzieć. Co za straszliwy los.

- Czy ciotka Estella wie, że ty to zrobiłeś? - Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. - Nie wie, prawda?

- Od lat nie wie, czym się zajmuję, co robię. Ani Natalia, chociaż jej się wydaje, że zna mnie lepiej.

- Jak mnie zabijesz, to zaczną się zastanawiać nad niektórymi sprawami.

- Nie będzie ich to obchodziło, jeśli będę miał dziennik. Tylko to je naprawdę interesuje, bo to jest forsa. Daj mi to. Opłaci ci się.

Mówiąc to wsunął rękę do kieszeni dżinsów i wyciągnął jakiś podłużny czarny przedmiot, jakby duży scyzoryk. Rozległo się szcęknięcie, ostrze wyskoczyło z rękojeści, świecąc w mroku.

W tym momencie od strony starej bramy rozbrzmiały kroki. Mocny głos dobiegł z ciemności.

- Nie ruszaj się!

Timothy obrócił się jak fryga, klnąc pod nosem.

- Skąd się tu wzięłeś? Jak się dostałeś?

- Zostawiłeś otwartą furtkę - odparł Rone.

Joletta poznała ten głos natychmiast. Nie mogła w to uwierzyć. Zjawił się, mimo tego wszystkiego, co mu mówiła. Chronił ją, tak jak obiecał, wypełniał narzucony sobie

obowiązek.

Oddychał ciężko, jak po biegu, na czole połyskiwały mu kropelki potu. Zrzucił lekką marynarkę, owinał ją sobie wokół przedramienia, podszedł blisko. Nie widać było, by miał jakąś broń.

- Załatwię cię, człowieku. - Oczy Timothy'ego rozszerzyły się wściekłością. Przyjął postawę ulicznego nośownika.

- Spróbuj - odparł Rone. - Zobaczymy. - Zbliżył się, czujny i gotowy.

- Poczekajcie! - zawołała Joletta.

Miała wrażenie, że budzi się z długiego snu tylko po to, by wpaść w nocny koszmar.

Serce łomotało jej w piersi, poczuła mdłości.

Rone pojawił się na ratunek, gdy go potrzebowała.

Był gotów oddać za nią życie. Z powodu perfum Violet. Nie może do tego dopuścić.

Musi coś zrobić.

W rękę trzymała ciężki diariusz. Wyciągnęła go w stronę Rone'a. Jąkając się ze zdenerwowania, powiedziała:

- To po to tu przyszedł. Weź to. Weź to dla firmy. Jest tu zaszyfrowana receptura starych perfum, dowód, skąd pochodzą, wszystko, czego wam potrzeba.

- Zamknij się! - wrzasnął Timothy, wkraczając między nią a Rone'a, nim tamten zdążył wziąć diariusz. Wyciągnął po niego rękę. Joletta uskoczyła.

- Jeśli Rone go weźmie, wtedy ciotka Estella będzie zadowolona i będziesz mógł iść do domu.

Timothy nie wypuszczał noża z ręki. Bawił się nim. - Albo mogę zabić was oboje i zanieść diariusz matce i Larze Camors.

Ruszył do ataku.

Rone skoczył mu na spotkanie. Obaj mężczyźni stęknęli z wysiłku. Rone zablokował pierwszy cios Timothy'ego. Na zwiniętej marynarce pojawiło się poszarpane, szybko ciemniejące rozdarcie. OkrąŜali się, ich kroki szurały na kamiennych płytach. Rone'owi udało się uchwycić palcami nadgarstek uzbrojonej ręki Timothy'ego. Ten drugą dłońią sięgnął do twarzy i oczu Rone'a.

Mocne uderzenie w szczękę odrzuciło głowę Timothy'ego do tyłu. Pozbierał się jednak błyskawicznie, uwolnił z chwytu Rone'a. Rone poprawił marynarkę, z której zwisały nasiąknięte strzepy. Timothy widząc to wyszczerzył zęby. Skoczył, kierując ostrze w brzuch Rone'a. Rone uchylił się, cios poszedł bokiem, mężczyźni zwarli się, pierś przy piersi, z zaciśniętymi zębami.

Joletta nie mogła tego znieść. Oczy ją bolały z wysiłku, Ŝeby zobaczyć, co się dzieje w mroku. Krzyk nie mógł się wydobyć z jej gardła. Napięte mięśnie dygotały, krew tętniła w Ŝyłach.

Musi coś zrobić. Musi albo oszaleje. Zrobiła krok w stronę walczących.

Zamachnęła się i z całej siły rzuciła dziennikiem w głowę Timothy'ego.

Ten zauwaŜył ruch. Uchylił się, ale cięŜki notes trafił go w bark.

Rone wykorzystał ten moment i całym cięŜarem rzucił się na przeciwnika, znów złapał go za uzbrojoną rękę, wykręcił ją. Timothy szarpnął się w przeciwnym kierunku, próbując wbić bark w klatkę piersiową Rone'a i uwolnić dłoń. Rone cofnął się, Timothy stracił równowagę, obaj upadli na ziemię. Przeturlali się z chodnika na trawnik koło fontanny, siłowali się, zapasy stawały się coraz bardziej zaŜarte.

Nagle rozległo się głuchoe uderzenie, chrapliwe stęknięcie, potem zapadła cisza.

Joletta stała nieruchomo, a serce jej zatrzymało się na moment. Najpierw na kolana, potem na nogi podniósł się Rone. Rzuciła się ku niemu. Chwycił ją, przyciągnął, objął mocno.

Stali tak długo, drżąc i tuląc się do siebie. Joletta poczuła na plecach ciepłą wilgoć.

Ocknęła się z odrętwienia. - - Twoja ręka ...

- Zaraz się nią zajmiemy, teraz zobaczmy, co z twoim kuzynkiem.

Odsunęła się, w oczach miała pytanie, którego nie chciała wypowiedzieć. .

Pokręcił głową w odpowiedzi.

- Wezwij karetkę, ja rzucę na niego okiem, ale myślę, że nic mu nie będzie.

Obsługa karetki była bardziej powściągliwa w ocenie stanu zdrowia pacjenta, ale nie sprawiała wrażeń zaniepokojonej. Lekarze nie mieli też nic przeciwko temu, żeby Timothy został przesłuchany przez policję.

Wszystkie formalne sprawy, wyjaśnienia i zeznania skończyły się dopiero rano.

Wrzaskom ciotki Estelli nie było końca, jak równieś jej zapewnieniom, że jej syn ani ona sama nie ponoszą winy za całą sprawę. Obiecała załatwić Timothy'emu najlepszych adwokatów w kraju. Nie uwierzyła, że chciał zrobić krzywdę Joletcie, a już w śladnym razie w to, by mógł coś zrobić Mimi. To wszystko pomyłka. Będzie walczyć, wystąpi o uznanie niepoczytalności syna, ale na wszystko potrzeba jej pieniędzy. Joletta powinna się zastanowić, nim pozbawi całą rodzinę środków, jakie mogłyby przynieść perfumy.

Słońce wschodziło, gdy Joletta i Rone szli przez Moon Walk, platformę widokową nad Missisipi przed Jackson Square. Przez mgiełkę nad przestworem Sólta-wobrazowej wody zaczęły przeświecać słoneczne promienie. Spieniony kilwáter promu, który mozolnie przebijał się przez prąd na drugi brzeg, odpływał z wolna w dół rzeki.

Zapach kawy i rogalików z francuskiego ciasta wisiał w nieruchonym, ciepłym powietrzu. Dochodził z Cafe du Monde, która mieściła się nieopodal perfumerii. Zjedli tam już wczesne śniadanie. To Joletta zaproponowała spacer nad rzeką.

Rone szedł koło niej z rękami w kieszeniach i z głęboką zmarszczką na czole. Nie

dotknął jej od czasu, kiedy trzymał ją w ramionach w ogrodzie. Powstrzymuje się specjalnie, pomyślała Joletta. DuŜo jej pomógł w załatwianiu spraw z policją. Był troskliwy i wyrozumiały. Ale cały czas zachowywał się z rezerwą. Co do perfum, to nie wspomniał o nich ani razu.

A Joletta miała o nich wiele do powiedzenia. Czekwała na odpowiedni moment.

Zaczęła, kiedy stanęli, wsparci na balustradzie, patrząc na płynącą wodę.

Opowiedziała mu najpierw o zaszyfrowanej recepturze.

Potem ciągnęła:

- Jest jeszcze coś. Wydaje mi się, Ŝe Violet kombinowała z tą recepturą. Nie do końca wiem, o co jej chodziło. MoŜe obawiała się, Ŝe zostanie zgładzona, a chciała zostawić tajny zapis, mówiący, kim był Allain. MoŜe wiktoriańskim zwyczajem lubiła szyfry, jak na przykład język kwiatów. MoŜe czerpała z tego jakieś pocieszenie i satysfakcję. Nie wiem. Wiem tylko, Ŝe przepisując dziennik pozmieniała wszystko.

- Przepisując?

- OtóŜ to.

Trzeba było wrócić do miejsca, gdzie skończył czytać, a potem zastanowić się wspólnie, jaki mógł być rozwój wypadków w okresie, którego Violet juŜ nie opisywała.

Opowiedziała mu takŜe szczegółowo o spotkaniu z signorą Perrino i o tym, Ŝe Violet, a przedtem jej poprzednicy, zmieniali recepturę perfum.

- Violet szkicowała wiele kwiatów, zastanawiałam się nad tym. Było ich zbyt wiele, by mogły mieć znaczenie, pamiętasz, było ich duŜo, jakby rysowane dla zabicia czasu.

Dopiero gdy signora Perrino pokazała mi naszyjnik, wszystko zaczęło nabierać sensu. Na ametystowym flaconie był wygrawerowany ptak. Dwugłowy orzeł rosyjskiej rodziny panującej.

- Nie feniks?!

Pokręciła głową.

- To był fałszywy trop. Nie, to był herb Romanowów. Jak tylko go zobaczyłam, przypomniałam sobie o serii rysunków mniej więcej tych samych rozmiarów, umieszczonych w nagłówkach nad niektórymi datami. Zmyliło mnie, że nie wszystko to były kwiaty. Był rysunek róży, kwiatu pomarańczy, piśmowca.

- Kaszalota, z którego bierze się ambre ... - pokiwał głową.

- Zwróciłeś uwagę? Więc „R” jak róŜa, „O” jak „oranŜ”, kolor pomarańczy, „M” jak musk, czyli piŜmo, „A” jak ambra, „N” jak narcyz, „O” jak orchidea dająca laski wanilii, wreszcie fiołek „F”.

- ROMANOF. Romanow - powtórzył cicho, jakby potwierdzając jej domysł.

- Myślę, że Allain był synem Aleksandra I, cara Rosji. Te okruchy informacji, które podał o swoim ojcu, pasują doskonale. Spotkanie cara z Napoleonem Bonaparte odbyło się w Tyńcu w 1807, zaledwie parę lat po kampanii egipskiej. Wtedy mógł dać ojcu Allaina te perfumy.

- Przecież wszyscy by wiedzieli o koneksjach Allaina zauwaŜył Rone.

- No i wiedzieli, większość przynajmniej. To był sekret poliszynela na dworach całej Europy. To pozwala zrozumieć jego wysoką pozycję na dworze Ludwika Napoleona i w kręgach paryskiej śmietanki towarzyskiej. Pamiętaj, że Napoleon III powiedział Violet, że Allain i diuk de Morny mają ze sobą wiele wspólnego. Od razu, jak to przeczytałam, pomyślałam sobie, że Allain jest nieślubnym dzieckiem, jak Morny. Ale trzeba ci wiedzieć, że siostrą Morny'ego była córka cara Aleksandra I z nieprawego łoża. Przyrodnia siostra Allaina. Więc Allain byłby szwagrem Morny'ego, a przez to małżeństwo powinowatym Napoleona III. Myślisz, że Aleksander uznał go za syna?

- Musiał, inaczej Allain nikomu by nie zagrażał.

- Ale skoro był synem uznanym, dlaczego nie zasiadł na tronie Rosji zamiast tego idioty, który rozpętał wojnę krymską?

- Prawdopodobnie nie był uznany jako następca tronu. Widzisz, Aleksander I oficjalnie zmarł w 1825, jakieś dwa lata przed urodzeniem Allaina. Ponieważ nie miał w tym czasie uznanego potomstwa, carem został jego brat Mikołaj.

Rone przyglądał się jej przez chwilę. Wyciągnął ręce z kieszeni i pokazał na ławkę, która stała nieopodal. Podeszli i usiedli. Podniósł rękę, jakby chciał jej położyć na ramieniu, ale zawiesił ją w powietrzu. Joletta czekała bez tchu, ale on popatrzył na rzekę i opuścił rękę.

- W porządku - powiedział cicho. - Twierdzisz, że Aleksander nie zmarł rzeczywiście w 1825?

Chwila minęła, nim pozbierała myśli.

- O to chodzi. Śmierć Aleksandra I to jedna z nie rozwikłanych zagadek historii.

Źródła utrzymują, że pod koniec życia przestał interesować się swoim stanowiskiem i wielokrotnie próbował abdykować. Nie był szczęśliwy w małżeństwie z chorowitą Soną, która nie mogła mu dać legalnego potomka, cierpiał na depresję po śmierci swojej córki z nieprawego łoża. Podobno twierdził, że dałby wiele, by się uwolnić od brzemienia egzystencji, którą musiał prowadzić. Potem umarł, według źródeł oficjalnych, w małym miasteczku nad Morzem Azowskim. Z powodu złej pogody jego zwłoki przywieziono do Sankt Petersburga na pogrzeb dopiero po dwóch miesiącach. Identyfikacja musiała być niełatwa.

- Ale po co identyfikacja?

- Tak się złożyło, że chorowita caryca nie przetrzymała szoku i trudów podróży nad Morza Azowskiego i zmarła. W ten sposób nie pozostał żaden wysoko urodzony świadek

śmierci cara. Natychmiast zaczęły krążyć plotki, że śmierć cara była upozorowana, że do Petersburga przywieziono ciało jakiegoś biednego kuriera o zbliżonej do cara posturze, który zginął w jakimś wypadku. Aleksandra miał zabrać swoim Jachtem hrabia Cathcart, Anglik, były ambasador w Rosji. Rodzina Cathcartów nigdy nie zdementowała tej pogłoski, a na dodatek utajniła swoje rodzinne archiwa. A rząd rosyjski nigdy nie zgodził się na ekshumację zwłok, żeby przeprowadzić badania, które mogłyby rozstrzygnąć tę kwestię.

Rone pokiwał głową ze zrozumieniem.

- A więc Aleksander ucieka, potem ląduje we Włoszech i śieni się z primadonną operową, późniejszą matką Allaina?

- Niewykluczone, że poznał ją jeszcze przed swoją ucieczką - dodała Joletta.

- A więc Aleksander, jak mityczny feniks, powstał z popiołów po własnej śmierci?

- Tak to wygląda. Godło, które nosił Allain, mogło być nowym symbolem

Romanowów, feniks w wieńcu z liści laurowych, na znak zwycięstwa.

- Ale co się później stało z Aleksandrem? Z tego, co pamiętam, rok czy parę lat po urodzeniu Allaina znudziło mu się życie rodzinne i gdzieś się ulotnił.

- A może zatęsknił za Matuszką Rosją? W tamtych latach pojawił się w Rosji słynny pustelnik, podobno sobowtór Aleksandra. Członkowie dworu cesarskiego pielgrzymowali do niego i zasięgali rady. Rodzina panująca przywdziała żałobę, kiedy zmarł w 1864 roku.

- Co znaczy, że pustelnik, czyli Aleksander, żył jeszcze w 1855, kiedy zmarł jego brat Mikołaj.

- I w ten sposób był w stanie uprawomocnić ewentualne roszczenia do tronu Allaina.

Aleksander był władcą popularnym, Mikołaj przeciwnie. Mikołaj przez cały okres panowania zmagał się z powstaniami i rewolucjami, które wtedy nękały Europę. Nauczył się dostrzegać pierwsze oznaki buntu i tłumić je w zarodku. Nie patrzył łaskawym okiem na ewentualnego

uzurpatora, podobnie jak frakcja, która pozostała przy władzy po jego śmierci i sprzyjała Aleksandrowi II, synowi Mikołaja.

Rone wpatrywał się w wodę.

- Mikołaj musiał sobie zdawać sprawę z istnienia Allaina i mógł opłacić ludzi, żeby go zgładzili. A ludzie, którzy odwiedzili Allaina w Wenecji, mogli być przedstawicielami jakiejś siły politycznej, która chciała zmiany na tronie Rosji. Odmówił im, bo go to nie interesowało, ale tak żeby dlatego, i wiedział, że jest obserwowany.

- Sytuacja stała się gorąca w okresie wojny krymskiej. Za Allainem wysłano zamachowców, żeby się go pozbyć, zanim zaczną się kłopoty. On się zaniepokoił, zwłaszcza po wizycie tych ludzi, którzy mogli mu zaproponować przywództwo powstania. Wtedy ukrył się z Violet na Ysi. Potem, gdy zginęła signora da Allori, zaczął obawiać się i o Violet, i o dziecko, które nosiła. Wyjechał. Po co? Nie wiemy. Może próbował skontaktować się z Mikołajem i przekonać go, że nie ma żadnych roszczeń do tronu? Może chciał sam oddać się w jego ręce w zamian za bezpieczeństwo Violet i jej dziecka? Nie powiedział Violet, więc nie wiemy.

- Przecież to dziecko nie mogło być uznane. Mężem Violet był Gilbert.

- To mnie trochę dziwiło. Ale przecież dziecko jeszcze się nie narodziło w czasie, gdy umarł Mikołaj I, a Gilbert nie byłby pierwszym mężem, którego pozbywa się bez skrępowań, gdy w grę wchodzi korona. Ale śmierć Allaina usuwała wszelkie zagrożenia, dlatego napastnik nie próbował nawet zgładzić Violet, gdy Allain już nie był.

- A więc Allain wrócił, żeby być przy niej i chronić ją - powiedział Rone w zadumie. - I przez swoją śmierć sprawił, że mogli być bezpiecznie.

- Nie.

Słowo zawisło w powietrzu. Joletta nie bardzo wiedziała, czy to, co chce dalej

powiedzieć, to prawda, ale nic innego nie pasowało do znanych faktów.

Rone przyjrzał się jej z uwagą.

- Mówisz, że nie? Więc to znaczy, że to Giovanni umarł, prawda?

Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wyszło.

- To niesamowite, powtórzyła się historia ojca Allaina, jak jakiś makabryczny żart.

Giovanni i Allain byli podobnego wzrostu i w zbliżonym wieku. Obaj odnieśli rany z tej samej przyczyny. Dla jednej kobiety. Tylko Maria wiedziała, kogo zawiąza w śmiertelny całun.

Pozwoliła pochować syna pod imieniem Allaina. Z jakiego innego powodu dostałaby naszyjnik?

- A Allain stał się Giovannim.

- I wyjechał do Nowego Orleanu, został aptekarzem i żył u boku swojej ukochanej do końca życia. Nigdy się nie pobrali, bo tu Gilbert miał ostatnie słowo. Violet mogła być zmusić go do zgody na rozwód, gdyby był w pełni sił i zdrowia, ale nie mogła przeciwstawić porzucić inwalidy, który próbował się zabić.

- Albo zdecydowali, że tak jest najlepiej i najbezpieczniej, na wypadek, gdyby Allaina kiedykolwiek zdemaskowano.

- Może być - zgodziła się Joletta.

Rone nabrał głęboko powietrza i wypuścił powoli, kręcąc głową.

- Naprawdę myślisz, że to się tak odbyło?

- Kiedy wróciłam, sprawdziłam wszystko, co się dało.

Daty się zgadzają. Jest też stara fotografia Giovanniego zrobiona w Nowym Orleanie.

Może nie jest najlepsza, ale istnieje bardzo wyraźne podobieństwo między nim a Allainem naszkicowanym przez Violet w dzienniku.

- Mimo to agenci carscy mogli ją śledzić dalej, nawet w Nowym Orleanie. Pewnie

uwierzyli w wersję o śmierci Allaina, skoro się nią dalej nie interesowali. - Przestała im zagrażać, skoro Gilbert Fossier uznał dziecko za swoje.

Rone zmarszczył czoło.

- Czy to wszystko znaczy, że ty jesteś praprapra licho wie ile razy - wnuczką

Aleksandra I, cara Rosji?

- Na to wygląda. Ale co to za różnica? Po świecie chodzą tysiące ludzi mających najdziwniej szych przodków. Popatrz tylko na prezydentów, którzy zaraz po wyborach odkrywają, że pochodzą z rodziny królewskiej.

- A jeśli wszystko było inaczej, to i tak nikt nigdy nie odkryje, jak było naprawdę.

- Prawdopodobnie masz rację.

Milczeli dłuższą chwilę. Rone nie odrywał spojrzenia od jej twarzy. Wreszcie odezwał się, zmieniając całkowicie temat.

- Wyjechałem z Florencji przed tobą. Chciałem się czymś zająć, zanim zrobi to ktoś inny.

Z kieszeni wyjął złożony arkusz papieru i dwa maleńkie flakoniki, jeden, dobrze Jolecie znany, używany przez jej własną firmę, a drugi z głęboko rześniętego kryształu z ozdobnym srebrnym zamknięciem. Włożył je Jolecie do ręki. Szybko cofnął swoją dłoń, jakby obawiał się zbyt długiego dotknięcia.

Spuściła wzrok na swoją dłoń, rozłożyła kartkę. Był to wydruk rezultatów analizy chemicznej w postaci kolumn liczb i kolorowych diagramów, ukazujących proporcje składników.

Receptura Le Jardin de Gaur.

- Badanie, które zleciła ciotka Estella.

- Tak jest - odparł zdecydowanie. - Wyniki należą do ciebie. Laboratoria „Camors” nie

wykonają już następnej analizy. W tej buteleczce są perfumy, które matka Natalii przywiozła do Nowego Jorku. Zrób z tym, co będziesz chciała.

Podzieliła się z nim swoimi informacjami, on dał jej to, czego potrzebowała. Każde oddało coś na rzecz drugiego. Zabawne, chociaż Joletcie wcale nie było do śmiechu. - Nie musisz tego robić - powiedziała. W jej głosie nie było żadnej emocji. Wszystkie stłumił lęk. Taki podarunek, jak ten, może oznaczać poświęcenie.

- Muszę. Chciałaś tego. Zadałaś sobie wiele trudu, żeby zdobyć tę recepturę.

- Ty też chciałaś. - Gardło miała ściśnięte.

- Nie ma dla mnie żadnego znaczenia, jeśli przez nią miałbym stracić ciebie.

Ucisk w gardle zelżał nieco.

- Czy ty ... czy moglibyśmy oboje wykorzystać te perfumy? Ty byś użyła starszej receptury, ja nowszej, tej, którą stosowała Mimi.

- Narządałaś ścienie dla tej receptury. Należę ci się wszystko.

Poświęcał się dla niej bez zastrzeżeń. Poczwała głęboką potrzebę podobnej hojności.

- Nie. Ty też narządałaś swoje ścienie. Bałam się, że Timothy cię zabije. Miał nóż, a ty gołe ręce. Myślałam, że da ci spokój, jak oddam ci dziennik, tymczasem to tylko pogorszyło sytuację. Tak się bałam ... tak się bałam ...

Rone przez chwilę wpatrywał się w rzekę, wiatr rozwiewał mu włosy. Wreszcie cicho powiedział:

- Dlaczego? Dlaczego się bałaś?

Popatrzyła mu głęboko w oczy. Jej pierś rozpierała miłość. Otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć głosu. Odepchnęła go we Florencji, on pozwolił jej odejść, dał słowo, że nie będzie jej więcej nękał. Teraz to ona musiała poprosić, jeśli chce, żeby z nią został.

Słowa nie przychodziły. Bała się ryzyka. Jeśli te słowa padną, a on je odrzuci, ona się

z tego już nie podniesie.

Powolny uśmiech rozchylił jego wargi, a obietnica w oczach stawała się coraz

wyraźniejsza. Spytał błagalnie: ' - Nawet teraz nie możesz mi zaufać?

- Mogę. Tylko że ... - nie mogła mówić dalej.

- To mi wystarczy - powiedział głosem głębokim i pewnym. - Otwórz drugi flakonik,

Joletto.

Odruchowo posłuchała polecenia. Zdrętwiałymi i niezręcznymi palcami próbowała

otworzyć buteleczkę. Wreszcie zakrętka ustąpiła, tak nagle, że Joletta omal nie rozlała

wszystkiego. Kilka kropli pociekło jej po palcach.

Buchnął zapach głęboki, przenikliwie słodki, ulotny, lecz mocny i piękny, znajomy,

ale wyszukany, nadzwyczajnie kojący. Nie musiała wdychać głębiej, żeby go rozpoznać.

- Violet i Allain - powiedział Rone głosem nabrzmiałym uczuciem równie głębokim

jak zapach perfum - porozumiewali się językiem kwiatów. Dla nas, pomyślałem sobie,

najlepszym językiem będą perfumy. Więc nie wypełnię ci pokoju różami. A skoro używasz

Herbaczanej Róży, pomyślałem, że zrozumiesz znaczenie tej esencji z tysiąca bułgarskich róż.

Bułgarskie róże, najdroższe, najcenniejsze w świecie perfum, zawsze czerwone.

Czerwone róże, czyli miłość.

Zapach uderzał jej do głowy, wypełniał umysł i serce, nie pozwalał uciec, nie dawał

się zagłuszyć, rozwiewał lęki, usuwał wątpliwości.

Uśmiechnęła się z radością i pewnością, jej twarz promieniała.

- Kocham cię, Tyranie Kingsleyu Stuarcie Adamsonie Czwarty.

Chwyił ją w ramiona, a ona poczuła się bezpieczna w jego uścisku, gładził ją,

przytulał, jakby miał nigdy nie puścić.

- Uwielbiam cię - powiedział z ustami w jej włosach. - Szalałem, żeby znaleźć sposób,

który cię o tym przekona. Pokochałem cię w chwili, kiedy pierwszy raz pocałowałem cię na nowoorleańskiej ulicy, kochałem coraz mocniej z każdym krokiem, który robiłem twoim śladem przez pół Europy. I mam zamiar cię kochać i chodzić za tobą krok w krok, aś ci się to znudzi i zgodzisz się zostać moją Soną dla świętego spokoju.

- Jeśli to mają być oświadczenia - powiedziała głosem zduszonym przez gors jego koszuli - to długo poczekaś na moje „tak”.

Odsunął się, żeby popatrzeć jej w oczy.

- Więc nie?

- Długo potrwa, nim mi się znudzi twoje kochanie i chodzenie za mną krok w krok.

- No to zobaczymy - powiedział z czułością i udawaną złością.

Podjął wyzwanie.